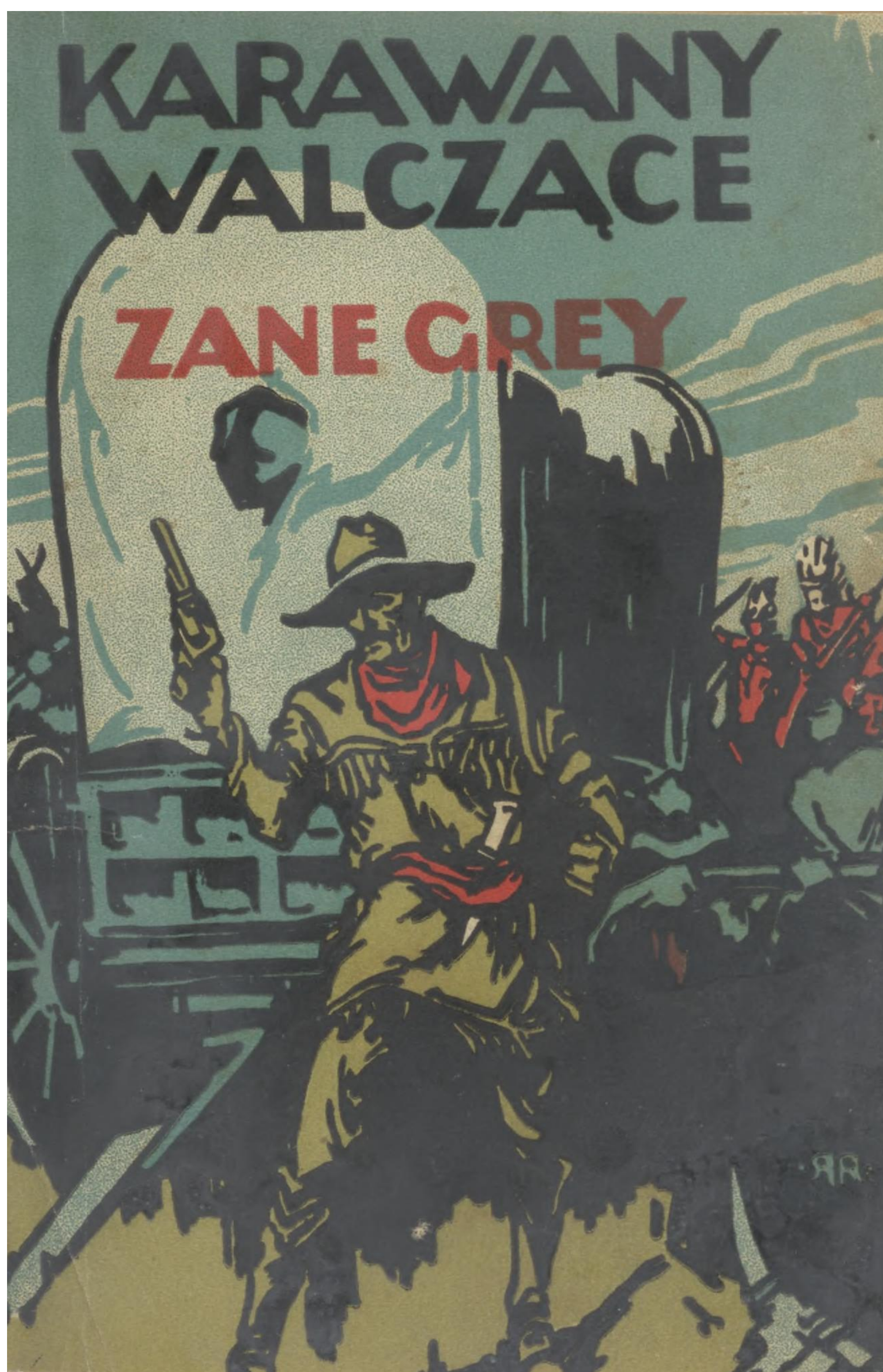

KARAWANY
WALCZĄCE
ZANE GREY

Zane Grey

# Karawany walczące

## (Fighting Caravans)

Pierwsze wydanie: 1929



Tekst na podstawie wydania Wydawnictw M. Arcta, Warszawa, 1931. Pozyskany dzięki uprzejmości Biblioteki Narodowej, z portalu polona.pl,
W tekście przeprowadzono zmiany redakcyjne, dostosowujące pisownię do współcześnie obowiązujących reguł.

# Rozdział I

Pewnego jasnego dnia czerwcowego 1856 r. woźnica krytego furgonu zatrzymał go na skraju Independence, w stanie Missouri. Przez całą wiosnę wędrował z żoną i dzieckiem, aby dotrzeć do tego kresowego posterunku. Byli zmęczeni i potrzebowali wypoczynku przed wyruszeniem w długą podróż przez stepy na Zachód. Wybrał tedy na obozowisko cieniste miejsce w gaju, przez który przepływał cicho głęboki strumień wśród brzegów porosłych trawą.

Woźnica, człowiek tęgi, w średnim wieku, zwał się Jim Belmet. Pochodził z Illinois i, jak wielu jemu podobnych, należał do rasy pionierów. Zachód pociągał go z nieprzepartą siłą.

Wzdłuż strumienia widniały inne jeszcze obozowiska. Słupy błękitnego dymu wzbijały się ku niebu. Uderzenia siekier o twarde drzewo rozlegały się po gaju. Kryte furgony wlekły się wśród kurzawy drogą w stronę posterunku.

— Mary — spytał Jim, skończywszy pracę przy obozowisku — czego potrzebujesz z miasta?

— Szynki albo boczku, chleba albo mąki, kawy i cukru — odparła zapytana, krzepka, postawna kobieta, krzątająca się właśnie przy ognisku.

— Hej, Clint! — zawołał woźnica na syna. — Pójdziesz ze mną do miasta?

— Nie — rzekł chłopiec, jasnowłosy dwunastoletni podrostek o twarzy piegowatej, jasnych, śmiałych oczach szarych i ruchach ponad wiek rozważnych i spokojnych.

Chłopiec był bosy i ostrugiwał długi, cienki pręt wierzbowy.

— Wolisz — zauważył ojciec — pójść na ryby. Co?

— Z pewnością wolę — odparł Clint.

Jim zwrócił się do żony, a na zahartowanej jego twarzy widniał wesoły uśmiech.

— Co powiesz — rzekł — o tym chłopcu? Oto wędrujemy już całe miesiące i nareszcie przybywamy do Independence. Miasteczko to musi wyglądać jak cyrk, a Clint woli łowić ryby!

— Sądzę, że Clint odziedziczył to po moim ojcu, który był zapalonym rybakiem — odparła matka. — I nie powiem, żeby to było złe, jeżeli weźmiemy pod uwagę cel naszej wędrówki.

Pozostawiono tedy Clinta w spokoju. I widocznie wiedział, co robi; wkrótce bowiem wędka była gotowa, po czym rozkopał ziemię wilgotną nad wodą i nazbierał robaków na przynętę.

— Mamo, — spytał — chciałabyś nieco ryb na wieczerzę?

— Naturalnie, synku. Ale z pewnością w tym rowie nie ma ryb.

— A no, zobaczysz! — zawołał i ruszył pod cieniste drzewa wzdłuż brzegu spokojnego strumienia.

I okazało się, że nie mówił na wiatr, bo choć wielu z obozujących tutaj musiało podzielać zdanie jego matki, gdyż znajdował mało oznak, aby ktokolwiek z tego brzegu łowił na wędkę ryby, to jednak nie było dziury, z której by nie wyłowił tłustego, złocistego okonia lub wijącego się suma.

Podchodząc do sąsiedniego obozowiska, spostrzegł małą dziewczynkę, siedzącą na brzegu strumienia. Miała piękne kasztanowate włosy, wijące się falisto, i pochyliła głowę nad fartuszkiem, pełnym, jak się okazało, koniczyny.

Clint był nieśmiały w stosunku do dziewcząt. Odruchowo więc chciał się cofnąć i wrócić, skąd przyszedł. Ale popęd do rybołówstwa zwyciężył.

I tak się zdarzyło, że dziura, do której zapuścił wędkę, niemal u stóp dziewczęcia, okazała się najlepszą ze wszystkich, jakie znalazł dotychczas, gdyż wyłowił z niej największego okonia, a następnie jeszcze siedem, jednego po drugim, po czym ryby zaczęły brać już rzadziej, wobec czego spojrzał w dół strumienia. Tam jednak konie zmąciły wodę, uniemożliwiając dalszy połów, nanizał więc złowione okonie na rozwidloną gałązkę wierzbową.

— Dzień dobry! — odezwała się nieśmiało dziewczynka.

Clint odpowiedział jej grzecznie. Zdawała się być młodsza od niego, a spostrzeżenie to złagodziło jego nieśmiałość.

— Nigdy jeszcze nie widziałam, — zawołała z zachwytem dziewczynka — aby kto potrafił tak łowić ryby!

Clint nie zdawał sobie z tego sprawy, ale słowa te były zapewne jedynymi, które mogły zatrzymać go na miejscu. Spojrzał więc jeszcze raz na mówiącą. Oczy miała ciemne i wesołe, a spojrzenie ich wprowadzało go w zakłopotanie. Coś jednak zmuszało Clinta, aby w nie patrzał.

— Eh, nie jestem znów taki zręczny! — zaprzeczył i w tej chwili spostrzegł jak się niezgrabnie porusza, siadł więc na murawie.

Dziwnie przy tym nie chciało mu się odejść.

— Oh, musisz być! — odparła poważnie, otwierając szeroko oczy. — Tatuś mój mówił, że w tej rzece nie ma ryb.

— Otóż są, tylko to nie rzeka... Lubisz ryby?

— Do jedzenia? O, tak. Już mi obrzydła ta mażąca się, tłusta słonina.

— A to dobrze. Oczyszczę więc parę tych okoniów dla ciebie.

Przy tych słowach Clint poskoczył do wody, opłukał w niej nóż i oprawił, jak umiał najlepiej, dwa największe okonie, a nadziawszy je na widełki z wierzbiny, wspiął się z nimi z powrotem na brzeg.

Dziewczynka tymczasem, przechylona na czworakach nad wodą, przyglądała się jego czynnościom. Wzrok jej poruszył w nim coś niepojętego.

— A teraz — rzekł — powiedz matce, czy innej osobie, która dla was gotuje, aby je posoliła i usmażyła szybko bez żadnej mąki albo ciasta.

Podziękowała mu tak cicho, że nie zrozumiał jej słów, tym bardziej, iż walczyła w nim nadzieja, że dziewczynka odejdzie, ze strachem, iż nie

pozostanie. Oto jednak znów usiadła i spojrzała na niego jak najprzyjaźniej.

— Jak się nazywasz? — spytała.

— Clint Belmet.

Dziewczynka powtórzyła te słowa i zachichotała:

— Zabawne imię, ale ładniejsze, niż moje.

— A jak ty się nazywasz?

— May Bell.

— Przecież to strasznie ładne imię!

— Eh, takie zwyczajne... Masz brata albo siostrę?

— Nie! Jestem tylko ja, tatuś i mama.

— Zupełnie tak samo, jak u nas... Czy to nie okropne? Mama powiada, że jestem zepsuta... A ty jesteś zepsuty?

— Przyznam się, że tatuś tak myśli. A skąd jesteś?

— Z Ohio. Żyliśmy na farmie.

— My tak samo, ale w Illinois. Nie lubiłem tego. Ale ta wędrówka na Zachód to mi się podoba. A tobie?

May zastanowiła się poważnie.

— Czasami — rzekła — tęskno mi do domu.

— Eh! A co robiłaś w domu?

— Chodziłam do szkoły. Już od piątego roku życia. Lubiłam to... A ty chodziłeś do szkoły?

— Przez cztery lata. I tatuś powiada, że na tym się skończy, z czego jestem bardzo zadowolony.

— A gdzie tatuś was wiezie?

— Na Zachód. Sam jeszcze nie wie, dokąd.

— Mój tatuś powiada to samo. Czy nie myślisz, że... że oni trochę powariowali?

— Mama mówi, że tatuś jest ciężki do myślenia.

— A ja... ja chciałabym, żebyśmy podróżowali na Zachód razem! — zawołała May odważnie.

— To byłoby... dobre — odparł Clint, znalazłszy się w sytuacji, jakiej nie zaznał jeszcze w swym życiu.

W tejże chwili usłyszał wołający go głos matki, powstał więc, z sąsiedniego zaś obozowiska nadleciał głos inny, widocznie wzywający May, bo dziewczynka także powstała, ostrożnie podnosząc gałązkę wierzbową z rybami. Clint chciał jej coś powiedzieć, ale nie wiedział co.

— Powiem — rzekła May szybko — memu tatusiowi, jeżeli... jeżeli ty powiesz swojemu.

— Powiesz... co? — wyjąkał Clint.

— Że ty i ja chcemy jechać razem na Zachód. Siedzieć czasem obok siebie na koźle. Czy nie byłoby to przyjemnie?... No, cóż? Powiesz swemu tatusiowi?

— Powiem — bąknął Clint, przerażony nadzwyczajnością rzeczywistości, stawianej mu przed oczyma przez tę małą dziewczynkę, po czym rozeszli się i nie tylko Clint oglądał się za siebie.

Clint zastał ojca, który powrócił już z miasta, tak czymś podnieconego, że stary prawie nie zwrócił uwagi na ryby, pokazane mu z dumą przez

syna. Matka, zajęta przygotowywaniem wieczerzy, słuchała poważnie, co jej opowiadał. Clint poniósł więc swe ryby do strumienia i zajął się ich oczyszczaniem, zachodząc w głowę, co się też mogło stać. Domyślał się tylko, że musi to być w związku z dalszą podróżą na Zachód. Wróciwszy jednak do ogniska obozowego i spokojnie pomagając matce, dowiedział się rychło, że mają się przyłączyć do wielkiej karawany towarowej, z których Independence słynęło wówczas na kresach.

— Przyznam, że będzie bezpieczniej w dużej karawanie wozów, niż w małej. — Oto jedyna uwaga, którą usłyszał w tej sprawie z ust matki.

Po wieczerzy wzruszył się bardzo i zakłopotał, ujrzawszy małą May, zbliżającą się do obozowiska w towarzystwie wysokiego mężczyzny. Clint pomagał właśnie matce zmywać naczynia, nie przerwał wszakże tej czynności dla nadchodzących. May uśmiechnęła się wesoło i skinęła mu tajemniczo główką, gdy tymczasem towarzyszący jej mężczyzna zwrócił się do jego ojca.

— Nazywam się — oświadczył — Bell... Sam Bell z Ohio.

— Witam was. Ja jestem Jim Belmet. Pochodzę z Illinois.

— Oto moja córeczka, May. Spotkała dzisiaj waszego chłopca u strumienia. Przychodzę, aby pogadać z wami.

— Bardzo mi przyjemnie — odparł Jim gorąco — poznać was i waszą panienkę. A oto moja żona i mój chłopiec Clint.

Po kilku jeszcze słowach Bell wyjawił otwarcie cel swych odwiedzin.

— Independence — rzekł — było najbliższym celem mej podróży. Ma się rozumieć, wiedziałem, że pojadę dalej na Zachód. Jak jednak i kiedy — nie bardzo łamałem sobie nad tym głowę. Ale oto jestem tutaj i muszę się zdecydować.

— Prawdę powiedziawszy, — odparł Belmet — to samo było ze mną, gdy stanąłem tutaj. Ale nie namyślałem się długo. Zajmę się przewozem towarów na szlaku Santa Fé.

— Towarów? Macie na myśli wszelkiego rodzaju zapasy dla posterunków i fortów na tej przestrzeni?

— No, tak. Wozić będę dla towarzystwa Tilta. Towarzystwo to ma tutaj składy, w których dostać można koni, wołów, furgonów, broni, tytuniu, wyrobów skórzanych, wszelkiego rodzaju żywności — słowem wszystkiego, od papierka szpilek do cukierków.

Tilt posiada składy i ajentów wzdłuż całego starego szlaku od Independence do Santa Fé.

— Przewoźnik? Co to za interes?

— Dobra płaca. Mam na celu zarobek, dopóki nie wyszukam sobie osiedla tam, na Zachodzie.

— Hm, niezła myśl — odparł Bell zamyślony. — Jakiego kapitału potrzeba na to?

— Stosunkowo niewielkiego. Jutro kupuję wielki furgon towarowy i dwa zaprzęgi koni. Woły możecie dostać taniej.

— A cóż zrobicie z tym, czym przybyliście tutaj? — spytał Bell, wskazując na kryty furgon.

— No cóż, zabieram z sobą. Maria umie powozić, a Clintowi także nieobce są konie.

— Wiecie, Belmet, — zawołał Bell z zapałem — zdaje mi się, że ja pójdę za waszym przykładem! Ile wozów jedzie?

— Dotychczas jest ich siedemdziesiąt pięć, jak mówił ajent Tilta. A im więcej, tym weselej, powiem nawet — bezpieczniej. Indianie są, jak wiecie, na całej drodze. Nasza karawana znajdować się będzie pod dowództwem kapitana Coucha. Jest to przewodnik i wywiadowca. Sądzę, że złoży się na nią dwa razy po siedemdziesiąt pięć wozów, gdy ruszymy z miejsca... Bell, nie potrzebujecie jechać samotnie przez stepy. Lepiej przyłączcie się do nas.

— Oh, tatusiu, — odezwała się prosząco mała May — jedźmy z nimi!

— Jeżeli tak pragniesz tego, córeczko, — rzekł czule Bell zaciekawiony — to dlaczegóż nie poprosisz sama?

— Czy możemy... czy możemy pojechać z wami? — spytała nieśmiało dziewczynka.

— Dlaczego nie, serce moje! Sprawi to nam tylko przyjemność. Clint, powiedzże tej panience, że będziesz tym uszczęśliwiony.

Ale Clint zapomniał języka w gębie.

— A więc — odparł Bell jakby z ulgą — rzecz postanowiona. A gdybyście tak poszli teraz wszyscy do naszego obozowiska i zapoznali się z moją żoną?

Po drodze przez gaj May i Clint pozostali w tyle, ciągnąc jedno ku drugiemu. Clint czuł, że dziewczynka patrzy na niego.

— Podobał mi się — odezwała się wreszcie — twój tatuś i twoja mama. Mam nadzieję, że i ty moich polubisz.

— Ma się rozumieć, że polubię.

— Zapomniałam. Ile masz lat?

— Trzynasty.

— Oh, to jesteś znacznie starszy. Ja mam dopiero dziesięć lat. Ale to ci chyba nie przeszkadza?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że ja jestem taka młoda... i taka mała?

— Eh, co to szkodzi!

— I pozwolisz mi siedzieć czasem na koźle, przy sobie, gdy będziesz powoził?

— Ma się rozumieć.

— Oh, to będzie przyjemnie! — zawołała May i klasnęła w dłonie uradowana. — Będziemy jechali i jechali... I nie będę już samotna. I będziemy patrzyli, patrzyli daleko, daleko ponad trawami, na step taki płaski i szeroki. Czy nie?

— Bo też — odparł Clint tonem wyższości — nie będzie nic innego do roboty, jak tylko patrzyć.

— A jeżeli, oh, Indianie przyjdą? Przecież przyjść mogą?

— Tatuś śmieje się z tego i powiada, że nie przyjdą, ale mama potrząsa głową... Tak, spotkamy Indian.

— Oooo! — Ale ja się nie będę bała, jadąc z tobą — rzekła May i wsunęła swą chłodną rączkę w jego rękę.

## Rozdział II

Długa karawana wozów, podobna do niezmiernego węża w białe pasy, wiła się przez falującą równinę.

Jarzma wołów z pochylonymi potężnymi łbami kołysały się pracowicie, ciągnąc okryte płótnem „szkunery preriowe". Ciężkie czterokonne furgony towarowe stosowały się do powolnego kroku wołów. Karawana ta, licząca sto trzydzieści cztery wozy, ciągnęła się na przestrzeni siedmiu mil. Droga na szlaku Santa Fé była żółta, kręta, pełna kurzu, a po obu jej stronach rozpościerał się step bez końca, zielonoszary, falujący jak morze.

Wolny, cierpliwy ruch tej karawany był niejako symbolem nieprzepartego dążenia na Zachód. Ruch ten posiadał znaczenie epickie. Nic nie mogło powstrzymać go na stałe. Tam, poza bezgranicznym purpurowym widnokręgiem, wzywało do siebie tworzące się państwo. Poza praktycznymi myślami tych przewoźników, poza ich odwagą, wesołością, wytrwałością, beztroskim lekceważeniem burz, pragnienia, pożarów stepowych i wrogich dzikusów, ukrywało się marzenie pionierów i budowniczych.

Dopiero trzeci dzień mijał od opuszczenia Independence przez karawanę, a już wchłonęła ją w siebie stepowa kraina. Dokoła rozpościerała się monotonna równina. Jastrzębie o rudych ogonach szybowały nad trawą, rzucając w dół spojrzenia; ze wzgórz dolatywał przeszywający świst dzikich koni; na wydmach widniały małe pieski stepowe, siedzące na tylnych łapach w pobliżu swych nor, przyglądając się ciągnącej karawanie; wilki pomykały z dala, zlewając się z szarzyzną, a królików zdawało się tyle, ile kęp trawy.

Gdzieś pośrodku tej karawany Clint Belmet siedział dumnie na koźle krytego furgonu ojcowskiego, trzymając lejce i bicz w rękach. Zastąpił matkę, czującą się niedobrze i leżącą pod osłoną pokrycia furgonu. Dwunastoletni chłopiec zajął tedy stanowisko dorosłego człowieka. Pierwszego dnia ojciec czuwał pilnie nad nim, jadąc z tyłu. To samo czynił Sam Bell od przodu. Stopniowo jednak troska ich o chłopca osłabła.

Trzeciego dnia Clint zaznał takiego szczęścia, jak nigdy przedtem. Zaufano mu i usprawiedliwił to zaufanie, pokładane w nim przez starszych, stawał się cząsteczką czegoś, co czuł, że jest ogromne. Ciężka strzelba stała oparta obok niego na koźle. Gdy uczono go strzelać z niej w obozie, przy pierwszym strzale przewrócił się na wznak, ale już przy drugim — stał mocno ku zadowoleniu Jima Belmeta i nie zawahałby się strzelać jeszcze. Pomimo swej młodości, odgadywał znaczenie strzelby w tej

podróży przez stepy. Przysłuchując się temu, co opowiadali wieczorami przy ogniskach obozowych przewoźnicy, przewodnicy i myśliwi, posunął się daleko poza swe lata.

Choć cudowne wydały się dwa dni poprzednie, to jednak przewyższył je trzeci. Słońce było całkiem złote; powiewał wietrzyk ciepły, suchy i pachnący; trawy stepowe kołysały się i rzucały cienie; soczyste bursztynowe światło rozciągało się jak pokrowiec nad równiną, przechodząc w dali w ciepłą i głęboką purpurę; niebo wydawało się błękitnym morzem, po którem płynęły wydęte żagle obłoków. Turkot ciężkich kół, miarowe uderzenia kopyt o ziemię stanowiły muzykę dla uszu Clinta, ale z pewnością najmilszy odgłos dochodził go od strony towarzyszki, małej May Bell, usadowionej obok niego na koźle.

Dwukrotnie już poprzednio dzieliła z nim to miejsce, teraz jednak ona i Clint byli sami. Znajdowała się pod jego opieką. Pies Clinta, Jack, leżał zwinięty u jej stóp.

— Patrz, — powtarzała May po raz już może tysiączny — czy to nie ładne? — i wskazywała na długi łuk karawany, rozciągniętej na stepie, której przodownicy znikali już za wyniosłością gruntu.

— No, tak — odpowiadał niedbale Clint.

— Tylko pomyśl — ciągnęła May. — Tatuś powiedział, że mogę jechać choćby cały dzień obok ciebie na koźle, jeżeli pozwolisz... Pozwolisz, co?

— Ma się rozumieć — odparł Clint, ukrywając swą radość.

— Jesteś już prawdziwym woźnicą — odezwała się znów May, rzucając nań okiem z pod swego kapturka.

— Eh!

— Jestem szczęśliwa. Takiś mocny, zręczny i... i wszystko... Jak daleko pojedziemy dzisiaj?

— Słyszałem, jak jeden z przewoźników mówił do tatusia, że mamy prawie dwadzieścia dwie mile do Fish Creek, naszego najbliższego postoju. Kawał to drogi. Wczoraj zrobiliśmy tylko osiemnaście.

— A mnie się zdawało, żeśmy zajechali już bardzo daleko. Ale ja lubię tę jazdę. Możesz nawet jechać wolniej, jeżeli ci się spodoba... Clint, czy chciałbyś, aby się prędko skończyła?

— Co?

— Ta jazda. Mama powiada, że jestem zanadto żywa, że nie jem tyle, ile by chciała. I mam sny okropne. Krzyczę we śnie.

Clint roześmiał się i świsnął biczem.

— Ha — odparł — założyłbym się, że będziesz jeszcze miała czego krzyczeć, zanim dojedziemy na miejsce.

To ją otrzeźwiło, ale nie na długo. Była popędliwa, ciekawa, radowała się, sama nie wiedząc z czego. Dziecięcy jej umysł rozkoszował się życiem awanturniczym i pięknością, sięgając marzeń rodziców: przyszłości nieznanej.

— Strasznie jeszcze daleko do fortu Union!

— Ma się rozumieć. Prawie tysiąc mil.

— Oh, w takim razie przez całe tygodnie będziemy w drodze?

— Mogłabyś się założyć.

— Tatuś ma zostawić mamę i mnie w tym forcie. Czy będziesz często tam zaglądał?

— Za każdym przejazdem tam i z powrotem.

— Ach, to dobrze. Nie będę się w takim razie czuła tak nieszczęśliwa... Clint, co się z nami stanie?

— Co się z nami stanie? Co chcesz przez to powiedzieć, May?

— Ja nie mówię, co się z nami stanie teraz, podczas tej jazdy, ale potem... Bo uważaj! Te stepy są tak okropne, tak strasznie duże. Co się znajduje na drugiej ich stronie?

— Czy nie uczyłaś się geografii?

— Nie.

— A więc jedziemy w stronę Gór Skalistych i poza te góry.

— Oooo! Jakże to cudownie! Ale czy potrafimy się na nie wspiąć?

— Znajduje się tam wąwóz. Miejsce, przez które można przejechać.

— Cieszę się za te biedne woły. Widziałam jednego z zakrwawionym grzbietem. Ale powiedz mi, Clint, co my będziemy robili tam, daleko, na Zachodzie?

— Pracowali.

— Jak?

— Otóż, słyszałem, co mówił do tatusia kapitan Couch. Nie masz pojęcia, co to za człowiek! Mówił, że najpierw będziemy walczyć z Indianami, potem powybijamy bizony i w końcu weźmiemy się do roli.

— Ależ, Clint, dziewczynki, jak ja, nie mogą walczyć z Indianami, ani też wybijać bizonów — przekładała May oszołomiona.

— Dlaczego nie, gdy podrośniesz?

— Bo to nie wypada.

— A jednak będziesz musiała. Kobiety muszą pomagać. Moja mama jest odważna. Ona to potrafi. A dzieciaki, jak ty...

— Ja nie jestem dzieciakiem — przerwała mu May oburzona.

— Przepraszam. W każdym razie jedziesz na Zachód, czy nie? A tam nie będzie tak, jak w domu. Będziesz musiała zastosować się do tego, pomagać matce, uczyć się, czego można, a wyrósłszy, wyjść za mąż. Każda dziewczyna będzie to musiała, bo inaczej Zachód...

Tu Clint utknął, a May spoglądała na niego osłupiała szeroko otwartymi oczyma.

— Wyjść za mąż? Ja? — westchnęła.

— Ma się rozumieć. Nie jesteś lepsza, niż inne.

— Ja nie mówiłam, że jestem lepsza.

— Jestem przekonany, że pewnego dnia zechcesz być żoną pioniera.

— Co to jest pionier? — spytała zaciekawiona May.

— Widzisz, pionier to człowiek taki, jakim będzie tatuś. Pójdzie przed siebie tam, gdzie niema jeszcze nikogo. A za nim przyjdą inni. I walczyć będą z Indianami, z niedźwiedziami i z bizonami, ścinać będą drzewa, budować chaty z pni, orać, siać i zbierać. Uprawiać ziemię, tak że osiedli się tam więcej ludzi. To jest pionier.

— Podoba mi się taki pionier. Clint, czy ty będziesz także pionierem?

— Zdaje mi się, że jestem stworzony na pioniera. Chciałbym hodować konie.

— Clint, — zawołała May — gdy wyrosnę, będę żoną pioniera!

— Hm, dlaczego nie, jeżeli będziesz tego warta.

May wsunęła już dość śmiało swą rączkę pod rękę Clinta i spojrzała na niego figlarnie z pod swego kapturka.

— Czy chciałbyś mnie mieć, Clint?

— Na co?

— Za żonę twojego pioniera. Naturalnie, gdy dorosnę. Ale to już niedługo.. Mam teraz lat dziesięć. Chciałbyś?

— Przyznam się, że chciałbym... myślałem o tym.

— Ale czy byłbyś z tego szczęśliwy?

— Naturalnie — odparł Clint szybko.

— Najpierw jednak musielibyśmy się pokochać — westchnęła May, uśmiechając się marzycielsko.

— Rzeczywiście, tak by się należało, ale, widzisz, pionierzy nie mogą czekać na wszystko!

— W takim razie — rzekła May bardzo poważnie — daję ci słowo.

— Niech tak będzie, May. Ja także.

I tak jechały te dzieci na koźle „szkunera preriowego” trawiastą równiną, spoglądając pełnymi nadziei oczami młodości w stronę wzywającego ich purpurowego widnokręgu, niewinne i romantyczne, zgodnie z tym wielkim ruchem, którego stanowiły cząstkę.

O zachodzie słońca, przy wielkiej złotej łunie, karawana stanęła u gęsto porosłego drzewami jaru, w którego głębi płynął potok, zwany Fish Creek. Było to miejsce idealne na obozowisko, obfitujące w trawę i drzewo na ogniska. Odprzęgnięto konie oraz woły i puszczono na paszę, pod nadzorem dwudziestu strażników. Zawrzało życiem ogromne obozowisko. Wzdłuż całej linii rozbrzmiewały wesołe okrzyki i głosy, rozlegał się stuk siekier, z ognisk unosił się niebieski dym i wnet pięćdziesiąt grup zgłodniałych podróżnych rozsiadło się ze skrzyżowanymi nogami na ziemi.

Clint był niemniej wygłodzony od innych, pomimo to jednak nie zapomniał wybrać kilka najlepszych kąsków strawy dla małej May. Po wieczerzy zaś ruszył w towarzystwie May z Jackiem, następującym im na pięty, na przechadzkę pomiędzy furgonami a potokiem. O ile mogli spostrzec, byli jedynymi dziećmi w tej karawanie. A i kobiet nie widzieli o wiele więcej. Starzy przewoźnicy, długowłosi wywiadowcy, krzepcy pionierzy — wszyscy mieli łaskawe i przyjazne dla tej młodocianej pary spojrzenia, niektórzy zaś na jej widok potrząsali poważnie głowami.

Szybko nastała ciemność. Ogniska obozowe przygasły. Kojoty rozpoczęły swój chór żałosny. Clint wsunął się do namiotu, który dzielił z matką, i, nie budząc jej, ułożył się do snu. Ojciec jego spał w krytym furgonie. W tejże chwili wszedł do namiotu pies Clinta i zwinął się w kłębek u stóp jego posłania. Niebawem cisza zapanowała w obozowisku i drgające na płótnie namiotu cienie ognisk pobladły.

Clint wstał o świcie. Polubił pierwsze brzaski dnia. I ku rozczarowaniu swemu odkrył, że nazwa Fish Creek nie była trafna. Ojciec i Sam Bell przyjęli go śmiechem, gdy powrócił z próżnymi rękoma, ale uśmiech małej May był mu nagrodą.

Wkrótce karawana ruszyła w dalszą drogę na Zachód.

Tego dnia karawana zrobiła dwadzieścia mil i prawie tyle dnia następnego. Szóstego dnia ujrzano daleko na południu bizony. Wzrok jednak Clinta dojrzał tylko długą, niewyraźną ciemną linię. Tej nocy rozłożono się obozem na płaskiej równinie, w pewnej odległości od wody. Clint szybko zrozumiał, dlaczego furgony ustawiano kołem, blisko jeden drugiego, z otworami u obu końców ogromnego ogrodzenia, które tworzyły w ten sposób. Konie i woły puszczono pod strażą na paszę, ale wkrótce po nastaniu ciemności wpędzono je z powrotem do ogrodzenia. Namioty ściągnięto.

— Ojcze — spytał Clint, wskazując na mnóstwo koni i wołów w ogrodzeniu — dlaczego je spędzono?

— Indianie, synku, powiadają wywiadowcy — odparł ojciec. — Od dnia dzisiejszego będziemy się mieli wciąż na baczności.

Clint nie był senny, gdy legł na swym posłaniu i długo nie mógł zasnąć. Jack zachowywał się jakoś dziwnie, przytulając się do niego. Clintowi przyszła na myśl matka i mała May. Nic jednak nie zaszło i wreszcie zasnął.

Następnego poranka kapitan Couch nakazał woźnicom, aby jechali blisko siebie, nie zatrzymywali się po drodze i pilnie baczyli na początek i na koniec karawany.

Clint przeczuwał, że szykuje się coś złego. Gdy wspiął się na kozioł i zgarnął lejce, serce mocno mu biło. Karawana ruszyła rześko, furgon tuż za furgonem. Wywiadowcy konni wysunęli się daleko naprzód, straż zaś tylna odsunęła się w tył. Powożenie nie było tego poranku zabawą dla Clinta Belmeta.

May Bell skinęła raz rączką na niego. Jakże blada była jej twarzyczka! Naprężone lejce nie pozwoliły mu odpowiedzieć jej również skinieniem, czuł jednak, że ona to rozumie.

Pomimo to wszakże godziny mijały jedna za drugą, zwiększała się liczba przejechanych mil, a nic się nie przytrafiło. Clint uczuł ulgę. Powoził nie gorzej od innych woźniców, choć bolały go ramiona. Około popołudnia niskie tumany kurzawy posunęły się wzdłuż stepu. I znów ujrzał niewyraźną czarną linię. Tym razem nie potrzebowano mu mówić, że to stado bizonów. Widać było, jak się stado porusza, a zatem znajdowało się niezbyt daleko. I znów ogarnęło Clinta wzruszenie. Z grozą wpatrywał się w stado, aż zabolały go oczy.

Ku wielkiej jego uldze nakazano postój na długo jeszcze przed zachodem słońca. Błądzące chłopca oczy pobiegły w step. Zielona wstęga topoli w zagłębieniu gruntu wskazywała, że tam jest woda i drzewo na ogniska. Karawana jednak stanęła kołem na wyniosłym miejscu. Furgony ustawiono tak, że przód każdego z nich prawie że dotykał tyłu furgonu przed nim stojącego.

Obozowisko to nie robiło bynajmniej wrażenia postoju wesołej wycieczki. Charakter miało bardzo poważny. Odprzęgnięte konie i woły poprowadzono pod silną strażą do wody, a następnie pozwolono im paść się do zachodu słońca. Clint spostrzegł sylwetki jeźdźców, odcinających się na tle nieba. Byli to wywiadowcy karawany na straży. Podczas wieczerzy znać było niepokój na twarzy starego Belmeta, Sama Bella i innych

mężczyzn. Wszyscy milczeli. Clint nie znalazł sposobności porozmawiania z May.

Ciemności zapadły szybko tego wieczora. Nie było zorzy wieczornej. Blade gwiazdy nikły poza cienką warstwą obłoków. Pogaszono ogniska, a jeżeli kto pozwolił sobie na rozmowę, to szeptem. Pozdejmowano też koniom wiszące u szyi dzwonki.

Czujnym uchem Clint dosłyszał, jak jeden ze starych woźniców mówił:

— Jak Couch przypuszcza, w pobliżu są czerwonoskórzy. Prawdopodobnie Pawnisowie lub Arapahowie. Damy sobie radę, aby tylko nie byli Komancze.

Pilny umysł chłopca zapamiętał ten wyraz: Komancze. Ukucnąwszy przy tlejącym popiele rozrzuconego ogniska, Clint nasłuchiwał. Dokoła siedzieli ludzie, paląc i szepcąc. Wreszcie zamilkli. Można było słyszeć, jak konie chrupały trawę.

— Synku, — odezwał się stary Belmet — lepiej byś się położył. Pięćdziesięciu ludzi jest na straży.

Ale Clint ociągał się, miał bowiem wrażenie, że Jack zachowuje się jeszcze dziwniej, niż poprzedniej nocy. Jack był owczarkiem, a Clint twierdził, że to, czego Jack nie wie, prawie nie zasługuje na uwagę. Może to szczekanie kojotów najeżyło sierść Jacka. Ale nie szczekał. Nagle jednak uszu Clinta doleciał z ciemności ostrzejszy, dzikszy głos nieznanego zwierzęcia. Głos ten odezwał się wnet powtórnie. Było to wycie głębokie, pełne, jakby jakiegoś nieziemskiego psa. Szczekanie kojotów umilkło.

— Co to jest? — spytał Clint szeptem siedzącego obok mężczyzny.

— Wilk stepowy — brzmiała odpowiedź. — A bestia umie śpiewać! Zobaczymy, chłopcze, co nam wyśpiewa.

Po raz pierwszy tej nocy Clint uczuł strach przed ciemnością i samotnością, przed czymś nieznanym. Z Jackiem u swoich stóp wślizgnął się do namiotu matki, rozpiętego pomiędzy dwoma wozami, z ciężkim furgonem towarowym na zewnątrz. W namiocie panowała głęboka ciemność. Jeżeli matka Clinta nie spała, to w każdym razie nie dawała tego poznać. Clint doznawał dziwnego uczucia. Zdawało mu się, że się obudził drżący z ciężkiego snu. Podpełznąwszy do swego posłania, ściągnął buty i kurtkę i, wślizgnąwszy się pod koc, przykrył się nim razem z głową. Czuł, że Jack układa się u jego nóg, po czym nastała cisza. Słyszał tylko bicie własnego serca.

Po chwili odkrył głowę, aby swobodniej odetchnąć. Dokoła zdawało się panować grobowe milczenie. Clint usiłował zasnąć, ale na próżno. Noc ta była dziwnie przygnębiająca. I Jack musiał to odczuwać, gdyż podpełznął do swego pana i liznął go w rękę. Na dworze żaden koń się nie poruszył.

Na koniec Clint zasnął. Obudził go pies. Jack powstał, warcząc cicho. Clint słyszał, że węszy, a następnie wybiega z namiotu. Clint leżał obudzony. Z daleka, bardzo słabo, doleciało go hukanie sowy. W tejże chwili do namiotu wpadł Jack, skoczył na posłanie pana i warknął groźniej.

Rozległ się odgłos kroków na zewnątrz namiotu i dał się słyszeć głos ojca Clinta:

— Co się stało temu głupiemu psu? Jack, chodź tutaj!

— Ojcze — odezwał się Clint — ten pies coś czuje.

— A więc nie śpisz, synku. Doprawdy ten pies zachowuje się dziwnie. Wskoczył do furgonu i na moje posłanie.

Clint usiadł. Zrobiło się znacznie jaśniej. Widocznie wzeszedł księżyc. Chłopiec ujrzał ojca podnoszącego płótno, zasłaniające wejście do namiotu. Dostrzegł też połysk strzelby w jego ręce.

— Jack chce widocznie, aby tatuś poszedł za nim.

— A więc chodź, Jack, dobry piesku, wyśledź ich! — zawołał Belmet i zniknął.

Zaraz potem huknął strzał niedaleko miejsca, w którem leżał Clint. Strzał ten obudził matkę chłopca.

— Co to jest? — spytała przerażona.

— Nie wiem, mamo, ale zdaje mi się, że to Indianie. Tatuś był tu przed chwilą i zabrał Jacka.

Wtem rozległ się w samym obozie grzmot grzechoczący wystrzałów tak, jakby zataczał półkole. Clint upadł, wystraszony śmiertelnie, po czym nastąpiły rzadsze już wystrzały i rozległo się wycie tak dzikie, jakiego Clint jeszcze nigdy nie słyszał. Krew mu zastygła w żyłach. Na płótno namiotu posypał się jakby grad. Co to być mogło? I znów strzały i ochrypłe głosy ludzi.

— Boże drogi, — krzyknęła nagle matka Clinta dziwnym głosem — jestem postrzelona.

— Och, mamo, mamo! — jęknął Clint, zrywając się przerażony, i ujrzał matkę, klęczącą, a potem zginającą się we dwoje i padającą na ziemię.

— Biegnij, biegnij po tatusia! — wykrztusiła.

Clint wyskoczył pędem z namiotu. W bladym świetle księżyca widział ludzi, powstrzymujących strwożone konie, i błyski ognia, padające z pod furgonów. Uszy rozdzierał mu huk wstrząsający. Biegnąc tu i owdzie i wołając na ojca, wypadł przez otwór w kolisku wozów i natknął się na gromadę ludzi.

— Tato, tato, matka jest postrzelona! — wołał rozpaczliwie.

— Kim jesteś, chłopcze? Kto jest twym ojcem?— spytał rosły mężczyzna, zatrzymując Clinta.

— Poznaję go, to syn Jima Belmeta — rzekł inny.

— Tak, to mój ojciec! Och, gdzie go znajdę? Mama jest postrzelona!

— Oto już wracają — odezwał się jeszcze inny z gromady. — Jim był z nimi w pogoni za czmychającymi diabłami.

Clint ujrzał zbliżające się ciemne postacie i usłyszał ciche ich głosy. Nagle ukazał się Jack i podskoczył do Clinta.

— Ilu zabiliście? — spytał człowiek o głosie ochrypłym, gdy wracający podeszli.

— Dwu na pewno. Uciekali, jak sarny. Dostali się poza strumień, gdzie mieli konie.

Clint poznał głos ojcowski.

— Oh tatusiu, mama jest postrzelona! Śpiesz się!

Belmet krzyknął i pobiegł szybko do koliska furgonów. Jack podążał za nim, a Clint na końcu. Gdy dotarł do namiotu matczynego, ujrzał wpadającego tam człowieka z latarnią. Bez tchu, oblany zimnym potem, odgarnął płótno. Ojciec jego klęczał przed ciemną, nieruchomą postacią.

Światło latarni padło na nią i Clint ujrzał twarz matczyną, dziwnie ściągniętą i spokojną.

— Boże, Boże miłosierny! — wyjąkał Belmet stłumionym głosem i pochylił się nad leżącą.

Człowiek z latarnią opuścił ją i położył twardą, poczciwą dłoń na ramieniu Clinta.

— Bądź mężny, chłopcze, — rzekł ochryple — jesteśmy w stepach, a ci przeklęci Komancze zabili ci matkę!

W tejże chwili Jack zaskowyczał i liznął bose stopy Clinta.

## Rozdział III

Clint pozostał w namiocie, przykryty kołdrami. Ale nie dawały mu ciepła. Miał wrażenie, że jest zmarznięty od wewnątrz. Pies leżał tuż przy nim, jakby usiłując powiedzieć mu, że stało się nieszczęście.

Nie sposób było zasnąć. Od czasu do czasu Clint unosił się na posłaniu i spoglądał na nieruchomą, przykrytą kocem postać, leżącą z drugiej strony namiotu. Matka! Nie mógł pojąć, że umarła. Gdy dzień zaświta, straszna ta zmora chyba zniknie. Stary Belmet zaglądał często do namiotu.

Nikt już nie położył się spać tej nocy. Clint słyszał kroki i ciche głosy. Nie dadzą się więcej zaskoczyć Indianom.

Srebrzysta poświata na płótnie namiotu przygasła. Przez chwilę panowała ciemność, po czym z wolna zabielał świt. O brzasku dnia ożywił się obóz. Clint naciągnął buty i wyszedł. Poranek był piękny, jak tyle innych, ale Clinta przygniatał dziwny strach. Czuł się, jak ogłuszony. Błądząc tu i owdzie, ujrzał poza koliskiem rozciągniętych wozów dwu Indian o czarnych, strasznych twarzach. Ich prawie nagie ciała były okrwawione. Jeden z nich ściskał konwulsyjnie w dłoni pęk trawy.

Clint zawrócił szybko. Ogniska płonęły, gotowano śniadanie, woźnice zaprzęgali. Pomimo to jednak, że wszędzie znać było pośpiech, obóz zdawał się cichy.

Zbliżając się do swego namiotu, Clint spostrzegł ojca i dwu innych ludzi, niosących coś ciężkiego, owiniętego w koce. Jack podbiegł do niego, merdając ogonem, ale nie figlował tego poranka. Clint wiódł wzrokiem za niosącymi ciężar.

I wówczas dopiero ujrzał stos żółtej ziemi obok świeżo wykopanego dołu. Grób! Mężczyźni opuścili do niego postać, owiniętą w koce, po czym dwu z nich zaczęło sypać na nią ziemię. Ojciec Clinta ukląkł ze złożonymi rękoma i zamkniętymi oczyma. I nagle Clint zrozumiał, że grzebią mu matkę. Nie ujrzy jej już nigdy. Te diabły nocne porwały ją na zawsze. Uciekł do namiotu, ukrył się tam pod kocami i wydawał się zdruzgotany.

Po chwili wszakże usłyszał głos ojca:

— Chodź, synku! Musimy się pożywić i ruszyć dalej. Trzeba znieść i to... Przewoźnicy powiadają mi, że w każdym obozowisku, wzdłuż szlaku, są mogiły.

Clint powstał, otarł oczy i przed wyjściem z namiotu umył się i uczesał. Ojciec jego skierował się do ogniska Bellów. Clint poszedł za nim i usiadł obok May. Jakże była blada i wystraszona! Na twarzy pani Bell widniały

ślady łez. Nikt jednak z Bellów nie wspomniał o tragedii. Ich twarze zdawały się wyrażać milczącą zgodę na coś nieuniknionego. Mała May, widząc, że Clint je, usiłowała także cokolwiek zjeść. Ale śniadanie było krótkie.

Nadjechał konno jeden ze starszych wywiadowców i zawołał:

— Zabierajcie się, zabierajcie! Mamy dzisiaj długą jazdę przed sobą. A może trafi się i rozrywka!

— Clint — rzekł stary Belmet — możesz jechać ze mną. Znajdę innego woźnicę do twego wozu.

— Tato — odparł Clint, zachłysnąwszy się mocno — jeżeli nie robi ci to różnicy, to wolałbym powozić.

— Niechaj tak będzie. A nie zapomnij wziąć z sobą jedzenia i wody do picia.

Te słowa starego były praktyczne i spokojne, jakże dużo jednak mówił wzrok jego, którym spojrzał na syna.

Gdy po chwili Belmet odchodził, jeden z towarzyszących mu ludzi zauważył:

— Belmet, z tego chłopca będzie stepowiec.

Gdy Clint zajęty był przy swym „szkunerze prerii", człowiek, który pomagał mu zaprzęgać, okazał się bardzo rozmowny.

— Po raz już trzeci — rzekł — jeżdżę tędy z towarami i muszę powiedzieć, że to starcie ubiegłej nocy z czerwonoskórymi i to Komanczami, poszło nam gładko.

— Czyście dużo ich zabili? — spytał Clint, zagryzając wargi.

— Dziewiętnastu i przyznam się, że nie byłoby poszło tak dobrze, gdyby nie pewien pies.

— Pies? — przerwał Clint. — To był mój Jack.

— No, no, sprytny pies. Możesz stawiać na niego. Wszyscy znaleźliśmy się w szeregu z odwiedzionymi kurkami, gdy to robactwo natarło. Lunęliśmy w nich gorącym i gęstym ogniem. Szkoda, żeś nie widział, jak się zwinęli. Dzisiaj z rana znaleźliśmy dziewiętnastu. Ja sam znalazłem sześciu. Jeden z nich jeszcze się ruszał, palnąłem więc go kolbą przez łeb. Zanieśliśmy ich nad strumień i wykopaliśmy tam duży dół. Kapitan Couch i dwu jego wywiadowców oskalpowali każdego. Dziwny zwyczaj. Ale ci starzy stepowcy nienawidzą Indian i zdzierają włosy z każdego dzikusa, którego uda im się powalić. Następnie rzuciliśmy Indian do dołu i zasypaliśmy ziemią. Kapitan Couch nanizał wszystkie skalpy na rzemień kozłowy i powiesił krwawe te strzępy na swym furgonie.

— A z naszej strony czy kto zginął? — spytał Clint, zaciekawiony pomimo swego przygnębienia.

— Nikt. Ale dwu jest ranionych. Jim Thorn ma kulę w nodze, a Tom Allen — brzydko przecięte ramię. To wszystko.

Clint wspiął się na kozioł i czekał, aby stojący przed nim furgon ruszył z miejsca. Konie okazały się płochliwe. Clint wytężał wszystkie siły, aby panować nad niemi. Wreszcie karawana ruszyła z miejsca. Clint uczuł, że mu się serce rozdziera. Opuszczał drogą matkę na tym bezludnym stepie. Zaszlochał głośno, a gdy mijał grób jej, oznaczony z gruba wyciosanym z drzewa krzyżem, miał oczy załzawione. Zwalczył jednak słabość, która

groziła mu powaleniem z nóg. Wszak ojciec powierzył mu całe swoje mienie i najlepsze konie. Wijący się szlak jaśniał przy wschodzącym słońcu jak żółta nitka śród stepu.

Dobrze się stało, że Clint miał dnia tego ciężką pracę z końmi. To go podtrzymywało. Musiał spełniać obowiązek niełatwy nawet dla człowieka dorosłego. Na szlaku znajdowały się złe miejsca, a przodownicy otrzymali rozkaz jechania jak można najprędzej. Wielki furgon starego Belmeta podążał z tyłu i czasami, na spadkach, najeżdżał niebezpiecznie blisko. Gdy karawana wreszcie stanęła, Clint dowiedział się zdumiony, że dojechano do Council Grove, pierwszej stacji karet pocztowych na tym szlaku. Pozostawiono tam rannych, którzy mieli być przewiezieni z powrotem do Independence.

Następnego poranku zdziwił się bardzo, gdy mu powiedziano, że Bellowie postanowili pozostać na razie w Council Grove, ale zanadto był zbolały, aby odczuć stratę małej May. Niemniej wzruszył go płacz dziewczynki przy pożegnaniu.

— Nie zapominaj — szepnęła, szlochając — mej... obietnicy!

Clint musiał ją zapewnić, że nie zapomni i rzeczywiście wierzył, iż zawsze pamiętać będzie o tych oczętach pełnych łez.

Karawana Coucha ruszyła dalej, wzmocniona przez wozy, które przyłączyły się do niej w Council Grove. Dzień minął i Clint znów zasnął głębokim snem zmęczenia. Następne dnie i noce przewijały się tak szybko, jak koła wozów w ruchu. Miał pracę bodaj że za ciężką na swe siły. Ale trzymał się i w miarę, jak wzrastały jego siły i przyzwyczajał się do swego trudnego zadania, straszny ból serca miękł stopniowo, zamieniając się w smutek.

Dnia 29-go czerwca karawana dotarła do fortu Larney, gdzie miano zatrzymać się przez tydzień. Clint i jego ojciec obozowali z większością przewoźników poza fortem. Zadziwiające było to miejsce, zupełnie inne, niż Independence. Pomimo smutku, Clint nie mógł przezwyciężyć ciekawości i zainteresowania, tak właściwych młodemu wiekowi.

Fort Larney wrzał ożywieniem. Znajdował się tam wielki skład, którego ośmiu subiektów zaledwie było w możności obsłużyć mnóstwo klientów. Ojciec opowiadał Clintowi, że w obozie zebrało się około stu białych myśliwych i traperów, aby sprzedać futra, zdobyte podczas zimy, ponadto zaś cały tysiąc Indian z rozmaitych plemion. Wprawdzie Clint zauważył, że ci Indianie noszą rozmaite stroje, ale nieprędko nauczył się odróżniać po nich jedno plemię od drugiego. Co się zaś tyczy myśliwych i traperów, to wszyscy byli podobni. Nosili ubrania ze skór jelenich i Clint przyglądał się z przyjemnością tym mocnym ludziom, lekko stąpającym, wysmukłym, wyjątkowo w młodym wieku, przeważnie zaś dojrzałych i szpakowatych, a nigdy przy tym bez broni.

Szynki robiły doskonałe interesy, a każdy z tych szynków był również szulernią. Ojciec wprowadzał do nich Clinta. Od tego czasu Clint uczuł wstręt do graczy. Wolał przechadzać się po ulicach lub zaglądać do fortu, gdzie stały załogą cztery kompanie dragonów i dwie kompanie piechoty pod dowództwem pułkownika Clarka. Clint lubił kręcić się wśród żołnierzy, a zwłaszcza wśród myśliwych i traperów. A wciąż ocierał się przy tym o

Indian. Unikał ich o ile możności, nienawidził, a jednak wciąż pociągał jego wzrok ich malowniczy wygląd, ich obcisłe jelenie ubrania i wyszywane perełkami mokasyny. Niektórzy nosili kapelusze, inni mieli orle pióra, wetknięte w kruczy włos, inni jeszcze chodzili z głowami obnażonymi, a wszyscy posiadali płaszcze z futer bizonów.

W kilka dni po przybyciu do fortu Clinta zaczepiło przed sklepem dwu wywiadowców, których poprzednio już zauważył.

— Jak się masz, chłopcze? Jak się nazywasz? — spytał bardziej uderzający z tej pary.

Człowiek ten miał zadziwiająco przeszywające oczy, które zdawały się przenikać na wskroś Clinta, i długie, wijące się włosy, opadające na szerokie bary w jeleniej koszuli.

— Clint Belmet — odparł Clint.

— Czy jesteś tym chłopcem, który, jak nam opowiadano, powoził furgonem od samego Independence?

— Tak, panie.

— Podajmy sobie ręce. Nazywam się Carson — rzekł wywiadowca i ścisnął tak mocno dłoń Clinta, obolałą od powożenia, że chłopiec musiał powstrzymać okrzyk bólu.

— I mnie podaj rękę. Jestem Dick Curtis — odezwał się drugi i znów powtórzyła się ceremonia ściskania dłoni.

— Straciłeś matkę po drodze? — spytał Carson, kładąc rękę na ramieniu Clinta.

— Tak... panie — szepnął Clint drżącym głosem.

— Clint — mówił dalej wywiadowca, a w głosie jego było coś ogromnie pociągającego — ja cię rozumiem. To bardzo bolesne... Zachód potrzebuje takich chłopców, jak ty. Idź dalej, jak zacząłeś. Masz głowę. A pamiętaj, nigdy nie przyzwyczajaj się do picia i do kart. Dowiedz się przy tym, że tylko zabity Indianin jest dobry.

Curtis poklepał Clinta po głowie, po czym obaj odeszli.

Belmet, stojący wśród innych u wejścia do sklepu, przyglądał się z zainteresowaniem temu drobnemu zajściu, gdy zaś wywiadowcy odeszli, położył obie ręce na ramionach Clinta i, spojrzawszy na niego, spytał:

— Synu, co oni ci powiedzieli?

Clint powtórzył, co słyszał. Stary Belmet zakołysał się pod wrażeniem słów chłopca.

— A nie wiesz, kto oni są?

— Owszem. Ten mniejszy powiedział mi, że się nazywa Curtis... Dick Curtis, a ten wysoki o bystrych oczach nazwał się Carsonem.

— Co, Carson?... Kit Carson! Ależ to największy pogromca Indian i stepowiec Zachodu!

— Kit Carson! — powtórzył Clint niedowierzająco. — Czytałem o nim... I pomyśleć, że uścisnął mi rękę. I jak jeszcze! Omal nie połamał mi palców!... Doprawdy, tato, dumny jestem z tego, co mi powiedział.

— I tak być powinno. Widzisz teraz, co to jest życie na kresach. Tak, chłopcze, młodzieniec, który bierze się do picia i kart, nie pociągnie długo. Spodziewam się więc, że posłuchasz rady Kita Carsona. Przyznam się, że spotkał cię zaszczyt nie lada.

— Posłucham jego rady, tatusiu. Nigdy ani pić, ani grać nie będę.
— Synu — odparł stary Belmet wzruszony — podaj mi na to rękę.

* * *

Fort opuszczono dopiero dnia 8 lipca, gdy przewoźnicy którzy wyładowali swe towary, a wśród nich i Belmet, mogli się przyłączyć do karawany, powracającej przez stepy do Missouri. Była to większa karawana, eskortowana przez wojsko. Clint powoził codziennie i dnia 10 sierpnia przybyto do Westport, miasta, które otrzymało następnie nazwę Kansas City.
W Westporcie znajdowały się największe składy intendentury i wszystkie przybywające towary musiały tam być wyładowywane. Belmet otrzymał kontrakt rządowy, z którego był bardzo uradowany. Dnia 20 sierpnia i on, i Clint ruszyli w długą podróż do odległego o tysiąc osiemset mil Santa Fé z innymi siedemdziesięciu przewoźnikami. Dano im eskortę, złożoną z dziewięćdziesięciu żołnierzy pod dowództwem kapitana Payne. Karawana ta miała dostarczyć zapasów wszystkim fortom wzdłuż szlaku.
Belmet sprzedał swój „szkuner preriowy”, ale zachował konie i kupił drugi, nowy furgon towarowy, pomalowany na zielono i czerwono, którego powożenie powierzył Clintowi.
Po kilku dniach od chwili wyjazdu już każdy członek karawany miał dobre słówko dla dzielnego chłopca i jego psa, usadowionych wysoko na koźle. Nawet kapitan Payne zauważył Clinta.
— Jak widzę, chłopcze, — rzekł pewnego dnia żartobliwie — masz tam na koźle strzelbę na bizony.
— Tak, panie, ale ta strzelba nie jest przeznaczona na bizony — odparł Clint znacząco.
Po południu szóstego dnia podróży przewoźnicy obozowali w Cow Creek. Była to piękna miejscowość w wielkim zakręcie rzeki Arkansas. Zielony gaj topolowy i połyskująca woda pociągały mocno Clinta, ale nie miał czasu, aby pozwolić sobie na swój ulubiony sport. Furgony ustawiono, jak zwykle, kołem, tak że dyszel jednego wsunięty był pod tył drugiego. Pozostawiono otworem tylko miejsce na długość trzech furgonów, tworzące wrota dla wołów i koni, wypuszczonych na paszę.
Właśnie pasły się wśród gęstej trawy pod silną strażą, gdy nagle zauważono, że zaczynają biec szybko, pędzone przez strażników, w stronę obozu, jeden zaś z jeźdźców wysunął się naprzód, wołając:
— Indianie, Indianie!
Kapitan Payne kazał natychmiast żołnierzom dosiąść koni, a przewoźnikom — przygotować się do odparcia ataku, po czym wspiął się na wierzch jednego z furgonów, trzymając szkła polowe w ręce, i przez czas dłuższy spoglądał przez nie. Wreszcie oświadczył:
— Nie mamy powodu do niepokoju. To Pawnisowie i Komancze walczą z sobą.
— A bodajby się pomordowali nawzajem! — zauważył jeden ze starych żołnierzy.

— Chodź tu, mały — zawołał kapitan na Clinta — i popatrz! Warte to jest widzenia i nieczęsto się zdarza!

Clint wspiął się szybko na wierzch furgonu i chciwie przyjął podane sobie szkła. Już gołym okiem mógł widzieć biegnące konie, rozwiane grzywy, migotanie barw, błyski ognia i wybuchy dymu. Z powodu jednak odległości huku wystrzałów nie było słychać.

Teraz, gdy skierował szkła na walczące szczepy, zadrżały mu nerwy i żyły wobec przejmującego widoku.

Na zboczu wzgórza, w odległości jakiejś mili, kilkuset Indian toczyło ruchomą walkę. Poznać można było wyraźnie, że większy oddział Indian uganiał się za mniejszym w kierunku przeciwnym od obozu. Nagie ciała czerwonoskórych, pióra i dzidy, czerwone błyski i białe wybuchy dymu, wyciągnięty galop dzikich mustangów, wierzgania i stawanie dębem par, których jeźdźcy walczyli zaciekle, spadanie Indian w trawę i galop koni bez jeźdźców — wszystko to szkła żywo uwidoczniły pałającym oczom Clinta, drżącego i rozstrojonego, dopóki wojownicy nie przewalili się przez wzgórze i nie znikli.

Clint oddał szkła uśmiechającemu się kapitanowi.

— Więc oni tak walczą z sobą? — rzekł głosem cichym, z pewną odrazą.

— Szczęście to dla nas — rzekł kapitan. — Uniknęliśmy bitwy.

— Chciałbym — zawołał Clint twardo, ujmując nagle w słowa to, co dziki Zachód w nim obudził — aby Pawnisowie wybili wszystkich tych czerwonych diabłów, Komanczów!

Wczesnym, pięknym porankiem dnia następnego karawana znów znajdowała się w drodze, otrzymawszy rozkaz, aby wozy trzymały się blisko jeden drugiego i aby baczono na Indian. Zdarzało się bowiem, że sprytni Indianie zasadzali się na karawanę i uderzali na nią w środku, zabijając ludzi i porywając towary, zanim straż konna i wywiadowcy, osłaniający zwykle przód i tył karawany, zdążyli nadjechać na miejsce napadu. Zwłaszcza Komancze byli zadziwiającymi jeźdźcami, atakowali z szybkością huraganu i znikali. Tym razem jednak już Indian nie widziano.

Ku rozczarowaniu Clinta, karawana przejechała bez zatrzymania się przez Council Grove. Tylko kilku przewoźników, jadących na końcu, przystanęło tam na chwilę. Karawana dążyła do fortu Zarah, nad rzeką Walnut (Orzechową), gdzie dwa dni miało trwać wyładowywanie towarów.

— Tato, czyś nie widział w Council Grove Bellów? — spytał chciwie Clint ojca przy pierwszej sposobności.

— Nie, synu, nie widziałem — odparł stary i odwrócił głowę.

Clint był w tej chwili zajęty, potem jednak zastanowił się i uderzyło go to, że ojciec odpowiedział mu tak krótko i niechętnie. Gdy więc nadarzyła się chwila wolna, przystąpił do starego.

— Tato — spytał — czyś rozmawiał z kim w Council Grove?

— Tak. Zatrzymałem się tam na chwilę. Ale ta chwila starczyła, abym się dowiedział rzeczy okropnych... Clint, chciałem już przedtem powtórzyć ci to, co słyszałem, ale nie mogłem. A jednak, choć to jest tak okropne, musisz się o tym dowiedzieć.

— Czy przytrafiło się co naszym przyjaciołom, Bellom?

— Tak jest — rzekł Belmet ponuro i porzucił pracę, którą był zajęty.

— Tato... czy co złego? — spytał Clint głosem zdławionym.

— Nie mogło się stać nic gorszego... Coś w tydzień po opuszczeniu przez nas Council Grove Sam Bell oświadczył, że ma dosyć tych kresów i wraca do domu. Podobno jakiś szuler ograł go do cna. I nikt nie mógł odwieść nieszczęśliwego od powziętego postanowienia. Pierwszą zaraz karetą pocztową Bellowie ruszyli do Independence. Jak powiadają, w drodze kareta się załamała, woźnica więc wsiadł na koń i popędził z powrotem po pomoc, podróżni zaś w liczbie tuzina, czy więcej, musieli rozłożyć się obozem. Wprawdzie towarzyszyło im kilku jeźdźców, wprawionych do walki z Indianami, ale w nocy napadła na obozujących znienacka gromada czerwonoskórych, wymordowała wszystkich dorosłych, oskalpowała ich, pozostawiła zupełnie obnażonych na miejscu, a karetę pocztową spaliła, zrabowawszy z niej wszystkie rzeczy cenne. Mała May Bell znikła bez śladu. Można przypuszczać, że Indianie uprowadzili ją do niewoli... I woźnica karety pocztowej więcej już nie powrócił. Wiadomość o strasznym zajściu przynieśli do Council Grove myśliwi, polujący na bizony, przybywszy z tamtej okolicy.

Clint wytrzymał ten cios mężnie i odszedł bez słowa, aby się ukryć w topolowym gaju. Nie okazywał tego, lecz pękało mu serce. Ukryty w odosobnionym miejscu, oddał się rozmyślaniom. Po matce — mała May! To było więcej, niż mógł wytrzymać. I teraz dopiero załamało się w nim wszystko. Rozpłakał się tak, jak nigdy jeszcze w życiu.

Burza ta wygnała coś z niego. Gdy minęła, przestał być dzieckiem, natomiast zrodziła się w nim dzika, zawzięta nienawiść Indian.

— Będę ich tępił — poprzysiągł sobie, — jak Kit Carson!

## Rozdział IV

**W** dwa dni później karawana wtoczyła się do fortu Larned i Clint spotkał się tam z wywiadowcami, tudzież z myśliwymi, którzy go pamiętali z poprzedniego pobytu. Jednym z nich był Dick Curtis w ubraniu jeleniem.

— Ho, ho, — zawołał Dick z uznaniem — rośniesz, chłopcze, jeżeli mnie oczy nie mylą, galopem!

— Tato powiada, że wybujałem jak trzcina.

— A ile lat liczysz?

— Teraz już trzynaście.

— Słuchaj, czy to nie indiańskie gadanie?

— Uczciwie mówię, panie Curtis. Proszę się spytać ojca.

— Nie potrzeba. Wierzę twemu słowu. Ale wyglądasz na znacznie starszego... I nie nazywaj mnie panem.

Curtis był widocznie przyjacielsko usposobiony, bo zabrał z sobą Clinta, idąc po zakupy, a po drodze zawiadomił go, że towarzyszyć będzie karawanie aż do fortu Union, skąd skręci ze szlaku w góry Nowego Meksyku.

— Czy pan Carson jest z wami?

— Nie, Kit już wyjechał. Mieszka w Taos, w Nowym Meksyku. Ożenił się z Hiszpanką i posiada tam piękną posiadłość. Musisz wybrać się do Kita. Jest to największy człowiek na tych stepach, a ty bardzo mu się podobałeś.

Curtis przedstawił następnie Clinta Jimowi Bakerowi i Johnowi Smithowi, dwu słynnym osobistościom kresowym. Znajdowali się już od lat dwudziestu pięciu na kresach, co świadczyło, że awanturnicy ci byli jednymi z pierwszych, którzy przekroczyli stepy. Clint nie widział jeszcze nigdy ludzi tak szorstkich, brudnych, zatłuszczonych i ordynarnych. Gdyby nie ich brody i dowcipy, najczęściej nieprzyzwoite, wziąłby ich za Indian. Baker ożeniony był po indiańsku, jak się wyraził Curtis, z Indianką z plemienia Czejenów, a Smith miał za żonę Komanczkę, kobietę ładną, która mówiła nieco po angielsku. Wstręt Clinta do wszystkiego, co tchnęło Komanczem, nie rozciągnął się widocznie na żonę Smitha, gdyż wydała mu się przyjemna, a w każdym razie bardziej zajmująca, niż jej małżonek, traper. Smith dorobił się znacznych pieniędzy, kupując futra od Indian i sprzedając je białym.

— Clint, — rzekł Curtis — będziemy mieli kilka krótkich etapów, gdy ten stary szlak zacznie się wspinać tam pod górę, co znaczy, że postoje będą wczesne. Czy lubisz polowanie?

— Tak, ale wolę łowienie ryb na wędkę.

— Ja także, ale potrzeba nam świeżego mięsa. Masz strzelbę?

— Mam starą strzelbę na bizony.

— Dobra będzie na bizony, ale potrzebujesz lżejszej na jelenie i indyki. A powiadam ci, znajdziemy ich mnóstwo, gdy zaczniemy się wspinać na góry. Co do tego, to odtąd widzieć będziesz na całej drodze zwierzynę płową i mnóstwo bizonów. Co byś powiedział, gdybyśmy kupili strzelbę. A z pewnością i nóż jest ci potrzebny. Czym oskalpowałbyś pierwszego swego Indianina?

— Ja... ja bym go nie oskalpował.

— Ho, ho! Dobrze, czymże więc oprawiłbyś pierwszego swego bizona albo jelenia?

— Mam scyzoryk.

— Clint, jesteś teraz na kresach. Potrzebujesz klingi takiej, która, przebiwszy kałdun czerwonoskórego, sterczałaby jeszcze o tyle, abyś mógł na niej powiesić kapelusz. Chodź, pójdziemy do składu Tilta. Wybiorę ci strzelbę, nóż i koszulę jelenią.

— Ależ, panie Curtis, ja... ja nie mam pieniędzy. Tatuś otrzymuje płacę za mnie.

— No, to weźmiesz od niego tyle, ile ja wydam na ciebie, i zwrócisz mi, a ja już powiem słówko twemu tatusiowi.

Gdy Clint wyszedł z przepełnionego kupującymi składu, zdawało mu się, że jest w siódmym niebie. Po prostu nie mógł stąpać naturalnie. Gdy zaś dotarł z Curtisem do obozowiska, nie dziw, że Jim Belmet stał przez chwilę osłupiały, a w końcu zawołał:

— Co u licha!

— Tato, oto mój... mój przyjaciel Curtis, Dick Curtis — rzekł Clint z dumą.

— Witam was, Belmet — odezwał się traper, podając mu żylastą rękę. — Przyznam, że zaniedbujecie tego młodzieńca. Ma on w sobie coś z Kita Carsona i lekceważyć go nie ma sensu.

* * *

Karawana, wciąż pod eskortą kapitana Payne, ruszyła tak zwanym Suchym Szlakiem. Szlak ten skracał drogę blisko o dwieście pięćdziesiąt mil, ale nie był bezpieczny dla karawan bez eskorty i bez wywiadowców, którzy wiedzieli, gdzie znaleźć wodę.

W kilka dni po opuszczeniu fortu Larned przez karawanę rozpoczęło się na dobre wspinanie się pod górę widocznego zdała zbocza stepowego. Co za rozległe i łagodne to zbocze trawiaste, bez końca! Trawa nie była tu już zielona, lecz popielała, a w miejscach bardziej jałowych — wypłowiało-biała. Nie można by jednak znaleźć lepszej paszy. Clinta nie nudziła ta bezgraniczna przestrzeń. Przeciwnie, czarowała go coraz bardziej. Powożąc, rozglądał się po stepie i rzadko kiedy bystre jego oko nie dojrzało jakiego ptaka lub zwierzęcia. Z wolna posuwano się naprzód, a jazda pod górę stała się lżejsza, przynajmniej dla woźniców. Szlak stawał się bardziej kręty, niż poprzednio, ze względu na częste przysypiska i

wyrwy, które trzeba było omijać. Przez całe dnie Clint nie widział drzewa lub krzaka. Gdy rozkładano się obozem, nie można było znaleźć na ogniska nic innego prócz bizonich odpadków. Paliły się doskonale. Clint wyprawiał się chętnie na zbieranie tego paliwa, gdyż wszystko, co oddalało go od obozu, było dla niego pociągające. Bizony widziano często, ale tak daleko, że niejednokrotnie nie wierzył swoim oczom.

Stracił rachubę dni. Pochłonął go całkowicie niezmierny step.

Pewnego dnia zatrzymali się u przeprawy przez Cimmaron na całe dwie godziny przed zachodem słońca. Nagle przed Clintem stanął Curtis ze strzelbą w ręce i z uśmiechem na ustach, który zelektryzował Clinta.

— Przerwij pracę, zabieraj strzelbę i chodź ze mną — rzekł traper.

— Co się stało? — spytał Clint.

— Bizony. A jeżeli pośpieszymy się, to palniemy do nich przed innymi... A nie zabieraj tej strzelby, którą ci kupiłem. Weź tę starą, na bizony. Nabita? Dobrze. Chodź teraz za mną.

Wkrótce jednak Clint doszedł do wniosku, że nie tak to łatwo podążać za Dickiem Curtisem. Traper, sadząc wielkimi krokami, poprowadził w dół za wyniosłość wzgórza i wnet nie było już ani widać, ani też słychać obozowiska. Gdy wreszcie zwolnił kroku, Clint dyszał ciężko, a pierś jego dygotała, zgrzana i spocona. Zdawało mu się, że stara strzelba na bizony waży ze sto funtów. Po chwili podniósł oczy i ujrzał, że Curtis wspina się po trawiastym zboczu, ciepłem i pachnącym, płosząc króliki, kojoty, a raz nawet grubszego zwierza, który zakotłował się w trawie.

W końcu zaczął się czołgać, dając znak Clintowi, aby uczynił to samo. Podczas tego skradania się nie był rozmowny, toteż Clint musiał zagryzać język, aby nie spytać, na co to wszystko.

Nagle Curtis przestał się czołgać i spojrzał za siebie, a twarz jego połyskiwała od potu.

— Nie sap — szepnął — tak mocno. A przy tym poruszasz się tak głośno, jak krowa... Chłopcze, jesteśmy na polowaniu, bizony zaś znajdują się nie dalej, jak o sto stóp od nas.

— Czy być może? — westchnął Clint i zdrętwiał.

— Na pewno. Czy nie słyszysz, jak szczypią trawę? A teraz odetchnij. Nie zwietrzyły nas.

Po krótkim odpoczynku Curtis dotknął Clinta i poczołgał się dalej. Bardzo cicho Clint ruszył za nim, unosząc strzelbę, aby nie dotykała ziemi i schylając głowę, aby nie było jej widać śród wysokiej trawy. Niełatwe stanowiło to zadanie, ale prawie że odzyskał już normalny oddech. Traper wił się śród trawy, jak wąż i nie głośniej od węża. Clint miał wrażenie, że posuwa się za nim już lepiej, gdy nagle Curtis znalazł się u jego boku.

— Patrz — szepnął, rozgarniając trawę.

Znajdowali się na skraju zbocza. Zdumione oczy Clinta ujrzały wprost przed sobą coś, co wydawało się górą czarnego, wełnistego futra. Na widok ten zadrżał jak liść, a serce zadygotało mu mocno, po czym jakby stanęło. Bo ową czarną górą był ogromny byk bizon, stojący niemal bokiem, z podniesionym potężnym łbem. Usłyszał i zwietrzył podchodzących.

— Mierz — szepnął Curtis — poza łopatkę. Niżej... jeszcze niżej. Ot tak! Zamroź go... Pal!

Clint, klęcząc na jednym kolanie i całym wysiłkiem woli hamując drżenie, mierzył z ciężkiej strzelby w miejsce, wskazane na włochatym celu. Strzał huknął, a Clint zwalił się na wznak pod wpływem gwałtownego odrzutu strzelby, wypuszczając ją z rąk, tak że padła przed nim na ziemię. Rozległ się tupot. Clint wygramolił się na kolana, gotów do ucieczki. Traper śmiał się do rozpuku.

— Chybiłem! — krzyknął zrozpaczony chłopiec.

— Nie chybiłeś — odparł Curtis, uderzając go po ramieniu. — Trafiłeś w sam środek. Uszedł kilka kroków, odetchnął ciężko, jęknął i runął. Reszta stada uciekła. Szczęściem, w stronę przeciwną od nas. Ale ja sądziłem, że umiesz strzelać z tej bizonówki!

— Umiem. Zapomniałem tylko trzymać ją mocno w garści. Ale możecie się założyć, że nie zapomnę tego już nigdy.

— No, dobrze, chłopcze — rzekł na to Curtis, bardzo zadowolony. — Kit Carson z pewnością naśmieje się, gdy mu to opowiem. A teraz chodź obejrzeć swego pierwszego bizona.

Powstawszy, Clint ujrzał byka, rozciągniętego w odległości jakich stu stóp. Rzeczywiście uszedł zaledwie kilka kroków. Reszta bizonów widniała już może o ćwierć mili, umykając w dal. Clint podbiegł do zabitego bizona z uczuciem grozy, radości, a zarazem i żalu. Ślepia zwierza połyskiwały szklisto, język zwisał z pyska, a posoka wsiąkała w suchą ziemię. Clint obchodził go wciąż dokoła, przyglądając się to potężnemu łbu o krótkich, błyszczących ciemnych rogach, to kołtuniastym łopatkom i piersi, to uwłosieniu przednich nóg. Większy był od największych wołów w karawanie. Rozchodziła się od niego nieprzyjemna woń, surowa i dzika, zupełnie różniąca się od woni zwierząt domowych.

Z otwartymi ustami Clint wpatrywał się jeszcze w swą zdobycz, gdy praktyczny Curtis powołał go do czynu.

— Masz teraz sposobność wypróbowania swego noża. Zdejmiemy skórę z byka. Ja zaniosę ją do obozu. Ty zaś możesz zanieść kawał polędwicy. Będziemy mieli pieczeń na kolację. Już mi teraz na nią ślinka cieknie.

Clint musiał dopiero uczyć się ciężkiej i trudnej sztuki zdejmowania skóry ze starego, żylastego bizona. Niemniej dokonali tego we dwu przed zachodem słońca i, ciężko obładowani, powlekli się z powrotem do obozu krótszą drogą, przez wzgórza.

Dźwiganie dwu ciężkich strzelb i wielkiego kawału bizoniego mięsa prawie że wyczerpywało siły Clinta, Curtis zaś potykał się pod ciężarem zwiniętej skóry bizoniej. Gdy zbliżyli się do linii obozujących, powitano ich głośnymi okrzykami i nie uszli jeszcze daleko, a już sznur przewoźników pociągnął w kierunku zabitego bizona.

Przybywszy do miejsca, w którem obozował Clint, Curtis zrzucił z łomotem ogromną skórę na ziemię.

— Trzask! Ależ to był ciężar!

Belmet i jego sąsiedzi zgromadzili się dokoła Clinta i Curtisa, przyglądając się im i zasypując pytaniami.

— Nie! — odpowiadał Curtis. — To nie ja, to Clint go zastrzelił, ja tylko przyniosłem skórę.

— Słuchajcie, Curtis, — spytał Belmet niedowierzająco — chyba chcecie w nas wmówić, że to mój chłopiec zabił tego bizona?

— Bo też i zabił. Szybko się z nim załatwił.

— Także gadanie! — zawołał drwiąco inny z przewoźników, Irlandczyk.

— Dick — dodał trzeci — wszyscy wiemy, że lubisz blagować! Wprawdzie ten chłopiec może unieść strzelbę na bizony, ale gdyby z niej wystrzelił, toby się przewrócił.

— Ja się też przewróciłem — zaśmiał się Clint, odpowiadając sam za siebie.

— Chłopcy, on strzelił doskonale. Wpakował bykowi kulę w sam środek. Ale zapomniał przymrozić się do strzelby, no, i myślałem, że się stoczy na sam dół pagórka.

— Cha, cha, cha! — zaśmiali się wszyscy.

— Clint, powiedz uczciwie, czyś ty istotnie zabił tego bizona? — spytał Belmet, ale z brzmienia jego głosu znać było, że chciałby wierzyć synowi.

— Tak jest, tato.

— Belmet, ja sądzę, że odtąd nazywać go będziemy Buffem — rzekł Curtis z szerokim uśmiechem na ustach, zabierając swą strzelbę z rąk Clinta.

W taki to sposób Clint otrzymał przezwisko, pod którym sądzone mu było stać się głośnym na stepach.

— Zapraszam się przy tym — ciągnął traper — do waszego ogniska na wieczerzę. Bo z pewnością nie ma już nawet tłustej plamy po naszym bizonie, a nie chciałbym stracić mojej cząstki pieczeni.

— Prosimy was — odparł Belmet serdecznie, a jeden z żartownisiów dodał, zwracając się do Clinta:

— Słuchaj, Buff. Na następnym postoju poproszę cię, abyś mnie zabrał na polowanie.

Gdy karawana posunęła się daleko po zboczu w stronę gór, które zaczynały się ukazywać na widnokręgu pod postacią niewyraźnych obłoków, jelenie stawały się coraz liczniejsze. Najczęściej wędrowały małymi stadami i nie były tchórzliwe. Usuwały się przed karawaną, poza donośność strzału, po czym stawały, spoglądając na przeciągające wozy. Clint zauważył, jak długie ich uszy sterczały sztywno. Widział też kilka grup większych, a raz, gdy karawana wiła się wzdłuż rzeki, na skraju Colorado, spostrzegł stado, które liczyło co najmniej dwieście sztuk, wyłaniające się z zagłębienia gruntu. Widok ten utkwił mu na zawsze w pamięci.

Karawana wlokła się wciąż dalej i dalej. Jakże krótkie wydawały się dnie i jakże mały postęp, czyniony przez wozy! A jednak mil wciąż przybywało.

Każdy postój przeważnie podobny był do innych, a liczba ich zdawała się bez końca. Wszystkie posiadały nazwy, a w umyśle Clinta utkwiły tylko te, które związane były z pewnymi zdarzeniami lub odznaczały się jakąś niezwykłością.

Pewnego wieczora, gdy zatrzymano się późno na nocleg, Dick Curtis rzekł do Clinta:

— Słuchaj, Buff, jeżeli jutro będzie pogoda, to około południa ujrzysz Góry Skaliste.

Przez cały następny poranek, słoneczny i wesoły, bystre oczy Clinta usiłowały przebić, podczas gdy powoził, mur mgły, wznoszący się nad widnokręgiem. W południe z mgły tej zaczęły się wyłaniać niewyraźne zarysy. Stopniowo ciemniały, rosły i przybierały kształty. Góry o szczytach, przykrytych białymi obłokami.

Widok ten wywołał w Clincie nadzwyczajne wzruszenie. Po pewnym czasie odkrył zdumiony, że te białe obłoki na górach to śnieg. Szczyty okryte śniegiem! Jakże wolno posuwały się konie i woły! Clint chciałby mieć skrzydła, aby nareszcie wyraźnie ujrzeć te słynne góry!

Trzeciego dnia, gdy wozy wjechały na szczyt grzbietu, na który wspinały się przez cały poranek, Clint ujrzał poszarpaną, żółtą i popielatą okolicę podgórską, wiodącą ku potężnemu masywowi podziału wód. I po raz pierwszy mógł ogarnąć wzrokiem Góry Skaliste w całym ich ogromie. Czarna masa, wspinająca się ku śnieżnym szczytom, bodącym błękit. Góra za górą, szczyt za szczytem ciągnęły się w dal aż ku purpurowemu mrokowi północy. Od południa wyniosły grzbiet zakrywał góry. Gdzieś pomiędzy tym grzbietem a górami musiał leżeć wąwóz, przez który miała posunąć się karawana. Zdawało się to niemożliwe. Clint powiódł wzrokiem wzdłuż żółtego, krętego szlaku, w dół i dokoła podgórza, gdzie szlak znikał. Kto pierwszy podróżował tym szlakiem? Clint wiedział, że był to najpierw szlak bizonów, potem Indian, następnie traperów, poszukiwaczów złota, a wreszcie przewoźników, z których on był jednym. Ale pierwsi biali ludzie, stąpający po tym starym szlaku — jakże musieli być nieustraszeni i wspaniali! W umyśle Clinta rysowało się niewyraźne pojęcie ich ducha i wielkości.

O zachodzie słońca rozłożono się obozem wśród podgórskich wzgórz, skalistych, żółtych, nagich wyniosłości o rzadkich drzewach i to karłowatych. Powietrze było tu zimne. Z gór zawiał ostry nocny wiatr. Clint z przyjemnością zasiadł przy ognisku.

Następnego dnia wznowiła się mordęga wspinania przy nużącym przewijaniu się wśród żółtych wzgórz, palących, gdy słońce padało wprost na nie.

Czterech dni takich potrzeba było, aby przebyć ten wąwóz i wkroczyć do Nowego Meksyku, a jedyną chwilą zajmującą z całej tej jazdy pod górę była chwila, w której ta jazda dobiegła kresu.

Wreszcie karawana stanęła w forcie Union. Był to mały, ale ważny posterunek, pod kierownictwem majora Greera na czele czterech kompanii dragonów. Tu znajdował się główny punkt rozdzielczy dla całego Nowego Meksyku.

Tu też Dick Curtis pożegnał się z Clintem.

— Ano, Buff, idę polować przez całą zimę w góry. Mam nadzieję, że cię spotkam na tym starym szlaku na wiosnę.

— Żegnam was i życzę powodzenia — odparł Clint. — Chciałbym być z wami.

— Może kiedyś, gdy będziesz starszy, zrobisz mi tę przyjemność. Ale, widzisz, przyjaciele, którzy się żegnają tu, na kresach, nie zawsze znów się spotykają... Więc tylko pamiętaj o Dicku Curtisie, gdy poślesz pierwszą swą kulkę jakiemu Indianinowi.

Połowa ładunku przewoźników pozostała w forcie Union, toteż, gdy ruszono w dalszą drogę, wozy były lekkie. Ułatwiało to podróż i ludziom, i zwierzętom. Droga z fortu wiła się wzdłuż rzeki Colinas, pierwszej rzeki górskiej, jaką Clint widział. Rzeka była płytka i czysta, ale gdzieniegdzie znajdowały się w niej głębsze miejsca, obfitujące, jak zapewniał jeden z przewoźników, w pstrągi. Clint miał ogromną chętkę spróbować tu połowu, nie nadarzyła się jednak sposobność. Jechano prędko, a żołnierze, eskortujący karawanę, mieli się na baczności, gdyż zbliżano się do Wąwozu Apaczów, jednego z najniebezpieczniejszych punktów na całym tym szlaku przez stepy. Niejednej już rzezi wąwóz ten był widownią.

Clint bynajmniej nie wzdychał, aby go zobaczyć. Sama myśl o napadzie Indian wywoływała w nim drętwienie skóry i uczucie jakby gorącego kłębu w piersi. Dwa uczucia różne i sprzeczne.

Nie mógł jednak nie widzieć tego, co się mu nasuwało na oczy. Zatrzymano się w pewnej odległości od wąwozu, a wywiadowcy ruszyli na zwiady. Clint ujrzał wąski przesmyk pomiędzy dwoma stromymi zboczami z żółtego kamienia. Rzeka i szlak skręcały do tego przesmyku i nie trzeba było wielkiej przenikliwości, aby zrozumieć, jak miejsce to jest niebezpieczne dla karawan wozów, a wyśmienite na urządzenie zasadzki. Wzgórza po obu stronach przesmyku pokrywał gąszcz krzaków, co umożliwiało ukrycie się znacznego oddziału Indian i ich koni z każdej strony.

Jeden z przewoźników opowiadał coś gromadce kolegów, a ze sposobu, w jaki wskazywał na wąwóz i jego okolice, widać było, że zna to miejsce. Clint przyłączył się do tego kółka.

Przewoźnik opowiadał o krwawej walce, stoczonej tu z Apaczami przed rokiem, walce, w której sam uczestniczył.

— Od tego czasu — kończył — żadna karawana towarowa nie wkroczyła do tego wąwozu bez eskorty kompanii żołnierzy.

— Tak jest istotnie, — wtrącił inny przewoźnik — ale niechybnie pewnego poranku jaka karawana osadnicza zaryzykuje przejście bez eskorty... Wąwóz Apaczów widział nieostatnią jeszcze krwawą rzeź. Powiedział mi to sam Kit Carson.

Po pewnym czasie powrócili wywiadowcy, donosząc, że Indian nie ma i że można przejechać przez wąwóz bezpiecznie. Wobec tego karawana ruszyła z miejsca. Clint wytężył oczy. Wąwóz Apaczów okazał się szczeliną krętą wśród wzgórz, ciemną i żółtą, niemal widmową. Płytki strumień przelewał się przez szlak. Clint wyobraził sobie scenę rzezi w tym miejscu i gdy wyłaniano się wreszcie na otwartą przestrzeń, okrywał go zimny pot.

Poza wąwozem szlak wspinał się po pięknych zboczach, okrytych trawą popielatą, prawie srebrzystą, wiodących do odosobnionych cedrów, a dalej do gęstych lasów pinii, w końcu zaś do ciemno-zielonych jodeł. Przed oczyma jadących kłusowały jelenie i antylopy. Tu i owdzie sterczały ogromne skały. Stado dzikich indyków obsiadło szare zbocze, nie zważając

na przejeżdżającą karawanę. Z wyżyn dął wiatr, a przeciwko niemu leciały kruki, to spadając nagle, to szybując, jakby dla zabawy.

Dnie mijały za dniami szybko, jak zaczarowane. Zadziwiająca ta kraina rozpłomieniała wyobraźnię Clinta bardziej, niż purpurowe równiny. Nowy Meksyk wydawał mu się czarno-biały, choć trawa, wydająca się z daleka białą, była w istocie popielata, a barwę czarną okrytym lasami szczytom i grzbietom górskim nadawała ciemna zieleń. Była to kraina dzika i pachnąca. Woń cedrów, pinii, jodeł i szałwii stanowiła dla Clinta odurzającą nowość.

Szczyt Głodowy pod Las Vegas sprawił na nim wrażenie nawet silniejsze, niż pierwszy widok Gór Skalistych. Samotny, zielony ten szczyt pochylał się ku spadzistemu skalnemu zwałowi, z rzadka porosłemu cedrami i płaskiemu u wierzchołka.

Clint spytał jednego ze starych przewoźników o pochodzenie nazwy tego szczytu.

— Historia to — odparł stepowiec — ciekawa, a zarazem prawdziwa. Dawno już temu, nie wiem dokładnie jak dawno, ale będzie ze dwieście lat, gromadka Hiszpanów wdała się w walkę z Indianami, zapewne z Apaczami, choć nie jestem tego pewien. Hiszpanie zajęli ten oto szczyt. Wspięli się na niego i stamtąd walczyli. Mieli strawy i wody na pewien czas i niewątpliwie spodziewali się pomocy. Ale pomoc nie nadeszła. Indianie tymczasem otoczyli szczyt i strzegli tak, jak tylko Indianie to potrafią. W ten sposób wygłodzili Hiszpanów na śmierć. I oto dlaczego szczyt ten zwie się Głodowym.

— Hiszpanie? — odezwał się Clint zamyślony. — Hiszpanie toć także biali ludzie. Widzę, że biali płacą strasznie drogo za ten Zachód.

— Masz rację, Buff. Ale ja, stary stepowiec, powiadam ci, że biali nie zaczęli nawet płacić tego, co jeszcze będą musieli zapłacić.

Las Vegas okazało się miastem tak burzliwym, że stary Belmet nie bardzo pozwalał synowi tam uczęszczać, zwłaszcza wieczorami. Pomiędzy Las Vegas a Santa Fé zatrzymano się jeszcze na dwu stacjach: San José i Barret Springs. W Santa Fé Clint zachwycony był atmosferą i hiszpańskim kolorytem, jak również stosunkowym spokojem tego bardzo starego miasta.

Karawana wyładowała tutaj wszystkie towary, po czym odjechała o kilka mil, wzdłuż rzeki Pecos, do miejsca, gdzie znalazła dobre pastwisko, drzewo i wodę, i tam też rozłożyła się obozem na zimę.

— Sześć miesięcy, a może i więcej — oświadczył stary Belmet — pozostaniemy tutaj, synku. Naturalnie, pracy będzie dość, troszcz się jednak o twe nauki.

— Mam z sobą — odparł Clint — kilka podręczników szkolnych i zabiorę się do nich, a jeżeli czego nie zrozumiem, to mi pomożesz.

— Hm, nie jestem tak uczony. Ale może znajdzie się kto tutaj, aby ci pomóc.

— A jakże z polowaniem? — spytał Clint niespokojnie.

— Doskonałe. Pytałem się o to jednego z traperów w mieście. Bizony i indyki tuż, nad tą rzeką. A w górach niedźwiedzie, lwy, a także jelenie. Nie zabraknie nam świeżego mięsa.

— Widziałem jednak — zauważył Clint zamyślony — dużo Indian w mieście.

— Tak, ale w forcie znajduje się sześć kompanii dragonów. Jak mi powiadano, objeżdżają oni często okolicę, Indianie więc nie będą nas niepokoić.

— Nigdy bym nie dowierzał Indianinowi.

— To dobrze! — rzekł stary Belmet zadowolony.

Tego samego dnia liczni Indianie odwiedzili obóz. Zachowywali się przyjaźnie. Couch, zarządzający obozem, nakazał wszystkim, aby nie żałowali gościom żywności i okazywali im pod każdym względem przychylność. Clint odczuwał do tych Apaczów jednocześnie i wstręt, i pociąg, gdy tymczasem nie mógłby żadną miarą znieść Komanczów, choćby nawet zachowywali się jak najprzyjaźniej.

## Rozdział V

Każdy z obozujących urządzał swą kwaterę według własnego upodobania. Jedni z przewoźników zamieszkali w swych furgonach, inni porozbijali namioty, niektórzy zaś, korzystając z obfitości drzewa, budowali sobie chatki. Clint i jego ojciec należeli do tych ostatnich, najmniej licznych.

Budowanie chaty z pni drzewnych było dla nich nowością. Wywołało to żarty ze strony sąsiadów.

— Buff — spytał stary stepowiec, który polubił Clinta — co to za szopę stawiasz?

— To nie szopa, to chata — odparł Clint.

— Ale chyba nie do mieszkania.

— Hej, Belmet, — wołał inny — czy jesteście cieślą?

— Ostrożnie — zauważył trzeci — pniaki te nie żartują!

Belmet przyjmował wszystkie te docinki dobrodusznie, wreszcie odezwał się do Clinta:

— Odpowiedzże co tym nicponiom.

Clint miał odpowiedź gotową.

— Czy przez całe życie — spytał — będziecie przewoźnikami? Czy nie myślicie wcale być pionierami?

— Przyznam, — odparł na to jeden z kpiarzy — że to dobra myśl.

— Oto dlaczego uczymy się budowy chaty.

Był początek października o pięknej pogodzie z przymrozkami o świcie, słonecznymi porankami, ciepłymi jesiennymi popołudniami i zimnymi nocami. Liście topolowe zaczynały zmieniać barwę z zielonej na złotą. Daleko, na ciemnych zboczach, plamy żółte uwidoczniały działanie mrozu na osiki. Na dole, w jarach i dolinach, widniały rzuty czerwone i brązowe.

Clint tęsknił do polowania, niemniej pracował wytrwale.

Pewnego popołudnia, około godziny trzeciej, obcy jakiś człowiek stanął przed chatą Belmeta. Nie odznaczał się postacią ujmującą, a przy tym zziajany był i niespokojny.

— Czy mógłbym — spytał — kupić konia?

— Naturalnie — odparł Belmet, porzucając pracę — i to tanio, bo pozostaniemy tu przez zimę.

Ale zdarzyło się tak, że właśnie przechodził kapitan Couch z innym mężczyzną, którego Clint znał tylko z widzenia. Być może śledzili obcego. Dość, że zainteresowali się jego osobą.

— Czego chce ten człowiek? — spytał porywczo Couch Belmeta.

— Powiada, że chce kupić konia.

Couch spojrzał ostro na przybysza.

— Wasze nazwisko? — spytał.

— Miller. Hank Miller — brzmiała odpowiedź.

— Skąd?

— Z Santa Fé.

— Dlaczego nie kupiliście tam konia? — badał Couch ze wzrastającą podejrzliwością.

— Nie miałem czasu — odparł przybysz nerwowo.

— Hm, mieliście tam jakie zajście?

— Wyznam, że tak.

— O co?

— Grałem w karty i posądzono mnie o oszustwo.

— A to nieprawda?

— Nie. Nazwałem ich kłamcami.

— Aha! I co dalej?

— Rzucili się na mnie ci trzej, którzy ze mną grali, i kilku innych. Musiałem strzelać.

— Postrzeliliście kogo?

— Nie wiem. Uciekłem... Ale dość tego. Zabieracie mi czas. Potrzebuję konia i siodła. Byłbym już je miał, gdyby nie wasze wścibstwo. A zresztą, co wam, u diabła, do mnie?

Couch wycelował rewolwer.

— Ręce do góry i to szybko!

Człowiek, podający się za Millera, pobladł i nie ociągał się z wypełnieniem rozkazu.

— Belmet, — rozkazywał Couch dalej — zabierzcie temu panu jego żelastwa. Jak widzę, ma ich dwa.

Ojciec Clinta zabrał przybyszowi dwa rewolwery i nóż.

— Sanderson, pozostaniecie tu z Belmetem i będziecie pilnować tego człowieka, dopóki nie wrócę z Santa Fé. A nie pozwólcie mu czmychnąć.

Po tych słowach dosiadł konia i odjechał. Zaledwie wszakże zniknął z oczu, Miller odskoczył od Sandersona, uderzeniem pięści zwalił z nóg Belmeta i zaczął uciekać. Ale przytomny Clint podstawił mu szybko nogę. Uciekający potknął się i runął głową naprzód. Rozjątrzeni przewoźnicy rzucili się na niego, poturbowali mocno, skrępowali sznurami i przywiązali do koła furgonu.

— Tak to traktujecie człowieka! — zawołał jeniec żałośnie. — Jestem uczciwy, ale boję się... tych tam szulerów. Dam wam sto dolarów, jeżeli mnie puścicie...

— Zamknij gębę, albo ci łeb rozwalę — odparł Belmet ponuro, czując jeszcze uderzenie pięści na podbródku. — Słuchaj, Sanderson, co to się stało, gdy mnie z nóg zwalił?

— Buff podstawił mu tak nogę, że padł twarzą w błoto — odparł Sanderson, spoglądając z uznaniem na chłopca.

— Ach, Clint, ty kogucie zadzierzysty, — wybuchnął Belmet głosem, w którym brzmiał podziw i duma, ale zarazem także niepokój — doprawdy mam kłopot z tobą. Zawsze coś spłatasz!

— Ależ, Belmet, — zaprotestował Sanderson, biorąc słowa starego na serio — przecież ja bym zastrzelił tego gałgana, gdyby go Buff nie przewrócił.

Clint powrócił do przerwanej pracy, pozostawiając ojcu i Sandersonowi pilnowanie jeńca. Wnet też przyjechał z Santa Fé Couch z szeryfem i dwoma milicjantami.

— Potrzebują cię tam — rzekł szeryf do Millera. — Jest w mieście jeden człowiek zabity, za którego musi ktoś odpowiadać, a drugi ranny, który może cię pozna. Pójdziesz z nami... Odwiążcie go, ludzie!

I poprowadzili Millera, jak bydlę, na arkanie, Belmet zaś i Sanderson pobiegli siodłać konie, aby razem z innymi ciekawymi przewoźnikami pojechać do miasta. Clint nie chciał im towarzyszyć, bo choć przypuszczał, że ten uprowadzony człowiek był rzeczywiście niegodziwcem, to jednak było mu go żal. Zabrał się więc znów do roboty i pracował do zachodu słońca, po czym zaniechał na ten dzień pracy.

Zawsze z przyjemnością przyglądał się zachodowi słońca, który za każdym razem był jakiś inny. Tego dnia widniały ciężkie, poszarpane obłoki, pełne złota i czerwieni ze strzelającymi przez nie w dół, do doliny purpurowej, zadziwiającymi snopami światła.

Przed nastaniem ciemności powrócił Belmet i, opatrzywszy konia, przyłączył się do Clinta.

— Tato, — rzekł chłopiec — mam gotową wieczerzę.

— Przykro mi, że czekałeś, ale nie jestem głodny. Po prostu słabo mi się robi.

— Co się stało? — spytał Clint zaniepokojony.

— W mieście tłum powiesił tego człowieka, któregośmy ujęli, i byłem tego świadkiem. Doprawdy rad jestem, żeś nie pojechał z nami!

— Ach, powiesili go? Za co?

— Był szulerem, oszustem, szelmą. Zabił jednego człowieka i zranił drugiego. Poznano go. Wówczas gromada ludzi, może ze dwudziestu, wyrwała go z rąk szeryfowi i w jednej chwili, zanim mogłem się zmiarkować, co z tego będzie, powiesiła na placu miejskim, gdzie wisi dotychczas.

Pod wpływem słów ojcowskich Clint ujrzał przed sobą obraz wisielca i już chciał zawołać, że byłoby lepiej, gdyby wcale nie byli przyjeżdżali na ten Zachód, lecz się powstrzymał. Pomimo trudów i wstrząsu, jakiego doznał, gdy mu zamordowano matkę, nie mógł powiedzieć, że nienawidzi tych dzikich i strasznych kresów. Coś mocnego i dziwnego opanowywało mu duszę.

Po kilku jeszcze dniach pracy można już było zamieszkać w chacie, Clint więc i jego ojciec przenieśli do niej swe ruchomości, a zazdrość sąsiadów sprawiła im dużo zadowolenia.

Przez całe dnie dolina i wzgórza rozbrzmiewały wystrzałami strzelb przewoźników, przygotowujących sobie ze zwierzyny zapas mięsa na zimę. To też, gdy nareszcie Clint mógł wyruszyć z ojcem także na polowanie, musieli szukać zwierzyny dalej, gdyż w pobliżu wypłoszono już bizony i jelenie. Okazało się nawet, że bizony zeszły w doliny, strzelcy zaś mieli rozkaz nie oddalać się zbytnio od obozu.

Clint strzelał do wielu jeleni, zanim zdołał jednego upolować. Widok wielkiego, mieniącego się niebieskawo jelenia, ze sterczącymi pionowo, długimi uszami i połyskującym białym ogonem, działał tak na niego, że strzelba mu się chwiała, wzrok mącił, ręce drżały. Po prostu nie mógł dobrze celować. Niemniej próbował. Inni strzelcy drwili z niego, radząc, aby używał ciężkiej strzelby na bizony. Ale nadszedł dzień, że i jego strzał nie chybił celu. Piękny jeleń podskoczył wysoko w powietrze, po czym runął, potoczył się i zarył rogami ziemię.

Najlepiej jednak podobało się Clintowi polowanie na dzikie indyki. Nie mógł wprawdzie określić dokładnie dlaczego, ale kto wie, jak sam przypuszczał, czy nie z tego względu, że polowanie to wymagało najwięcej mozołu, było najbardziej zajmujące, a za indyczym mięsem przepadał.

Ojciec jego polował na indyki śrutem. Ale Clint gdzieś usłyszał, że polowanie na dzikie indyki śrutem równało się ich zarzynaniu i nie mogło być uważane za sport. Trafić w biegnącego indyka kulą to dopiero sztuka. A że Clint marzył o tym, aby się stać prawdziwym myśliwym, polował więc z lżejszą z dwu posiadanych strzelb, nabijając ją kulami i wydając moc pieniędzy na amunicję.

Wczesnym porankiem, zanim jeszcze słońce wzeszło, Clint ruszał po trzeszczącej, zmarzniętej trawie, wydychając kłęby pary, na ulubione stanowisko. Była to równa ława skalna, miejscami porośnięta trawą i kępami pinii. A był właśnie, co się nieczęsto zdarza, urodzaj na orzeszki piniowe. Orzeszki te zaczynały opadać z drzew, ściągając indyki. Trzy ich stada uczęszczały na to żerowisko. Clint mógł zawsze liczyć, że znajdzie je tam wczesnym rankiem. I zawsze powracały na to miejsce, bez względu na liczbę strzałów, które do nich dawał, najczęściej, niestety, na próżno, co świadczyło wymownie, jak smakowały im piniowe orzeszki.

Najmniejsze z tych stad składało się z około piętnastu indyków. Były to wielkie, ostrożne ptaki. Najpiękniejsze dzikie stworzenia, jakie kiedykolwiek widział. Większość ich była ciemna, o piersiach purpurowych, długich koralach i czerwonych przebiegłych łebkach. Grzbiety miały czarne, brązowo nakrapiane, a ich wachlarzowate ogony, czerwono-białej barwy, olśniewały Clinta. Kilka z nich było brązowych, a jeden, wyróżniający się olbrzymimi rozmiarami, raczej biały, niż brązowy. Nieraz już Clint znajdował się na donioslości strzału od tych indyków, ale za każdym razem wyczuły go i odbiegały. A jak biegły! Clint podążał za niemi i strzelał, biegł i strzelał, ale na próżno.

Drugie stado było liczniejsze i składało się ze skromnie ubarwionych indyczek i rocznych indycząt, trzecie wreszcie, obejmujące chyba ze sto sztuk, tworzyły same młode, jak się zdawało, indyki.

Nabywszy zręczności w podchodzeniu tych młodych, Clint upolował ich kilka. Następnie zastrzelił dużą indyczkę z drugiego stada. Wówczas, ambitny i stanowczy, skierował swą energię i spryt ku zdobyciu jednego z wielkich indyków.

Przez kilka wszakże dni spotykały go same tylko porażki i upokorzenie, gdy bowiem postrzelił w końcu jednego z tych indyków i podbiegł do niego, ptak zerwał się i uciekł, pozostawiając mu w palcach tylko pęk piór ze swego ogona.

Wobec tego niepowodzenia, które nauczyło go rozumu, postanowił uciec się do podstępu. Następnego więc dnia wstał wcześnie i wspiął się na zbocze, zanim jeszcze dzień zaświtał. Gdy zaś pojaśniało i wschód zapłonął czerwienią, już siedział ukryty na najgęstszej i najodpowiedniejszej pinii.

Tym razem wyprzedził indyki. Z daleka, z góry zbocza, doleciało go gulgotanie. Na ten odgłos drgnął i wyprostował się, czujny i baczny. Poranek był cichy. Clint usłyszał szelest ciężkich skrzydeł, a następnie głuchy szum indyka, siadającego na ziemi. Odgłosy te wciąż się powtarzały. Clint czekał, wypatrując i nasłuchując z całym natężeniem tak długo, że mu nogi zdrętwiały i chciał się poruszyć. W tejże chwili usłyszał odgłos skrobania. Znał go już dobrze. Wyciągnąwszy szyję, wyjrzał przez gąszcz igieł i spostrzegł nie dalej, jak o pięćdziesiąt jardów, całe stado wielkich indyków. Na ten widok tak się uniósł, że omal nie spadł z drzewa. Wobec tego całym wysiłkiem woli starał się pohamować wzruszenie. Co za wspaniały widok! Indyki dziobały i skrobały ziemię, zbliżając się wprost ku niemu. A nie było przez cały ten czas chwili, aby choć jeden z nich nie podniósł łba i nie rozglądał się dokoła. Wydawały się wielkie, jak strusie, a przy tym niezmiernie czujne. Pomimo to jednak nie przeczuwały wcale, że nie wszystko jest w porządku na tym ich porannym żerowisku.

Clint nie potrzebował się nawet obrócić, aby wymierzyć. Podniósł z wolna strzelbę do ramienia. Słyszał, jak serce uderza mu o żebra, gdy wziął na cel najwidoczniejszego indyka. Ślubował sobie, że nie chybi. Ale indyk stał niespokojnie, gdy zaś Clint już dobrze wycelował do niego, inny większy indyk zasłonił mu cel. Wzruszony Clint zmiarkował od razu, że stało się nawet lepiej. Gdy zaś przyjrzał się bliżej temu większemu indykowi, oczy zamigotały mu z radości.

Bo indyk ten był właśnie owym wspaniałym, biało-brązowym przywódcą całego stada. Clinta ogarnęła gwałtownie chęć wydania radosnego okrzyku. Zmiarkował się jednak, że najpierw należy strzelić. Gdy zniżał nieco lufę strzelby, zawadził o gałązkę. Indyk szybko spojrzał w górę. Clint dostrzegł jego małe, bystre czarne oko. Wiedział, że jest odkryty, ale nie dość wcześnie, aby mu to mogło już przeszkodzić w starannym wycelowaniu i pociągnięciu za cyngiel.

Strzał huknął. Rozległo się głośne trzepotanie skrzydeł, Clint nie mógł nic dojrzeć wskutek dymu. Nasłuchiwał. Trzepot skrzydeł i trzask gałęzi ustał. Wówczas zeskoczył z drzewa. Przed nim leżał ogromny, biało-brązowy przywódca stada z rozłożonymi i trzepoczącymi się piórami ogona.

— A to potwór! — zawołał Clint uradowany. — Ciekaw jestem, co teraz tatuś powie?

A gdy następnie próbował unieść swą zdobycz, spostrzegł zdumiony, że niełatwo mógł dokonać tego nawet przy użyciu obu rąk.

Clint związał szare, pazurzaste nogi indyka i okręcił sznur dokoła grubego kija, po czym dźwignął zdobycz na plecy, nie mógł jednak utrzymać jej ciężaru jedną ręką. Dopiero wsunąwszy i lufę strzelby pomiędzy nogi indyka, zdołał unieść go na plecach; gdy zaś tego dokonał, czerwony łeb ptaka wlókł się po trawie. A pomimo że cała droga powrotna

wiodła w dół zbocza, to jednak brzemię, które dźwigał, ciężyło mu w końcu tak bardzo, że ledwie dowlókł się z nim do obozu. Za to, gdy nareszcie złożył wspaniałego dzikiego indora u stóp ojca i jego towarzyszy obozowych, doznał słodkiego uczucia zemsty za te wszystkie drwinki, jakimi go obdarzali.

— A no, przezwiemy go teraz Turkiem — zauważył jeden z widzów tego triumfu Clinta.

Wiadomości o zjawieniu się wrogiego białym szczepu indiańskiego Kiowa wzdłuż wschodniej granicy Nowego Meksyku położyły kres polowaniom Clinta. Ponadto zniewoliły go do wyrzeczenia się upragnionego zamiaru pojechania do Taos, w odwiedziny do Kita Carsona i zobaczenia słynnego ranchu Maxwella, o którym głoszono, że jest najbardziej godnym widzenia i podziwu miejscem na kresach.

Wobec tego zasiadł do swych książek i spędzał nad nimi całe godziny, pomimo to, że większość zajęć obozowych spadła na jego barki. Bo choć stary Belmet nie był ani pijakiem, ani też namiętnym graczem, to jednak utrata żony dotknęła go głęboko, a monotonne życie obozowe ciężyło mu bardzo, stopniowo więc wciągnął się do uczęszczania z innymi przewoźnikami do szynków i domów gry w Santa Fé. Clint odczuwał to dotkliwie, ale nie pozostawało mu nic innego, jak tylko zastępować ojca. Sam więc chodził koło koni, rąbał i zwoził drzewo, rozpalał ogień, przyrządzał strawę, co razem z nauką zajmowało tyle czasu, że dnie i tygodnie mijały mu bardzo szybko.

Gdy nadeszła wiosna i drogi obeschły, kapitan Couch i jego towarzysze zawarli kontrakt na przewóz futer, skór bizonich i innych dla firmy Aul and Company.

W czasie gorliwego ładowania tego towaru, co nie było łatwym zadaniem, nadciągnęła z Taos karawana, licząca siedemdziesięciu ludzi, przeważnie starych kresowców. Obie więc karawany połączyły się w jedną, liczącą ogółem stu czterdziestu czterech ludzi, dla odbycia długiej i niebezpiecznej podróży na wschód. Tak bowiem licznemu zastępowi prawie że nie zagrażała napaść.

Długi ten szereg wozów opuścił Santa Fé ostatniego dnia maja. Z początku jechano wolno dla oszczędzenia wołów na najcięższą część drogi.

Ta powolna podróż bez przerw i przygód trwała aż do fortu Union. W forcie tym przyłączono się do karawany rządowej, jadącej do fortu Leavenworth, którą eskortowała cała kompania dragonów. Przewoźnicy nie posiadali się z radości. Nie mogło być mowy o napadzie Indian przy takiej eskorcie!

Gdy dotarto do Council Grove, karawana rządowa skręciła w kierunku fortu Leavenworth, karawana zaś, do której należał Clint, ruszyła dalej do Westport. W ten sposób Clint znów ominął miejsce śmierci i mogiłę matki. Ale miejsce to nie leżało daleko, według pojęć o przestrzeniach na stepach, przez kilka więc dni Clint nie mógł się pozbyć uczucia smutku.

Wreszcie karawana kapitana Coucha dosięgła celu podróży i, wyładowawszy swe towary, pociągnęła wzdłuż rzeki Missouri, aby stanąć obozem dla odpoczynku i odkarmienia swego inwentarza. Zawsze się tym kończyło, gdyż całe tygodnie jazdy wyczerpywały zwierzęta.

Pewnego dnia, gdy Clint łowił ryby w strumieniu, wpadającym do rzeki Missouri, zbliżył się do niego chłopiec mniej więcej w tym samym co on wieku i oświadczył, że wuj jego przyłączył się do przewoźników i zabiera go ze sobą. Przybysz mówił to z widoczną radością. Clint spojrzał na szczupłego, rudego, piegowatego chłopaka wielce oburzony, ale jedynie ze względu na tak fałszywe jego pojęcie o przewoźnictwie przez stepy. Przecież to nie żadna zabawa!

— Nazywam się — ciągnął przybysz przyjaźnie— Tom Sidel i wiem, jak ty się nazywasz. Jesteś Clint Belmet.

— Kto ci to powiedział? — spytał Clint, wyciągając wędkę z wody, boć nie sposób łowić ryby i rozmawiać jednocześnie.

— Twój tatuś. Zna mojego wuja i mówił mu, że cieszy się, iż zabraliśmy się do przewożenia towarów, bo będziesz miał przynajmniej towarzystwo.

Tom wymówił te słowa pokornie, z widocznym pragnieniem pozyskania Clinta.

Clint to odczuł i był skłonny do zaprzyjaźnienia się z przybyszem, choć miał jeszcze pewne wątpliwości co do jego osoby.

— Naturalnie — odparł z miną człowieka dojrzałego — byłoby to dobrze, jeżeli podołasz naszej pracy.

— Jestem silny — westchnął Tom — ale, oczywiście, nie mógłbym jeszcze być przewoźnikiem. Niewielu przecież znajdzie się chłopców trzynastoletnich, którzy by to potrafili.

Jak widać z tego, przybysz przemawiał do Clinta w sposób bardzo pociągający.

— A umiesz strzelać? — spytał Clint.

— Nie mogę się tym pochwalić, może jednak nauczę się od ciebie. Słyszałem o twych polowaniach, wskutek których przezwano cię Buffem i Turkiem. Buff bardziej mi się podoba.

— A jakże z siekierą?

— Wuj powiada, żem do niczego — przyznał się Tom szczerze.

— A będziesz się bał, jeżeli Indianie na nas napadną?

— Czy... czy naprawdę napadają? — wyjąkał chłopiec.

— Naprawdę. I jestem pewien, że napadną podczas następnej naszej jazdy. To też, widzisz, przy każdym noclegu ustawiamy wozy nasze wkoło, jeden tuż przy drugim, pozostawiając tylko otwór dla wpuszczania naszych zwierząt, bo byłoby wielkim ryzykiem pozostawianie zwierząt przez całą noc na pastwisku poza obozem. I mamy zawsze dwudziestu ludzi na straży. Czasem jednak się zdarza, że, pomimo tych środków ostrożności, Indianie podkradają się do nas. Raz tak się podkradli, że gdyby nie ten mój pies, Jack, to byliby nas pozabijali i oskalpowali. Straciłem wówczas... moją matkę.

— Oh! Zabili ją? — krzyknął Tom, przerażony.

— Tak, przestrzelili na wylot. Zawołała, abym biegł po tatusia, który walczył na dworze, i umarła, gdyśmy wrócili.

— Jakże mi żal! Ja też straciłem matkę. Ale nie przez Indian. I tatusia nie mam.

Clint był już pozyskany. Ten Tom Sidel wydawał się wart przyjaźni i ostatecznie nie robił wrażenia zarozumialca i pyszałka, za jakiego Clint wziął go początkowo.

— No, i co byś zrobił, — pytał dalej — gdybyśmy byli napadnięci przez Komanczów albo Kiowów?

— Co ja bym mógł zrobić? Czybym chciał, czy nie chciał, musiałbym wleźć pod jaki wóz lub co innego!

Po tym wyznaniu Clint dopuścił Toma do świątyni swej przyjaźni.

— Skąd pochodzisz? — spytał.

— Do roku zeszłego mieszkałem w Chicago, a następnie pojechałem do mego wuja, do stanu Iowa.

— Więc jesteś mieszczuchem?

— No, tak, ale przecież to nie moja wina.

— A jak ze szkołą?

— Przeszedłem czwartą klasę.

— Fiuu! Więc stoisz o dwa lata wyżej ode mnie. Wiesz, Tom, mam myśl. Ja będę cię uczył powożenia, strzelania, walczenia z Indianami i czynności obozowych, a ty będziesz mi pomagał w naukach. Z historią, geografią, gramatyką to jakoś mi idzie, ale z arytmetyką — ani rusz. A przecież muszę znać choć trochę arytmetykę.

— Zgoda! — zawołał Tom radośnie. — W każdym razie wdzięczność będzie po mojej stronie.

Powróciwszy do obozu, chłopcy natrafili na ważną naradę kapitana Coucha z majorem Mac Laughlinem. Narada toczyła się w namiocie Belmeta. Major tam przybył, aby zawrzeć umowę o dostawę zapasów rządowych do fortu Wise w terytorium Colorado.

— Chętnie podejmę się tego, majorze, — mówił Couch — ale tylko pod eskortą.

— Nie mam na razie żołnierzy pod ręką — odparł major.

— W takim razie przykro mi, ale nie mogę podjąć się tego zadania dzisiaj, gdy Komancze napadają, a Kiowowie znajdują się na ścieżce wojennej.

— Mogę — proponował Mac Laughlin — wysłać później oddział, który dopędzi was w drodze.

— Nie podpiszę kontraktu, dopóki nie dacie mi całej kompanii przy wyruszeniu w drogę.

— A więc dobrze, Couch. Zabierzcie się do ładowania, a ja wynajdę żołnierzy, zanim ruszycie.

Ale nie znalazł ich i przez trzy dni Couch odmawiał ruszenia się z miejsca bez eskorty. Popierali go w tym starzy kresowcy, nowi jednak niedoświadczeni przewoźnicy, chciwi dużego zarobku, chcieli ryzykować. Couch wszakże obstawał uparcie przy swoim. Wreszcie nadjechał z fortu Leavenworth oddział żołnierzy i następnego dnia karawana ruszyła w drogę.

Clint awansował teraz na woźnicę dużego furgonu towarowego. „Szkuner stepowy” stał się już dla niego wspomnieniem przeszłości. Odkrył przy tym, że nie tak już często myśli o matce. Bo też ten wóz osadniczy z budą płócienną, który odsunął się w przeszłość, związany był

ze wspomnieniami o niej. Na wysokim koźle furgonu towarowego Clint miał za towarzysza jedynego innego chłopca w karawanie, Toma Sidela. I niesposób było nie podzielać choć w części dzikiego podniecenia, w jakie wprawiała Toma ta wyprawa, toteż pierwszy dzień podróży minął Clintowi tak szybko, jak godzina, gdy jechał sam jeden. Tom pełen był najrozmaitszych przypuszczeń, a przy tym często wzrok go zawodził. Z każdym dniem bardziej Clint przywiązywał się do tego chłopca.

Karawana, składająca się z osiemdziesięciu furgonów, przekroczyła Mały Arkansas, a następnie rzekę Orzechową i zatrzymała się w forcie Zarah. W ciągu tego przejazdu ukazały się dwie bandy Indian. Pędziły, co koń wyskoczy, dzikie, groźne i barwne, oddalały się wszakże na widok długiego szeregu konnych żołnierzy.

Gdy Tom Sidel ujrzał po raz pierwszy wrogich Indian, uchwycił się rękoma Clinta, a piegi pociemniały na pobladłej jego twarzy. Widok drugiej bandy powitał już mężniej i po tym zasługującym na uznanie zachowaniu się przyjaciela, Clint udzielił mu długiej lekcji o Indianach.

Podróż do fortu Wise trwała sześć tygodni. Stąd żołnierze odjechali zaraz z powrotem do fortu Leavenworth. Wprowadziło to w niemały kłopot Coucha. W forcie zastano gotowe do wysłania towary, ale nie było eskorty. Couch więc ociągał się i zastanawiał, co robić.

Dla Clinta fort Wise podobny był do wszystkich innych fortów stepowych, oprócz fortu Larned. Ale Tomowi wydawał się urzeczywistnieniem jego awanturniczych snów. Clint śmiało oprowadzał go wszędzie i niejednokrotnie uśmiał się kosztem swego towarzysza.

Wieczorem odbył Couch naradę ze swymi ludźmi w sprawie dręczących go kłopotów. Pastwiska dokoła fortu Wise były skąpe i kiepskie. Zwierzęta pociągowe chudły. Trzeba było ruszyć gdzie indziej. Couch więc sądził, że należałoby chyba zabrać się do ładowania ciężkiego transportu, złożonego przeważnie z cennych futer, i podążyć z powrotem do Westport.

— Ha, — rzekł najwytrawniejszy ze stepowców— równe mamy szanse natknięcia się na Indian i nienatknięcia.

— Mac Laughlin — pienił się Couch — spłatał mi brzydkiego figla! Musiał widocznie nakazać swym żołnierzom, aby natychmiast wracali. Jeżeli pozostaniemy tu dłużej, to stracimy połowę naszych zwierząt.

— Jesteście naszym przywódcą — brzmiała zimna odpowiedź każdego z przewoźników. Żaden z nich nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za doradzanie podróży bez eskorty.

Couch wzniósł pięści nad głowę i zaklął.

— Ładujemy i jedziemy!

## Rozdział VI

Szary step, szlak żółty i kręty, wywiadowcy daleko na przodzie, machające ogonami woły, wytężające się konie — oto wszystko, co Clint widział w ciągu pierwszych czterech dni, przewlekłych, monotonnych i niepokojących.

Piątego dnia po południu w stronie południowej spoza widnokręgu wyłoniły się dwa punkciki. Zdarzyło się tak, że Clint pierwszy dojrzał je swym jastrzębim wzrokiem. Punkciki te były w ruchu. Za wysokie na bizony! Konie z jeźdźcami, zbliżające się szybko. Clint okrzykiem zawiadomił o tym przewoźnika, jadącego przed nim, ten zaś następnego i w ten sposób wiadomość dotarła szybko do Coucha i wywiadowców. Nie nakazano postoju, ścieśnił się tylko sznur furgonów.

Jeźdźcy okazali się białymi, pędzącymi na koniach, spotniałych i dyszących ciężko.

— Kto jest waszym przywódcą? — spytał jeden z jeźdźców.

— Ja nim jestem — odparł Couch. — Co za jedni jesteście i czego żądacie?

— Jestem Powell — przedstawił się przybysz śpiesznie — przewodnik karawany emigrantów, zdążających do Teksasu. Karawana składała się z pięćdziesięciu sześciu osób — trzydziestu czterech mężczyzn, czternastu kobiet i ośmiorga dzieci. O samym świcie byliśmy napadnięci przez bandę Indian. Ale spodziewaliśmy się tego, bo już od szeregu dni zauważyliśmy, że podążają za nami. To też zastali nas przygotowanych. Broniliśmy się tak gorąco, że w końcu musieli zaniechać walki. Wówczas dostrzegliśmy waszą karawanę. Wozy nasze ruszyły na przełaj w waszą stronę, a my dwaj ruszyliśmy przodem, aby was spytać, czy zechcecie przystanąć i poczekać na nasze wozy.

— Naturalnie, że przystaniemy. Zapewne ponieśliście straty?

— Pięciu zabitych i kilku rannych. Dokładnie powiedzieć nie mogę.

— To bolesne, niemniej jednak możecie się uważać za diabelnie szczęśliwych, że na tym się skończyło. Lepiej przyłączcie się do nas.

— Dziękujemy, naczelniku. Przyłączymy się chętnie.

— Zatoczyć koło! — krzyknął Couch na przewoźników i wkrótce furgony skręciły, aby utworzyć szyk obronny.

Gdy Clint pomagał przy urządzeniu obozowiska swojej grupy, nadbiegł Tom z szeroko otwartymi oczami i rozwichrzaną, rudą czupryną.

— Buff, czy to prawda? — zawołał podniecony.— Czy rzeczywiście nadjeżdża karawana, która walczyła z Indianami?

— Tak jest, Tom. Nasz stary nie zatrzymałby się dla byle czego. A choć ci dwaj jeźdźcy, którzy przybyli z tą wiadomością, wyglądają na ludzi uczciwych, to jednak, jak widzisz, wywiadowcy nasi stoją na straży na wszelki przypadek, aby nie zaskoczyła nas jaka niespodzianka.

Wprawdzie Clint nie był tak podniecony jak Tom, niemniej wszakże również niespokojny i ciekawy. To też jeden z pierwszych dostrzegł karawanę emigrantów, wyłaniającą się na falującym stepie. Ale minęło jeszcze ze dwie godziny, zanim stanęła w obozie.

Karawana ta liczyła dwadzieścia osiem zupełnie nowych wozów, posiadała dobre konie i kilka jarzm wołów, a należało do niej kilku tęgich, dzielnie wyglądających Teksańczyków.

— Nic dziwnego, — pomyślał Clint, patrząc na nich — że pobili Indian.

Im więcej spotykał Teksańczyków, tym bardziej mu się podobali. Mówiono mu o nich, że jest to rasa ludzi długonogich, jasnowłosych, małomównych, szybko chwytających za rewolwery, ludzi, którzy potrafią być najserdeczniejszymi przyjaciółmi, ale też najstraszniejszymi wrogami.

Couch oczekiwał na ranionych ze swą apteczką podręczną, bandażami, gorącą wodą i nielicznymi instrumentami chirurgicznymi, jakich używał. Posiadał wielką, jak na niefachowca, wprawę w opatrywaniu ran i, jak już poprzednio, przywołał Clinta do pomocy.

— Umyj dobrze ręce i chodź tutaj, ty sowiooki zabijaczu bizonów! — huknął na Clinta, przypatrującego się szeroko otwartymi oczami ludziom, wynoszącym rannych z jednego z wozów.

Tom wytrzymał na miejscu, choć widocznie wzruszał go widok pobladłych twarzy i zakrwawionych bandaży; gdy wszakże z wozu wyniesiono małą dziewczynkę z zamkniętymi oczami, uciekł.

Dziewczynka miała nogę przebitą strzałą powyżej kolana. Dwaj mężczyźni, jeden młody, drugi starszy, byli też ranni od strzał. Rany ich jednak nie przedstawiały się poważnie i obaj żartowali. U trzeciego, nieprzytomnego, widniała rana od kuli w okolicach żołądka. Couch przewrócił go, aby się przekonać, którędy kula wyszła, po czym potrząsnął głową, jakby dając do zrozumienia, że tu już nic nie poradzi.

Dziewczynka otworzyła oczy i uśmiechnęła się blado. Nie była przestraszona.

— Czy bardzo boli, malutka? — spytał Couch, odwijając wielkimi, zwinnymi rękami krwawe szmaty.

— Teraz nie. Czy ja umrę, panie? — szepnęła.

— Umrzeć? Gdzież tam? — odparł Couch serdecznym głosem. — Nie jesteś, dziecino, poważnie ranna. Ot, małe przecięcie.

— Panie, — odezwał się mężczyzna, który wyniósł dziewczynkę z wozu, widocznie jej ojciec — nie mogliśmy krwi zatamować.

Wzrok tego człowieka wzruszył Clinta. Co za męczarnie przenosili ci pionierzy! Clint zastanawiał się, czy pomyśleli przed ruszeniem w drogę, co ich może spotkać na stepach? Może i pomyśleli, ale nic nie powstrzyma pionierów.

— To lekka rana — orzekł Couch z zadowoleniem. — Arteria nie nadwerężona. Dziecko jest osłabione i cierpiące, ale niebezpieczeństwa nie ma żadnego.

Ojciec wybełkotał słowa podziękowania bez związku. Po opatrunku ułożono dziewczynkę zboku na kocach. Otworzyła oczy, uśmiechnęła się do Clinta i oświadczyła, że opatrunek nie bardzo ją bolał. Przypomniała Clintowi May Bell i znów ścisnęło mu się serce. Gdzie jest teraz mała May i co się z nią stało?

Gdy Couch skończył opatrywać obu ludzi z ranami od strzał, trzeci z brzydką raną od kuli w brzuchu dokonał życia. Teksańczycy pochowali sześciu swoich zabitych, po czym na wspólną ich mogiłę potoczyli pnie dwu ściętych topoli.

Następnego dnia obie karawany ruszyły w drogę i jechały razem aż do brodu na rzece Cimmaron. Tam Teksańczycy wypytali się, gdzie można znaleźć wodę na Suchym szlaku, wiodącym na przełaj przez stepy, na przestrzeni dziewięćdziesięciu dziewięciu mil i, pomimo odradzań Coucha, puścili się sami w dalszą podróż do Teksasu.

Clint żegnał się skinieniami ręki z dziećmi, z którymi się zaprzyjaźnił, dopóki wozy nie skryły się za wzgórzem.

Tom Sidel machał ręką razem z Clintem, nie mniej od niego wzruszony, po czym rzekł czule:

— Buff, nie chce mi się nawet myśleć o tym, abyś ty mógł pójść w jedną stronę, a ja w drugą.

* * *

Karawanie Coucha sprzyjało w dalszym ciągu szczęście w tej podróży na wschód. W forcie Larned zjechano się z inną karawaną, złożoną z sześćdziesięciu pięciu furgonów towarowych, dążącą z fortu Union także do Westport. Jechano więc już razem i skończono podróż pod koniec lata, a następnie udano się na leże zimowe do obozu nad rzeką Missouri, niedaleko od Westport.

Clint i Tom uczęszczali przez pięć miesięcy do szkoły. Była to przerwa szczęśliwa dla obu chłopców. Mieli jedzenia w bród, ciepłe ubrania, a poza godzinami szkolnymi używali polowania z Jackiem na króliki. Niemniej Clint odczuwał tu brak matki więcej, niż na szlaku. Może wygody, czas wolny i szkoła przyczyniły się do tego.

W ciągu zimy wyrósł i zmężniał bardzo.

Couch mawiał do Belmeta:

— Zobaczysz, że Buff wyrośnie na siłacza.

I tak toczył się miesiąc za miesiącem, jak toczą się koła karawany, sunącej wolno latem przez stepy. W połowie maja kapitan Couch przyjął znów od firmy Aul and Company ładunek towarów dla wszystkich posterunków handlowych w poprzek lądu. Był to ładunek duży i cenny. Ponieważ zaś krążyły wieści, że Komancze i Kiowowie stali się napastliwsi, niż kiedykolwiek przedtem, zapewnił więc sobie oddział, złożony z dziewięćdziesięciu pięciu żołnierzy pod dowództwem kapitana Stevensona i rozpoczęła się długa wędrówka.

Z początkiem czerwca karawana znalazła się na starym szlaku, wiodącym do Santa Fé.

W Big Timbers znaleziono ślady, że duża banda Kiowów obozowała zimą w tym ulubionym miejscu. Nie stanowiło to przyjemnej zapowiedzi. Dzicy ci musieli się wałęsać gdzieś w pobliżu.

Ale poranki jaśniały słoneczne i przyjemne, step falował w dal bez końca, długie mile przewijały się pod kołami wozów, zachody słońca słały złoto na trawy stepowe, mijały noce chłodne, jasne, gwiaździste i nie widziano ani jednego Indianina w ciągu całej, długiej podróży do fortu Larned.

Z fortu tego żołnierze wrócili do fortu Leavenworth, a Couch postanowił czekać na karawanę, dążącą z fortu Aubry do Santa Fé. Z powodu braku żołnierzy przy wzmagającym się ruchu karawan towarowych i osadniczych stawało się konieczne, aby, o ile można, karawany wspierały się nawzajem. Couch tedy czekał na karawanę z Aubry, ale karawana tak długo nie nadchodziła, że zaczęły już krążyć o niej złe pogłoski.

W końcu wszakże nadciągnęła z najliczniejszym i najtęższym zespołem przewoźników, jakie Clint oglądał dotychczas. Stu pięciu ludzi, a każdy z nich doświadczony pogromca Indian. Karawanie tej przewodził były sierżant artylerii podczas inwazji teksaskiej w 1846 roku, niejaki Jim Waters. Clint spoglądał z zachwytem na tego długowłosego, starego stepowca.

Waters posiadał w swej karawanie działo. Działo to było czynne w niejednym już starciu z Indianami, a rozgłos jego sławy ciągnął się od Missouri do Pecos. Dla Clinta i Toma pierwszą rzeczą było przyjrzeć się temu działu. Połyskiwało jak koperta zegarka i obu chłopców ogarnęła gorączka, ale zarazem i obawa, ujrzenia, jak wypali.

Couch przyłączył się do Watersa. W ten sposób powstała karawana, licząca stu siedemdziesięciu dziewięciu uzbrojonych ludzi, co razem z działem stanowiło poważną siłę.

Z ust do ust powtarzano sobie słowa, wyrzeczone przez Jima Watersa do Coucha:

— Satock czyha na nas. Wiecie wszyscy, co to oznacza.

Satock był głośnym wodzem Kiowów, który niepokoił kresy zachodnie od 1855 do 1863 r. Lato tego 1858 r. było widownią jego wzmożonej działalności. Po całej krainie, od fortu Union do Santa Fé i poza rzeką Vermigo, krzyżowały się krwawe szlaki Satocka. Zdarzały się tu rekordowe napady na eskortowane karawany osadnicze i ważne karawany towarowe, a niejedna gromadka śmiałych pionierów znikała bez śladu i nigdy już o niej nic nie słyszano. Kiowowie Satocka i Apacze wyrżnęli wielu z tych awanturników. Za szczęśliwą mogła się uważać karawana, która przebyła teren działalności Satocka bez walki.

Trzeciego dnia podróży z fortu Union w południe ukazała się z poza wzgórza liczna banda konnych Kiowów nie dalej, jak o milę.

— Zatoczyć półkole! — huknął Waters i ostry ten rozkaz wnet wykonano.

Furgon Clinta znajdował się obok furgonu ojcowskiego, niemal pośrodku półkola. Tom siedział na koźle obok Clinta. Konie i woły skierowano wewnątrz półkola. Działo, nabite siekańcami, wysunięto naprzód, gotowe do strzału. Kanonier, Bill Hoyle, doświadczony żołnierz,

stał przy nim milczący z lontem w ręce, za działem zaś stanęli Waters, Couch i inni. Sto siedemdziesiąt dziewięć karabinów, nie licząc strzelb Clinta i Toma, trzymano w pogotowiu.

— A więc, chłopcy, — rzekł Waters twardym głosem — mamy, jak przewidziałem, przed sobą Satocka. Możecie mi wierzyć, że znam tego starego!

Zdaniem Clinta, Indian było ponad stu, może nawet znacznie więcej, jechali bowiem zwartą masą, nadzy i czerwoni, z piórami powiewającymi na głowach, z bronią połyskującą, a dzikie ich twarze jaśniały w słońcu.

— Chłopcy — rzekł Waters — oni chcą z nami pogadać! Naturalnie, to jest podstęp, aby się dowiedzieć, jak jesteśmy obładowani. Ale teraz nie ma obawy ataku.

Słowa te sprawiły Clintowi ulgę, a parsknięcie, prawie zachłyśnięcie się Toma było bardzo wymowne. Clint rzucił szybko okiem na towarzysza i nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Banda Kiowów zatrzymała się w odległości około sześćdziesięciu jardów, tuż przed odległością, na jaką Waters postanowił ich dopuścić. Wówczas wysunęło się naprzód czterech jeźdźców. Przywódcą ich był wysmukły, muskularny Indianin, nagi, oprócz mokasynów na stopach i przepaski na biodrach. W poprzek siodła trzymał karabin. Koń jego, kosmaty i ognisty mustang, odpowiadał dzikością swemu panu.

Czwórka ta podjechała na trzydzieści kroków, po czym stanęła. Clint dojrzał smagławe rysy dzikiego wodza — twarz ciemną, przebiegłą, złą, napiętnowaną strasznymi czynami. Jeżeli kiedykolwiek wódz ten był szlachetnym czerwonoskórym, to czas ten dawno minął. Nienawiść do białych tchnęła mu z każdego rysu. Podniósł rękę wspaniałym gestem.

— Ja — Satock — obwieścił.

— Z pewnością. Spostrzegliśmy was pierwsi — odparł Waters z gryzącym humorem.

— My przyjaciele białych ludzi.

— Jeżeli jesteście przyjaciółmi, pozwólcie nam odjechać.

— Potrzebujemy jedzenia.

— Nie możemy, Satock, zatrzymywać się tutaj, aby karmić was, Indian. Musimy jechać dalej — odparł Waters niecierpliwie.

Satock zsunął się ze swego mustanga. Zwinny był jak węgorz. Znów podniósł rękę i oddał karabin jednemu ze swych towarzyszy. Posunął się naprzód bez najmniejszego wahania, a połyskujące, palące, ponure jego oczy ogarnęły spojrzeniem działo i czuwających przy nim ludzi.

— Ja Satock. Ja wielki wódz. Ja dobry przyjaciel. Ja potrzebuję cukru.

— Dajcie mu trochę cukru — rozkazał Waters.

Couch podszedł do najbliższego furgonu z zapasami żywności i, po chwilowym grzebaniu wśród pak przy pomocy woźnicy, wrócił z woreczkiem cukru, który położył na wyciągniętej dłoni Indianina. Satock nie uśmiechnął się, ani też nie podziękował za cukier. Wprost porwał go.

— Ja potrzebuję kawy — rzekł głębokim, gardłowymi głosem.

Na zawołanie Coucha woźnica przyniósł woreczek kawy, który również doręczono dzikiemu.

— Ja potrzebuję tytoniu — znów odezwał się Satock tym samym, co poprzednio, głosem.

I to doręczono wodzowi Kiowów, który przyjął i tytoń tak, jakby mu się należał.

— To już wszystko, Satock — rzekł Waters głosem już wcale nie ugodowym. — Siadaj na konia i odjeżdżaj.

Satock powrócił do swego konia. Warto było widzieć, jak jednym, zwinnym ruchem wsiadł na niego, nie wypuszczając z ręki woreczków z kawą, cukrem i tytuniem. Wziął następnie karabin z ręki tego, któremu go powierzył, wciąż trzymając woreczki, co w najmniejszym stopniu nie uwłaczało jego dzikiemu dostojeństwu.

Czwórka powróciła do swej bandy, po czym, trzymając się wciąż w tej samej odległości, cała banda objechała dokoła karawanę.

Rozgniewany Couch i inni kresowcy nie mogli się powstrzymać od przekleństw, ale Waters milczał, dopóki Satock i jego wojownicy nie znikli za wzgórzem falującej trawy.

— Ten łotr przeklęty — oświadczył wówczas Waters — coś knuje. Pojedziemy nad Pecos. Niech każdy z was, chłopcy, ma się na baczności.

Około godziny czwartej po południu karawana stanęła obozem nad rzeką Pecos. Utworzono wśród równiny jak najmniejsze koło z furgonów, ustawionych tuż jeden obok drugiego. Wszyscy pracowali. Z nad brzegu rzeki przyniesiono znaczną ilość drzewa na ogniska. Konie i woły puszczono pod strażą na paszę i przed nastaniem ciemności spędzono je do koła furgonów. Przy licznych jasnych ogniskach gotowano strawę, a po wieczerzy rozpalono pośrodku wielkie ognisko obozowe, dokoła którego stanęła, rozsiadła się lub legła większość przewoźników.

Clint słyszał, jak Jim Waters mówił:

— Zobaczymy jeszcze Satocka. Ręczę, że moglibyście o to zagrać i wygrać. Przebywam na kresach od lat dwudziestu. Nie brak czerwonych diabłów w każdym ze szczepów tych Indian. Ale Satock prześcignął ich wszystkich. Jest podły, jak...! Musimy postawić podwójne straże. Jak tam, Couch, twoi ludzie?

— Ty tu rozkazujesz, Jim. Ja odpowiadam za mych ludzi, że posłuchają twych rozkazów i spełnią swój obowiązek.

— All right, kapitanie — rzekł na to Waters, spoglądając na zegarek. — Pójdziesz na pierwszą straż, z czterdziestu ludźmi. Niechaj Bill Hoyle zastąpi ciebie po trzech godzinach. Ja zastąpię Billa o godzinie drugiej. I tak doczekamy się brzasku. Nie jestem puszczykiem, ale znam tych Kiowów. Nie wolno nam przeoczyć ani minuty, inaczej bowiem nigdy nie dotrzemy do Santa Fé ze skalpami na głowach.

Stary Belmet znajdował się wśród przewoźników, wybranych do pierwszej straży.

Clint pozostał przy ojcu, siedząc przy wielkim ognisku, czuwając, nasłuchując i trzymając blisko siebie Jacka.

O północy przybył Hoyle ze swymi ludźmi. Clint poszedł spać ze swym ojcem. Szybko zasnęli, ale wkrótce Clint obudził się pod wpływem dziwnego uczucia. Wyciągnął rękę, aby położyć ją na Jacku. Ale Jacka nie

było. Usiadł więc na posłaniu. A że posłanie znajdowało się pod golem niebem i noc była jasna, mógł obejrzeć się dokoła. Jack zniknął!

Clint potrząsnął ojca.

— Tato, — szepnął — boję się, że dzieje się coś złego.

— Dlaczego tak przypuszczasz? — spytał Belmet niespokojnie.

— Nie ma Jacka. Pójdę go poszukać.

— Nie wychodź poza furgony.

Clint począł szukać Jacka pomiędzy namiotami i posłaniami, a następnie dokoła ogniska. Ale nikt z ludzi, będących na straży, nie widział psa.

— Panie Waters, — rzekł Clint poważnie do kresowca — mój pies nie opuściłby mnie bez powodu. Coś się dzieje złego. Jack poczuje Indian o milę.

— To dobrze, chłopcze. Tym czujniejsi będziemy. Wracaj na posłanie i staraj się usnąć.

Ale Clint nie posłuchał tej dobrej rady. Chciał znaleźć Jacka. Wiedział, że pies nie opuszcza go nigdy, nie poczuwszy, iż coś grozi. Był pewien, że tak jest właśnie i teraz. Szukał więc dalej. Nie znalazłszy go wśród koni i wołów, wrócił do swego furgonu i poczołgał się pod nim na zewnątrz. Księżyc świecił jasno. Znalazłszy się w trawie stepowej, Clint zawołał na Jacka i gwizdnął cicho. Coś poruszyło się w trawie. Clint padł, przerażony, plackiem na ziemię. Nagle usłyszał skowyczenie. Był to Jack. Clint usiadł i pogłaskał psa. Sierść Jacka najeżyła się i pies warczał.

Gdy Clint poczołgał się z powrotem pod swój furgon, ktoś dotknął pleców jego kolbą.

— Ach, to nasz chłopiec ze swym psem, naczelniku.

Waters zgromił surowo Clinta za wystawianie się na niebezpieczeństwo.

— Poszukiwałem Jacka — tłumaczył się Clint. — Był tam, poza furgonami, warcząc. Panie Waters, powiadam panu, że Jack zwęszył Indian.

— Couch! — zawołał Waters. — Niech mnie diabli... jeżeli nie ma prawdy w tym, co mówi ten chłopiec. Słuchaj, jak ten pies warczy!... Niech to będzie dla nas wskazówką w każdym razie.

Po tych słowach Waters zwołał wszystkich ludzi. Ognisko zgaszono i cała karawana stanęła na straży. Większość przewoźników uzbrojona była w karabiny rewolwerowe Colta, nową broń, z której można było dać siedem strzałów w ciągu dwu minut.

— Chłopcy — rzekł Waters — jeżeli dojdzie do strzelania, to nie marnujcie amunicji. Niech każdy strzał sięgnie celu. Jeżeli Satock i jego czerwonoskórzy zetrą się z nami, to albo my, albo oni. I bardzo mi się zdaje, że to będą oni. A teraz rozejdźcie się i czuwajcie.

Clint ruszył z ojcem i legli pod swym furgonem. Chłopiec uwiązał psa na sznurku. Nagle Jack zerwał się i, ciągnąc za sznur, zawarczał.

— Tato — szepnął Clint — podchodzą na pewno. Jack to wie.

Belmet powstał i poszedł zawiadomić o tym Watersa. Waters wspiął się na oś koła jednego z furgonów i spojrzał na step przez szkła polowe. Jasne światło księżyca zrobiło prawie dzień z nocy.

— Istotnie, Indianie nadchodzą — oświadczył po chwili Waters. — Dobry pies!... Couch, wejdź na oś i spojrzyj.

Couch zajął miejsce Watersa na kole, a popatrzywszy przez szkła, zwrócił się ku dowódcy i rzekł:

— Około dwustu, mniej lub więcej. Idą cicho, ale swobodnie, pewni, że nas zaskoczą znienacka.

— A no — odparł Waters — to ich spotka niespodzianka. Couch, poślij jednego z ludzi w tę stronę, a drugiego w tamtą. Niech powiedzą wszystkim, aby oczekiwali lada chwila ataku, ale leżeli spokojnie i nie strzelali, dopóki nie krzyknę.

— A co z działem? — spytał Couch.

— Hoyle nim rozporządza i wypali z niego tylko w razie wdarcia się czerwonoskórych do koła... Popatrz jeszcze przez szkła. Szczęście, że księżyc świeci.

Po chwili Clint, podniósłszy głowę, nie ujrzał już ani jednego człowieka, oprócz leżącego przy sobie ojca. Wszyscy ukryli się pod furgonami i czuwali.

Niebawem ukazało się kilku Indian, podchodzących ostrożnie do karawany. Widocznie ruszyli na zwiady, aby się przekonać, czy nadarza się sposobność do ataku. Wkrótce znikli tak cicho, jak przyszli.

Po ich odejściu każda chwila wzmagała w Clincie napięcie niepokoju, oczekiwania i strachu. Z trudnością przy tym zmusił Jacka, aby zachowywał się spokojnie.

A oczekiwanie trwało długo. Snadź Kiowowie się nie śpieszyli. W jarze rzeki zahukała sowa. Może to był sygnał. Następnie rozległ się świst nocnego jastrzębia. Niewątpliwie każdy z czuwających usłyszał ten głos samotny, przerywający ciszę. Zaraz potem Clint ujrzał szereg Indian, podnoszących się w trawie. Skuleni, szli z wolna, w porządku.

Clint leżał zdrętwiały i zimny u koła furgonu, oparłszy lufę swego karabinu o szprychę. Dłonie pokrył mu lepki pot. Dosłyszał, że ojciec szepce mu coś, ale co, nie mógł zrozumieć. Indianie podchodzili coraz bliżej. Połyskiwali w księżycowym świetle. Co chwila Clint spodziewał się usłyszeć ich piekielny krzyk, towarzyszący atakowi. Ale zamiast tego krzyku, ciszę rozdarł stentorowy głos Watersa:

— Ognia!

Sto siedemdziesiąt dziewięć strzałów huknęło jak jeden.

Clint wszakże zapomniał i wycelować, i strzelić.

## Rozdział VII

Po tej salwie biali nastawili ponownie swe karabiny do strzału, przygotowując się do drugiej. Nie rozległ się jednak już, ścinający krew w żyłach, okrzyk! Nie było widać pędzących ku obozowi zwinnych postaci dzikich, ozdobionych piórami! Gdy się rozwiał dym sprzed oczu obrońców karawany, można było dostrzec w świetle księżyca szybko znikające, podobne cieniom kształty. Znikły, nie wystrzeliwszy ani razu ze strzelb lub łuków.

Przewoźnicy wypełzli z pod furgonów i gromada ich otoczyła Watersa i Coucha.

Oszołomiony Clint z bijącym sercem podążył ku niej za swym ojcem.

— Cha, cha! — śmiał się Waters. — Nie potrzebowaliśmy nawet naszego działa!

— Co o tym sądzisz, Jim? — spytał Couch, bardziej zaniepokojony, niż uradowany.

— Dostało się Kiowom! Spotkała ich niespodzianka taka, jak jeszcze nigdy. Czmychali jak kojoty.

— A może — zauważył stary kresowiec — ukryli się gdzie w trawie?

— Nie bardzo! Ci, którzy pozostali na placu, to już dobrzy Indianie... Chłopcy, utwórzcie szereg i poszukajcie zabitych. W każdym razie nie oddalajcie się zanadto.

Przeszukano pas trawy szerokości stu kroków na całej linii strzału, nie znaleziono jednak ani jednego Indianina zabitego, albo ranionego.

— Zabrali z sobą — odezwał się Couch — swoich zabitych i pokiereszowanych. Indianie zawsze to robią.

— Masz tobie! — huknął Waters. — Byłbym się założył, że padnie ich stu siedemdziesięciu dziewięciu.

— I bylibyście — wtrącił stary kresowiec — przegrali zakład. Strzelanie przy księżycu jest diablo zawodne. Przedmioty wydają się bliskie i wyraźne, gdy tymczasem tak nie jest.

— Niby tak. Ale w każdym razie musieliśmy naszpikować ich sporo — upierał się Waters. — A teraz, chłopcy, rozpalcie kilka ognisk. Trzeba czuwać aż do świtu.

Drżąc przy ognisku, rozpalonym przez ojca, Clint otrzeźwiał. Zdawał sobie sprawę, że powraca właśnie do siebie po ataku panicznego strachu. A gdy doszedł do zrozumienia tego, nagle ogarnął go wstyd. Zdawało mu się, że nawet Jack spogląda na niego z ukosa. A Clint był niezmiernie

dumny ze swego psa. Czy Waters nie powiedział przed chwilą, przechodząc około ogniska: „Clint, ten twój pies ocalił nasze skalpy"?

Gdy Clint tak siedział przed ogniem, przygrzewając sobie golenie, któż się ukazał, jeżeli nie Tom Sidel ze strzelbą w ręce, kroczący tak dumnie, jak Clint z pewnością jeszcze nigdy nie widział.

— Halo, Buff! Szukałem cię wszędzie. No, powiedz, czy to nie było wspaniałe? — zawołał i, opuściwszy kolbę strzelby na ziemię, stanął tak, jak zwykli stawać myśliwi w chwilach odpoczynku.

— W czymże dostrzegłeś taką wspaniałość? — spytał Clint, oszołomiony.

— No, w tym podkradaniu się Indian do nas!

— Hm, ja tam czułem zupełnie co innego.

— No, a to zmuszenie ich z miejsca do ucieczki? Słyszałem, jak stary mówił, że nigdy jeszcze nie widział wśród nich takiego popłochu.

— Mieliśmy tylko szczęście — odparł Clint pesymistycznie.

— Nie, Buff, to nie było tylko szczęście.

— Słuchaj, Tom. Gdyby nie mój pies, Jack, to okrwawiony twój skalp wisiałby już w tej chwili u siodła jednego z Kiowów.

— Nie jestem znów tego tak pewien — odparł Tom, nie rozumiejąc zazdrości, jaką duma jego wywoływała w sercu chłopca, którego uwielbiał, i nie dając się odstraszyć jego złym humorem.

— Buff — rzekł szeptem gorączkowym, nachylając się ku niemu — założyłbym się, żeś naszpikował przynajmniej jednego.

— Naszpikował? Kogo?

— No, jednego z tych przeklętych Kiowów. Może nawet samego Satocka. Bo ty masz szczęście. I stałbyś się wówczas jeszcze sławniejszy.

— Ja, sławny?... Co też wygadujesz? — wybuchnął Clint. Niemniej jednak niewzruszona wiara Toma w swe bóstwo zaczynała oddziaływać na zły humor Clinta.

— Założę się, że będziesz sławny, jeżeli nie jutro, to w każdym razie niedługo... Pewien jestem, żeś powalił którego z Kiowów. Nieprawdaż, Buff?

— A ja ci powiem otwarcie, że nie powaliłem!

— Ach, gadanie! Założę się, żeś powalił. A wiesz, wuj John powiada, żem trafił w jednego. To samo powiada przewoźnik, który obok mnie leżał.

— Co? — wykrztusił Clint, zdumiony.

— Tak, Buff — odparł Tom głosem uroczystym — zdaje mi się, żem utłukł pierwszego mego czerwonoskórego. A było to tak. Przed naszym furgonem w niewielkiej odległości widniała gęsta trawa. Miałem lufę strzelby opartą o szprychę koła, gotową do strzału, z palcem na cynglu, gdy nagle z trawy wyłonili się Indianie wprost przed nami jak duchy. Jeden z nich znalazł się naprzeciwko mej lufy. W tejże chwili rozległ się okrzyk pana Watersa. Pociągnąłem za cyngiel, zanim zdołał to uczynić ktokolwiek w naszym szeregu. Nie widziałem już, co się potem stało, ale wuj mój i Jackson widzieli, że mój czerwonoskóry runął, jak powalony pięścią.

— Podaj mi rękę! — zawołał Clint, wzruszony. — I nie bałeś się?

— Kto to mówi? Czy się bałem? W takim byłem strachu, że mi zęby szczękały, ślina szła do ust, a gardło się tak ścisnęło, że nie mogłem jej przełknąć. Całe ciało moje zdawało mi się zimniejsze od lodu, a głęboko we mnie działo się coś tak okropnego, jak jeszcze nie pamiętam.

Pod wpływem tego szczerego wyznania Clint zmężniał. Uczuł, że nagle opada mu z serca coś bolesnego.

— Tom — szepnął, — to, coś powiedział, i ja odczułem, tylko daleko gorzej... Nie mogłem strzelić. Zapomniałem, że mam strzelbę w rękach.

— Już ty mi takich rzeczy nie opowiadaj, abym miał się z czego chwalić! — zawołał wierny Tom.

* * *

O świcie Jim Waters spytał, kto pójdzie na ochotnika po tropie Indian. Zgłosili się wszyscy przewoźnicy. Waters wybrał pięćdziesięciu.

— Pożycz mi swego psa — rzekł do Clinta.

— Jack nie pójdzie po tropie beze mnie — odparł Clint szybko.

— A więc dobrze. Chodź z nami i weź psa na postronek.

Ślady Indian wiodły nad rzekę, tam zaś znaleziono liczne miejsca, w których przeprawiali się przez rzekę. Couch wskazał na piasku ślady wleczenia czegoś ciężkiego. Następnie Waters dostrzegł krew na liściach. Przekroczono płytką tu rzekę i ruszono dalej śladami, wiodącymi do topolowego gaju. Tutaj Jack pędził tak szybko po tropie, że ciągnął za sobą Clinta. Wobec tego Waters pochwycił postronek z rąk chłopca.

Po chwili dotarto do polany, na której Indianie pozostawili swe konie, idąc do ataku na karawanę. Na całej polanie widniały ślady kopyt i nawóz koński, a na młodych drzewkach — białe plamy w miejscach, gdzie konie świeżo ogryzły korę. Z polany tej ślady koni wiodły w step, w kierunku północnym.

— Wąwóz Raton — oświadczył Waters. — Będziemy mieli przyjemność spotkania się znów ze starym Satockiem.

Przewoźnicy pośpieszyli z powrotem do obozu, gdzie czekało na nich śniadanie, a wkrótce potem karawana ruszyła w drogę. Posuwano się naprzód do wczesnego popołudnia. Po czym Waters wybrał najlepsze miejsce, jakie się nadarzało, dla odparcia ponownej napaści Indian, której najwidoczniej oczekiwał.

Czterdziestu ludzi wysłano do pilnowania koni i wołów na pastwisku, a dziesięciu wywiadowców wyjechało konno na zwiady. Około zachodu słońca kilku z tych, którzy ruszyli w kierunku północnym, przypędziło z wiadomością, oczekiwaną przez wszystkich.

— Indianie nadciągają! — wołali.

— Hej, ho! — wesołe jest przewoźnika życie! — zanucił jakiś żartowniś.

— I dość czynne, jeżeli chcesz wiedzieć moje zdanie — dodał inny.

— Chłopcy, wyprowadzić działo! — krzyknął Waters. — Hoyle, miej proch i siekańce w pogotowiu! Każdy na swoje miejsce! Jeżeli to banda Kiowów, damy najpierw do nich ognia, a potem dopiero poczęstujemy tytoniem.

Okazało się jednak, że nadjeżdżająca gromada to oddział jazdy, złożony z osiemdziesięciu pięciu szeregowców, pod dowództwem kapitana Grahama, wysłany z fortu Wise, w Colorado, do Santa Fé.

Clint znalazł się w pobliżu Coucha i Watersa, mógł więc słyszeć, jak witali się z dowódcą jazdy.

— Jak się masz, Jim — rzekł kapitan, czerstwy, krępy stary żołnierz. — Wzięliśmy was za Indian.

— Możemy — zaśmiał się Waters — odpowiedzieć ci, kapitanie, takim samym komplementem!

Przy tych słowach wskazał na gotowe do strzału działo.

— Kapitanie, — raportował Couch — nocy ubiegłej, przy świetle księżyca, byliśmy napadnięci przez Kiowów. Odpędziliśmy ich tak szybko, że nie zdążyli nawet wystrzelić. Spodziewaliśmy się jednak drugiej ich napaści w ciągu dnia dzisiejszego, a z pewnością już w nocy.

— A więc na to waszą karawanę napadł Satock — rzekł kapitan Graham. — Mieliście szczęście. — Dziś minęliśmy jego bandę. Liczyła około stu dwudziestu jeźdźców. Wiodła też sporo rannych i w ogóle wyglądała marnie. Minęła nas i skierowała się na północ, w kierunku Raton. Zmiarkowaliśmy, oczywiście, że znów dopuściła się jakiegoś diabelskiego czynu, zawróciliśmy więc w kierunku, skąd przyszła. Znaleźliśmy świeżo skopany grunt, przywalony mnóstwem kamieni. Musieli tam pochować znaczną liczbę zabitych. Wnoszę stąd, że zadaliście Satockowi dotkliwy cios i przypuszczam, że nieprędko znów zaczepi waszą karawanę.

— To dobrze. A teraz, kapitanie, i ty, i twoi żołnierze, zejdźcie z koni i powieczerzajcie z nami.

— Niechaj tak będzie — odparł kapitan Graham. — Rozłożymy się tu obozem i ruszymy z wami do Santa Fé.

Dobra ta nowina, dodana do szczęśliwego dotychczas przebiegu podróży karawany, wprawiła w doskonały humor przewoźników. Przyrządzili obfitą wieczerzę dla jazdy Grahama, po czym żołnierze i przewoźnicy zasiedli dokoła ognisk dla przyjemnego spędzenia wieczoru — zjawiska tak bardzo niezwykłego na szlaku stepowym.

Kapitan Graham spędził długie lata na stepach, najpierw uczestnicząc w wyprawach przeciwko Indianom, następnie przeprowadzając w 1849 r. liczne karawany poszukiwaczów złota do Kalifornii, gdzie odkryto wówczas tak bogate złoża cennego kruszcu, wreszcie, spełniając te same obowiązki wojskowe przy transportach towarów.

— Nie widzę, — zauważył — aby stosunki na stepach były lepsze dzisiaj, niż przed laty. Zwiększa się rozgoryczenie Indian. Arapahowie, Pawnisowie, Komancze, Kiowowie — wszystkie te szczepy południa stają się coraz bardziej wrogo usposobione względem białych. Ale jeżeli zastanowić się nad przyczynami tego, to nie można Indian potępiać. Bo, ogółem biorąc, to najście białych na Zachód jest rozmyślną kradzieżą. Przyjdzie czas, i to niedługo, jak sądzę, gdy Indianie będą doprowadzeni do rozpaczy. Pewnego dnia Siuksowie staną się tak źli jak Apacze. Ci starzy wodzowie indiańscy, jak Biały Wilk, to ludzie doświadczeni. Widzą grożące Indianom niebezpieczeństwo. Zaufali białemu człowiekowi ku

własnemu rozczarowaniu. I gdyby ci doświadczeni, starzy wodzowie połączyli swe szczepy, to byłoby potrzeba całej armii, aby uczynić Zachód bezpiecznym. Ale niektóre z tych szczepów nienawidzą się już od stuleci i niełatwo je pogodzić. W tym nadzieja białych.

— Hm, — odparł Waters, puszczając dym z fajki — przyznaję ci słuszność, kapitanie, wyłączając chyba to, że nie potępiasz Indian. Widzisz, noszę w biodrze kawał ołowiu, wpakowany mi przez czerwonoskórego, i to bynajmniej nie usposabia mnie względem nich dobrze. Dla mnie tam Indianie to tylko robactwo.

— Słuchaj, Waters — zawołał kawalerzysta. — Nie zapatrujesz się na tę sprawę z szerszego punktu widzenia! Bo gdybyś siedział w domu na swoim kawałku ziemi, zamiast jeździć z działem po krainie czerwonoskórych, to nie nosiłbyś w sobie tej kuli i zgryźliwego usposobienia. Większość kresowców jest podobna do ciebie. Ale weź takiego człowieka, jak pułkownik Maxwell. On nie ma nieprzyjaciół wśród Indian. Traktuje każdego czerwonoskórego na równi z białym człowiekiem. Dla Indian — mówił mi, gdym był u niego — widok tych długich szeregów furgonów, uwożących na wschód futra i skóry bizonów, stanowi zapowiedź tego, co ich czeka. Nadejdzie taki dzień, że biali zaczną wybijać bizony gromadnie. Wywoła to wojnę powszechną czerwonoskórych z białymi. Wszak Indianin żyje z bizona i wie o tym.

— Ale tymczasem dla nas — zauważył Waters — istnieje tylko przewóz towarów i walka z Indianami.

— To nasz chleb powszedni — dodał Couch.

— I nie powiem, — rzekł na to, śmiejąc się, kapitan Graham — aby był monotonny, choć jecie go codziennie. Wędrówki i walki! Oto wszystko, co widzimy na tych wielkich równinach dzisiaj i co widzieć na nich będziemy jeszcze przez czas dłuższy.

— A pewnego dnia — oświadczył Couch zamyślony — powstaną na tych wielkich równinach rozległe farmy. Bo ziemia na całej tej powierzchni jest urodzajna. I wszędzie znajdują się cudowne pastwiska. I wszędzie pod dostatkiem wody. Z pewnością miliony ludzi mogą tu żyć w dobrobycie.

— Tak jest, — zakończył kapitan — ale dopiero wówczas, gdy Indianie i bizony zanikną. I wyznam, że co do mnie osobiście, to z przykrością myślę o ich zaniku, choć wiem, że zaniknąć muszą, gdy fala postępu posunie się na Zachód.

Clint Belmet, który przez cały ten czas siedział przy tym samym ognisku, zapatrzony i zasłuchany, doszedł do wniosku, układając się zamyślony do snu, że podziwia i pokochał kapitana Grahama bardziej, niż kogokolwiek z ludzi, spotkanych na kresach, oprócz chyba Kita Carsona.

— Tato — odezwał się do ojca. — Czy zgadzasz się z tym, co mówił kapitan Graham?

— Z pewnością. I szczęśliwy jestem, żeś go widział i słyszał. Nie zapomnij tego, co mówił.

— Nie ma obawy, abym zapomniał. Mówił, jak z książki... I coraz więcej słyszę, tato, o tym pułkowniku Maxwellu i jego ranchu. Czy pozwolisz, abym kiedy pojechał do niego? Powiadają, że każdy bez

wyjątku jest tam przyjęty gościnnie i może bawić pod jego dachem tak długo, jak zechce.

— I owszem, pojedź — odparł, poziewując, stary Belmet. — Może ci się to uda po tej podróży. A teraz śpij, sowo!

* * *

Jazda eskortowała karawanę Watersa aż do Santa Fé, a stamtąd ruszyła, nie zaznawszy nawet dnia odpoczynku, na pomoc karawanie emigrantów, nadążającej, jak donoszono, z Teksasu.

Towarzystwo handlu futrami w Santa Fé i Westport, dla którego Waters i Couch pracowali, miało przygotowany wielki ładunek towaru do przesłania nad rzekę Missouri. Wobec tego Clint znów nie mógł urzeczywistnić tak pożądanego odwiedzenia rancha Maxwella. Musiał pracować przez te kilka dni postoju w Santa Fé tak ciężko, że nawet nie zdołał odpocząć i rozerwać się, jak podczas postojów poprzednich.

Wobec szczęśliwego wyniku przygody z Satockiem, Waters postanowił zaryzykować krótszą drogę, na źródła Santa Clara. Przejazdu tego dokonano w ciągu dni dwunastu. Następny etap wiódł rzadko już uczęszczanym ze względu na brak wody szlakiem, przez dolinę Purgatory do fortu Benta. Karawana przebyła go w ciągu dwudziestu trzech dni, z których tylko trzy wymagały bardzo długiej jazdy od wody do wody. Pierwszego z tych trzech dni trzeba było przejechać dwadzieścia jeden mil, drugiego — dwadzieścia trzy, a trzeciego — dwadzieścia siedem. Był to dla Clinta najdłuższy przejazd, dokonany bez odpoczynku. Przez całą tę drogę za opał służyły karawanie tylko bizonie odpadki. Indian nie spotkano wcale.

W forcie Benta poradzono przewodnikom karawany, aby poczekali i odpoczęli przez kilka dni, w sąsiedztwie bowiem fortu znajdowali się Apacze, pod wodzą Białego Wilka, na wojennej ścieżce. Wysłano właśnie dwa szwadrony dragonów, aby znalazły i podeszły tych Apaczów. Ale Waters i Couch, polegając na wielkiej liczbie swych przewoźników, wprawnych i przywykłych do walki, niezwłocznie ruszyli w stronę Council Grove.

Gdy rozłożono się obozem w Cottonwood Creek, nagle zjawiło się, jak wyrosłych z pod ziemi, dwudziestu Pawnisów i wjechało do obozu.

— Do wszystkich diabłów — wycedził sucho Waters. — Jeszcze Indianie!

— Ależ mają, do pioruna, odwagę! — dodał Couch. — Kto wie, czy nie są tylko oddziałem wywiadowczym.

Wódz Pawnisów, chudy i suchy jak skóra, powiódł okiem znawcy po furgonach i zawołał:

— Bardzo dużo wozów! Kupa ludzi! Kupa!

— Tak, trzystu ludzi i pięć dział — odparł Waters wesołym głosem, wywołując uśmiechy na twarzach przewoźników.

— A oto jedno z nich — dodał, wskazując na działo. — Wystarczy raz strzelić, aby powalić dwustu Indian... Patrzcie! Zetnę tamto oto drzewo jednym strzałem.

Pawnisowie może nie zrozumieli słowo w słowo tego, co mówił, bez wątpienia wszakże pojęli treść tych słów, bo spoglądali niedowierzająco, jeżeli nie gniewnie, na mówiącego. Wreszcie rzecznik ich odpowiedział:

— Biały człowiek bardzo duży kłamca!

Waters udał, że się gniewa.

— Co? — ryknął tonem urażonej godności. — Nazywacie mnie kłamcą? Ja wam pokażę!... Widzicie tamto oto drzewo? Przetnę je jednym wystrzałem. Wówczas musicie odwołać to, coście powiedzieli, albo też zwrócę przeciwko wam działo.

Przy tych słowach wskazał na młodą, zieloną topolę, około osiemnastu cali średnicy, po czym nakazał ludziom przytoczyć działo. Hoyle przygotował lont i więcej amunicji. Przewoźnicy, nie zapominając o swych karabinach, skupili się, hamując wesołość. Pawnisowie zaczęli okazywać niepokój, a kilku z nich cofnęło się nieco.

Waters starannie wycelował działo i przyłożył lont. Rozległ się ogłuszający huk. Zdawało się, że wstrząs powietrza zachwiał dokoła wszystkim, zwłaszcza Pawnisami.

Topola runęła, wprawdzie niezupełnie przecięta, w każdym jednak razie dostatecznie, aby urzeczywistnić przechwałkę Watersa, a sprytny Waters przysunął działo tak blisko Indian, że odczuli całą gwałtowność wstrząsu powietrza po strzale, co niewątpliwie przyczyniło się do ich przerażenia tak samo, jak widok powalonego drzewa. Toteż odjechali daleko prędzej, niż przyjechali. I warto było widzieć ten głośny wybuch wesołości posępnych zwykle przewoźników, jaki nastąpił po ich odjeździe.

Karawana Watersa odbyła resztę podróży do rzeki Missouri bez spotkania już choćby jednego Indianina.

W ten sposób do listy rekordów starego działa brązowego przybył nowy.

* * *

I znów minęła zima w obozie nad Missouri. Clint i Tom spędzili ją na pracy obozowej, wspólnej nauce i polowaniach, w towarzystwie Jacka, w gąszczach doliny rzeki, co nie tylko sprawiało im przyjemność, ale także pozwalało zaopatrywać spiżarnię w zwierzynę.

Gdy nadeszła wiosna, Waters przyjął ładunek do Santa Fé, a Couch — do fortu Wise w Colorado. Obie jednak karawany ruszyły razem, przekroczyły Mały Arkansas, skąd przedsięwzięły długi przejazd do potoku Cove, nad którym wpadły na liczną bandę Indian, widocznie zaczajonych pod urwiskiem potoku. Takich wszakże kresowców, jak Waters i Couch, trudno było schwytać w zasadzkę.

Dzicy, w liczbie około trzechset, byli pomalowani i mieli na głowach kołpaki wojenne z piór. Widząc, że są odkryci, dosiedli szybko swych mustangów i ruszyli, jak huragan, do ataku, wydając piekielne okrzyki.

Przewoźnikom starczyło czasu, aby się na poły przygotować, a Jim Waters zdążył stanąć przy dziale w pogotowiu do siania zniszczenia. Ale Indianie unikali bezpośredniego starcia, stosując natomiast jeden ze zwykłych swych podstępów, polegający na pędzeniu galopem w małej

odległości dokoła karawany, wywijając płaszczami ze skór bizonów i czerwonymi kocami, z krzykiem okropnym, aby wywołać popłoch wśród koni i wołów karawany, co też udało się im częściowo, przynajmniej co do koni.

Przy drugim jednak okrążeniu przez nich karawany Waters upatrzył skupioną gromadę Indian i wypalił do niej z działa. Grzmot wystrzału i pokos zniszczenia, wywołany przez ten wystrzał, odwróciły szanse przeciwko napadającym, bowiem teraz popłoch wszczął się wśród nich.

Clint dyszał ciężko, spoglądając na to zamieszanie i słysząc okrzyki dzikie i parskania. Dziesiątki mustangów runęły na ziemię wraz ze swymi jeźdźcami; inne wyrywały galopem bez jeźdźców; niektóre wierzgały w szalonym strachu, ciągnąc uczepionych do siebie rannych jeźdźców. Pomimo to wszakże ci dzicy okazali się tak mężni i wierni swym towarzyszom, że niedotknięci pociskami usiłowali ocalić rannych i unieść zabitych, nie zważając na ciągły ogień karabinowy przewoźników.

Nagle działo Watersa zagrzmiało powtórnie, zionąc tym razem jeszcze większym ładunkiem siekańców, niż poprzednio.

Wystrzał ten, bezlitosny jak wybuch szrapnela, poniósł śmierć w sam środek tego szamocącego się, wierzgającego kłębowiska ludzi i mustangów. Przewoźnicy, zdjęci litością, opuścili karabiny. Nawet Jim Waters nie ruszył się, aby nabić działo raz jeszcze. Korzystając z tej przerwy Indianie, którzy ocaleli, pochwytali mustangi, wrzucili na nie rannych i cofnęli się pośpiesznie.

Na stepie znaleziono ciała sześćdziesięciu zabitych Indian i osiemdziesiąt zabitych lub poranionych koni. Była to największa porażka, jaką Waters kiedykolwiek zadał Indianom. Ranione konie rozkazał dobić, ale tak zabite konie, jak i poległych Indian, pozostawił, nie grzebiąc, na polu walki.

Przewoźnicy doprowadzili furgony do porządku i, przyśpieszając kroku, dotarli o godzinie trzeciej po południu do fortu Zarah. Tam Waters zameldował kapitanowi Selkirkowi o zasadzce Pawnisów. Posłano więc oddział, złożony z pięćdziesięciu dragonów, ich śladami.

Po sześciu dniach dalszej podróży obie karawany stanęły u brodu nad rzeką Cimmaron i po raz ostatni razem rozłożyły się tam obozem. Smutne to było obozowisko. Tym stu siedemdziesięciu przewoźnikom, którzy jechali, obozowali i walczyli razem, musiała być przykra chwila rozstania, to też gwarzyli do późna przy ogniskach, a choć następnego dnia już o świcie byli na nogach, to jednak pożegnania i uściski rąk trwały tak długo, że słońce wzeszło, a jeszcze obie karawany nie mogły się rozłączyć.

— Buff, — mówił Waters, gniotąc rękę Clinta w swej dłoni — przyznam się, że to niesprawiedliwie, abyś nas opuszczał, zdając na łaskę losu bez twego Jacka.

— Przecież — odparł Clint bez wahania — pan ma działo, panie Waters!

— A więc żegnaj, chłopcze. Niech ci się powodzi. Masz głowę na karku. Przyjdzie czas, że staniesz się słynnym kresowcem.

W końcu karawany się rozstały. Waters pociągnął Suchym Szlakiem do Santa Fé, Couch zaś skierował się na północ, w stronę fortu Wise.

O tej porze roku fort Wise był pełen Indian, traperów i myśliwych, zamieniających swą zdobycz zimową na zapasy żywności, ubrania, amunicję i tytuń. Kapitan Couch uważał za niepożądany dłuższy pobyt w tym zbiorowisku, to też zaraz po skończeniu wyładunku towarów opuścił je i, znalazłszy grunt dobry na pastwisko, rozłożył się tam obozem na odpoczynek, odkarmienie koni i wołów, oraz dla zapolowania na bizony.

Tego samego jeszcze dnia po południu stary Belmet i John Sidel powrócili do obozu wozem, na który naładowali trzy skóry bizonie i chyba z pół tony mięsa. Clint pomagał w przyrządzeniu skór. Skóry te rozpostarto na ziemi, przygwożdżono ich końce do niej kołkami, po czym zeskrobano ze skór starannie wszelkie resztki mięsa i tłuszczu. Dla wygarbowania skór myśliwi nacierali je mózgiem zabitych bizonów. Operacja ta, powtarzana umiejętnie w ciągu czterech dni, sprawiała, że skóry nie sztywniały już i nie twardniały.

U potoku Timpas, nad który następnie ruszono, olbrzymie stado bizonów zagrodziło drogę karawanie, a wreszcie zmusiło ją do przystanięcia. Widząc niepodobieństwo przedarcia się przez stado, Couch zarządził w tym miejscu postój całodzienny. Mnóstwo bizonów padło od kul przewoźników, strzelających do nich z wozów. Belmet i Sidel powalili pięć sztuk.

Przez cały dzień ciągnęło stado, podobne potężnemu morzu, stworzeń kudłatych, jak wzrok sięgał z obu stron karawany. Dopiero o zachodzie słońca minęli karawanę ostatni maruderzy stada, a za nimi ukazały się wilki i kojoty, zawsze towarzyszące bizonom.

## Rozdział VIII

Pewnego wieczora, gdy rozłożono się obozem po ośmiu dniach niewidzenia Indian, Couch pozostawił na straży tylko czterech ludzi.

— Spokój dokoła, — rzekł, załatwiwszy tę czynność — odpocznijmy.

Późną nocą Clint obudził się, uczuwszy, że koc jest z niego ściągany. Zerwał się i usiadł. Okazało się, że to Jack ciągnie za koc i warczy. Clint przemówił do psa, co obudziło też starego Belmeta.

— Co się stało? — spytał.

— Jack — szepnął Clint — wziął się na dawny sposób. Przypatrz mu się, słuchaj!

Przyglądali się psu. Jack przestał ciągnąć i warczeć, trzeba by jednak być bardzo ograniczonym, aby nie zrozumieć, że wzywa ich do wyjścia.

— Założyłbym się, — mruknął Belmet — że to Indianie. Nigdy nie opłaci się lekceważyć na stepie bezpieczeństwa. Weź strzelbę, Clint.

Wyślizgnęli się, nie przywdziewając butów, z namiotu, ze strzelbami w rękach. Noc była jasna, gwiaździsta, bardzo cicha i samo powietrze zdawało się być naładowane czymś złowróżbnym. Pies ich prowadził.

U przygasającego ogniska obozowego wszyscy czterej strażnicy spali mocno.

— Nie budź ich — szepnął Belmet gniewnie. — Niech ich Couch obudzi.

Jack powiódł Clinta i jego ojca do najdalszego punktu koła, utworzonego przez furgony, o całe ćwierć mili od ogniska, po czym zaczął merdać ogonem, jakby chciał powiedzieć:

— To tutaj!

Stary Belmet dał znak synowi, aby zachowywał się spokojnie, sam zaś ukląkł i przytrzymał psa. Clint usłyszał słaby szmer z zewnętrznej strony furgonu, opodal którego stanął. Szmer ten przypominał rozdzieranie płótna. Clint spojrzał w górę na białe pokrycie furgonu, majaczące w ciemności. Miał wrażenie, że to pokrycie wydyma się z lekka na zewnątrz. Widocznie i ojciec jego usłyszał i spostrzegł to samo, gdyż, skradając się, odprowadził Clinta i Jacka o jakie sto kroków, po czym, przyłożywszy wargi do ucha syna, szepnął:

— Obudź Coucha i opowiedz o tym. Obudź też innych. Niech przyjdą tu, ale bez hałasu. Nie mów Couchowi o śpiących strażnikach. Gotów ich rozstrzelać. Śpiesz się. Ja będę czuwał.

Clint pobiegł szybko wypełnić otrzymane polecenia. Wystarczyło dotknięcia, aby zbudzić dzielnego Coucha. Clint wskazał mu miejsce, w którem pozostawił ojca, po czym pobiegł obudzić strażników. Z początku

ogłupieli, a następnie ogarnął ich strach. Nie upłynęło dziesięciu minut, a już wszyscy przewoźnicy zebrali się dokoła starego Belmeta. Naradzano się szeptem. Couch nie przypuszczał, aby miano do czynienia z Indianami, oświadczył jednak, że w każdym razie należy działać tak, jakby to byli Indianie. Rozesłał więc trzy oddziały wywiadowcze po dziesięciu ludzi w różnych kierunkach, sam zaś z Belmetem, Clintem i innymi rozciągnął się na trawie i czekał.

Zdawało się Clintowi, że oczekiwanie to trwa wieki. Nagle osłupiał, usłyszawszy hukanie sowy — uu, uu, uuu! — dolatujące wprost od furgonu, do którego Jack doprowadził go z ojcem. Po chwili z dołu, od potoku, doleciało takie samo hukanie.

Couch trącił starego Belmeta w kark i zaklął pod nosem.

— Słyszycie to? — spytał.

— Naturalnie — odparł Belmet. — Co mamy robić? Szkoda, że nie ma działa.

— Znów czerwonoskórzy! — odezwał się inny przewoźnik głosem zrezygnowanym.

— Wcale nie czerwonoskórzy — zaprzeczył stary kresowiec. — Żaden Indianin nie byłby tak naiwny.

Po tych słowach starego kresowca Couch polecił wszystkim wpełznąć pod furgony, aby mogli panować wzrokiem nad stepem. Clint ujrzał maleńki płomyk, jakby od zapalonej zapałki, w dole, nad brzegiem potoku. Inni dostrzegli go również.

— Gdzież, u pioruna, podzieli się wywiadowcy? — warknął Couch. — Nie możemy ruszyć się bez nich!

— Proszę słuchać! — zawołał Clint, cały drżący. — Słyszę nadjeżdżające konie... Muszą to być Indianie. Jack coś węszy!

— Oo! — odezwał się Couch. — Widzę nie tylko konie, ale i ludzi... Nie wyglądają na Indian.

— Bo i nie są Indianami — zapewniał stary kresowiec.

W tej chwili Clint usłyszał głuchy łomot na furgonie, do którego Jack go sprowadził.

— Słuchajcie! — szepnął Couch ochryple. — Jestem skończonym osłem, jeżeli to nie banda rabusiów okrada furgon.

Zabrzmiał samotny płaczliwy głos kojota, tak naturalny, że Clint przysiągłby na jego prawdziwość. Ciemne postacie na stepie zbliżały się na prawo od czuwającego oddziału. Zatrzymały się wreszcie o jakie pięćdziesiąt kroków od furgonu, o którym mowa, po czym kilku ludzi, raczej cieni, zsiadło z koni i posunęło się ku furgonowi.

Jack wyrwał się z rąk Clintowi, zawrócił i pobiegł do środka obozu. Clint poczołgał się za nim. W tejże chwili ktoś zawołał na zewnątrz karawany:

— Ręce do góry!

Wkrótce potem dały się słyszeć krzyki twarde i gniewne, oraz odgłos gwałtownego szamotania się rozdarł powietrze. Wreszcie zadudniły kroki. Clint zerwał się i pobiegł za Jackiem, zaledwie widocznym w ciemności. Zanim wszakże dopadł go, jakiś człowiek wyskoczył z furgonu. Jack rzucił się na niego i razem padli na ziemię. Clint dostrzegł błysk noża, uderzył więc szybko powalonego kolbą w głowę i ogłuszył go tym uderzeniem.

Jack puścił swą ofiarę. A właśnie nadbiegł stary Belmet, zdyszany i podniecony. Zoczywszy, co się dzieje, siadł okrakiem na powalonym, wiążąc mu ręce i nogi.

— Pilnuj go, Clint, — zawołał, dokonawszy tej czynności — a ja pobiegnę zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz!

Rabuś jednak nie odzyskał przytomności, a może tylko udawał, że jest nieprzytomny, dość, że się wcale nie ruszał.

Okazało się, że jeden z oddziałów wywiadowczych podkradł się do okradanego furgonu i leżał w trawie, gdy nadjechali trzej rabusie z ośmiu końmi. Wszystkich ujęto nie bez walki, ale ani jeden strzał nie padł.

Tymczasem dzień nadchodził. Niebo na wschodzie pojaśniało i rozszerzała się szarzyzna świtu. Rozpalono ogniska i zajęto się przyrządzaniem śniadania.

Gdy dzień zajaśniał, Couch odezwał się twardo:

— Dwudziestu ochotników do powieszenia tych rabusiów.

Clint, pociągnięty siłą nieprzepartą, ruszył za innymi w dół, ku potokowi. Zatrzymano się wreszcie z jeńcami pod wielkim, rozłożystym orzechem czarnym.

— Macie co do powiedzenia? — spytał Couch, spoglądając na czwórkę rabusiów.

— Nic. Schwytaliście nas — odparł jeden z nich krótko.

— Przyznam się, że zaciągnąłbym się chętnie — rzekł inny.

Ktoś podał mu i zapalił papierosa. Rabuś zaciągnął się z widoczną przyjemnością.

Przerażenie przykuło Clinta do miejsca. Doraźny ten wymiar sprawiedliwości był nie tylko prawem przewoźników, był w ogóle prawem kresowym, bezapelacyjnym. Czterej rabusie znali to prawo i przyjmowali je, o ile Clint mógł wymiarkować, nawet spokojnie. Gdyby przynajmniej ta zadziwiająca odwaga wyzyskana była dla dobrej sprawy!

Wykonawcy wyroku zarzucili cztery sznury z pętlami na mocny konar orzecha.

Rabusiów ustawiono rzędem i założono im pętle na szyje...

— Pięciu ludzi do każdego sznura! — rozkazał Couch surowo. — Ciągnąć!

Clint krzyknął, zakrył oczy rękoma i przysiadł na ziemi. I siedział tak z głową pochyloną, obolały i drżący. Gdy zaś podniósł w końcu głowę, ujrzał Coucha, przyczepiającego do nogi jednego z powieszonych rabusiów, niejakiego Pickensa, kartkę papieru. Na kartce widniał napis:

„Rabusie ładunków. Powieszeni przez karawanę Jima Coucha".

Po powrocie do obozu Clint usłyszał Coucha, mówiącego do swych towarzyszy:

— Dobrze się stało! Ten Pickens był mordercą. Miałem już dawniej do czynienia z jego bandą.

Karawana pociągnęła dalej i przybyła do fortu Bent z trzydniowym opóźnieniem. Couch zameldował o egzekucji. Dowódca fortu wysłał sierżanta z dwudziestu żołnierzami, aby pogrzebali rabusiów.

Zanim wszakże skończył się ten dzień pamiętny, Couch posłał po Clinta.

— Chłopcze, — rzekł, klepiąc go po ramieniu — ty i twój Jack znów przyczyniliście się do ocalenia karawany, a przynajmniej uchroniliście nas w danym razie przed rabunkiem... A oto pozostałości po rabusiach. Tobie przysługuje pierwszeństwo wybrania z tego, co zechcesz.

— Kapitanie, ja nic nie chcę! — zawołał Clint.

— Choć nie chcesz, wybieraj. To twoje prawo. Spytaj któregokolwiek z przewoźników. I Kit Carson byłby ci to powiedział. Rynsztunek ten ma być podzielony, a ty masz pierwszy głos w tym podziale.

Tak naciskany Clint zwrócił oczy na pozostałości po Pickensie i jego wspólnikach. Było tam osiem koni, a wśród nich niektóre niezwykle piękne; taka sama liczba siodeł do jazdy i do juk, zwoje posłań, derki na konie, manierki i uzdy. Znajdowało się tam również osiem pistoletów, cztery karabiny, noże, arkany i inne przedmioty potrzebne kresowcom.

— Co mogę wybrać? — spytał Clint głosem niepewnym.

— Cha, cha! — zaśmiał się stary kresowiec. — Po co się pytać, Buff. Zagarnij wszystko!

— Tak nie powiem — wtrącił Couch. — Wybierz, co ci się najlepiej podoba, ale nie bądź samolubem!

Gdy zaś Clint wciąż się jeszcze wahał, wysunął się naprzód Tom i zawołał:

— Ja wiem, co by się Clintowi najlepiej podobało!

— No, mów.

— Koń. Zawsze wzdychał, aby mieć konia.

— Doskonale. A zatem, Buff, wybierz sobie konia, siodło, uzdę, derkę, no i, do licha, jeden z pistoletów.

Clint otrzeźwiał i wskazał na konia, w którego tak się zapatrzył, że właściwie dlatego zapomniał języka w gębie — rasową ciemnogniadą klacz, o nogach wysmukłych, ślicznie zbudowaną.

— Tego? — zawołał Couch. — Ach, ty smyku, myślałem, że nie potrafisz wybrać i że ta klacz mnie się dostanie!

Wybuch śmiechu rozległ się dokoła, a Couch mówił dalej:

— All right! Jest twoja, Buff. Jakże ją nazwiesz?

Clint zastanawiał się z minutę i nagle zawołał:

— Maybell!

— Ładnie i elegancko. To się nazywa piękny gest! A teraz, Buff, pytanie, czy potrafisz jej dosiąść? Bo to niebyle jaki koń. Pamiętaj, że konie rabusiów muszą być niezmiernie rącze. Czy nie byłoby lepiej, abyś zamienił się ze mną na innego konia?

— Oh, — odparł Clint szybko — ja... ja muszę się nauczyć jej dosiadać, choćbym miał pęknąć!

— Jim, — rzekł wobec tego Couch do starego Belmeta — wybierz synowi siodło i resztę. A radzę ci, abyś najpierw sam dosiadł tego konia.

Clintowi nie były obce konie wierzchowe. Tak jednak rasowego i ognistego konia, jak Maybell, nie widział jeszcze nigdy, nawet na jarmarkach, tam, w dalekim Illinois. Gdy Belmet wybrał siodło, uzdę,

derkę i arkan i przybrał w to wszystko klacz, aby przedstawić ją w pełnym rynsztunku synowi, Clint nie posiadał się z radości.

W końcu Couch wybrał jeszcze oprawny w srebro pistolet z woreczkiem amunicji do niego i, wetknąwszy do sakwy przy siodle, odezwał się głosem serdecznym do Clinta:

— Abyście byli silniejsi, ty i Jack. Pragnąłbym mieć was jeszcze długo przy sobie.

* * *

Na następne obozowisko wybrano brzeg rzeki naprzeciwko wyspy Chateam. Było to ulubione miejsce odpoczynku podróżników.

O zachodzie słońca nadjechała tam Suchym szlakiem od Santa Fé kompania dragonów i doniosła o walce, jaką stoczyła karawana Jima Watersa z bandą Komanczów pod wodzą Białego Niedźwiedzia. W sam czas dragoni zdążyli na miejsce tej walki. Komancze zasadzili się na karawanę w biały dzień i runęli na nią, zanim Waters zdołał ustawić swe działo do strzału. Zasadzkę urządzili Komancze w owym wąwozie Apaczów, przez który Clint przejeżdżał już, drżąc, dosyć często, aby go zapamiętać.

Gdy dragoni, posuwający się śladem Komanczów, przybyli na miejsce walki, Waters miał już pięciu ludzi zabitych i ośmiu ciężko rannych. Sam też był poważnie raniony w ramię. Karawana jego zatrzymała się w forcie Aubry, aby odzyskać siły. Clint nie mógł powstrzymać się od myśli, kiedy przyjdzie kres ostateczny na tego Watersa, najśmielszego i największego ryzykanta wśród przewoźników.

Couch był rad niezmiernie, że dragoni towarzyszyć mu będą w drodze powrotnej do Westport, gdzie spodziewał się dłuższego odpoczynku. Stało się jednak inaczej, zaledwie bowiem przybyto szczęśliwie nad Missouri, pułkownik Danbury powierzył mu kontrakt na przewóz towarów rządowych dla wszystkich fortów na zachodzie aż do Taos.

Przewoźnicy Coucha naładowali na wszystkie furgony tyle towaru, ile tylko wozy mogły udźwignąć, zapłata bowiem była od centnara. W ten sposób utworzyła się karawana tak ciężka i cenna, w jakiej Clint jeszcze nie powoził. Toteż udzielony przez rząd do eskortowania jej cały szwadron jazdy był bardzo pożądany.

W pobliżu Wagon Mount banda Komanczów najechała nagle jak stado skrzeczących jastrzębi na pasące się konie i woły i, wywoławszy popłoch wśród zwierząt, odpędziła je o trzy mile, zanim żołnierze zdołali dogonić napastników. Do walki jednak nie doszło.

W wąwozie Apaczów zasadziła się na karawanę banda Jutów. Wywiadowcy wszakże nie dali się podejść i Jutowie pierzchli jak kojoty wśród szałwii.

Karawana dowlekła się z trudem do Lamy, następnie do Santa Fé i skończyła pomyślnie swą wędrówkę w Taos. Nareszcie więc Clint doczekał się okazji, której tak od dawna pragnął, i ku wielkiej swej radości zastał Kita Carsona w domu.

Zdumiony wywiadowca powitał gościa z otwartymi rękami.

— Buff Belmet! — zawołał. — Co za rosły, krzepki z ciebie stepowiec! Wybujałeś jak trzcina! Jakże jestem szczęśliwy, że cię widzę.

Carson nalegał, aby Clint zamieszkał w jego domu, a tam przedstawił go dwu innym słynnym wywiadowcom kresowym, Jimowi Bakerowi i Johnowi Hobsowi.

Obaj ci kresowcy stanowili prawdziwą skarbnicę doświadczeń, z której można było czerpać obficie, tym bardziej, że obaj byli rozmowni.

W owym czasie Kit Carson liczył lat około czterdziestu siedmiu lub ośmiu i był raczej szczupłym w porównaniu z tak tęgimi wywiadowcami, jak Baker lub Curtis, ale na ciele wprost piętrzyły mu się muskuły. Twarz miał piękną, gładko wygoloną, bystre jasne oczy o przedziwnej przenikliwości wzroku, słowem, wyglądał na to, czym był istotnie, mianowicie, największym kresowcem Zachodu.

Clint spędził kilka dni w jego domu, długim, niskim budynku z niepalonej cegły, pobielanym i o szerokich krużgankach. Żona Carsona, Hiszpanka o ciemnych oczach i głosie słodkim, dziwnie polubiła Clinta i nazywała go *senor* Buff, co się Clintowi bardzo podobało.

Kit Carson lubił opowiadać, przynajmniej Clintowi, o swych wyprawach odkrywczych z Frémontem, poszukiwaczem ścieżek, którego nazwisko związane jest nieodłącznie z Zachodem. Opowiadał o pierwszej swej wyprawie z Frémontem w 1842 r., kiedy to wspięli się na grzbiet górski Wind River. Pamiętał żywo, jak wówczas łódź gumowa Frémonta zatonęła na wodospadach rzeki Platte.

Daleko więcej jeszcze miał Carson do opowiedzenia o drugiej swej wyprawie z Frémontem w 1843 r.

Przyłączył się do niej z przyjacielem swym Maxwellem nad rzeką Arkansas. Pod jego to przewodnictwem wyprawa dokonała pomyślnie czternastomiesięcznych badań, które zupełnie zmieniły pogląd rządu amerykańskiego na Zachód i otworzyły drogę osadnikom. Ambicją Frémonta było zapoznać wschód Stanów Zjednoczonych i cały świat z cudami Kalifornii.

— Czy wiesz, Buff, — rzekł Carson do młodego swego przyjaciela — Frémont mi mówił, że i Daniel Webster, choć nie popierał przyłączenia Teksasu do naszej Unii, to jednak wzdychał do zatoki San Francisco i do Kalifornii, twierdził tylko, że Anglia nigdy się nie zgodzi, aby Meksyk odstąpił nam tę krainę. Chłopcze, mógłbym ci opowiedzieć niejedno z dziejów naszych... Było to w sierpniu 1845 roku, gdym po raz trzeci spotkał się z Frémontem, któremu polecono, między innymi, bliższe zbadanie Kalifornii i nie dopuszczenie, aby Anglia wydarła ją z rąk Meksykowi. Wyprawa ta składała się z sześćdziesięciu ludzi. I znów uczestniczyli w niej moi przyjaciele... Z pewnością jednak wiesz już, chłopcze, jak Frémont podbił Kalifornię i jak zazdrośni oficerowie usunęli go sromotnie z wojska. Tak mówi historia. Ale oni byli mali, a Frémont — wielki. Ze wszystkich ludzi, których znałem i w których towarzystwie walczyłem, on jeden posiadał ducha prawdziwie niezwyciężonego.

## Rozdział IX

Po powrocie do Santa Fé Clint usłyszał kilkakrotnie opowiadania o lwach górskich, panterach lub kuguarach, jak je nazywali niektórzy myśliwi, krążących dokoła miejsc, na których pasło się bydło. Była to dla niego i dla Toma Sidela wiadomość bardzo podniecająca, nie pozwolono im wszakże wybrać się na polowanie bez towarzystwa.

Czterocalowa warstwa śniegu okryła ziemię, co pozwoliło łatwo i szybko tropić zwierzynę. Stary Belmet wybrał się tedy z gromadką przewoźników na lwy, zabierając z sobą Clinta i Toma.

Myśliwi przekroczyli rzekę Pecos, zanim jednak ujrzeli trop choćby jednego lwa, natknęli się nagle na stado szaro-niebieskich wilków leśnych. Było ich z piętnaście, dużych jak roczne cielaki, o futrach gęstych i puszystych ogonach. Przez chwilę spoglądały na myśliwych, po czym rzuciły się do widniejącego jaru. Jak się okazało, pożerały właśnie krowę, którą zagryzły.

Na przestrzeni jakich pięciu mil dążono po tropie tych wilków, wreszcie jeden z myśliwych poradził, aby ruszyć na przełaj i przeciąć im drogę, dla wykonania zaś tego planu zabrał ze sobą pól tuzina towarzyszów, a w tej liczbie Clinta i Toma. I rzeczywiście, po okrążeniu gęstej kępy cedrów, myśliwi wpadli na wilki. Rozległy się krzyki i strzały. Clint, jak zwykle, kroczył przodem w pogotowiu do strzału, toteż pierwszy wypalił o jakąś cząstkę sekundy przed innymi, powalając jednego z przodowników stada i raniąc drugiego. Ogółem siedem wilków padło pod strzałami przewoźników. Na miejscu zdjęto z nich skóry. A w Kansas City płacono za futro takiego wilka czternaście dolarów.

Być może, iż powrót tych myśliwych z siedmiu pięknymi skórami wilków poddał kapitanowi Couchowi pewną myśl, Couch bowiem zawitał do Belmeta i rzekł:

— Czy nie zaryzykowalibyście, Jim, razem z Buffem nieco pieniędzy?

— Na co, kap? — spytał Belmet.

— A no, byłem dziś w forcie i dowiedziałem się, że oddział wojska jedzie do wąwozu Raton. Jest tam kilka wiosek Komanczów i Jutów. Moglibyśmy pojechać razem z wojskiem i zawitać do Indian w charakterze przyjacielskim. Bo widzicie, wszyscy myśliwi zjadą tu na targ w kwietniu lub maju. Sądzę więc, że jeżeli teraz ofiarujemy im gotówkę za futra, to będą woleli taki interes, niż czekanie do wiosny i zamianę futer na zapasy. Moglibyśmy w ten sposób stać się panami tego rynku.

— Dobra myśl, kap. Ale czy starczy nam na to pieniędzy? Ja mam tylko dwa tysiące pięćset dolarów. A ile ty masz, Clint?

— Zaoszczędziłem około tysiąca.

— Doskonale! Z tym, co ja posiadam, i co jeszcze dostanę od innych, puścimy się na interes i założyłbym się, że grubo zarobimy.

W dwa dni później Couch, Belmet i kilku innych przewoźników odjechało z żołnierzami. Clint błagał, aby go zabrano, ale bezskutecznie. Po kilku tygodniach wyprawa powróciła, uradowana obietnicą wodzów, Samotnego Wilka i Czarnego Kotła, przywiezienia wszystkich futer i skór bizonów, jakie będą posiadali, pod koniec kwietnia.

Jak zwykle, Indianie dotrzymali słowa i przyjeżdżali po kilku razem, oddając swe futra Couchowi. Zwróciło to w końcu uwagę kupców w składzie, zamieniającym futra na inne towary; wielce więc oburzeni, udali się ze skargą do pułkownika. Odpowiedział im na to krótko:

— Nie mogę im przeszkodzić. To nie mój interes. Jeżeli posiadają gotówkę na kupno futer, któż im zabroni kupować?

Po tym zajściu duże sumy napłynęły do rąk Coucha. Skąd pochodziły te pieniądze, było tajemnicą. Oficerom na posterunku nie wolno było prowadzić jakiegokolwiek handlu z Indianami. Zwróciło jednak uwagę to, że gdy karawana z dużym ładunkiem wspaniałych futer gotowa była do drogi, przydano jej eskortę z dziewięćdziesięciu ośmiu żołnierzy, pod dowództwem kapitana Howlanda i porucznika Wilcoxa, aż do samego Westport.

Towarzystwo handlu futrami zaniosło w tej sprawne liczne skargi, a nawet zwróciło się do fortu Leavenworth, gdzie znajdowała się główna kwatera wojskowa okręgu południowo-zachodniego. Jenerał tam dowodzący wysłał oficerów do zbadania sprawy, oficerowie ci jednak nie mogli dowiedzieć się czegokolwiek od Coucha i jego przewoźników.

— Jakim sposobem — pytano Coucha — dostaliście tak liczną eskortę?

— Nigdy nie wyruszam w drogę bez eskorty.

— Kogo prosiliście o nią?

— Nie prosiłem nikogo.

— Czy wieziecie towar na własne ryzyko?

— Tak. Ale połowa ładunku jest na rachunek firmy Aull and Company.

Oficerowie musieli odjechać, nie uzyskawszy żadnej satysfakcji dla Towarzystwa handlu futrami, a Couch, Belmet i inni uważali swą transakcję handlową za najzupełniej uczciwą i daleko korzystniejszą dla Indian, niż handel zamienny.

Clint znalazł się w posiadaniu dziesięciu tysięcy dolarów, zamiast tego tysiąca, który posiadał przedtem. Uważał się za bogacza. Jeżeli dalej tak pójdzie, to będzie mógł nabyć z czasem rancho, albo też założyć własny posterunek handlowy. Myśl ta przypomniała mu May Bell, ową jego małą przyjaciółkę, uprowadzoną przez Indian. Rzadko już myślał o niej. Tyle czasu upłynęło! Przypomniał sobie, jak śledziła go ciemnymi, połyskującymi oczami, i westchnął smutno.

Kapitan Couch, Belmet i inni przewoźnicy, którzy zarobili na futrach, pojechali parowcem do St. Louis, aby zarobione pieniądze ulokować w towarach do handlu z Indianami, białymi traperami i myśliwymi. A że i

Clint chciał także, aby jego pieniądze ulokowano w ten sposób, zabrano go więc z sobą. Clint tak długo przebywał wśród ciszy i otwartych przestrzeni, że cieszył się bardzo, znalazłszy się znów na parowcu rzecznym. Przejażdżka po bystrej, błotnistej rzece sprawiła mu przyjemność ogromną.

Na parowcu kapitan Couch spotkał Maxwella, owego kresowca tak szeroko znanego, a za pośrednictwem Coucha i Clint zawarł z nim znajomość.

— Czy pan jest tym Maxwellem, który uczestniczył razem z Kitem Carsonem w wyprawach odkrywczych Frémonta? — spytał Clint ciekawie.

— Jestem nim. A któż ci to powiedział, młodzieńcze? — odparł Maxwell, wspaniały typ człowieka Dalekiego Zachodu, człowieka, który choć przekroczył już pięćdziesiątkę, prosty był jak świeca i pełen męskości, o twarzy ciemnej, odzwierciedlającej cały jego awanturniczy żywot.

— Powiedział mi to sam Kit Carson — odparł Clint z dumą.

— Gadaj, więc znasz Kita Carsona?

— Jestem jego przyjacielem.

— W takim razie jesteś i moim. Z przyjemnością powitam cię zawsze na moim ranchu i możesz tam pozostać dzień jeden, czy też przez całą zimę. Posiadam dziesięć tysięcy koni. Będziesz miał w czym wybierać.

Po powrocie do Kansas City Maxwell, który zakupił wielką ilość towarów, powierzył Couchowi ich przewóz. Na początku sierpnia karawana stanęła gotowa do drogi. Ale nie można było dostać eskorty. Pomimo to Couch, pewny siebie wobec posiadania dziewięćdziesięciu trzech wypróbowanych i doświadczonych przewoźników, postanowił ruszyć bez eskorty.

Karawana składała się z osiemdziesięciu siedmiu furgonów, naładowanych towarami Coucha i jego wspólników oraz czterdziestu czterech, ciężko obładowanych furgonów Maxwella. A zatem liczyła ogółem sto trzydzieści jeden furgonów, zaprzężonych w czterysta sześćdziesiąt cztery woły, a poza tym czterdzieści koni i sześć mułów.

Po przebyciu rzeki Kansas ujrzano w pobliżu Smoky Hill pierwsze bizony, rozłożono się więc w tym miejscu obozem, a dwudziestu myśliwych, którym towarzyszył furgon, udało się na upolowanie mięsa. Myśliwi ci zastrzelili pięć bizonów, ale zaniechali dalszego polowania, gdyż jeden z wywiadowców wyśledził gromadkę Indian niedaleko czoła stada.

Wobec tego odkrycia trzymano inwentarz w obozowisku; ponieważ jednak rosła tam obficie trawa, zwierzęta więc miały czym się posilić. Następnego dnia, wyruszywszy wcześnie w drogę, karawana straciła z oczu obozowisko, nie ujrzawszy już Indian.

Potem dzień po dniu, od różowego świtu do złocistego zachodu słońca toczyła się starym, znanym szlakiem, wśród potężnej i wzniosłej jednostajności stepów, dalej i dalej po szaro-zielonej, upstrzonej kwiatami równinie. Wreszcie dosięgnięto wyżyn, brodu na rzece Cimmaron i dotarto szlakiem Suchym do tak zwanego Punktu Skalnego.

Działo się to 19-go listopada. Miejsce, w którem rozłożono się obozem, znane było z dogodności. Wznosiły się tu do wysokości dwudziestu stóp i

więcej skały, a śród nich biło źródło zimne. Drzewa na ogniska było pod dostatkiem, ale okazało się, że trawa jest spasiona w promieniu mili dokoła obozu. Przewoźnikom nie przypadało do smaku wysyłanie bydła na paszę aż o milę od obozowiska, ale innej rady nie było. Wysłano więc inwentarz pod opieką dwudziestu pięciu jeźdźców, a wśród nich starego Belmeta i Johna Sidela, z poleceniem powrotu przed zachodem słońca.

Poszarpane chmury na zachodzie zasłaniały chylące się ku widnokręgowi słońce, ale przez przerwy w chmurach spływał na step, barwiąc go, blask złoty. Powietrze było jeszcze ciepłe. Spokój i cisza zdawały się panować nad równiną. Tu i owdzie, dokoła ognisk obozowych, przewoźnicy pogwizdywali lub śpiewali przy pracy.

Clint obierał kartofle. Było to zajęcie, którem obarczano go stale, a którego nienawidził.

— Chyba już kilka milionów obrałem dla tej hałastry — mruczał niezadowolony.

Nagle przybiegł do niego Jack z sierścią najeżoną i sztywną, a ślepiami wymownie połyskującymi. Szczekał i odskakiwał, aby znów powrócić.

— Co ci się stało? — spytał Clint.

Ale Jack jeszcze raz szczeknął i odskoczył. Od razu zaniepokoiło to Clinta. Była rzecz, której nienawidził bardziej, niż obierania kartofli.

— Leżeć, łobuzie! — zawołał, pragnąc zagłuszyć niepokój.

Nie pomogło to jednak. Jack nie chciał się uspokoić. Clint wyprostował się, cały drżący. Po chwili uszu jego doleciał odgłos dalekiego wystrzału. Wówczas zerwał się i popędził jak jeleń do ogniska Coucha.

— Kapitanie, — zawołał zdyszany — mój pies... czuje Indian! Słyszałem wystrzał!

Nie trzeba było powtarzać Couchowi takiego ostrzeżenia. Zerwał się na nogi i krzyknął:

— Hej, ludzie, baczność!

Po tych słowach wspiął się na furgon, stanął na koźle i podniósł szkła do oczu. Niemal natychmiast zaklął głośno, upuścił szkła na kozioł i jednym skokiem znalazł się na ziemi.

— Komancze! — huknął całą piersią. — Odcięli naszą straż od obozu! Chwytajcie za broń!

Wewnątrz koliska wozów powstało zamieszanie. Jak gromada rozgniewanych mrówek, przeszło pół setki ludzi rozbiegło się po obozowisku. Wszyscy rzucili się do koni. Niestety, koni pozostało w obozie zaledwie piętnaście, gdyż resztę zabrali strażnicy bydła. Potężne przekleństwa Coucha rozlegały się po równinie.

— Piekielna sprawa, chłopcy! — wołał, zgrzytając zębami, pociemniały od gniewu. — Wpadliśmy diabelnie... Siodłajcie! Część musi jechać... Reszta niech tu sterczy.

Clint stał, jak przykuty do miejsca. Widział biegających ludzi, słyszał chrapliwe krzyki i rozkazy. Spostrzegł dwóch przewoźników, usiłujących dosiąść jednego konia. Po chwili piętnastu jeźdźców, z Couchem na czele, wypadło przez przerwę pomiędzy furgonami i, skręciwszy, wnet znikło z oczu.

Obawa o ojca sparaliżowała Clinta. Teraz jednak ocknął się z tego bezwładu, wskoczył na kozioł furgonu i stamtąd rozejrzał się po równinie. W odległości jakiejś mili, śród falujących traw złocistych, widniał ciemny kłąb koni, jeźdźców, wołów, tworząc bezładną ruchomą masę, posuwającą się ku północy. Komancze musieli być ukryci w zaroślach nad brzegiem rzeki i w odpowiedniej chwili odcięli strażników od karawany, otoczyli ich, albo też popędzili dalej przed sobą. Clintowi krew zastygła w żyłach. Komanczów była znaczna liczba. Belmetowi, Sidelowi i ich towarzyszom groziła nieunikniona katastrofa. Couch i jego czternastu jeźdźców pędzili na pole walki, ale Clint miał wrażenie, że nie tylko przybędą tam za późno, ale nawet narażą własne życie.

Wtem nadepnął na szkła Coucha, pozostawione na koźle. Schylił się więc, aby je podnieść i ujrzał twarz pobladłą Toma Sidela, stojącego u koła furgonu.

— Buff, Buff! Czy co widzisz? — spytał Tom głosem drżącym.

— Czy co widzę? Boże drogi! Chodź tu, sam zobacz!

Tom wspiął się na kozioł i stanął obok Clinta.

— Widzę, widzę! — zawołał. — Oh, Buff, czyżby to miał być koniec mojego wujaszka i twego ojca?

Clint nastawił szkła, a wówczas zdawało się, że pole straszliwej walki znajduje się w odległości kilku prętów od karawany. Słyszał Toma, mówiącego coś bezładnie i krzyczącego, nie mógł jednak zrozumieć, co mówi. Wewnątrz koliska wozów słychać było wrzawę i wołania przewoźników, biegających dokoła w podnieceniu, przesuwających furgony, budujących barykady ze skrzyń z towarami lub wskakujących na furgony, aby rzucić okiem na step.

Couch i jego jeźdźcy nasunęli się pod szkła Clintowi. Zbliżyli się właśnie na odległość strzału od ruchomego, błyskotliwego koła Komanczów, po czym, rozjechawszy się, przystanęli i otworzyli ogień. Dygocący, spotniały z przerażenia Clint dojrzał szybkie wytryski białego dymu.

Jak można było wnosić, Komancze otoczyli strażników, ale nie bydło. Widać było woły, włóczące się we wszystkich kierunkach. Nieosiodłane konie pędziły dziko.

Brutalnie oderwano Clinta od tego osłupiającego widoku. Jeden z przewoźników zrzucił Toma z kozła i sięgnął po niego.

— Schodzić! — rozkazał ostro. — Wracać do własnego furgonu, nabić broń, przygotować się do walki!

Clint zeskoczył z kozła i ze szkłami w ręce pobiegł do swego wozu. Kilku szybkimi ruchami ułożył pod ręką obie swe strzelby, pistolet i worek z amunicją. Ale gdzie się umieścić? Koła wozu stanowiły słabą osłonę, choć w ostatecznym razie lepszą, niż żadna. Gdyby miał czas, to ustawiłby zasłonę ze skrzyń dość wysoką, aby czuć się bezpiecznym za nią i pod łożyskiem wozu. Zdecydował wreszcie, że lepiej będzie, jeżeli się usadowi w samym furgonie. Pod kozłem jest dosyć miejsca, aby się mógł tam ukryć. Wrzucił więc broń swą do furgonu i sam wspiął się do niego. Nie puszczał przy tym z ręki szkieł kapitana Coucha.

Dyszący ciężko i spotniały, wyjrzał z poza ściany furgonu.

Wielki, ruchomy, czarny krąg zdawał się bardziej zwarty, czy też odleglejszy. Ręka Clinta tak drżała, że musiał oprzeć szkła o kant furgonu. Gdy jednak tego dokonał, wzrok zamglony nie pozwalał mu widzieć wyraźnie. Czuł uderzenia serca, a jednocześnie gwałtowny ucisk w piersi.

A mocne szkła polowe zbliżały widok bitwy tuż przed jego oczy. Widok to był okropny. Pędzące kołem konie Komanczów zdawały się bez jeźdźców, ale wytryski dymu od czasu do czasu i uważniejsze wpatrzenie się wskazywały, że niezrównani jeźdźcy, zawieszeni u boku swych koni, strzelali z pod ich szyj. Pędzący i dymiący wir bez końca! Wnętrze tego koła tworzyło tylko niewyraźną plamę. Znać wszakże było że koło zacieśnia się coraz bardziej.

Nieco na prawo od Clinta widnieli ludzie Coucha, strzelający szybko i cofający się, jak się zdawało, ku obozowi. Gdzie się podziało tych piętnastu jeźdźców, którzy pośpieszyli na pomoc strażnikom? Clint narachował teraz tylko dziewięciu.

Komancze zataczali coraz szybsze i coraz mniejsze koło. Dym, kurz i ruch! Złoto zachodu połyskiwało na jasnych ruchomych kształtach. Mustangi wyskakiwały wysoko i padały. Grzechot wystrzałów słabnął. Nagle na wszystkich tych koniach wirujących ukazali się jeźdźcy z wyciągniętymi w górę rękami i powiewającymi pióropuszami. Wirowanie ustało. Komancze posuwali się teraz tylko do wnętrza koła, podobni do falującej trawy stepowej. Wtem powietrze rozdarł odgłos niski, dziki, okropny — okrzyk bojowy Komanczów, zwiastujący zwycięstwo. Po chwili zaś zawiła ta masa utworzyła pędzącą lawinę koni, głów, grzyw, jeźdźców, rąk, kołpaków pierzastych, strzelb i łuków, podniesionych w strasznej zapowiedzi.

— Ba-a-czność, nadjeżdżają! — zagrzmiał stentorowy, śpiewny głos jednego z przewoźników z szeregu.

Clint ujrzał Coucha i jego ludzi — już teraz jeno siedmiu — pędzących rozpaczliwie ku karawanie. A gdy spojrzał powtórnie, dostrzegł, że Komancze rozciągnęli się w długą linię pościgową.

Clint zsunął się drżący za ścianę furgonu. Szkła wypadły mu z bezwładnej ręki. Zamordowano mu ojca! Cios ten go powalił. Clint uczuł gwałtowną ochotę ukrycia twarzy w rękach, aby nie widzieć już końca. Wstrząsy przerażenia i rozpaczy trzymały go w bezwładzie, zimnego jak lód, jak kawał mięsa lepkiego.

A jednak nie mógł się oprzeć instynktowemu nasłuchiwaniu. Cisza! Przewoźnicy leżeli pod furgonami, ponurzy i milczący. Słaby, niski odgłos tętentu kopyt końskich zabrzmiał mu w uszach. Odgłos ten wzmagał się, przerywany trzaskiem wystrzałów. Inny wszakże odgłos wlał ogień w żyły Clinta: wzmagające się wycie Komanczów! Clint słyszał od kresowców o najprzeraźliwszym z dźwięków ludzkich, okrzyku bojowym tych Indian. Okrzyk ten potężniał, a z nim razem rósł tętent kopyt.

Clintowi włosy powstały na głowie. I w tejże chwili gorące uderzenie krwi przebiegło po nim jak prąd elektryczny. Pochwyciwszy twardą ręką karabin, wystawił go nad ścianę furgonu i spojrzał wzdłuż lufy.

Couch i jego jeźdźcy znajdowali się już blisko, szalenie pędząc w rozsypce. Konie ich rozciągały się nisko w ostatecznym wysiłku

dosięgnięcia karawany. Za nimi pędzili kupą, jak jeden człowiek, Komancze w odległości bodajże stu jardów. Komancze strzelali. Clint widział wytryski dymu, ale nie słyszał wystrzałów, zagłuszonych widocznie przez wrzawę. Celować nie śmiał, gdyż Couch i jego jeźdźcy znajdowali się wciąż jeszcze pomiędzy nim a Indianami. Oto jednak skręcili już na prawo, do wrót pomiędzy wozami.

Nagle ostatni z jeźdźców wyrzucił ręce w górę. Koń jego dał gwałtownie nurka. Wzrokiem bystrym Clint dojrzał okropną bladość na twarzy jeźdźca; gdy zaś jeździec runął głową na dół z siodła — pierzastą strzałę, tkwiącą mu pomiędzy łopatkami. Koń bez jeźdźca popędził dalej.

Grzmot ciężkich karabinów Colta zmieszał się wówczas z wyciem Komanczów. Ze dwie ich setki, a może i więcej, rozszczepiło się teraz w dwa szeregi i rozbiegło na prawo i lewo, aby okrążyć karawanę. Przed oczyma Clinta rozwijał się ten zwykły, groźny manewr wszystkich stepowych Indian. Clint znalazł się obecnie w środku tego koła i usiłował wziąć na cel którego z Indian. Nie widział jednak ani jednego. Pędzili ukryci za karkami swych koni. Chwilami tylko pod szyjami mustangów ukazywały się ciemnoczerwone twarze, strzelby i łuki. Chwilami też wybuchały z pod szyj końskich kłęby dymu lub strzały przeszywały powietrze.

Clint wziął na cel siwego mustanga i chybił! Jakże szybko te konie błyskały przed nim! Zmierzył się więc do drugiego, celując nieco przed łeb, ale znów chybił. Znajdowały się widocznie jeszcze za daleko — może o osiemdziesiąt do stu jardów. Widział jednak, że niektóre mustangi stają dęba i padają. Inne, chwiejąc się, odbiegały. A zatem przewoźnicy strzelali celnie. Nie widział wszakże ani jednego Indianina, spadającego z konia. Po prostu znikali w trawie.

Strzeliwszy siedem razy z Colta, przykucnął, aby nabić ponownie. Miał prócz tego do rozporządzenia ciężką strzelbę na bizony i pistolet. Wrzawa stała się ogłuszająca, gdyż Indianie zacieśniali koło coraz bardziej.

Wysunął wreszcie lufę poza ścianę furgonu i spojrzał w stronę dzikich. Sznur pędzących mustangów znajdował się coraz bliżej, a na grzbiecie każdego widniała czerwona noga. I znów siwy mustang przesunął się przed celownikiem. Clint powiódł lufą za koniem i wypalił. Piękne, dzikie stworzenie rzuciło się konwulsyjnie i padło, a przewróciwszy się na wznak, wierzgało nogami w powietrzu, jeździec zaś jego runął na ziemię jak worek.

— Nareszcie go mam! — mruknął Clint, rozgrzany i spotniały, trzymając mocno w zabrudzonych rękach karabin i czekając, dopóki wysmukły łeb innego mustanga nie znalazł się przed celownikiem. Wówczas pociągnął za cyngiel. Koń runął.

I tak jednego po drugim zwalił jeszcze pięć koni, zadowolony, że przynajmniej część ich jeźdźców uniezdolnił do dalszej walki.

Po tych wystrzałach do połowy już nabił karabin, gdy uczuł, że furgon chwieje się pod nim i ujrzał wyłaniającą się spoza jego ściany okropną pomalowaną twarz, o płomiennych czarnych oczach. W tejże chwili wyrosła spoza ściany naga postać w pasy czarne i białe, a szybka, jak

błyskawica, muskularna ręka wywinęła tomahawkiem. Clint nie miał nawet czasu zasłonić się Coltem. Ogarnął go strach paniczny.

Ale wzniesiony do ciosu tomahawk zatrzymał się i zachwiał, a za Clintem huknął donośnie strzał z ciężkiej strzelby na bizony. Tomahawk wysunął się z ciemnej ręki. Clint odetchnął głęboko i spojrzał w dół. Twarz Komancza zmieniła się niewymownie. Oczy jego spoglądały obłędnie, dziko. Ręką schwycił się za pierś, a gdy padał, Clint ujrzał w samym środku jego ciała okrągły, o sinych brzegach otwór od kuli.

Widocznie jeden z przewoźników, stojący za Clintem, ocalił mu życie. Clint spojrzał w tę stronę. Stał tam Tom Sidel, pochylony, ze strzelbą wysuniętą naprzód, z włosami, sterczącymi jak grzywa, z twarzą poczerniałą od prochu. Dzikie jego, błądzące oczy spotkały się ze wzrokiem Clinta.

— Dosięgnąłem go! — krzyknął tak, że zagłuszył wrzawę bitwy.

Jeżeli co mogło wyrwać Clinta z przestrachu w chwili tak okropnej, to ten widok Toma i stwierdzenie, że to on właśnie zastrzelił Komancza z tomahawkiem. Clint więc przechylił się na drugą stronę furgonu i, skończywszy nabijać karabin, wyjrzał znów na zewnątrz.

Dym i kurz zawisły nad stepem. Nie można było ogarnąć wzrokiem całej przestrzeni frontu. Grzechot wystrzałów wzdłuż linii furgonów stał się wyraźny, co świadczyło, że wycie dzikich zamilkło. I nie było już widać migających się mustangów. Gdy dym się rozproszył, Clint ujrzał Komanczów, zjeżdżających się z obu stron dalej, do miejsca, gdzie inni, piesi, usiłowali znosić na mustangi zabitych i rannych. Widocznie odparci byli z wielkimi stratami i nawet usiłowania ich ocalenia ranionych okazały się beznadziejne, bo jeżeli zdołali nawet którego posadzić na koniu, to jednocześnie ratujący go padali pod zabójczym ogniem przewoźników. Musieli więc w końcu zaniechać tych usiłowań, a odsunąwszy się poza donioskość strzałów, odbyli naradę, bardzo wymowną dla przewoźników, po czym odjechali i znikli za grzbietem wzgórza.

Clint oparł swą broń o kozioł i powstał. Na zewnątrz obozowiska widać było wszędzie zabitych lub poranionych Indian i konie. Wewnątrz koła wozów widok gromadek ludzi, skupionych dokoła postaci rozpostartych na ziemi, okazał mu drugą stronę strasznego obrazu. Jedna z tych gromadek — trzech ludzi, klęczących przy leżącym na ziemi— znajdowała się w pobliżu furgonu Clinta. I Clint ujrzał pobladłą twarz Toma Sidela.

Krzyknąwszy przeraźliwie, zeskoczył z furgonu i padł na kolana obok Toma, leżącego z zamkniętymi oczami, z piersią poczerniałą i mokrą. Z ust sączył się biedakowi cieniutki strumień krwi.

— Tom, Tom! — jęknął Clint głosem rozpaczy, a zwróciwszy wzrok osłupiały na klęczących przy ranionym ludzi, szepnął:

— Powiedzcie, że nie jest ciężko raniony... Przecież on ocalił mi życie... Jeden z Komanczów dostał się na mój furgon... Zamierzył się na mnie tomahawkiem... Nie mogłem się ruszyć... Tom go zastrzelił...

— Buff, — odparł cicho jeden z klęczących — ciężko to wymówić, ale Tom umiera.

— Boże drogi, jakież to straszne!... Tom!

Przejmujący ten okrzyk snadź dotarł do gasnącej świadomości umierającego, bo Tom otworzył oczy dziwnie głębokie, bezdenne, a na ustach jego ukazał się uśmiech.

— Żegnaj... Buff — szepnął.

I światło życia zgasło.

Klęczący ułożyli go, zakryli mu twarz, podnieśli się i odeszli, pozostawiając Clinta, pochylonego nad zwłokami przyjaciela i ściskającego bezwładną jego rękę.

Po tym ostatnim ciosie wszystko zamarło na chwilę w Clincie. Wprawdzie słyszał niewyraźnie i widział ludzi, uwijających się pośpiesznie dokoła, ale było mu to obojętne. Dopiero Maxwell przyprowadził go do przytomności.

— Chłopcze, — rzekł, podnosząc go ręką litościwą. — Było piekło, ale może być jeszcze gorzej. Musimy pośpieszyć do fortu Union, zanim Komancze wrócą. A wrócą z pewnością i wówczas wszyscy zginiemy.

Clint pozwolił się odprowadzić i niebawem mógł już wypełniać rozkazy, w ciągu zaś godziny, która nastąpiła, dowiedział się o rozmiarach katastrofy. Dwudziestu pięciu strażników, a w ich liczbie Belmet i John Sidel, byli wymordowani co do jednego, oskalpowani, obnażeni z ubrań i okaleczeni. Z przewoźników pozostało przy życiu niespełna pięćdziesięciu, a śród nich wielu było rannych.

Na stepie, na zewnątrz karawany, znaleziono sześćdziesięciu dziewięciu Komanczów, z których dwudziestu trzech jeszcze żyło. Niedługo wszakże przeżyli zabitych swych towarzyszów. Konie zabite leżały wszędzie.

Pod kierownictwem Coucha i Maxwella przewoźnicy naładowali najcenniejszymi zapasami i osobistym bagażem siedem furgonów, resztę zaś porzucili. A choć fort Union znajdował się w odległości niespełna dwu dni drogi, to jednak mało mieli nadziei, aby żołnierze z fortu zdążyli uratować sto dwadzieścia cztery porzucone wozy.

Tak się zdarzyło, że furgon Clinta, jako obszerny i nowy, znalazł się wśród siedmiu, przeznaczonych do dalszej podróży. Wyznaczony do niego woźnica, nazwiskiem Saunders, znał i lubił Clinta. Trzasnąwszy z bata, gotów do odjazdu, zawołał:

— Rusz się, Buff, skacz na furgon!

— Więc mam... pozostawić tu Toma... aby go oskalpowano... aby go pożarły kojoty?... Nie, pozostanę tutaj... niech mnie także oskalpują — wykrztusił Clint, szlochając.

Saunders zeskoczył z kozła i, pochwyciwszy koc z pozostawionego ich stosu, zawinął weń ciało Toma i zaniósł je do furgonu.

— Wszystko w porządku, chłopcze! — zawołał. — Zabierzemy je z sobą i pochowamy przyzwoicie. A teraz skacz. Już odjeżdżają!

* * *

Tak skurczona karawana zatrzymała się tylko dwukrotnie w ciągu trzydziestu godzin dla napojenia zwierząt. Ale gdy dojechano do potoku

Mora, trzeba było opatrzyć ranionych, zaryzykowano więc postój w tym miejscu.

Tu Clint pomógł pochować swego przyjaciela wysoko ponad potokiem, w gaju, u podnóża olbrzymiej topoli, po czym pokrył mogiłę kamieniami i chrustem. Był pewny, że ją odnajdzie, jeżeli mu się zdarzy przejeżdżać jeszcze tędy.

Tymczasem jednak nie mógł ani jeść, ani spać, a noce przejmowały go strachem.

Dnia następnego, około południa, znędzniała karawana dowlekła się do fortu Union, wywołując tam wielkie zaciekawienie i współczucie. Na miejsce rzezi wysłano dragonów.

— No, cóż, Buff, jakże tam z tobą? — spytał życzliwie kapitan Couch Clinta przy pierwszej zaraz sposobności zbliżenia się do niego.

— O nic już nie dbam — odparł Clint z rozpaczą.

— Przyznaję, że może tak być teraz. Ale choć to wydaje się bardzo ciężkie, jednak przejdzie. Te kresy to piekło, Buff. Wiesz już o tym. A trzeba być mężczyzną. Oto torba twego ojca. Będzie lepiej, jeżeli ją otworzymy.

W torbie znajdowały się dokumenty osobiste Belmeta, dwa tysiące dolarów, nieco drobiazgów i list, pisany przed paroma laty. Couch przeczytał list i rzekł poważnie:

— Ojciec powierzył cię mojej opiece, dopóki nie osiągniesz pełnoletności. Dobrze, zrobię, co będę mógł dla ciebie. Jesteś, Buff, urodzonym przewoźnikiem, możesz więc podzielić swe losy ze mną. Zachowam te dokumenty i pieniądze dla ciebie.

Maxwell także wyszukał Clinta i okazał mu tyle serca, że Clint uczuł wielką ulgę w swym zupełnym osamotnieniu i przygnębieniu.

— Buff, — mówił Maxwell — masz w sobie ten sam materiał, jaki stworzył Kita Carsona, mnie i samego Frémonta. Wszyscy jesteśmy stratni w tej grze kresowej. Jedni mniej, drudzy więcej. To straszne dla chłopca, jak ty, stracić matkę, ojca i wreszcie przyjaciela.

— Straciłem też... straciłem dziewczę ukochane — jęknął Clint, rozpłakawszy się pod wpływem tej dobroci.

— No, no! — zawołał Maxwell, najwidoczniej wzruszony tymi nieszczęściami chłopca. — Doprawdy — rzekł wreszcie — nie wiem, Buff, co ci powiedzieć. Ale jestem już od lat trzydziestu na kresach i to nauczyło mnie dużo. Mam przyjaciół wśród Indian wszystkich szczepów. Niektórzy z nich są dobrymi ludźmi, choć wielu z mych przyjaciół klnie, gdy to powiem. Nie mogę ci więc poradzić, abyś nienawidził i zabijał Indian... Och, po prostu, pamiętaj o tym dla dobra Zachodu i tych, którzy przyjdą tu za nami.

— Dobrze, panie Maxwell — odparł Clint. — Ja... ja w tym wytrwam.

— Oto charakter! — zawołał Maxwell gorąco. — Nie zawiodłem się na tobie, chłopcze. A teraz, gdy staniemy w Santa Fé, chciałbym, abyś pojechał do mego rancha na zimę. Pojedziesz?

— Dziękuję panu, pojadę — odparł Clint z wdzięcznością.

* * *

Po powrocie dragonów z Punktu Skalnego dowodzący oddziałem sierżant zameldował, że Indianie spalili wszystkie furgony Coucha i że stosy zapasów jeszcze płoną. Na stepie leżało z górą sto zabitych koni, ale ani jednego wołu, ani też zabitego Indianina nie było widać w promieniu całych mil.

## Rozdział X

Clint Belmet pojechał z Maxwellem na jego rancho i spędził tam zimę. Dobrze się stało, że znalazł się pod dobrym wpływem tego człowieka w krytycznej chwili swego życia. Gdy powróciła wiosna, nie wyruszył z Couchem i jego przewoźnikami. Maxwell sprzeciwił się temu. Clint więc spędził na ranchu całą wiosnę, a następnie jeszcze lato i drugą zimę.

Rancho Maxwella dosięgnęło w 1861 r. szczytu sławy i bogactwa. Nie było wówczas i nie było nigdy na całym Zachodzie czegoś podobnego. A i w późniejszych czasach nic nie mogło dorównać nawet w przybliżeniu tej majętności.

Maxwell opuścił w 1822 r. Illinois dla Zachodu i stał się niemal tak wielkim kresowcem jak Kit Carson. Uczestniczył w wojnie z Indianami Navaho i wyszedł z niej kapitanem. Walczył też podczas wojny z Meksykiem, tudzież podczas inwazji Teksasu w 1846 r. Następnie przez cztery lata piastował stanowisko kapitana teksaskiej milicji konnej, po tych zaś latach służby czynnej wycofał się z niej i osiadł na wielkim ranchu, który nabył.

W owym czasie stał się największym właścicielem dóbr ziemskich w Ameryce. Granice posiadłości jego ciągnęły się na północy, wzdłuż wąwozu Raton, na przestrzeni sześćdziesięciu pięciu mil, na zachodzie — wzdłuż Rzeki Czerwonej (Red River), na przestrzeni dwudziestu pięciu, a na wschodzie — wzdłuż rzeki Cimmaron, na przestrzeni około piętnastu. Od południa rozciągał się step otwarty. Odległy o dwadzieścia dwie mile fort Union był najbliższą osadą ludzką.

Zwykle Maxwell zatrudniał od czterystu do pięciuset Meksykan. Uprawiał kukurydzę, owies, pszenicę oraz wszelkiego rodzaju jarzyny w ilościach ogromnych. Posiadał młyny konne i dostarczał mąki białej i ciemnej fortom i osadom.

W 1861 r. nie znał dokładnie liczby swego inwentarza żywego, oceniano ją jednak na czterysta tysięcy owiec, pięćdziesiąt tysięcy bydła rogatego i dziesięć tysięcy koni. Mułów i osłów nie próbował nawet liczyć.

Ponadto był właścicielem największego posterunku handlowego i największego składu zapasów wszelkiego rodzaju na Zachodzie. Utrzymywał stosunki przyjazne tak z białymi, jak i z Indianami i Meksykanami. Nie miał wśród nich choćby jednego wroga. Indianie nazywali go ojcem Maxwellem. O każdej porze roku setki Indian obozowały na jego ranchu, na wiosnę zaś, gdy rozpoczynał się handel

futrami, było tam tysiące Indian. Białych zaś traperów, myśliwych, przewoźników, stepowców — jak żołnierzy w twierdzy.

Główny budynek mieszkalny Maxwella przypominał raczej fort, otoczony białymi murami, niż mieszkanie jednego człowieka. Typu budowli hiszpańskich, długi, niski, malowniczy, posiadał wzdłuż całego frontu krużganek, z którego rozpościerał się jeden z najpiękniejszych widoków na Zachodzie, czarujący zawsze licznych gości „pułkownika", jak zwali Maxwella przyjaciele.

W jadalni tego dworu mogło zasiąść i często też zasiadało przy stolach do stu osób. W domu i kuchni gospodarowały stare, doświadczone Meksykanki, których kwatery były zupełnie odosobnione od kwater męskich. Nigdy żaden z gości Maxwella nie widział u niego kobiety! Do stołów usługiwali meksykańscy chłopcy, czyści, zręczni, mówiący dobrze po angielsku.

Poza dworem rozpościerał się wspaniały gaj topolowy, w którego cieniu kryły się najrozmaitsze budynki. Warsztaty: ciesielski, kowalski, szewski, tkacki, rymarski — świadczyły o samowystarczalności Maxwella. Poza gajem znajdowały się stodoły i stajnie, korrale i liczne szopy — wszystko białe i czyste, a za niemi ciągnęły się pastwiska na przestrzeni pięćdziesięciu mil aż do zboczy górskich.

Na wiosnę tego roku pułkownik Maxwell bardzo był zajęty zasiewami, czego musiał dopilnować osobiście, tylko bowiem pod jego okiem meksykańscy pracownicy rolni sprawowali się dobrze. A ponieważ grunt był wyniosły i nienawodniony, należało skończyć zasiewy wcześnie, aby mogły korzystać z deszczów wiosennych.

Na polach, w dolinie, obozowało razem dwa tysiące Indian, a choć należeli do różnych, często wrogich sobie szczepów i z pewnością o innej porze roku staczaliby walki, teraz, na wiosnę, jednoczył ich handel skórami i futrami.

Wielkie podwórze przed składem stało się też z tego powodu dla Clinta prawdziwym, czarującym cyrkiem o nieskończonej rozmaitości programu. Clint często pracował w składzie; ponieważ jednak dopiero rozpoczynał naukę języków indiańskich, nie stawał więc jeszcze za ladą sklepową.

Za stołem w jadalni Maxwella zasiadało ze dwudziestu traperów, czterdziestu wodzów różnych szczepów oraz z tuzin, albo może i więcej oficerów. Pędząca Chmura, wódz Jutów, zajmował miejsce honorowe, po prawej stronie Maxwella. Clint siedział po lewej stronie, bo wszystkim było wiadomo, że pułkownik traktuje go jak syna. Spoglądanie poprzez stół obficie zastawiony na wielkiego wodza sprawiało Clintowi przyjemność wprawdzie niezwykłą, ale i wątpliwą. Pędząca Chmura miał postawę majestatyczną, nie odznaczał się jednak pięknością rysów. Twarz jego przypominała jastrzębia. Nie można było dowieść temu wodzowi Jutów jakiejkolwiek zbrodni, na kresach jednak krążyły pogłoski, że wymordował niejedną karawanę. W każdym razie to było pewne, że nigdy nie napadał na karawany Maxwella.

Oficerowie, siedzący przy stole, należeli do trzech kompanii wojska, rozłożonych w sezonie handlowym w dolinie San Fernando, leżącej pomiędzy ranchem Maxwella a Taos. W dolinie tej mieszkało, przynajmniej

podówczas, dziesięciu dobrze znanych renegatów białych, pożenionych na sposób indiańskich ze skwaw Jutów, Pawnisów i Arapahów i wyrabiających wódkę, którą sprzedawali Indianom. Oddziałowi wojska, obozującemu w dolinie, nakazano położyć tamę temu zakazanemu handlowi, co jednak nie miało wielkiego powodzenia.

Jedną z wielu cnót pułkownika Maxwella stanowiło to, że nigdy nie sprzedał Indianinowi kropli wódki, a nawet nigdy Indianina wódką nie poczęstował. Jeżeli zaś na jego gruntach ukazał się gdziekolwiek podchmielony biały, to natychmiast wypędzano go poza granice posiadłości pułkownika.

Dnia 16-go maja przybyła pierwsza karawana ze Wschodu. Clint był obecny, gdy kierownik tej karawany, Dagget, stanął przed Maxwellem, aby zdać mu raport. Był to typowy przewoźnik: krępy, brodaty, opalony, zahartowany, zakurzony i woniejący końmi.

Przybycie tej pierwszej karawany wywołało naturalnie powszechne zaciekawienie. Otoczono Daggeta. Przewoźnik opowiadał, a wszyscy słuchali go z wzrastającym zaciekawieniem, które zapierało dech w piersiach.

Wybuchła wojna Północy z Południem. To, co tylko wydawało się dotychczas pewnością, stało się teraz faktem. — Unia walczyła wprost o swe istnienie. Ubiegano się o żołnierzy. O używaniu ich do eskortowania karawan przez stepy nie mogło być mowy. Wzrastała trudność znalezienia przewoźników za znaczniejszym nawet wynagrodzeniem. Rząd zabierał żołnierzy z Kansas i Nebraski do wzmocnienia załóg twierdz. Komendant wojsk unijnych w forcie Leavenworth, jenerał Hunter, ogłosił odezwę do wszystkich stanów i terytoriów wiernych rządowi, wzywając je do werbowania ochotników.

— Na Boga! — krzyknął Maxwell, a oczy jego zajaśniały jak błyskawice. — Więc mamy wojnę!... Nowy Meksyk gotów oderwać się od Unii!... Oj, będzie tu na kresach piekło! Muszę się widzieć z Kitem Carsonem.

— Pułkowniku, — odezwał się chytrze Dagget — sądzę, że i tutejsi Meksykanie nie bardzo ułatwią nam sytuację?

— Nie, nie ułatwią jej — odparł Maxwell stanowczo. — Wprawdzie za moich ręczę. Ale ci z Taos i fortu Union dostarczą Indianom broni i amunicji, obiecają skalpy i rabunek...

— Utrudni to przewoźnictwo — zauważył Dagget. — A już w roku ubiegłym było więcej towarów do przewiezienia, niż mogliśmy podołać.

— Tak, Dagget, w tym roku będzie gorzej. Mam z górą sto wozów ładunku. Ile przyprowadziłeś teraz?

— Największą karawanę ze wszystkich, jakimi dotychczas kierowałem. Sto czterdzieści dwa furgony.

— Były straty?

— Nie. Przedarliśmy się szczęśliwie. Nad potokiem Krowim zaskoczyli nas Pawnisowie, ale rozproszył ich ogień naszego działa. W pobliżu wyspy Widmowej mieliśmy starcie z Komanczami. Nie czatowali jednak na nas, lecz polowali na bizony. Następnego dnia zatrzymało nas stado bizonów.

Upłynął cały dzień, zanim przeszło. Jakoś wcześnie w tym roku ciągną na północ.

— Bo też mamy wiosnę wczesną. Czy znajdowały się w twej karawanie jakie inne wozy, prócz towarowych?

— Owszem. Spotkaliśmy niewielką karawanę „szkunerów preriowych”, dążącą z Teksasu. W Timpas przyłączyła się do naszej. Było to kłopotliwe, gdyż znajdowały się w niej kobiety i dzieci.

— Masz rację, niemały to kłopot. No, ale dobrze się stało, żeś je szczęśliwie przyprowadził. Gdzież jadą?

— Santa Fé i Kalifornia. Radbym odpocząć tu z tydzień lub dwa i odkarmić zwierzęta. Mam pięćdziesiąt furgonów towarów dla pułkownika.

— Doskonale! Bardzo mi już ich potrzeba. Kiedy możecie rozpocząć wyładunek?

— Sądzę, że jutro. A jakże tu — pastwiska?

— Nigdy nie były lepsze.

— Dobrze. Potrzebuję też owsa i żywności dla ludzi. Już się nam wyczerpała. W każdym razie dużo świeżego mięsa.

— A przyjdź dzisiaj do mnie na obiad i przyprowadź, kogo zechcesz. Chciałbym usłyszeć więcej o wojnie.

* * *

Oczywiście, że wszyscy na ranchu Maxwella pragnęli wiedzieć coś o wojnie. Wszyscy o niczym innym nie mówili, gdyż wojna oznaczała nieobliczalne zmiany w życiu i komunikacji na kresach. Zapomniano na razie o grze, o sprzedażach, o handlu futrami, o zakupach w składzie Maxwella.

Clint, żywo zainteresowany, chodził od grupy do grupy i słuchał. Przewoźnicy, jako całość, podnieceni byli widokiem zdwojenia swych zarobków, z drugiej wszakże strony przerażała ich myśl o konieczności przewozu towarów przez stepy bez eskorty wojskowej.

Couch był rozpromieniony. Tragedia wojny nie sprawiała na nim wrażenia.

— Oznacza to — mówił, zacierając opalone ręce — lepszy dla nas interes. Zdwoimy nasze karawany, uzbroimy je w działa i sprawimy piekło czerwonoskórym.

— No, ale, naczelniku, — zapytał jeden z młodszych przewoźników — przyznasz chyba, że my młodzi mamy trudny wybór?

— Na przykład?

— Czy zaciągnąć się do wojska i do którego wojska?

— Nie — odparł Couch z szybkością zadziwiająca, która dowodziła, że kwestię tę już rozstrzygnął w swym umyśle. — Na nas, przewoźników, spada odpowiedzialność i obowiązki takie same, jak na żołnierzy. Jeżeli wszyscy zaciągniemy się do wojska, to cóż się stanie z fortami i osadnikami? Dużo osadników ciągnie obecnie na zachód. Jeżeli forty będą opuszczone, to osadnicy pozostaną bez opieki. Indianie ich wymordują... Nie martw się, Bill, o wybór. Naszym obowiązkiem jest wytrwać na stanowisku.

Maxwell pogładził jedwabistą brodę i skinął piękną głową.

— Chłopcy, — rzekł — w słowach Coucha jest dużo sensu. Sądzę, że poprę je bez ogródek. W każdym razie trzeba je omówić i rozważyć wszechstronnie. Jest to jeden z powodów, dla których pragnę zobaczyć się z Kitem Carsonem.

Wkrótce potem Jim Couch natknął się na Clinta, przysłuchującego się jednej z gromadek, rozmawiających przed składem Maxwella.

— Jak się masz, Buff! Czemu tak spoważniałeś dzisiaj? — spytał.

— Sądzę, że dzisiaj każdy ma poważną minę — odparł Clint.

— Słuchaj — oświadczył na to Couch. — Traktowałem cię, jak dorosłego człowieka. Bo jesteś niewątpliwie dużym, zahartowanym mężczyzną, ale brak ci jeszcze cokolwiek do pełnoletności, do tego zaś czasu jesteś pod moją opieką. Wiesz?

— Wiem. Ale nie chcielibyście chyba — zaprotestował Clint — zmusić mnie do czegoś niezgodnego z mymi uczuciami?

— Bynajmniej. Wprawdzie twój ojciec zostawił cię pod moją opieką, ale gdybyś przeciwko niej wierzgał, to — trudna rada — byłoby po twojemu. Mam jednak nadzieję, że posłuchasz nas, starszych. Maxwell mnie popiera, możesz się go spytać.

— Słyszałem jego słowa.

— Otóż, Buff, — ciągnął Couch poważnie — możesz uczynić dużo dla Unii, a więcej jeszcze dla Zachodu, jeżeli pozostaniesz przewoźnikiem. Mam kilka tysięcy dolarów, które należą do ciebie i złożę je w banku, gdy tylko staniemy w Kansas City. Kilka następnych lat będzie dla nas bardzo korzystnych i pewnego dnia będziesz mógł osiąść na ranchu w tych stronach... Tylko się trzymaj Jima Coucha.

— Ciągnie mnie w obie strony, wuju Jimie, ale przyznam, że muszę pozostać przy was, bo tak życzył sobie mój ojciec — odparł Clint spokojnie i odszedł.

Pomimo to wszakże Clint jeszcze się nie zdecydował. Czuł silne przywiązanie patriotyczne do Unii. Ojciec jego przewidział tę walkę Północy z Południem. Często mówił o niej Clintowi i dowodził obowiązku popierania Północy. Clint niezupełnie podzielał zdanie Coucha i Maxwella, że na przewoźnikach spoczywa taka sama odpowiedzialność, jak na armii. Postanowił rozmówić się więc z Kitem Carsonem.

Rozmyślając tak, przekroczył grzbiet wzgórza, aby oddalić się od tłumu. Pragnął być sam jeden, a nie czuł się samotny, dopóki miał przed oczyma dwór Maxwella, obozowisko Indian i karawanę przewoźników. Wspiąwszy się na pagórek, znalazł tam pod jednym z cedrów miejsce, z którego rozpościerał się widok na szarą przestrzeń rancha i na krainę białoczarną czarodziejskiego płaskowzgórza Nowego Meksyku.

Od północy widniały śnieżne szczyty gór Skalistych, a marmurowe ich zbocza zbiegały do pasma lasów, z którego znów lasy i wąwozy ciągnęły się w dół, aż do trawiastych równin. Słoneczny dzień majowy był ciepły i przyjemny, ale tchnienie zimnego, czystego powietrza górskiego sięgało aż do Clinta.

Od południa i wschodu, poprzez smugi cedrów, pinii i trawy, rozpościerała się przysłonięta mgłą błękitną próżnia, próżnia przestrzeni. Tkwił w niej czar wielkich równin.

A w tym okresie życia, z którego wagi nie zdawał sobie sprawy, te wielkie równiny, porosłe szarą trawą, poprzecinane purpurowymi wzgórzami oraz krętymi liniami wierzb i topoli, ojczyzna bizonów i Indian, pociągały go ku sobie z siłą niewytłumaczoną, olbrzymią. Czuł wszakże, że mógłby się ich wyrzec dla dobra swego kraju, gdyby kraj ten wymagał, aby stanął do walki. Wszak nie miał ani ogniska domowego, ani rodziny, oprócz kilku krewnych tam, w dalekim Illinois, krewnych, nie odnoszących się przyjaźnie ani do niego, ani też do jego rodziców. Nie miał też nikogo, kim mógłby się zająć, dla kogo mógłby pracować. Gdyby przynajmniej maleńka May Bell nie zginęła!

Clint musiał użyć wysiłku woli, aby oderwać się od tego smutnego i słodkiego zarazem wspomnienia. Tym bardziej, że przed jego oczyma stanęła May, taka, jaka byłaby dzisiaj. Dziewczę szesnastoletnie, najpiękniejsze, zapewne, na świecie...

W każdym razie, gdyby przeżył wojnę, mógłby wrócić tu, na Zachód, do życia kresowego. Boć ostatecznie bodaj czy większe były szanse, że zginie z rąk powstańców na Wschodzie, niż z rąk Indian na Zachodzie. Zastanowiła go też myśl, że straszne byłoby zabijać ludzi białych, którzy mu żadnej nie wyrządzili krzywdy, natomiast myśl zabijania Indian wywoływała w nim tylko gorący dreszcz. Czy nie ma sposobu, aby wyrósł na takiego przyjaciela wszystkich Indian, jak Maxwell? Być może, ale wielkiemu kresowcowi Komancze nie zabili ani matki, ani ojca, ani też ukochanego dziewczęcia.

Tak dumając, spędził kilka godzin i wreszcie, wciąż niezdecydowany, powrócił na rancho około południa, tj. w chwili, gdy panował tam największy ruch.

Szeroka droga, wiodąca z dworu do składu, podwórze, długi krużganek mieniły się barwami Indian, Meksykan i gości karawanowych. Wśród tych ostatnich nietrudno było poznać członków karawany Daggeta, a zwłaszcza grupy Teksańczyków, w której znajdowały się kobiety i dzieci, zwracające na siebie powszechną uwagę, szczególnie zaś Indian i traperów.

W składzie panował już ruch większy, niż z rana. Clint wmieszał się pomiędzy klientów. Uwagę jego zwrócił jeden z Teksańczyków ze względu na niezwykły wzrost, mierzył bowiem siedem stóp, jasnowłosy i niebieskooki, zadziwiający typ pioniera stanu Samotnej Gwiazdy. Clint nie był małego wzrostu, czuł się jednak mały wobec tego olbrzyma.

Dwu kędzierzawych chłopców, z których jeden liczył około pięciu, a drugi około siedmiu lat, siedziało na pace, mając usta zapchane cukierkami, najwidoczniej pierwszymi od długiego czasu. Zachwyt, z jakim obaj się rozglądali, zabawił Clinta. Jakże dalekie musiały być myśli tych malców od trudów i niebezpieczeństw życia kresowego!

Następnie więcej, niż przelotne zaciekawienie wzbudziły w Clincie dwie młode kobiety, robiące zakupy. Zatrzymał się, aby usłyszeć ich głosy. Obie wydawały się podniecone i szczęśliwe ze znalezienia się w tym miejscu

ludnym i bezpiecznym, i z pewnością myśli ich odbiegały w tej chwili daleko od surowej doli pionierskiej.

Oto jednak inne jeszcze, zapewne także z tej teksaskiej karawany, weszły do składu. Na całej tej przestrzeni na zachód od Kansas City Clint nigdy nie widział tylu kobiet i dziewcząt razem. Policzył je. Dziewięć! Miał ogromną ochotę przemówić do nich, ale był bojaźliwy. Nie śmiał nawet skorzystać z przyjaznych spojrzeń, jakie rzucały na niego. A czuł, że się nim interesują, przypisywał to jednak raczej swemu ubraniu ze skóry jeleniej i pistoletowi, który nosił za pasem.

Jedna wszakże z młodych kobiet zachichotała i rzekła do swej towarzyszki dość głośno, aby mógł dosłyszeć jej słowa:

— Patrz, to jeden z tych traperów. Czy nie ładny chłopiec?

Clint zaczerwienił się i ruszył dalej. Pochlebiało mu to, że wzięto go za trapera, druga jednak część komplementu tak go zakłopotała, że postanowił skład opuścić.

Zawrócił więc ku wyjściu i w tejże chwili spotkał się ze spojrzeniem pięknych, ciemnych piwnych oczu, pod którego wpływem zadrżał.

Do składu wchodziła młoda dziewczyna w towarzystwie starszej kobiety i rosłego, młodego mężczyzny, drugiego Teksańczyka.

Dziewczyna także drgnęła, zapewne dlatego, że Clint omal jej nie potrącił.

— Słuchaj no, traperze, uważaj, gdy idziesz! — wycedził Teksańczyk tym zimnym, przeciągłym akcentem południowca, który Clint znał tak dobrze.

— Przepraszam — bąknął Clint i usunął się z drogi.

Ale nie opuścił już składu. Okrążył go i, stanąwszy w głębi, poszukał wzrokiem tej nowej teksaskiej grupy. Nie zdawał przy tym sobie w zupełności sprawy, że ogarnia go jakieś nieznane uczucie.

Wkrótce wyśledził dziewczynę. Miała na głowie mały kapturek, związany pod brodą, i ubrana była w niebieską suknię, długą i obszerną, która jednak nie mogła ukryć wdzięku jej kształtów. Spod kapturka widniały połyskujące kasztanowate włosy. Nie interesowała się zakupami, widocznie towarzysząc tylko starszej kobiecie i Teksańczykowi. A człowiek ten trzymał się jej tak blisko, jakby należała do niego, co, o ile Clint mógł zauważyć, nie sprawiało pannie przyjemności.

Na jej opalonej, złoto-śniadej twarzy, o delikatnym profilu, przeświecały rumieńce. Clint miał nadzieję, że się odwróci tak, aby mógł znów ujrzeć jej oczy. Rozglądała się po składzie i rzeczywiście po chwili odwróciła się tak, że miał przed sobą w pełni jej twarz. Była to twarz nie tylko ładna, ale w jakiś nieokreślony także sposób dziwnie znajoma, jak twarz dziewczęcia, widzianego we śnie.

W końcu wszakże Clint doszedł do wniosku, że jest tylko sentymentalnym głupcem. Przecież od lat już nie rozmawiał z żadną dziewczyną! Ruszył więc z miejsca, ale czuł, że ta twarz pociąga go natrętną siłą. Pragnął mocno spojrzeć na nią raz jeszcze i to z bliska. To go zaniepokoiło, ale argumentując sam z sobą, doszedł wreszcie do wniosku — co go może obchodzić ta dziewczyna!

Pomimo to jednak nie opuścił zaraz składu, a gdy ponownie rzucił ukradkiem okiem, zupełnie instynktownie, w stronę dziewczyny, spostrzegł, że tłum, oddzielający go od niej, zrzedniał i że panna wpatrzona jest w niego. Czerwone jej wargi rozchyliły się nieco. Pochwycona na gorącym uczynku poczerwieniała, wzrok jej zawahał się i spuściła oczy. Wnet jednak znów je podniosła. Na twarzy jej nie było uśmiechu.

Clint stracił nagle w sposób niewytłumaczony ochotę opuszczenia składu. Zdawało mu się, że ma mokasyny pełne ołowiu. Wzrok jego odchylał się czasem, ale powracał zawsze do tego samego punktu, jakby przyciągany magnesem. Panna wpatrywała się wciąż w niego, ale teraz inaczej. Twarz jej pobladła. W spojrzeniu jej łączył się dziwny wyraz kłopotliwego pragnienia ze zdumieniem i niecierpliwością. Clintowi zaparło coś oddech w piersiach, targnęło sercem. Dziewczę to nie patrzało na niego tak, jak inne młode kobiety.

Zdawało się, że chce ruszyć ku niemu, ale towarzysz jej powstrzymał ten ruch impulsywny. Clint dostrzegł, że Teksańczyk przemawia do niej nagląco i lekkim ruchem wskazuje na niego. Ale panna nie przyjmowała słów swego towarzysza pokornie. Głowa jej podniosła się, a podbródek przechylił i bez względu na to, co mówiła, Clint pragnąłby usłyszeć jej słowa. Jednocześnie uczuł nagły, niewytłumaczony wstręt do tego Teksańczyka. A może to była jego siostra?

Clint zareagował na tę sytuację w sposób zupełnie dla siebie niezrozumiały. Wiedział, co robi, gdy wolnym krokiem ruszył ku tej grupie i zbliżył się do niej, ale dlaczego — tego nie wiedział najzupełniej. Czuł tylko, że nie będzie w stanie odpowiedzieć za skutki, jeżeli dziewczyna znów spojrzy na niego.

A spojrzała. Clint znajdował się już dość blisko, aby pochwycić natężoną, przeszywającą badawczość jej wzroku, którym, zdawało się, usiłuje przejrzeć go na wskroś.

W tejże chwili przesunął się obok niej, zdążając ku wyjściu, jeden z przewoźników Coucha, Sam Black. Dziewczyna bez namysłu zwróciła się ku niemu. Teksańczyk pochwycił ją za rękę.

— Proszę puścić! — zawołała wyraźnie i energicznie, a gdy ją puścił, przemówiła do przewoźnika.

Clint nie dosłyszał jej słów, ale domyślił się, że tyczą się jego osoby i od razu wszystkie te niepojęte uczucia, jakich doznawał, zjednoczyły się w nim w jedno — w szaloną niepewność.

Black wysłuchał dziewczyny i, uśmiechając się, spojrzał w kierunku, który wskazywała.

— Panience chodzi o tego młodego w jeleniej skórze? — spytał tak głośno, że wszyscy dokoła usłyszeli to pytanie.

Dziewczyna skinęła szybko głową, a twarz jej oblał rumieniec.

— Oczywiście, że go znam. Cha, cha! Jakżebym go nie znał, przecież należy do naszego zespołu. To — Buff Belmet.

Z ust dziewczyny wyrwał się lekki okrzyk, zanim zdołała zakryć usta ręką. Oczy jej rozszerzyły się, pociemniały i wpatrzyła się w Clinta z takim

podziwem, że serce mu zadrżało, choć nie mógł spojrzenia tego zrozumieć.

Posunęła się ku Clintowi. Bliżej i bliżej, a połyskujące jej oczy mieniły się teraz nadzieją, radością i strachem.

— Buff... Belmet!.. Kim pan jest? — spytała szeptem.

— Buff, to przezwisko — wyjąkał Clint. — Na imię mi Clint.

Wyciągnęła przed siebie drżącą, drobną rękę, jakby chciała go dotknąć, przekonać się, czy jest z krwi i kości, wnet jednak cofnęła ją i przycisnęła do piersi. Rumieniec znikł z jej twarzy, pozostawiając ją białą, jak perła.

— Clint... czy mnie... nie znasz? — spytała głosem drżącym.

— Twoje oczy... twój głos! — wykrztusił Clint niedowierzająco.

— Och, widzę, że mnie poznajesz! — krzyknęła, a z oczu jej trysnęły łzy, zaćmiewając wzrok radosny.

— Panienko, — wybuchnął Clint głosem zdławionym — przypominasz mi kogoś... ale przecież, na miłość Boską, nie możesz być...

— Tak, mogę! — zawołała szybko. — Jestem May Bell!

## Rozdział XI

Clint w żaden sposób nie mógł pojąć, jak to się stało, że May znalazła się w jego objęciu. Stało się jednak, tak, stało się, przycisnął ją do siebie, a serce jego uderzało o jej piersi, gdy nachylił twarz ku jej twarzy. I dotknął twarzą jej włosów, a następnie wilgotnego od łez policzka.

Coś mu wzrok zaćmiło, czuł jednak, że się do niego przytula, że zawisła mu na ramionach.

— Clint, Clint! — wołała. — Oh, dzięki Bogu! Wiedziałam, że żyjesz!

— A ja sądziłem, żeś umarła — szepnął Clint, jak odurzony.

— Jestem jak najzupełniej żywa! — odparła mu również szeptem i wargi jej, miękkie, ciepłe i drżące, przycisnęły się w pocałunku do jego policzka.

Ale radość Clinta trwała krótko. Twarde ręce schwyciły go za ramiona i oderwały od May tak gwałtownie, że byłby upadł, gdyby nie stos skrzyń, stojący w pobliżu. W tejże chwili zamglone oczy jego przejrzały, uczuł w nich ogień.

To Teksańczyk tak go odepchnął. Clint pochwycił błyskawiczne spojrzenie jego niebieskich oczu, a zanim zdołał się wyprostować, ta sama twarda ręka, otwarta, uderzyła go dłonią w poprzek ust, tak że się zachwiał ponownie i oparł się o skrzynię. Ból w połączeniu z innymi wrażeniami doznanymi odebrał mu przytomność umysłu.

Nagle stanęła przed nim zwrócona twarzą ku Teksańczykowi rosła postać.

— Słuchaj — zabrzmiał głos donośny i gniewny. — Za coś uderzył tego chłopca?

Clint poznał głos Coucha, za Couchem zaś ukazała się wyniosła postać Maxwella, wtrącając się do zajścia.

— Jestem Maxwell — rzekł kresowiec tonem zimnym, tnącym. — Ten chłopiec jest moim gościem. Wytłumacz się, dlaczegoś go uderzył?

Słowa te bynajmniej nie zmieszały, ani też nie onieśmieliły Teksańczyka. Spoglądał na obu pytających z zimną pogardą.

— Jeżeli to was obchodzi, — zaczął — to trzasnąłem go w piękną gębę...

Nie skończył jednak, bo Couch powalił go uderzeniem pięści na ziemię. I wówczas dopiero najwidoczniej Couch ujrzał dziewczynę.

Blada, z szeroko otwartymi oczyma, spoglądała to na Clinta, to na powalonego Teksańczyka, to znów na Clinta. Wielki skład zaległa cisza. Słychać było tylko szybkie kroki zbiegających się ludzi.

Couch spoglądał na dziewczę i pochylił się, aby przyjrzeć mu się bliżej.

— Panienko, czy to z twojej przyczyny? — spytał, wskazując na Clinta.

— Tak... panie — odparła chwiejnym głosem.

— Ale słuchaj, panienko, czy ja cię nie znam? — spytał nagle, podniecony.

— Być może, panie. Ja znam was, panie Jim Couch.

— A niech mnie! — wybuchnął Couch, ujmując ręce, które ku niemu wyciągnęła. — Przecież, że znam cię, panienko!... Twój głos zgadza się z twym wzrokiem... Ja nigdy nie zapominam twarzy ludzkich... Jesteś tą małą dziewczynką o dużych oczach, która opuściła mą karawanę w Council Grove. Całe lata temu... Jesteś córką Jima Bella.

— Tak. Jestem May Bell — odparła z na poły smutnym uśmiechem.

— A więc odżyłaś, mała May Bell, a myśmy myśleli, że już nie żyjesz, albo, że się stało z tobą coś jeszcze gorszego. I wyrosłaś na młodą kobietę, a do tego potężnie ładną... Doprawdy, nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy.

Tymczasem Teksańczyk stanął dość chwiejnie na nogach i znać było, że mu się nie podoba taki obrót sprawy.

Maxwell znów odezwał się do niego:

— Przybyszu, nie wytłumaczyłeś się ze swego czynu.

Na ładną twarz Teksańczyka wystąpił wyraz najwyższej złości, skierowanej, jak się zdawało, głównie przeciwko Clintowi, nie odpowiedział jednak Maxwellowi i bez słowa utorował sobie śród ciekawych widzów drogę ku wyjściu.

— Maxwell, — zawołał Couch, ciągnąc May ku kresowcowi — oto mamy jedną z tych pięknych niespodzianek Zachodu! Ojciec tego dziewczęcia przyłączył się przed laty do mojej karawany w Independence. Tego samego roku Buff ze swym ojcem ruszyli ze mną w drogę... Bell porzucił nas w Council Grove, a następnie puścił się w drogę powrotną na Wschód. Ale towarzystwo jego wymordowali w całości Indianie i, jak powiadano, córka Bella była przez nich wzięta do niewoli... Tymczasem oto ta mała May Bell stoi przed nami.

Maxwell ukłonił się dworsko dziewczęciu i uścisnął jego rękę w obu swoich gorąco.

— Panno Bell, — odezwał się — jestem doprawdy szczęśliwy, że mogę cię poznać, boć kresy nieczęsto sprawiają nam tak miłe i piękne, jak ta, niespodzianki.

— Dziękuję panu — odparła May nieśmiało.

— Buff, — wtrącił Couch — chodźże tutaj!

A gdy Clint podszedł, to czerwieniąc się, to blednąc, mówił dalej:

— Chłopcze, widziałem dobrze, jak ty i May spoglądaliście na siebie, jak... jak...

Tu Couchowi zabrakło dowcipu. Clint stał oniemiały, przestępując z nogi na nogę. Maxwell roześmiał się, jakby domyślając się, co Couch chciał powiedzieć, i położył rękę na ramionach Clinta. Wówczas May Bell pośpieszyła na ratunek Clintowi.

— To ja... ja pierwsza ujrzałam Clinta, jeszcze na dworze, — zaczęła tłumaczyć się gorączkowo, zawstydzona, ale odważna w pragnieniu

usprawiedliwienia chłopca przed jego przyjaciółmi — a potem tutaj. Poznałam go, ale nie chciałam wierzyć swoim oczom i... i wciąż wpatrywałam się w niego. I sądzę, że wówczas on się mną zainteresował. Zapytałam potem jednego z przewoźników, czy go zna. Znał go... i nazwał Buffem Belmetem... Potem podbiegłam do Clinta... i... i nie wiem, co się potem stało... ale Lee rozłączył nas... i uderzył Clinta.

— Aha! No, teraz zaczynam rozumieć. Żałuję, żem uderzył tego Lee. Zważywszy jednak... no, i nie widziałem ciebie, panienko. Gdybym był widział, to przyznam się, że byłoby lepiej... Ale nie! Uderzył Buffa, a Buff jest tak, jak moim synem.

Widoczne było, że Couch nie wie, jak wybrnąć. Zakłopotanie Clinta wzrosło niemal do wstydu. May znów pobladła, jakby pod wpływem milczącego pytania, które dostrzegła w oczach Clinta. Ale Maxwell zrozumiał całą przykrość tej sytuacji i, nachyliwszy się do May, spytał cicho:

— Zupełnie to — naturalne, że panienkę i Buffa uszczęśliwiło to spotkanie. Ale czy ten Lee miał jakie prawo was rozłączać i... uderzyć Buffa?

— Nie! — zawołała, a to jedyne, wyraźne słowo zadźwięczało głośno.

Gdy jednak je wymówiła, oczy jej odbiegły od Clinta, a fala czerwieni zalała bladość jej poważnej twarzy.

— Doskonale — odetchnął Couch głęboko z widocznym uczuciem ulgi. — A teraz, gdy sprawa ta jest załatwiona, powiedzże nam, z kim tu jesteś.

— Z dobrymi, drogimi przyjaciółmi, którzy są dla mnie wszystkim — oświadczyła May, rozglądając się dokoła.

Tłum poruszył się, przerywając dotychczasową ciszę zaciekawienia.

Żwawa, o wyglądzie matki kobiecina, rumiana i uśmiechnięta, widocznie tylko oczekiwała na tę chwilę, gdyż odezwała się natychmiast głosem serdecznym:

— Tu jesteśmy, May! — i pulchnym łokciem trąciła stojącego obok siebie wysokiego mężczyznę.

May odbiegła od przewoźników, aby wpaść od razu w rozwarte ramiona poczciwej kobiety.

— Oto pan Couch — rzekła radośnie. — A to jego przyjaciel, pan Maxwell, jak sądzę, a to... jest Clint.

— Panowie, a ja jestem Sara Clement — zawołała na to towarzyszka May — i, doprawdy, cieszy mnie, że was wszystkich widzę... Jim Couch, nazwisko wasze słyszałam powtarzane w ciągu lat długich... I was, Lew Maxwell, znam także... A więc ten oto chłopiec był towarzyszem zabaw May na stepach... Clint Belmet!

Przy tych słowach podała rękę Clintowi, wpatrując się w niego bystrymi, przenikliwymi oczyma kobiety, znającej mężczyzn.

— Nie jesteś już — ciągnęła — owym małym chłopcem, o którym opowiadała nam May przez całe te lata. Jesteś mężczyzną. Ale podoba mi się twoja twarz.

Clint coś mruknął, a jednocześnie Maxwell wtrącił:

— Sara Clement?... Czy nie jest pani czasem kuzynką Hala Clementa, który służył ze mną w wojnie meksykańskiej, a następnie w teksaskiej milicji konnej?

Wysoki towarzysz kobieciny zsunął w tył swe sombrero, odsłaniając twarz o rysach niezwykłych, której nie byłoby możliwym zapomnieć.

— Jak się macie, kap! — rzekł krótko i wyciągnął leniwie długą rękę.

— Na wszystkie świętości, toż to Hal Clement! — huknął Maxwell donośnie i rzucił się ku Clementowi z żywością niezwykłą u chłodnego kresowca.

— Jim, Buff, — wołał, a oczy jego połyskiwały radośnie — podajcież ręce memu staremu towarzyszowi broni, Hallowi Clementowi! Towarzyszowi także Kita Carsona w owych dawnych teksaskich czasach. To były czasy!... Doprawdy, ludzie, to wszystko jest prawie za radosne, aby było prawdziwe! Wszyscy chodźcie do mnie na obiad. I przyprowadźcie swoich przyjaciół. Będzie uciecha!

— Nie trzeba nas dwa razy prosić! — zagrzmiał Couch, po czym ujął ponownie powolną rękę May.

— Wybacz mi, panienko, ale jestem niezmiernie ciekaw dowiedzieć się, co się z tobą działo.

— Niedługa to historia — odparła May, a oczy jej posmutniały. — Była noc, gdy Indianie na nas napadli. Pobiegłam na wybrzeże potoku i tam ukryłam się pod krzakiem. Nie spostrzegli mnie... Gdy dzień nastał, wypełzłam stamtąd. W obozowisku panowała cisza. Wszyscy leżeli zabici, kareta była spalona... Na ten widok uciekłam prawie oszalała. Spotkałam ciągnącą karawanę. Zabrała mnie z sobą do Teksasu... I ludzie byli tak dobrzy dla mnie! Znalazłam dom u pani Clement, która się stała drugą moją matką... Chodziłam do szkoły... wyrosłam... i oto tu jestem.

— Aha! — zawołał przewoźnik. — Nie jestem Jimem Couchem, jeżeli to nie ciekawa historia. A teraz, panienko, jeszcze jedno pytanie: kto to jest ten Lee?

— Nazywa się Murdock — rzekła May. — Nie znałam go w Teksasie.

Pani Clement uznała najwidoczniej za swój obowiązek wtrącić się do tego, bo dodała:

— Ten człowiek, Murdock, przyłączył się do nas w Pan Handle. Nie jest przewoźnikiem. Powiada, że udaje się na Zachód, aby kupować futra. Jak prawie wszyscy ludzie, spotykani na szlaku, niewiele opowiadał o sobie. A myśmy nie pytali. Był dobrym towarzyszem podróży i bardzo dbał o nas, kobiety. Polubiłam go i powiem prawdę, że May także. Ale Hall go nie lubił. Możecie spytać Halla, dlaczego... Murdock zalecał się do May, co zresztą czynili wszyscy chłopcy, i był ogniście o nią zazdrosny. Z pewnością to stało się powodem do jego postępku tutaj.

Clint znalazł się obok May ze starszymi osobami, prowadzonymi przez Maxwella do dworu. Gdy znaleziono się na zewnątrz składu, z dala od spojrzeń ciekawego tłumu, ochłonął stopniowo z uczucia wstydu i upokorzenia, ale paraliż języka ustępował bardzo wolno.

Głowa May sięgała mu do ramienia, co najbardziej go dziwiło, boć pamiętał May tylko jako małą dziewczynkę, a ten portret, zachowany w pamięci, tak daleko odbiegał od tej May Bell, która w tej chwili kroczyła

obok niego! Spojrzał na nią ukradkiem. Patrzała wprost przed siebie, zarumieniona.

Gdy tak szli obok siebie, May mówiła o pogodzie, o Indianach mijanych, o ranchu, o Zachodzie. Clint jej odpowiadał, nie wiedząc właściwie, o czym mówiła.

Faktycznie bowiem byli teraz obcy sobie. Zaczynali rozumieć to oboje, choć znajdowali się jeszcze pod wpływem przejmującego wzruszenia, wywołanego przez wznowienie węzłów, łączących ich w dziecięctwie.

Clint, odważywszy się raz spojrzeć na May, zaryzykował ten manewr ponownie. Odwróciła oczy, a szybki napływ krwi do głowy przyćmił piękną, złocistą śniadość jej policzków. Złagodziło to nieco bojaźliwość Clinta i zaczął walczyć z chaosem, panującym mu w głowie. Przecież robi z siebie głupiego osła, zamiast dowieść, że jest przewoźnikiem, prawdziwym stepowcem! A jednak ten mocny argument nie od razu przywrócił go do równowagi.

May rozpoczęła rozmowę z entuzjazmem szalonym, w końcu wszakże czy to ten entuzjazm, czy też tematy do rozmowy wyczerpały się w niej zupełnie. A Clint bił się wciąż z myślami. Nie umiał rozmawiać. Dopiero przybycie do dworu przerwało tę sytuację, grożącą nieszczęściem.

— Posiedźmy na krużganku, — odezwał się Maxwell — dopóki powietrze nie ochłodnie.

Na razie więc skończyło się naprężenie pomiędzy Clintem a May. A May, razem z Hallem Clementem i jego dostojną małżonką, zwracała na siebie uwagę powszechną. Maxwell promieniał, spoglądając na Clementów. Widocznie to spotkanie się ze starym towarzyszem broni wznowiło wspomnienia przyjemne, wzruszające, a może też takie, po których pozostał żal. Przedstawił Clementom oficerów, wywiadowców, myśliwych, traperów, a nawet niektórych wodzów indiańskich.

Jeden z nich, Samotny Wilk, wódz Jutów, wspaniały typ wojownika, przyjazny białym, zwrócił pełną godności uwagę na May. Maxwell przemówił do niego po indiańsku, ale wódz przerwał mu, podnosząc wolno rękę błagalnym ruchem, wyraźnie dającym do zrozumienia, że nie potrzebuje słów. Gest ten zdawał się oznaczać: pożałowania godna jest niesprawiedliwość, wyrządzana Indianom, pożałowania godne są krzywdy, czynione białym.

Samotny Wilk podał rękę May, która wahająco położyła swoją na niej.

— Witam — rzekł głosem głębokim, który nie brzmiał nieprzyjemnie.

Indianin był bardzo wysoki, nachylił więc swą głowę, przyozdobioną piórami. Liczne, drobne zmarszczki na twarzy świadczyły o jego wieku. Oczy miał piękne.

May odpowiedziała na powitanie. Znać było, że czyniła to z przymusem, rozumiała jednak, że ten wódz Jutów jest przyjacielem Maxwella i bez wątpienia godnym szacunku.

— Ojciec... matka... nie żyją? — spytał.

— Tak — odparła May.

— Ile lat liczycie?

— Szesnaście.

— Wy... macie męża?

— Och, nie! — zawołała May, którą to niespodziewane pytanie zabawiło.

— Biały człowiek bardzo powolny. Chcielibyście poślubić wielkiego wodza?

Maxwell roześmiał się i zawtórowali mu inni. Twarz Samotnego Wilka nie drgnęła, ale jasne było, że żartował.

— Czy to oświadczyny, Samotny Wilku? — zapytała May, uśmiechając się, zmieszana.

— Ja lubię białe skwaw.

— Dziękuję. Ja... ja jednak... muszę odmówić.

Wódź puścił jej rękę, przemówił do Maxwella we własnym języku, po czym odszedł wolnym krokiem, szeleszcząc mokasynami.

— Nareszcie doczekałaś się oświadczyn, May — odezwała się pani Clement wesoło.

— Panie Maxwell, — spytała May, śmiejąc się, rozweselona — chyba on nie mówił tego na serio?

— Samotny Wilk — odparł Maxwell — żartował, ale i nie byłby od tego. Ten stary Indianin to dzielny człowiek. Gdyby to wszyscy oni byli do niego podobni... Powiedział ci komplement, dziewczyno. Powiedział, że jesteś ładną młodą kobietą i że biali chłopcy gotowi walczyć o ciebie.

— Pochlebia mi — zaprotestowała May.

— Hm, sądzę, że i Buff miałby coś o tym do powiedzenia — wtrącił Couch, zwracając uwagę rozweselonego towarzystwa na swego wychowańca.

— Co powiesz na to, chłopcze? — spytał Maxwell dobrotliwie, ale i przekornie.

— Ma się rozumieć, że miałbym, — odparł Clint śmiało — bo słowa Coucha przywróciły mu odwagę, a nawet ośmielił się spojrzeć na May, wpatrzoną w niego szeroko otwartymi oczyma i z rozchylonymi wargami.

Po chwili jednak ta odwaga i pewność siebie zgasły, do towarzystwa bowiem podeszło dwu oficerów, a Maxwell przedstawił ich wszystkim.

Jeden z nich, młody porucznik, nazwiskiem Clayborn, ładny i układny, wychowaniec szkoły w West Point, był najwidoczniej gorącym wielbicielem płci pięknej. Wdzięk jego, swoboda ruchów, ujmująca grzeczność, jakich mieszkaniec stepów nie mógłby nigdy osiągnąć, wzbudziły zazdrość w sercu Clinta. I bez wątpienia oficer ten podobał się May, bo zajęła się nim wyłącznie, uśmiechała się do niego, słuchała cichego głosu, komplementów, a może i słów miłosnych, opuściwszy oczy i rumieniąc się nawet jeszcze bardziej, niż dla Clinta.

Widok ten wywołał w Clincie zupełnie nową, a przy tym nieznośną gamę uczuć. Uderzyło go przede wszystkim bolesne stwierdzenie, że przecież May nie jest jego własnością, że wolno jej uwielbiać, lubić, kochać, kogo zechce. Przecież był tylko towarzyszem jej zabaw dziecięcych, a dzisiaj o ile wyżej stoi ona od niego? Myśl ta wywołała w nim żal okropny. Nie mogąc dłużej wytrzymać tego zajęcia się May czarującym młodym oficerem, odszedł i zatrzymał się dopiero na końcu długiego krużganku.

Czuł głęboki, dojmujący ból w piersiach, a oczy jego błądziły po dzikiej, szarej przestrzeni, wysoko ponad cętkowaną płaszczyzną, do porosłego cedrami grzbietu, wznoszącego się i falującego w poprzek ciemnego wąwozu śród szczytów górskich; do purpurowej nicości wdali, poza tym grzbietem. Tam to z miesięcy potworzyły się lata, a piękność i odludność, majestat i jednostajność stepów, praca ciężka, jakiej na nich zaznał, mówiły mu teraz, że nadeszła i dla niego chwila największej troski i najwznioślejszej radości, jakich tylko mężczyzna zaznać może — chwila miłości do kobiety. Pokochał małą May Bell od czasu spotkania jej nad strumieniem, a w miarę zwiększania się z latami pracy, cierpienia i walki, i miłość jego wzrosła.

Zachodzące słońce zastało Clinta na tym samem miejscu, wciąż zapatrzonego poprzez szarą dal w głąb niedoli swego serca. Znalazł go wreszcie Couch i powlókł do sali jadalnej.

Clint wzdrygał się przed tą ciężką próbą, ale znalazłszy się w stosunkowo mrocznej sali, wśród wrzawy głosów i tak znacznej liczby gości, jakiej tu jeszcze nie widział, doznał pewnej ulgi. Bał się poszukać wzrokiem May, będąc pewnym, że ujrzy ją wciąż jeszcze pod urokiem zniewalającego porucznika; ponieważ jednak byłoby bezcelowe trwać w tej postawie, w końcu więc podniósł oczy i rozejrzał się po sali. Wodzowie, wywiadowcy, traperzy i myśliwi zasiedli już, zajmując dwie trzecie miejsc przy długim stole. Dalej siedziało ze dwudziestu, albo i więcej przewoźników. Pewna liczba wojskowych trzymała się razem. Wreszcie wzrok Clinta dotarł do szczytu stołu, do miejsc, przeznaczonych dla niezwykłych tego wieczora gości Maxwella. Po lewej stronie siedziało kilka pań z karawany Daggeta, a śród nich pani Clement, po prawej zaś, na honorowym miejscu Clint ujrzał May Bell. Była bez kapturka i wyglądała wprost czarująco.

Zauważył przy tym, osłupiały, że miejsce obok May nie jest zajęte. Bez wątpienia zarezerwowano je dla porucznika Clayborna. Tchórzliwy Clint byłby uciekł na ten widok, gdyby nie to, że Couch pchał opornego wciąż naprzód.

— Ach, ty zakuta głowo! Przecież to miejsce dla ciebie! — zawołał wreszcie i pchnął go tak, że Clint posunął się od razu o kilka kroków naprzód.

W tej chwili spostrzegł go stojący opodal Maxwell i wezwał, aby zajął miejsce obok May. Clintowi pozostało jeszcze tyle przytomności umysłu, że zdołał wypełnić to wezwanie i bez zbytniej niezręczności zająć wskazane miejsce. Gdy wszakże usiadł, wcisnął drżące swe ręce pomiędzy kolana i utkwił wzrok w talerzu.

Pomimo to wszakże czuł obecność obok siebie May i to mu sprawiało prawdziwą męczarnię. Siedziano na ławach i ze względu na tak licznych gości bliżej siebie, niż zwykle. May dotykała łokciem Clinta, a dotknięcie to przejmowało go dreszczem. W głowie kotłowała mu się dzika myśl zerwania się z ławy i popełnienia czegoś rozpaczliwego.

Nawet troskliwość ze strony sąsiadki nie sprawiła mu ulgi w tej dojmującej udręce. May przemówiła do niego, gdy tylko usiadł. Ton jej słów był wesoły, ale Clint nie zrozumiał słów. Kątem oka widział, że

spogląda na niego. Najpierw przelotnie, potem z zajęciem, wreszcie z niepokojem. Niewątpliwie wyczytała coś na tej głupiej jego twarzy, która go zawsze zdradzała.

— Clint, czy to nie cudowne? — szepnęła, nachyliwszy się ku niemu.

Skinął głową i bąknął coś niezrozumiałego.

— Clint, — mówiła dalej, a w głosie jej brzmiał wyraz szczerej troskliwości — wyglądasz nienaturalnie, co ci się stało?

— Niedobrze mi — mruknął.

— Oh, Clint... Więc dlatego to odszedłeś?

— Tak.

— Czy ci co dolega? — nalegała. — Cały się skurczyłeś... Pokaż ręką, gdzie cię boli?

Clint oswobodził na chwilę z pomiędzy kolan jedną z rąk i dotknął się raczej powyżej miejsca, w którem skupiają się zwykłe cierpienia ludzkości.

— Tu... okropnie boli.

W tej chwili Maxwell stuknął mocno w stół, uciszając wszystkie głosy. Twarz jego ożywiał wyraz radości gospodarza, uszczęśliwionego, że może sprawić przyjemność swym gościom, niemniej jednak postawa jego, pełna godności i solenności, zdradzała jakby pewność, że zebrania tego rodzaju przy jego stole znajdą swój kącik w dziejach kresów.

— Ludzie, — zaczął głosem donośnym — zebrało się nas dzisiaj sto dwadzieścia osób przy tym stole, co stanowi rekord dla mnie. Witam was wszystkich, radosny i dumny, że mogę wam, nowym przybyszom, dać dowód gościnności Zachodu, oraz że nie wszyscy Indianie polują na skalpy. Witam was również ze względu na znaczenie waszej obecności tutaj, jako straży przedniej osadników, którzy zaludnią Zachód. Nadejdzie i dla was dzień, że, pomimo prób ciężkich, pokochacie ten piękny, bogaty i dziki Zachód tak, jak ja go kocham.

Maxwell zamilkł na chwilę, jakby pragnąc, aby zapamiętano te jego słowa lub dla nabrania sił do dalszej przemowy. W każdym razie dobrotliwość promieniowała z jego twarzy, ci jednak, którzy siedzieli bliżej, mogli pochwycić w niej coś jeszcze głębszego — jakby widmo ciągłej troski pod dobroduszną powierzchownością.

— Dzisiaj — mówił dalej — naszym gościem honorowym jest panna May Bell, siedząca tu obok mnie, na prawo. Pochodzi z Ohio, licząc jednak lat dziesięć, przyłączyła się z rodzicami do karawany Jima Coucha w Independence, na wiosnę 1856 roku. W Council Grove rodzice jej opuścili wraz z nią tę karawanę, zniechęceni niewątpliwie niebezpieczeństwami i okropnościami kresowymi. I trudno się temu dziwić!... Dość, że w drodze powrotnej mała May straciła rodziców. Stara to, stara historia stepowa ta rzeź straszna i krwawa. Ale May ukryła się w krzakach, pod wyniosłym brzegiem rzeki i ocalała. Następnego dnia emigranci, dążący do Teksasu, znaleźli ją i zabrali z sobą do wielkiego stanu, Samotnej Gwiazdy. Tam miała szczęście zwrócić na siebie uwagę Hala Clementa, przez czas długi mego towarzysza na stepach, dobrego żołnierza, dzielnego członka milicji konnej, słowem, typowego przedstawiciela tego, co obejmuje wyraz: kresowiec... Czasami zdaje się nam, że Bóg zapomina o nas, tak jednak nie jest. W każdym razie Bóg nie zapomniał o małej May Bell. I oto

przybyła tu, na Zachód, aby dzielić losy swoje z naszymi. Pani Clement przybyła tu także z innymi przedstawicielkami wielkiej rasy teksaskiej. Byłoby przesadą, gdybym powiedział, że Zachód nigdy nie byłby osiedlony bez pomocy Teksańczyków, to jednak — pewne, że nigdy by nie należał do Unii bez ich pomocy. W związku z tym z boleścią, którą niewątpliwie wszyscy podzielacie, muszę powiedzieć, że wybuchła wojna pomiędzy stanami północnymi a południowymi. Ale to przejdzie, daj Boże, szybko. A wówczas Zachód odczuje nowy napływ energii i postępu. Zachód potrzebuje kobiet, pionierskich kobiet. Żaden głód nie jest tak straszny i niszczący, jak głód mężczyzny bez kobiety.

Maxwell znów się zatrzymał i pogładził dłonią swą długą, piękną brodę, wodząc połyskującym wzrokiem po swych gościach od ostatniego wodza, usadowionego na końcu stołu, aż do promieniejącej panny, siedzącej obok niego. Nachyliwszy głowę, uśmiechnął się do niej i cała przeszłość daleka i odległa, słodka i pełna patosu, zajaśniała w tym uśmiechu.

— Powiedziałem, — odezwał się znów po chwili — że Zachód potrzebuje kobiet, ale wiernych! — Z jakimże naciskiem głębokim głos jego wymówił ten wyraz! — Kobiet, które potrafią wytrwać, walczyć, tkwić na miejscu... Sądzę, że mała May Bell stanie się taka. Gdy liczyła lat dziesięć, spotkała podczas podróży z karawaną, o której już wspomniałem, chłopca i przyobiecała mu wierność, gdy siedzieli razem na koźle „szkunera preriowego”... Szczęśliwym tym chłopcem był siedzący tutaj nasz młody przyjaciel, Buff Belmet, którego poznały kresy, zanim jeszcze skończył czternaście lat; młodziutkich tych kochanków rozłączono, ale choć May sądziła, że Buff zginął, to jednak pozostała mu wierna... A oto teraz znaleźli się, są znów razem. Czy może być coś piękniejszego i rokującego lepszą przyszłość?... Panie, panowie, wodzowie, nie pije się przy stole w domu Maxwella. Zamiast więc toastu, proponuję okrzyk bardzo serdeczny na pomyślność małej May Bell.

Całe towarzystwo powstało i rozległ się okrzyk potężny, któremu dodawało siły niezwykłej dzikie, przeszywające staccato wrzasku Indian.

Clint, choć oślepiony i porażony tym wszystkim, uczuł, że May szarpie go za rękaw, więc powstał, ale nie mógł wymówić ani słowa. I trzeba było jeszcze silniejszego szarpnięcia, aby znów usiadł.

— Przyjaciele, — odezwał się, wciąż stojąc, Maxwell — mamy dzisiaj zaszczyt i przywilej zdarzający się rzadko tu, na kresach, posiadania w gronie naszym osoby duchownej. Kaznodziejo Smith, bądź łaskaw odmówić modlitwę.

Gdy powstał pastor, postać nie mniej krzepka i męska, niż inni biesiadnicy, pochyliły się wszystkie głowy.

— Pobłogosław — mówił — tę strawę naszą, o Panie! Pobłogosław to zgromadzenie pionierów, kresowców, żołnierzy i czerwonoskórych. Pobłogosław młodzieży, która postanowiła wykrzesać sobie ogniska domowe na Zachodzie. Pobłogosław May Bell i jej chłopcu, którego wybrała sobie przed laty. Pobłogosław im i kieruj nadal ich krokami w wierności, nadziei, sławie i snach miłości, podczas przejść ciężkich w krainie kresowej. Amen.

Modlitwa ta pokrzepiła Clinta i wyrwała z tych sprzecznych wrażeń, które w końcu odurzyły go i ogłuszyły. May sięgnęła pod stołem po jego zaciśniętą rękę i, otworzywszy ją, objęła dłoń jego miękką, pulsującą dłonią swoją tak czule, że nawet przy całej swej głupocie nie mógł uścisku tego nie zrozumieć.

* * *

Maxwell klasnął w dłonie, rozwarły się drzwi i do sali wkroczył sznur chłopców meksykańskich, rozstawiając przed gośćmi potrawy smaczne i obfite. Apetyt szedł w parze z wesołością. Maxwell, siedząc u szczytu stołu, patrzał i słuchał, jak człowiek, którego serce wzbogaciło się przy tej sposobności.

## Rozdział XII

Stopniowo pozostawali coraz bardziej w tyle za starszymi osobami. Trawiaste zbocze połyskiwało srebrzysto w blaskach księżyca. W dole migotały ogniska obozowe karawany, a długa linia furgonów odcinała się blado na ciemnym tle topoli. Zaszczekał pies, a ze wzgórza doleciała dzika, wyzywająca odpowiedź kojota. Jack, drepcący za Clintem, warknął gniewnie.

W trudnym przejściu na drodze Clint ujął May za rękę, po czym puścił ją, choć właśnie tego nie chciał uczynić. Od chwili opuszczenia dworu Maxwella bodaj czy zamienili z sobą ze dwa zdania. Czasami Clint nie mógł nadążyć za May, czasami znów musiał na nią czekać.

Czar panował w powietrzu chłodnym, pachnącym. Od strumienia w dole dolatywało rechotanie żab wiosennych. Woń dymu drzewnego mieszała się z zapachem szałwii. Młode, drobne liście topolowe szeleściły lekko w miękkim powiewie wiatru. Księżyc wyjrzał właśnie spoza czarnej krawędzi, która wydawała się tak bliska, a jednak była ta odległa! Pasmo gór bielało ciche i piękne pod sklepieniem niebios.

Mijali furgon za furgonem. Gdzieś Meksykanin jakiś brzdąkał na gitarze i nucił tęskną piosenkę hiszpańską. Nagle zrozpaczony Clint zoczył, że doszli już do obozowiska, gdzie oczekiwali na nich Clementowie i ich towarzystwo.

— Przyznam się, — mówił właśnie Couch — że sprawiło mi wielką przyjemność zetknięcie się z wami. I potężnie rad jestem, iż pozostaniecie tu jeszcze. Dobranoc!

W tej chwili Couch spostrzegł Clinta i dodał szybko:

— A ty, Buff, nie potrzebujesz się śpieszyć do domu.

May zrozumiała widocznie znaczenie tych słów i musiały sprawić jej przyjemność, bo zabrzmiał trylem jej śmiech srebrzysty.

— Dobranoc, panie Jim Couch — rzekła.

— Dobranoc, dziewczyno — odparł Couch głosem głębokim i pełnym.

— Wy młodzi — odezwała się pani Clement — możecie tu pozostać.

— Bo też z pewnością — wycedził Hall Clement — macie niejedno sobie do powiedzenia. Wdrapcie się no kozioł tego furgonu. Czy nie opowiadał nam Couch, jak to powoziliście razem i gadaliście całymi dniami? Może więc i teraz odzyskacie dawne swe języki!

Niedaleko, poza namiotami, stał pod olbrzymią topolą furgon, wskazany przez Clementa.

— Pójdziesz, May? — spytał Clint, nagle ożywiony.

— Chodź, czy myślisz, że ja pójdę spać?

Pobiegła lekko naprzód i wspinała się już na koło, przy czym kapturek zsunął się jej na plecy, gdy podszedł Clint i pomógł jej wsiąść, po czym wskoczył za nią na kozioł. Kozioł był wysoki, a nisko opadające gałęzie topoli tworzyły nad nim cieniste sklepienie, przez które przedzierały się promienie księżyca.

Clint pochylił się, aby na nią spojrzeć. Na ciemnej odkrytej główce włosy wichrzyły się buńczucznie, a oczy, pełne radości, zdawały się bezdenne w świetle księżyca. Jakże okropnie bał się jej w tej chwili!

— No, cóż, Buff? — spytała filuternie.

— Chyba nie lubisz tego przezwiska? — zauważył tonem wymówki.

— Owszem, lubię.

— Bardziej, niż Clinta?

— Bo ono jest wymowne. Pan Couch opowiadał mi, że to Kit Carson tak cię przezwał.

— Nie. Przezwał mnie tak Dick Curtis, inny wywiadowca, towarzysz Kita.

— Wyrobiłeś sobie imię na kresach — rzekła, spoglądając na niego poważnie.

— Eh, powoziłem tylko furgonem.

— A ja zawsze nazywać cię będę Buffem.

— Zawsze?

— Czy nie chcesz mnie... na zawsze?

— May! — szepnął wstrząśnięty. — Tyś mu powiedziała!

— Powiedziała? Co? Komu?

— Powiedziałaś Maxwellowi o nas... na koźle razem, jak teraz, przed laty... Nikt o tym nie wiedział. Nawet mój ojciec.

— Ah, więc nie zapomniałeś? — spytała kokieteryjnie.

— Nigdy! Nie zapomniałam najmniejszego słówka z tego, coś do mnie mówiła.

Zmieszała ją ta szczerość.

— Tak, — odparła poważnie — powiedziałam panu Maxwellowi.

— Ale jak, dlaczego? — wybuchnął.

— Ten pan Maxwell ma oko. Gdy ów piękny oficer o ładnym wąsiku przysiadł się do mnie, zmieniłeś się, Buff, zupełnie.

— Czy tak? Nic dziwnego.

— A ja widziałam już dużo żołnierzy, takich jak ten oficer. Wszyscy oni jednakowi. Zalecają się do każdej dziewczyny... A ty byłeś tak dziwny! Nie próbowałeś nawet zalecać się do mnie. To też ja..., no, nie odwróciłam się od porucznika Clayborna... Nagle odszedłeś i zrobiło mi się ciebie żal. Ale pan Maxwell uważał i widział, jakeś odchodził. I wówczas odciągnął mnie grzecznie od porucznika. „Panienko, — rzekł do mnie — nasz chłopiec, Buff, jest dotknięty”. Odpowiedziałam mu, że wiem o tym i że tego żałuję. A gdy to powiedziałam, coś dziwnego pociągnęło mnie ku niemu. I mówiłam... mówiłam... o... tych czasach, kiedyśmy to jechali razem na koźle... żeśmy zaręczeni. A on się uradował i tak uścisnął mi rękę, że zabolała. Oh, Clint, a raczej Buff — nieprędko przywyknę do tej nowej nazwy — od czasu, gdyśmy się rozstali, wciąż miałam na ustach: Clint,

Clint, Clint... Pan Maxwell bardzo cię kocha. Nie powiedział mi tego, ale ja wiem. I tak dziwnie się ucieszył z mojej wierności tobie. Oh, ja to czułam. A gdy mówił o nas podczas obiadu, zdawało mi się, że umrę.

I przypominam sobie, — dodała po chwili, zaśmiawszy się krótko — żeś mi mówił, iż cierpisz okropnie, a ja — głupia gąska — wyobraziłam sobie, że cię brzuch boli!

— May, to nie był żart — rzekł Clint, potrząsając głową. — Rana od strzały indiańskiej nie bolałaby mnie tak, jak to, co czułem podówczas.

— A co czułeś, Buff? — spytała, przysuwając się do niego.

— Powiem prawdę, że wówczas sam nie wiedziałem, co to jest. Ale teraz wiem. To była zazdrość o tego ładnego oficera. Prawdziwe piekło...

— Oh, nie klnij! — szepnęła i wsunęła mu swą dłoń pod rękę.

— May, ukochana, trudno w takich razach powstrzymać się od klęcia. Czytałem w Biblii o zazdrości: „Któż jest w stanie oprzeć się zazdrości?”

— Buff, — odparła — zaczynam czuć, że cię znam. Z początku zdawałeś mi się obcy. Ale teraz widzę, że się nie zmieniłeś. Ma się rozumieć, że jesteś teraz starszy i cichy... i smutny... Kochany mój Clint!

Przy tych słowach oparła twarz o jego ramię. Clint uczuł łzy, spadające mu na rękę.

— Nie płacz! — szepnął, choć i jemu na płacz się zbierało. — Prawda, przeżyłem dużo, ale teraz... teraz...

— Jesteśmy znów razem — dokończyła, gdy się zawahał.

Clint sięgnął lewą ręką, ujął obie jej dłonie i natychmiast uczuł ich odpowiedź, pod której wpływem nabrał energii.

— Powiedziałaś, że jesteśmy... zaręczeni?

— Sam to mówisz.

— Hm, przyznaję... Ale, May, bądź poważna... Zaręczeni żenią się, nieprawdaż?

— Tak zwykle się dzieje — odparła, zaśmiawszy się cicho i przytulając się do niego. — Chyba, że mężczyzna nie dotrzyma słowa.

— Oo!

— Mów dalej, Buff — szepnęła głosem drżącym. — Chciałeś mi się oświadczyć...

— May, ty żartujesz, a ja chciałem... chciałem...

— Oh, Buff, drogi mój Buff! — zawołała. — Ja wiem, ja zawsze wiedziałam, że ciebie rozsadzają myśli, których nie umiesz wysłowić.

— Ale teraz — odparł głosem stłumionym, zwilżając językiem wargi — chciałem się wysłowić, albo umrzeć.

— Nie umieraj!

— Chciałem ci powiedzieć, jak ja to uczułem... Spoglądałem w dal błękitną, unoszącą się nad Wielkimi stepami. I zdawało mi się, że cała ma praca, cała tęsknota, cały strach i cały żar słońca, i kąsanie zimna, i świst strzał indiańskich, i ból po stratach doznanych... że wszystko to pękło, gdym poznał nareszcie, co mi dolega... Mała May, wówczas to zrozumiałem, że cię kocham.

— Oh, Clint... oh, Buff! — szepnęła, odrywając twarz swą od jego ramienia i podnosząc ją ku niemu. A światło księżyca ukazało jej radość i piękność, i oczy, jak noc, ciemne.

— Tak, May, ja cię kocham, a uczucie to niewiele się różni od tego, którego doznałem podczas obiadu.

Przy tych słowach dobył lewą ręką sznurek, zawieszony na szyi. Coś błyszczącego wisiało na tym sznurku.

— Oh, pierścionek! — zawołała drżącym głosem.

— Oto wszystko, co mam po mojej matce. Pierścionek ten ofiarował jej mój ojciec, gdy była jeszcze panną. W późniejszym życiu był już dla niej za mały. Ale będzie dobry dla ciebie. Zobaczmy.

Wyciągnęła drobną, drżącą rączkę ku niemu, on zaś usiłował włożyć jej pierścionek na palec.

— Nie na ten, — zawołała — na trzeci! Oh, pasuje! Clint, strzec go będę jak skarbu przez całe życie.

Przez chwilę milczeli. Głowa jej spoczywała teraz na jego piersi, dotykając szyi. Włosy May muskały mu wargi.

Księżyc wznosił się coraz wyżej i panowała cisza nocna.

Ogniska obozowe wygasły. Ostatni, spóźnieni przewoźnicy ułożyli się do snu. Kojoty zaprzestały szczekania i wycia. Dzwonki na szyjach spętanych koni przestały brzęczeć.

— May, — spytał nagle Clint, — czy to nie było okropne to nasze spotkanie się w składzie?

— Okropnie... radosne, dopóki Lee Murdock nie odciągnął mnie i... nie uderzył ciebie.

— Ah, tak. Uderzył! Zapomniałem! — odparł Clint zamyślony.

— Buff, podobał mi się z początku, ale potem mniej, gdy zaczął sobie zanadto pozwalać. A teraz go nienawidzę.

— Jak to, pozwalać? — spytał Clint gwałtownie.

— Oh, mniejsza o to. Tylko próbował, ja jednak dałam mu w twarz tak silnie, że potem ręka paliła mnie przez całe godziny... Clint, ty się go wystrzegaj. On nie cofnie się przed niczym. Pan Clement wie coś o nim, ale nie chce powiedzieć ani swej żonie, ani mnie. Szczęśliwa będę, gdy się ten Murdock od nas odczepi. Powiadają, że tutaj odłączy się od naszej karawany. Ma dużo pieniędzy na kupno futer.

— To dobrze. Ale zapomnijmy o nim. Wracajmy do naszego spotkania. Czy przypominasz sobie, jak to było, gdy ów przewoźnik powiedział ci, że jestem Clintem Belmetem?

— Oh, zdaje mi się, że pobiegłam ku tobie. Nieprawdaż?

— Pobiegłaś? Nie. Rzuciłaś się ku mnie... Była to najszczęśliwsza chwila, jakiej zaznałem — do owego czasu.

— Potem, zdaje mi się, że wpadłam w twe ramiona.

— Tak jest.

— No, bo je rozwarłeś. Cóż więc miała robić tak roztrzepana, jak ja, dziewczyna?

— Nie wiem już, jak to się stało, dość, że znalazłaś się w moich ramionach.

— A potem nie wiem, czyś ty mnie przycisnął, czy ja ciebie. W każdym razie rozbolały mnie żebra.

— To chyba ja temu jestem winien, bo wuj Couch powiada, że nawet nie wiem, jak jestem silny.

— I zrzuciłam ci kapelusz, nieprawdaż?

— Tak jest.

— I potargałam ci włosy?

— Tak.

— A potem... wobec tego całego gapiącego się tłumu... pocałowałam cię bezwstydnie. Czy nie?

— Nie bezwstydnie, najdroższa, choć poczerwieniałaś, jak ogień.

— Owszem, bezwstydnie. Ale wcale, a wcale nie dbałabym o to, gdybyś... gdybyś ty mnie także pocałował... Tymczasem, Buff, tyś tego nie zrobił. Nie zrobił!... Toteż nigdy cię już nie pocałuję.

W odpowiedzi Clint przycisnął swe wargi do jej warg soczystych. A gdy odchylił głowę, leżała w jego ramionach, stęskniona i oddana mu, bo zbudziła się w niej miłość gorąca i promienna, była zaś zbyt uczciwa, aby temu zaprzeczać.

— Buff, muszę ci to oddać — szepnęła, podnosząc ręce.

* * *

Clint wracał późną godziną, wolnym krokiem, do dworu pod wrażeniem, że księżyc, noc, ziemia, wszechświat były stworzone dla niego. Wszystko to, co do tej chwili przeniósł, straciło całkiem swą surowość w świetle miłości, jaką czuł i jaką go obdarzono.

Ociągał się jeszcze, siadłszy na stopniu drzwi domku z cegieł niepalonych, wznoszącego się za dworem. Nawet psy w korralach zamilkły, tak jak ich dzicy bracia na stepie. Nad ranchem Maxwella zwieszał się blady płaszcz księżycowy, tajemniczy i piękny. Clint jednak nie mógł myśleć. Marzył tylko o słodkich, powolnych pocałunkach May. I zdawało mu się, że długo jeszcze taka rzecz, jak sen, będzie mu zbyteczna. Skutek zaś tego był taki, że nazajutrz spóźnił się na śniadanie, ku uciesze Maxwella.

— Buff, — przekomarzał się Maxwell — jeżeli będziesz do późnej nocy zabawiał się z pannami, to nigdy nie wyrośniesz na dobrego wywiadowcę.

— Kląłbym siebie, — odparł Clint — gdybym się nie stał dobrym wywiadowcą, ale wczorajszy wieczór wart był tego.

— Tak przypuszczam — zaśmiał się Maxwell. — Zajdź przed południem do mego biura, chciałbym z tobą pomówić.

Clint domyślał się, że będzie to coś poufnego i tak go ta myśl zaintrygowała i zaciekawiła, że skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Zastał Maxwella zajętego rozmową o interesach z przewoźnikami. Gdy dobito targu, podsunął Clintowi krzesło i pudełko cygar, które jednak cofnął natychmiast.

— Zapomniałem, Buff, że nie palisz... No, cóż, chłopcze, chyba nie potrzebuję się pytać, czyście pogodzili się z May.

— Nie, panie. Ale to nie ja, lecz May i pan załatwiliście całą tę sprawę — odparł Clint głosem, w którym brzmiała nuta wdzięczności.

— A zatem, chłopcze, wszystko jest w porządku?

— Nigdy nie marzyłem nawet, że mogę być tak szczęśliwy — wyznał Clint szczerze.

— Couch wspominał mi o twych latach, ale zapomniałem.
— Mam teraz lat osiemnaście, panie Maxwell.
— Tu, na kresach, lata się nie liczą. May liczy szesnaście. Dziewczęta pionierów wcześnie wychodzą za mąż, co jest dobre.
— Do czego... do czego... pan zmierza? — wyjąkał Clint, poczerwieniawszy.
— Pragnąłbym, — rzekł na to Maxwell poważnie — abyście się pobrali.
— Oh!... Kiedy?
— Jak najprędzej, jeżeli zgodzą się na to Clementowie, gdyż adoptowali May i pokochali ją jak własną córkę. Mógłbym jednak pomówić o tym z Halem. Nie wiem tylko, jak tam z dziewczyną.
— Ale i wuj Couch miałby tu coś do powiedzenia. Ojciec mój powierzył mu opiekę nade mną, dopóki nie osiągnę pełnoletności.
— Eh, Jim Couch jest dobry wśród kierowników karawan. Ale od czasu do czasu bywa przykry, gdy chodzi o zwłokę lub o poważny transport. W takich razach staje się ryzykantem. I pamiętaj słowa moje, Buff, że kości Coucha bielić się będą na stepie, tak jak kości tylu już innych dzielnych kresowców. A w tym rzecz, iż ja bym nie chciał, abyś zakrwawił serce tego dziewczęcia.
— Ależ, panie Maxwell, — bronił się Clint — i ja tego nie chcę!
— Nic nie poradzisz, jeżeli cię zabiją.
— Zabiją?
— Tak powiedziałem. Toteż nie będę radził przewoźnikom, aby ruszyli, choć interes mój zależy od nich. Jeżeli karawany przestaną krążyć — jestem zrujnowany... Otóż, powiem ci poufnie, że wojna wywoła piekło tu, na kresach. Przewóz prowiantów stanie się dziesięciokrotnie niebezpieczniejszy. Wkrótce nadejdzie czas, że mała karawana nie będzie miała żadnych szans. Za rok, a może już i tego lata wszyscy Apacze, Komancze, Kiowowie i Pawnisowie znajdą się na ścieżkach wojennych. A tymczasem, Buff, mnoży się liczba złych zespołów przewoźniczych.
— A zatem — szepnął Clint przerażony —radzi mi pan zaniechać przewoźnictwa na stepach?
— Tak, dla dobra tego dziewczęcia — odparł Maxwell, a oparłszy głowę na ręce i przysłoniwszy dłonią oczy, dodał: — Ujawnię ci moją tajemnicę, Buff... Przed laty pokochałem dziewczę, podobne do May. Odjechałem i nie było mnie zbyt długo... Sądziła, żem umarł, a przynajmniej tak przysięgała! Poślubiła innego i od tego czasu życie się dla mnie zmieniło. Nie chciałbym, abyś się na to narażał ze swą ukochaną.
— Ale May pozostanie mi wierna! — zawołał Clint namiętnie, jakby urażony już samem przypuszczeniem niewierności May.
— Taka była dotychczas i taka może pozostać jeszcze przez czas pewien — dopóki jest tak młoda. Ale dziewczyna tak piękna, jak May, nie może pozostać długo niezamężna, a przynajmniej wolna tu, na kresach.
— To jest straszne, panie Maxwell — wykrztusił Clint.
— Pożądanie kobiety przez mężczyzn jest zbyt mocne. Patrz na tych białych, którzy się żenią z Indiankami i stają się, jak ich tu nazywają, skwawomężami. Kit Carson ożenił się z meksykańską Metyską. Wprawdzie bardzo zacną, ale ja ci to przytaczam tylko, jako dowód... Buff, ty i May

jesteście sierotami. Nie macie żadnych krewnych. Jesteście samotni. Długo byliście nieszczęśliwi. Kochacie się nawzajem, dlaczego więc nie macie się pobrać?

— Dobrze, panie. Ale... ale kiedy? — spytał Clint słabym głosem. Nie miał siły na zwalczanie tego ponętnego projektu.

— Zaraz. Dopóki pastor Smith jest tutaj. Jak wiesz, jedzie do Kalifornii. A powiadam ci, chłopcze, że pastorowie są tu rzadcy, a będą jeszcze rzadsi w ciągu kilku przyszłych lat.

— Do kogo więc — szepnął Clint — mam się najpierw zwrócić?

— Najpierw, naturalnie, do May. A następnie, jeżeli się zgodzi, możesz udać się do Coucha. Zgodzi się, choć, sądzę, będzie się złościł, że porzucasz przewoźnictwo. A gdy, Buff, poślubisz May, będziesz musiał myśleć o niej. Jeżeli zaś będziesz czekał, to musisz zdać ją na opiekę Boską i kogo innego. Nigdy nie było na moim ranchu białej kobiety. Wziąłem to sobie za zasadę. Ale chciałbym, żeby tu May została tylko dla jednego powodu. Mogę być zrujnowany przez wojnę i mogę się wyprzedać. Pamiętaj o tym, chłopcze. Myślę i mówię tak w twoim własnym interesie.

— Dziękuję panu. Rozumiem to i po prostu... jakby mnie kto z nóg zwalił.

— Wierzę temu, Buff. Ale ja znam kresy! I zna je także Kit Carson. Będzie tu dziś lub jutro. I założyłbym się, że poradzi ci również pobrać się z May i pojechać do Kalifornii.

— Do Kalifornii? Ależ ja kocham Wielkie stepy! — wybuchnął Clint.

— Ah! — zawołał Maxwell, podnosząc ręce. — Bardziej nawet, niż May Bell?

— Nie, nie!

— A więc idź do niej, a jeżeli uzyskasz jej zgodę, Clementów i Coucha, to się z nią ożeń, dopóki nie jest za późno.

— Za późno? Na co?

— Na poślubienie jej. Jeszcze kilka lat tego karawanowego życia, a staniesz się stepowcem. Wówczas będzie za późno. Porwie cię to życie. Kit Carson musiał go zaniechać. I w sam czas. Curtis, Glade, Rockwell — wszyscy oni widzieli, co się święci. Jim Couch, Dagget, Grace zbyt długo lgną do tej włóczęgi. I nigdy już jej nie opuszczą. I pewnego dnia skalpy ich ozdobią jaki wigwam indiański.

— Czy był pan kiedy stepowcem? — spytał Clint.

— Nie. Ale przebywałem na stepach dosyć, aby odczuć ich dziwny czar, aby go zrozumieć. Większość ludzi nigdy nie może tego pojąć. A jest to ta ogromna nagość, ta wciąż wzywająca do siebie, nieskończona kraina, ta wieczna jednostajność stepów, ta dziwna pustka, a następnie jazda, obozowiska, czuwanie, walka — które przekształcają duszę chłopca i zagarniają go, gdy się stanie mężczyzną.

Clint powstał, wzruszony słowami tego mądrego i dobrego człowieka.

— Panie Maxwell, — rzekł, stojąc wyprostowany — zastosuję się, o ile tylko będę mógł, do twej rady. I dziękuję Bogu, że mi dał takich przyjaciół, jak pan i Kit Carson. Dopóki jednak nie osiągnę dwudziestu jeden lat, muszę słuchać wuja Jima.

— I masz rację, choć przyznam, że Couch może dziwaczyć. No, ale musi się liczyć nie tylko z tobą, lecz także z May i ze mną. Dobra spółka, co? A teraz biegnij, Buff, i chwytaj May.

— Idę, ale po prostu ze strachem.

— Co, boisz się tego ślicznego, słodkiego stworzonka?

— Być może dlatego, że... że May jest taka dziwna... Obawiam się, że będę musiał ją prosić, zamiast powiedzieć, że tak chcę.

Maxwell położył cygaro na stole i spojrzał na Clinta niemal z rozpaczą.

— Słuchaj, Buff. Wyrobiłeś tu sobie imię, gdy byłeś jeszcze malcem. Nazywano cię niegdyś chłopcem przewoźnikiem. Słyszałem o tobie na długo przed poznaniem ciebie. Dziś jesteś wielkim, zahartowanym młodzieńcem, mierzysz prawie sześć stóp i, jak powiadają, powaliłeś już niejednego Indianina. Jesteś mężczyzną. Wynoś mi się więc stąd pronto i pokaż May, że jesteś już i w miłości mężczyzną.

Wobec tych słów Clint wybiegł, a Maxwell zawołał jeszcze za nim:

— Buff, chciałbym być na twoim miejscu... A wracaj i opowiedz mi, co się stało!

Clint wybiegł, prawie odchodząc od zmysłów, przekroczył szybko podwórze, zapełnione bezczynnymi traperami, myśliwymi, Indianami i przewoźnikami, wyczekującymi nowin, i nagle niemal że uderzył o Coucha, który wyłonił się na krawędzi zbocza, idąc widocznie z obozowiska.

— Halo, wuju Jimie!... Czego wyglądacie tak ponuro?

— A bo miałem właśnie starcie z Buellem, nowym ajentem Aulla — odparł Couch ze złością. — Zebrał dziewięćdziesiąt furgonów futer, które ma dostarczyć do Westport przed końcem sierpnia, i przysięga, że jeżeli nie podpiszę kontraktu o ich przewóz i nie zabiorę się natychmiast do ładowania, to już nigdy nie otrzymam żadnego kontraktu od Aulla.

— I co zamierzacie zrobić? — spytał Clint, zaniepokojony.

— Sam nie wiem. Głupi jestem.

— A co powiadają przewoźnicy?

— Nie wiedzą jeszcze o tym.

— Ale wiecie przecież, wuju, że nie można teraz ruszyć w drogę bez eskorty wojskowej. Trzeba poczekać na jaką inną karawanę i do niej się przyłączyć.

— Wiem o tym, ale Dagget powiada, że minie kilka, może ze sześć tygodni, zanim nadąży tu z powrotem z Santa Fé... A tymczasem, Buff, — i to najgorsze — Buell ofiaruje mi znacznie wyższą zapłatę od centnara, a poza tym jeszcze pięćset dolarów gratyfikacji, jeżeli dowiozę mu te futra do Westport na piętnastego sierpnia.

— Wuju, — odparł Clint poważnie — co prawda, jest to propozycja ponętna, ale spodziewam się, że jej nie przyjmiesz.

— Hej, — zawołał Couch podejrzliwie — powiadasz: nie przyjmiesz, zamiast nie przyjmiemy, a zatem, jak widzę, nie chcesz jechać!

— Tak, nie chcę, — potwierdził Clint spokojnie.

— A ja sądzę, — odparł Couch szorstko — że tak zrobisz, jak ja zechcę. Jestem czymś więcej, niż twoim zwierzchnikiem, jestem twym opiekunem.

Couch, człowiek zwykle jak najlepszy i jak najweselszy, okazywał się czasem niezwykle zacięty, gdy mu się sprzeciwiano, jeżeli zaś przy tym jeszcze wypił, to stawał się ponadto milczący i ponury. Clint podejrzewał, że i teraz właśnie znajduje się nieco pod wpływem trunków.

— Wuju, — rzekł — wobec tego nie będę ci nieposłuszny.

— No, rad jestem, że to słyszę. Bo też nigdy nie byłeś nieposłuszny... Buff, przyznam ci się, że to podły interes. Odnalazłeś właśnie twą ukochaną i, Bóg świadkiem, jak bardzo nie chciałbym was rozłączać... Ale, cóż robić, takie to już psie szczęście!

Po tym okrzyku pobrnął dalej w stronę składu Maxwella.

Clint pozostał na miejscu, tak zakłopotany, jak nigdy. Wreszcie postanowił, że lepiej będzie odłożyć rozmowę z May, dopóki przynajmniej nie zastanowi się nad nakazem wuja Jima. Przewoźnicy będą teraz coraz trudniejsi do zdobycia, pomimo wysokiej zapłaty. Couch potrzebować będzie wszystkich, jakich tylko uda mu się zgromadzić.

Niedługo jednak trwało to zachwianie się różowych nadziei i czarujących marzeń Clinta. Potrzeba by czegoś więcej, jak nakazów, karawan, Indian, aby poskromić jego dzisiejszą radość. Nagle przyszła mu do głowy piękna myśl, aby zawrócić do składu Maxwella i kupić tam dla May pudełko cukierków, które świeżo przywiozła karawana Daggeta. Ruszył więc znów przez podwórze.

Jakże jednak zmieszał się i osłupiał, gdy podniósłszy oczy, ujrzał przed sobą May Bell i porucznika Clayborna, wychodzących ze składu. May nie dostrzegła go w pierwszej chwili, gdyż podniosła oczy na porucznika. Widok tych wesołych oczu, rozchylonych karminowych warg i uśmiechu, skierowanego do tego pupila West Point, był ciosem dla Clinta. A przy tym May trzymała w ręce pudełko cukierków, które właśnie chciał jej kupić.

Wreszcie dostrzegła Clinta i wesołe jej spojrzenie, rozchylone wargi i uśmiech, z którym zwracała się do Clayborna, stały się nagle dziesięciokrotnie piękniejsze i słodsze.

Clint zauważył to i błyskawicznie zrozumiał swą głupotę, odczuł, że ten błysk radości, który zajaśniał na jej pięknej twarzy, był przeznaczony dla niego. Niemniej jednak tylko ukłonił się sztywno, uchylając kapelusza, i wpadł do składu.

## Rozdział XIII

Clint kroczył przez skład, nie widząc ani klientów, ani też subiektów, zawadzał o worki i bele i wyszedł tylnymi drzwiami, wrzący z gniewu na siebie, na May, na podbijającego serca niewieście porucznika, na cały świat.

Poszedł do dzielnicy meksykańskiej, do stodół i korralów po to tylko, aby szybko zawrócić stamtąd na podwórze przed składem. Tam usiadł na skrzyni, po czym oparł się o barierę do przywiązywania koni, rozglądając się, jak Indianin, ze wzgórza.

Nagle obolałe jego serce zabiło gwałtownie. Dostrzegł May, wychodzącą z dworu Maxwella w towarzystwie tylko pani Clement. Czarującego porucznika nie było nigdzie widać na widnokręgu, co Clint uważał za szczęście dla niego, w głębi bowiem duszy powziął ponury zamiar zabicia pewnego dnia tego wojaka.

May i pani Clement weszły do składu. Clint, nie tracąc czasu, ruszył za niemi i znalazł przedmiot swych poszukiwań, stojący opodal od pani Clement, zajętej załatwianiem sprawunków. Usiłując tedy przybrać minę obrażonego, aczkolwiek nie bez pewnej obawy, zbliżył się do panny.

— Dzień dobry, panie Belmet — rzekła zimno, gdy podszedł do niej.

— ...dobry — odparł cierpko, już zgoła niepewny siebie.

Boć widział tę pannę tylko przez część dnia i wieczór, w ciągu których bynajmniej nie okazywała tego, co teraz połyskiwało w ciemnych jej oczach.

— Czy nie widziałam już pana dzisiaj?

— Nie jestem tego pewien. W każdym razie nie wtedy, gdy ja cię spostrzegłem. Ręczę, że nie pomogłaby ci wtedy nawet lornetka.

— Oh, wydał mi się pan taki mały... Czy pan co kupuje? Nie chciałabym pana zatrzymywać.

— Wpadłem tutaj, szukając ciebie — odparł Clint posępnie.

— Już po raz drugi wpada pan tu dzisiaj, czy nie? Musi pan być bardzo zajęty dzisiaj.

Clint wlepił w nią oczy, nie mogąc w żaden sposób sprowadzić jej na grunt wspólny, choć czuł, że on tu jest właściwie obrażony, co zwiększało jeszcze bardziej jego urazę.

— Pozwoli pan cukierków? — spytała nagle słodko, podając mu otwarte pudełko.

— To ten pyzaty pupil West Point dał ci te cukierki?

— Tak. Bardzo to ładnie z jego strony. A drugie jeszcze pudełko mam w namiocie. Od Murdocka, co dowodzi, że pamięta o mnie — rzekła takim tonem i przy tym tak spojrzała, że Clint do reszty zgłupiał.

— Ja nie chcę, abyś... — wybuchnął, ale nagły błysk jej oczu nie pozwolił mu dokończyć.

— Słuchaj, Clint, — spytała gniewnie — czyś ty przyszedł tutaj robić awantury, czy też mnie przeprosić?

— Przeprosić? Ja? Za co? — zawołał Clint zdumiony.

— Postąpiłeś co najmniej nieszlachetnie.

— Cóż takiego zrobiłem?

— Spotkałeś się ze mną oko w oko — odparła gorączkowo. — Spojrzałeś na mnie tak, jakbyś mnie schwytał na czymś niedobrym. Nie wymówiłeś ani słówka. Nie spojrzałeś nawet na porucznika Clayborna. A gdy zawołałam na ciebie, nie odwróciłeś się nawet... Postąpiłeś brutalnie względem mnie a obrażająco względem niego.

— Nie przyznaję się do tego. Schwytałem cię na flirtowaniu.

— Na flirtowaniu? Jak śmiesz? — wybuchła.

— A cóż to było, jeżeli nie flirt?

— Jeżeli tak sądzisz, to nie raczę ci nawet odpowiedzieć — odparła, potrząsnąwszy dumnie głową.

— Czyś nie wpatrywała się w niego cała rozpromieniona, jakbyś umierała z pragnienia, aby zrozumiał, że...

— To nieprawda — przerwała mu, zanim zdołał rzucić przykre słowo.

— Widziałem — upierał się Clint.

— Clint, czy ty istotnie wierzysz, że ja flirtowałam z tym oficerem? — zawołała szybko, a blada jej twarz pokryła się pąsem.

— Naprawdę wierzę — odparł, zacięty nawet w strachu, który go ogarniał.

— Dobrze, a więc opowiem ci szczerą prawdę — rzekła drwiąco. — Spotkałam porucznika Clayborna tu, w składzie. Był tak dobry, że kupił pudełko cukierków i wetknął mi je w ręce. Czy miałam rzucić je na podłogę? Nie prosiłam o nie, ani nie pragnęłam nawet, aby mi je ofiarował. Ale żyłam wśród ludzi dobrze wychowanych. Nauczono mnie grzeczności i sądzę, że umiem się zachować. Musiałam więc przyjąć od niego te cukierki i podziękować... A jeżeli uśmiechałam się słodko, to z tego powodu, że winszował mi narzeczeństwa z tobą. Słyszał, jak pan Maxwell mówił o tym. O tobie zaś powiedział, żeś już wyrobił sobie imię na kresach i że jesteś dzielnym chłopcem... Masz! Oto dlaczego uśmiechałam się do niego tak słodko — ty dziki łowco bizonów!

— Och, May! — krzyknął Clint, przejęty żalem i wstydem.

Okrzyk ten jednak nie sprawił na niej wrażenia. Odwróciła się, aby odejść, ale Clint schwytał ją za rękaw i szeptem błagał o przebaczenie.

— Niechaj tak będzie — odparła tonem lodowatym, który świadczył wymownie, że wciąż jest obrażona.

— Słuchaj — szeptał Clint szybko, biorąc ją za rękę, którą cofnęła. — Cały byłem wzruszony, oszalały z radości pod wpływem tego, co mi Maxwell dzisiaj powiedział, a czego ci w tej chwili powtórzyć nie mogę, gdy natknąłem się na wuja Jima. Zwiastował mi niedobre nowiny, a przy

tym boję się, że pije... To też, gdy cię spotkałem, byłem zupełnie wytrącony z równowagi... i... sądziłem...

— Już to mi powiedziałeś — przerwała. — Sądziłeś, że flirtuję. Otóż, panie Buff Belmet, żadna dziewczyna na świecie nie była tak daleka od niewierności jak ja... Ale teraz, gdy ujrzysz mnie z porucznikiem, albo z Murdockiem, strzeż się!

— O, Boże!... May, nie mów tego — błagał.

— Flirtować będę najbezczelniej... z każdym.

— To mnie zabije — szepnął, kurcząc się, jakby uczuł ponownie przeszywające go ostrze zazdrości.

— Phi! Chciałabym widzieć, co zrobisz — odparła, utkwiwszy w nim wzrok niedowierzający.

— Co zrobię? Dam się komuś we znaki! — zawołał gwałtownie, gdyż gniew brał w nim znów górę nad innymi uczuciami.

— Dasz się we znaki? — powtórzyła, spojrzawszy na niego z kobiecą przenikliwością.

— Tak, zrobię to. Znajdujemy się na kresach, a ty jesteś moją dziewczyną.

— Byłam nią — odparła prawie smutno.

— Mój Boże! May... May, ty mnie nie opuścisz?

Zmiękła wobec tego nalegania, choć wciąż jeszcze podniecona.

— Nie, nie zwiodę cię, — odparła powoli — ale potrzebujesz nauczki.

— Już ją otrzymałem.

— Nie. Potrzebujesz prawdziwej. Zarzuciłeś mi najzupełniej bezpodstawnie, że flirtuję... A ja cię tak kochałam. Zawstydziłbyś się, gdybyś wiedział, jak chłopcy w Teksasie ubiegali się o mnie.

— Nie chcę tego wiedzieć. Już dosyć nałykałem się wstydu.

— Wstydu? — odparła z pogardą. — Po prostu wyglądasz, jak pijany, i chcesz postawić na swoim. Zawiodłam się na tobie i jestem dotknięta. Upłynie może jeszcze sporo czasu, zanim... zanim się pobierzemy... Czy za każdym razem, gdy jaki, młody mężczyzna spojrzy na mnie — postąpisz jak dzisiaj i będziesz szalał?

— Przyznam się, że będę — rzekł Clint szczerze.

— Och, — zaśmiała się — ładne to będzie nasze narzeczeństwo!

— Ładne, czy nieładne, ale takie będzie. Wprawdzie nie mogę zakazać innym mężczyznom, boć jesteś taka śliczna...

— Śliczna? — przerwała mu, uradowana jak dziecko. — Nigdy przedtem nie powiedziałeś mi tego!

— Daj mi tylko sposobność. Przecież spędziłem dopiero kilka godzin z tobą... Ale — jesteś moją dziewczyną i ja nie zniosę, abyś rzucała okiem na innych mężczyzn.

— Doprawdy?... A cóż ty rozumiesz przez to rzucanie okiem?

— No, sposób, w jaki spoglądałaś na tego pupila West Point.

— Clint, czy ty naprawdę nie umiesz odróżnić naturalnego spojrzenia dziewczyny od kokieterii?

— Przyznam się, że nie potrafię. Oba są jednakowe.

— Więc masz mnie za kokietkę? — spytała urażona.

— Nie to właściwie chciałem powiedzieć — odparł pośpiesznie. — I, prawdę powiedziawszy, bodaj czy wiem, co myślę. May, ty jesteś pierwszym i jedynym dziewczęciem, jakie miałem, a Maxwell powiada: „Nigdy nie można wiedzieć, co kobieta zrobi”.

— A więc, Buff, trzymaj się tego — rzekła May i widać było, że powstrzymuje się od śmiechu.

— Ale co mam o tym sądzić? — zaprotestował Clint zrozpaczony.

— Sądź, co ci się spodoba — oświadczyła dumnie i odeszła.

Clint nie zdołał już po prostu odpowiedzieć popędowi serca, naglącemu go, aby bądź co bądź podążył za nią. Naraziłby się może tylko na jeszcze większą nieprzyjemność. A zresztą wystawił już May na spojrzenia i szepty przewoźników oraz żołnierzy. Kto wie, czy i Indianie, jak Samotny Wilk, nie kpią już z niego.

Dopóki więc jeszcze starczyło mu sił, powlókł się do swojej szopy i tam rzucił się w kącie na posłanie. I, tak leżąc, przeżył godzinę ciężką, rozpuściwszy wodze myślom. I pojął, że choć mierzy prawie sześć stóp i czyni wrażenie dorosłego mężczyzny, to jednak w sprawach, tyczących się dziewcząt i miłości, był wierutnym dzieckiem bez doświadczenia.

Za drzwiami rozległ się odgłos stąpania ciężkich butów, po czym zapukano do drzwi. Clint powstał, aby je otworzyć. Stał tam Couch, ponury, dziki, z ogniem w oczach, ale trzeźwy.

— Buff, — rzekł — szukam cię wszędzie.

— Wuju Jimie, czułem się niedobrze, postanowiłem więc przeleżeć się nieco.

— Spodziewam się, że nie jesteś chory?

— Owszem, byłem... Miałem starcie ze swym dziewczęciem.

— Ha, nic dziwnego. Widziałem ją niedawno z tym porucznikiem, a dopiero co z Murdockiem. No, cóż, ładna dziewczyna i nie można brać im tego za złe. Buff, powiadam ci, że ta dziewczyna wywoła prawdziwe piekło tu, na kresach.

— Oh, już stała się nim i dla mnie po trosze — odparł Clint ponuro.

— No, nie bierz znów tego tak poważnie. Jest młoda i żywa. Założyłbym się, że to dobra dziewczyna.

— Dziękuję ci, wuju — rzekł Clint, wzruszony.

— Ale, ale! Dopóki nie zapomnę, muszę ci powiedzieć, że ten Murdock sterczy mi gdzieś w żołądku. Musiałem go już dawniej spotkać, albo słyszeć o nim. I to niepochlebnie. Gdzie jednak i jak, tego nie wiem. Tak byłem zajęty i skłopotany! Ale ja już to sobie przypomnę.

— Nic mnie on nie obchodzi i przypuszczam, że nie dla niego polowałeś na mnie, wuju?

— Boże! Jakżebym pragnął, żeby tak było. Buff, po prostu nie śmiałem odrzucić tego kontraktu Aulla. Podpisałem. Ludzie moi ładują jak szaleni. Jutro ruszamy przed wschodem słońca.

— I bez eskorty wojskowej?

— Do diabła, tak! Nie sposób dostać żołnierzy.

— Ile furgonów?

— Dotychczas sto osiem. Ale może będzie więcej. W każdym razie nieduża karawana. Kit Carson przyjechał tutaj. Zaklął i powiedział: nie

jedź! A ja mu odpowiedziałem, że muszę. Wówczas rzekł: w każdym razie mam nadzieję, że nie weźmiesz z sobą Buffa!

— Jak z tego widzę, wuju, Carson i Maxwell niemało troszczą się o mnie.

— Przywiązali się do ciebie, Buff. Bo też można cię polubić, chłopcze. Maxwell nigdy nie miał dzieci, a Carson ma syna na poły Metysa.

— Nadzwyczajni to ludzie. Zajrzę do nich. Ale zdaje mi się, że to tylko marzenia, abym mógł im dorównać.

— Buff, będziesz jeszcze wielkim stepowcem. Ale to mi przypomina właśnie, dlaczego polowałem na ciebie. Przyznam się, że byłem dzisiaj względem ciebie szorstki. Żałuję tego. I przyszedłem tutaj, aby ci powiedzieć, że możesz pozostać z Maxwellem i zaniechać przewoźnictwa. Maxwell da ci zajęcie. Oddam mu twoje pieniądze. Żeń się ze swoją dziewczyną. Jest to wprawdzie narowista rasowa klaczka, ale może sobie z nią poradzisz. Musisz jednak wyzbyć się swej miękkości, stać się nie na żarty mężczyzną. A możesz dojść do tego... Sam Pan Bóg wie, jak mi będzie brak ciebie, Clint, nie mówiąc już o tym, jak bardzo byłbyś mi potrzebny. Nigdy nie miałem własnego syna i ty byłbyś mi go zastąpił. Zanadto jednak miłuję ciebie, abym miał stanąć w poprzek twojego szczęścia. To wszystko, Buff, co miałem ci powiedzieć.

— Wuju Jimie, pojadę z tobą — odparł Clint złamanym głosem i odwrócił się od Coucha.

— Co? — zawołał przewoźnik.

— Będę tam, gotów do jazdy, o świcie.

— Buff, chyba nie żartujesz ze starego człowieka.

— Naturalnie, że nie!

— Ależ dziewczę twoje, Buff? Czy to uczciwie tak z nim postąpić?

— Wuju, May — to za wysokie progi na moje nogi, a przy tym, jak sam powiedziałeś, jest narowista.

— Słuchajże teraz ty, Buffie, co ja ci powiem...

Clint przerwał mu jednak głosem gniewnymi i po raz pierwszy od tylu lat, jak się znali, zaklął siarczyście. Couch westchnął mocno, jakby kto go uderzył, i wyszedł pośpiesznie.

Śmierć zdawała się Clintowi jego przeznaczeniem. I nie było już odwrotu. Czuł głuche uderzenia serca, jakby naciskanego przez ból wewnętrzny. Wzniosła radość ścigała się w nim z rezygnacją ponurą. Czarna rozpacz narzucała się jego umysłowi. Ale to była właśnie ta miękkość, o której wspomniał wuj Jim. On mu jednak pokaże! I przyszły mu na myśl drwiące słowa May: „Ach, ty dziki łowco bizonów"!

Szybko spakowawszy swe ruchomości, zaniósł je, okrążając z tyłu dwór Maxwella, a następnie na przełaj przez pastwisko, do obozowiska Coucha. Przewoźnicy uwijali się tam jak bobry, zanadto zajęci i podnieceni, aby zwrócić na niego uwagę. Indianie przyglądali się tej pracy z zajęciem i badawczo. Ogniska obozowe płonęły i dopiero wówczas Clint spostrzegł ze zdumieniem, że nadchodzi już zachód słońca.

Czas to najodpowiedniejszy! Zajdzie do obozowiska Clementów, aby się z nimi pożegnać. Dążąc zaś w tym kierunku przez gaj topolowy, zdecydował, że pośle do Maxwella słówko z podziękowaniem za gościnę i z

pożegnaniem. Co ten dobry kresowiec pomyśli sobie o nim? A co pomyśli wielki Kit Carson? Nie śmiał zaryzykować widzenia się z nimi. Może po latach, jeżeli uda mu się uniknąć losu większości stepowców, opowie im, jak i dlaczego nie ziścił ich nadziei.

Obóz Daggeta znajdował się po drugiej stronie wąskiej doliny, u wyższego jej końca i bliżej dworu Maxwella. Oddzielne obozowiska rozrzucone były malowniczo pod topolami. Wozy widniały wszędzie. Jeden z przewoźników skierował go do obozowiska Clementów. Clint widział je tylko przy świetle księżyca, rozpoznał je wszakże od razu, głównie dlatego, że leżało na uboczu.

Słońce złociło wąwóz pomiędzy grzbietami górskimi, a na wschodzie zwisała szara ciemność, jak całun nad próżnią, gdzie szlak Suchy wił się w dół, ku Wielkim Stepom.

Widok wysokiego furgonu towarowego pod potężną topolą, na którym spędził z May godziny tak odurzające — czy rzeczywiście było to zaledwie wczoraj? — przejmował Clinta na przemian to wzruszeniem, to ostrym bólem.

Ujrzał i poczuł dym płonącego drzewa. Śród wierzb i młodych topoli stało kilka namiotów i wozów. Okrążywszy gęstwinę, natrafił na Clementa i jego żonę, siedzących przy ognisku. Widocznie przerwał im rozmowę, gdyż oboje drgnęli, Clint jednak poznał zaraz, że byli mu więcej, niż radzi.

— Gdzieżeś się podziewał przez dzień cały? —spytał Clement, podając mu rękę i mierząc go badawczym wzrokiem.

— Oj, chłopcze, — dodała jego małżonka, kiwając znacząco głową — czas już był, abyś tu zajrzał.

— Miałem dzień... dzień niedobry — odparł Clint, od razu przystępując do rzeczy, choć przyszło mu to ciężko. — Wuj Jim Couch pakuje się, aby ruszyć w drogę o świcie... A ja z nim jadę.

— Ah, nie! — krzyknęła pani Clement, przy czym i ona utkwiła wzrok badawczy w jego twarzy, która zdradzała go, jak zawsze.

— Widziałem dzisiaj Maxwella — wycedził tymczasem Clement spokojnie. — Dużo dobrego mówił o tobie, ale nie wiedział, oczywiście, że nas opuszczasz... Musiało coś zajść.

— Istotnie. Bardzo mi przykro — odparł Clint, bezradny wobec ich zakłopotania i żalu, po czym uśmiechnął się, jakby pragnąc dopomóc im do odgadnięcia swego zmartwienia.

— To May, ta mała jędza — rzekła pani Clement, zwracając się do męża. — Mówiłam ci, Hall, że stało się coś złego. Przez cały dzień kręci się to z Tomem, to z Dickiem, to z Harrym, choć dopiero wczoraj wieczorem ogłoszono jej zaręczyny!

— Proszę, niech pani jej nie potępia — zawołał Clint pośpiesznie. — To ja... ja obraziłem ją... znieważyłem... bardzo zawiodłem jej oczekiwania.

— Hm — mruknęła pani Clement.

— Gdzie jest May? — spytał Clint nerwowo. — Chciałbym tylko powiedzieć jej, że mi przykro i że muszę się z nią pożegnać.

— Synu, — rzekł na to Clement swobodnym i zimnym głosem Teksańczyka — poczekaj nieco. Siądź i pogadamy.

— Nie, chciałbym raz z tym skończyć.

— Paradowała tu — mówił dalej Clement — z Murdockiem, tam i z powrotem, w ciągu godziny, a może i więcej i jak mi się zdaje, wyczekiwała na ciebie. Przyszedłeś jednak inną drogą. Złą porę wybrałeś dla widzenia się z nią, bo dziś jest dziwnie podniecona. Nigdy jeszcze nie widziałem jej takiej. A nie lubię tego Murdocka, że zaś Maxwell ogłosił o waszych zaręczynach, powiedziałem jej wręcz, iż nie powinna już wcale widywać się z tym jegomościem. O mało mi głowy nie urwała!

— Przyznam się, że to mi ułatwia sprawę — odparł Clint. — Dziękuję państwu za okazaną mi przychylność... Żegnajcie! Już się więcej nie zobaczymy.

Pozostawił ich osłupiałych z przerażenia i pobiegł w stronę biało-złotego błysku, który mignął pomiędzy wierzbami. Gdy zaś wyłonił się z gęstwiny, stwierdził, że biel tworzyła sukienka May, a złotem były ostatnie blaski zachodzącego słońca.

May siedziała na dyszlu wielkiego furgonu towarowego, obok zaś stał Murdock, bacznie nad nią nachylony. Clint natychmiast odgadł, że dostrzegła go już z daleka. Same linie wdzięcznych jej kształtów zdawały się tchnąć gotowością do walki. Miejsce, w którem siedziała, oddzielone było od innych obozowisk kolistą zasłoną drzew i krzewów.

Jakieś uczucie głębokie i gorące zadrwiło sobie z czarnej, bolesnej rozpaczy, z którą kroczył w stronę May. Co za wstrętny fałsz tkwił tutaj! Czy w nim? Jakże nierzeczywistym zdawał się ten obraz May, siedzącej w tym miejscu. Wykonała dokładnie to, czym groziła. Może nawet cieszyła się z tego, że doprowadził ją do dania mu nauczki.

Obnażywszy głowę, stanął przed nią bez zmieszania lub zakłopotania. A zanim przemówił, spostrzegł, że wyczytała z jego postawy i twarzy coś, czego się nie spodziewała. Sprawiło mu to melancholijną przyjemność.

Spojrzał w dół, prosto w jej ciemne źrenice, w których odzwierciedlał się złoty połysk polanki, a które pod jego spojrzeniem rozszerzyły się i zwiększyły.

— Przepraszam, panno Bell, — rzekł głosem zimnym i przeciągłym, jak istny Teksańczyk — nie mam zamiaru przerywać jej flirtu, ale o świcie ruszam szlakiem wschodnim i chciałem się tylko pożegnać.

May zerwała się z dyszla, pobladłszy jak jej sukienka.

— Oh, Clint!... Nie, nie!

Nie wiadomo jednak, czy ten jej protest, natchniony miłością i żalem, zmiękczyłby serce Clinta, w tejże bowiem chwili Murdock wymierzył Clintowi palący policzek.

Znieważony ani drgnął. To drugie uderzenie z tego samego źródła było mu na rękę.

— Rzeczywiście — zagrzmiał Murdock — jesteś dzikim łowcą bizonów, skoro nazywasz tę pannę flirciarką!

W głosie zaś jego, nagle nabrzmiałym, znać było, jaką przyjemność sprawiła Teksańczykowi ta okazja wyrażenia młodemu rywalowi raz jeszcze dotkliwie swej pogardy.

Ale choć Murdock był Teksańczykiem, tym razem jednak nie docenił przeciwnika.

— Murdock, — zawołał Clint dziko, sięgając do pasa — czy masz przy sobie rewolwer?

— Nie — odparł Murdock, zdziwiony ogromnie, a gdy jednocześnie May krzyknęła, wyprostował się sztywno.

Clint błyskawicznie podniósł pięść jak młot kowalski. Nagłemu temu uderzeniu towarzyszyło szczęknięcie zębów Murdocka. Teksańczyk nie upadł. Runął, jak uderzony maczugą i musiał stracić przytomność, zanim jeszcze uderzył z łomotem o ziemię. Couch, który twierdził, że Clint nie wie nawet, jaki jest silny, bodaj czy pozwoliłby sobie teraz na takie twierdzenie.

Clint podstawił wielką swą pięść pod szeroko rozwarte oczy May.

— Maxwell — rzekł — dał mi do zrozumienia, że uważasz mnie za ślamazarę. I zdaje mi się, że ten tu twój przyjaciel sądził to samo.

Zaprzeczyła milcząco, ruchem głowy. Stała drżąca, blada śmiertelnie, wstrząśnięta skutkami rozmyślnej swej winy, zanadto przerażona oszołamiającą nagłością katastrofy, aby mogła wyrazić to, co było jasne — żal swój, miłość. Jasne stało się to nawet dla Clinta, choć znajdował się jeszcze pod wpływem tego pierwszego swego wybuchu gniewu męskości.

— Czy... go... zabiłeś? — słabo wykrztusiła wreszcie May, wskazując drżącą ręką na powalonego, choć szeroko rozwarte jej oczy tkwiły w Clincie.

Nie miał na to odpowiedzi. Czuł tylko całą okropność pożegnania się z tą śliczną białą istotą. Białe jej ręce i szyja były obnażone. Wdzięk ich wstrząsnął go i męczył. Nigdy nie widział tak ładnej sukienki. I włożyła ją dla Murdocka! „Nigdy nie wiesz, co kobieta zrobi!” Jakże paliły go te słowa! Nienawidził w tej chwili Maxwella za to, co zdawało mu się teraz gorzką, drwiącą prawdą. Ale dość mu było spojrzeć na May Bell, aby zmiękły wątpliwości jego serca.

I nagle pochwycił ją w ramiona, nie zważając na jej słaby okrzyk, niepomny brutalnej swej siły, nieskończenie daleki od intencji, którą natchnął go Maxwell. May Bell nie była dla niego, ale ją musi mieć dla siebie choćby na jedną dziką, straszną, przelotną chwilę. Czy oszalał, wyobraziwszy sobie, że czuje drżącą odpowiedź na swój pocałunek? Nielitościwie przyciskał wargi do jej ust, policzka, oczu i znów do ust, czując słodycz torturującą, którą usiłował wchłonąć i zachować, świadomy, że to było pożegnanie jego z pięknością, miłością, kobietą, ze snami młodości dzikiej, pełnej nadziei.

Gwałtowny ten szał trwał krótko. Wyczerpany i drżący Clint puścił May i widział, jak pada ona na kolana, tkwiąc w nim wielkimi, szeroko rozwartymi oczyma. Wreszcie krzyknęła słabo, przechyliła się w tył i biała jej postać rozciągnęła się w całej długości na murawie.

Clint popędził wśród wierzb, pod topolami, w poprzek doliny, poza karawanę furgonów, do samotności i nocy.

* * *

O melancholijnym świcie Clint Belmet, uzbrojony jak wszyscy ci groźni przewoźnicy, jechał w dół szlaku wschodniego ku Wielkim Stepom.

## Rozdział XIV

Był to czerwiec, na stepie, wysoko na stokach Colorado. Z tyłu widniały niewyraźnie purpurowe zarysy gór, z przodu zaś otwierała się ogromna przestrzeń. Kwiaty wiosenne kwitły wśród falującej trawy. Karawana minęła szczęśliwie wąwozy i jary, a teraz zjeżdżała po zboczu. Nawet konie zdawały się to rozumieć. Co do letargicznych wołów, to w każdym razie stąpały raźniej.

Spotykano liczne oddziały żołnierzy. Wojna wywołała to niebywałe zjawisko. Gubernator Colorado wysłał do Nowego Meksyku cały pułk do walki przeciwko konfederatom. Z fortu Larned karawana wyjechała szybko z powodu panującego tam ścisku i braku paszy dla zwierząt.

U brodu na rzece Cimmaron jeden z wywiadowców dostrzegł muły w kanionie i powziął podejrzenie, że zasadzili się tam Indianie, którzy skradli te muły. Wysłany jednak rekonesans stwierdził, że muły znajdują się pod strażą dwudziestu jeden żołnierzy, rozłożonych na noc obozem w kanionie. Naturalnie ludzie Coucha wzięli tych żołnierzy za unionistów, ale dalsze badania i odwiedzenie ich obozu stwierdziły, że są to buntownicy.

Couch posprzeczał się z tego powodu z kilku przewoźnikami, radzącymi, aby tych buntowników otoczyć i pozabijać.

— Nie, to byłoby zanadto po indiańsku — zadecydował. — Ja się na to nie zgodzę. — Niech każdy z was ukryje rewolwer w kieszeni, po czym po trochu tam się zbierzemy i weźmiemy ich do niewoli.

Ludzie więc Coucha pociągnęli grupami do obozowiska żołnierzy; w odpowiedniej chwili, gdy większość buntowników zasiadła przy ognisku, Couch dał sygnał i zdumieni konfederaci wpadli w ręce przewoźników.

— Wzięliście nas podstępnie! — pienił się dowódca oddziału.

Couch miał zamiar przyłączyć karawanę jeńców do swojej, co było zadaniem, wcale nie ułatwiającym mu dotarcie do Westport. Szczęściem, ukazał się oddział wojsk unijnych, jemu więc przekazano jeńców.

W kilka dni później, gdy rozłożono się obozem nad potokiem Ash, Clint obudził się o godzinie trzeciej z rana i stwierdził nieobecność Jacka. A że nieobecność psa zawsze zapowiadała coś złego, zerwał się więc i pobiegł boso do Coucha, znajdującego się właśnie na straży z dziesięciu przewoźnikami. Zbudzono wszystkich ludzi i przygotowano się do odparcia ataku. Nic się jednak nie zdarzyło. O świcie, gdy Jack nie wracał, Clint chciał się udać na poszukiwania, ale Couch zabronił mu tego. Dopiero podczas śniadania pies się zjawił, merdając ogonem i prowadząc za sobą człowieka, uzbrojonego w strzelbę, widocznie przewoźnika.

Couch utkwił bystro i podejrzliwie oczy w nieznajomym. Samotny człowiek w tych stronach mógł być tylko rabusiem, albo nieszczęśliwym podróżnikiem.

— Jak się macie, przybyszu! Zakąście z nami — powitał Couch gościa głosem dość kwaśnym. — A jakże się też nazywacie?

— Nazywam się Asher — odparł zapytany, ocierając spocone czoło. — Jestem przewoźnikiem w drodze do Baruth. Mniej więcej o osiem mil powyżej was stanęliśmy obozem. Pięćdziesięciu jeden w karawanie... Dziś, przed świtem, gdy jeszcze księżyc świecił, ruszyłem na polowanie na króliki. Powracając do obozu, usłyszałem strzały i krzyki. Podkradłem się bliżej, nad potok, aby zobaczyć, co się dzieje... Wnet jednak strzelanie ustało, ale wrzask trwał w dalszym ciągu i furgony zaczęły płonąć, rzucając jaskrawe światło. Wówczas ujrzałem dużą gromadę Indian. Podpalili wszystkie furgony. Pozostałem ukryty w krzakach, wiedząc, że wszyscy moi towarzysze są już zabici i oskalpowani... Indianie odjechali, a ja ruszyłem w dół potoku. Spotkałem tego psa. Z pewnością poczuł Indian. On to doprowadził mnie tutaj.

Ot, stara historia stepowa, powtarzająca się w niezliczonych odmianach, a zawsze tak wstrząsająca, że wywoływała bladość na twarzach najbardziej nawet zahartowanych przewoźników.

— Ilu, powiadacie, was było? — spytał Couch, pierwszy przerywając ponure milczenie.

— Wszystkiego razem pięćdziesięciu jeden... Gdyby nie to, że czuwałem i poszedłem na polowanie, to nie byłoby nawet komu opowiedzieć, co się stało.

— A były kobiety lub dzieci?

— Dzięki Bogu, nie.

— To samo tutaj. A no, Asher, przyznam się, że trudno mieć apetyt w takich chwilach, ponieważ jednak musicie i to znieść, jak my wszyscy, więc siadajcie i jedzcie.

* * *

Następnego dnia karawana Coucha dotarła do Skały Pawnisów, jednego z ulubionych obozowisk Clinta wzdłuż Wielkiego szlaku.

Rzeka Arkansas robiła tu wielki zakręt, obejmujący z górą milion akrów równego jak podłoga gruntu, gdzie zawsze pasły się bizony. Było to zwykłe miejsce polowań wszystkich plemion stepowych, to też nieraz dochodziło tu do walk pomiędzy niemi.

Z karawany dostrzeżono plemię Czejenów, przenoszących swą wioskę. Był to widok znany już Clintowi, ale zawsze zajmujący.

Gdy obozowisko Indian przenosiło się z miejsca na miejsce, tą pracą zajmowały się wyłącznie ich skwaw. One to rozbierały wigwamy, pakowały je na konie, przywiązywały żerdzie z obu stron koni, a gdy wszystko już było gotowe, puszczały luzem klacz z dzwonkiem.

Ta klacz z dzwonkiem, nieodzowny dodatek każdej wędrującej bandy Indian, była nie tylko najzłośliwszym stworzeniem pośród mustangów, ale nawet wybrana i w tym ćwiczona, aby wpadać pomiędzy konie i woły

obozującej karawany, wywoływać wśród nich popłoch i uprowadzać je za sobą wzdłuż rzek i przez grzbiety górskie do miejsca, w którem Indianie oczekiwali już na zdobycz.

Gdy konie indiańskie spasły już trawę dokoła wioski, Indianie zwijali ją i przenosili się do okolicy dogodniejszej. Mieli więc zwyczaje ludów koczujących i szli za przykładem bizonów.

Tego dnia jednak Couch spostrzegł, że klacz z dzwonkiem skierowana była w stronę przeciwną od karawany. Konie szły za nią, mając przywiązane do boków i wlokące się końcami po ziemi żerdzie wigwamowe, pomiędzy którymi wisiały koszyki z indiańskimi dziećmi, czasami po dwoje i troje w jednym. Gromadzie Czejenów towarzyszyły liczne psy, dźwigające niekiedy na plecach, jak konie, drobne sprzęty domowe. Zdaniem Clinta, psy te musiały pochodzić od szarych wilków.

Czejeni doszli do miejsca, położonego na wprost obozowiska Coucha, i tam przystanęli. W tej chwili klacz z dzwonkiem, stosownie do nabytej nauki, chlusnęła w wodę i pobrnęła przez płytki w tym miejscu potok ku obozowisku białych. Spostrzegłszy to, Couch rozkazał ludziom rozstawić się półkolem z gotowymi do strzału karabinami, wobec czego kilku Czejenów puściło się konno za klaczą i zawróciło ją do swego obozowiska. Po dokonaniu tego wojownicy zasiedli na ziemi, skrzyżowawszy nogi, a skwaw zabrały się do rozbijania wigwamów, rozłożyły skóry bizonów i koce, rozpaliły ogniska i, ugotowawszy mięso, zaprosiły swych panów do jedzenia. A wszystko to działo się, jak na dłoni, w odległości zaledwie rzutu kamieniem od miejsca, w którem siedział Clint, przypatrując się temu widowisku.

Czejeni wszakże nie zaczepili karawany Coucha, powędrowała więc dalej w kierunku Małego Arkansas. Ale tam, na nieszczęście, wypadł jej nocleg w miejscu, znanym z zasadzek. Pawnisowie, Czejeni, Komancze, Arapahowie i Apacze napadli tu już na niejedną karawanę. Żadna zaś mniejsza karawana nie wyszła stąd bez walki z jednym z tych plemion.

Couch więc zastosował niezwykłe środki ostrożności, kazał zatoczyć furgonom koło jak najmniejsze, ustawił posiadane sześciofuntowe działo w najodpowiedniejszym miejscu i rozstawił trzydziestu ludzi na straży dokoła obozowiska.

Clint znalazł się na straży razem ze swym Jackiem, obok Coucha, w porze najniebezpieczniejszej, mianowicie przed samym świtem, gdy na wschodzie zaczyna się dopiero ukazywać słabiutki rąbek światła. Posterunek ich znajdował się tuż przy dziale. Przechadzali się tu, tam i z powrotem razem z jednym jeszcze przewoźnikiem. Noc była pochmurna, ciepła, zagrażająca deszczem.

Nagle Jack zaskomlał i, zadarłszy łeb, zaczął węszyć — co stanowiło oznakę niemal pewną, że Indianie znajdują się w pobliżu.

— Masz tobie — mruknął Couch. — Dotychczas mieliśmy szczęście, teraz jednak zdaje się, że będziemy mieli piekło!

Po tych słowach przywiązał psa do koła jednego z furgonów, a że Jack stawał się coraz niespokojniejszy i podejrzliwszy, ruszył dokoła obozu, budząc wszystkich ludzi. Gdy wreszcie wrócił do działa, stojącego w

otworze, pozostawionym pomiędzy furgonami, Jack począł warczeć zajadle.

— Baczność, wszyscy! — krzyknął Couch, zapalając lont.

— Już tu są! — huknął wywiadowca, stojący na koźle jednego z furgonów.

I nagle zawrzało. Po raz pierwszy Couch znalazł się zaskoczony. Wprawdzie ludzie jego już nie spali, ale jeszcze nie wszyscy zdążyli zająć swe stanowiska. Toteż, gdy rozległo się okropne wycie Indian, tylko trzecia część karawany rozpoczęła ogień.

Clint, z karabinem w ręku, dał nurka pod furgon. Włosy stanęły mu na głowie, skóra stężała i ziębła, a krew zbiegła do serca. Wrzawa okrzyków i strzałów stała się ogłuszająca. Czerwone błyskawice rozdzierały ciemność nocy, a w ich świetle migały szybko dzikie postacie. Clint uczuł prąd powietrza — szarpnięcie rozdzierające i stracił przytomność.

* * *

Otworzywszy oczy, spostrzegł, że leży w łóżku, w nieznanym sobie pokoju. Przez okno widać było cienką powłokę śniegu na jakimś dachu. Zima! Zdawało mu się, że śni. W głowie czuł dziwny zamęt. Ciało ciążyło mu jak ołów. Wszystko, co obejmował wzrokiem, było mu obce. Ale zdawał sobie sprawę, że żaden z fortów na stepach nie posiadał takiego pokoju, w jakim leży. Podniósł rękę i zapukał w ścianę.

Rozległ się odgłos kroków. Otworzyły się drzwi, do pokoju weszła kobieta i spojrzała na leżącego bystrymi, przenikliwymi oczyma.

— Gdzie ja... jestem? — spytał Clint, odnosząc wrażenie, że głos jego nadlatuje z daleka.

— W Kansas City — wesoło odparła kobieta, nachylając się nad nim i dotykając ręką jego głowy, a patrząc mu w oczy, dodała: — Czy wiesz kim jesteś?

— Jestem Clint Belmet... a raczej to, co ze mnie pozostało.

— Doskonale! — zawołała uradowana. — A więc odzyskałeś zmysły. Nie chciałam temu wierzyć, ale doktor wciąż się upierał, że przyjdziesz do siebie.

— Że przyjdę do siebie? — powtórzył oszołomiony.

— Tak jest. Leżałeś bez zmysłów przez całe miesiące — odparła nieznajoma, pochylona nad nim. — Przywieziono cię do szpitala w sierpniu, ale pod koniec września pan Couch polecił przenieść cię do mego domu. A teraz już jest po Bożym Narodzeniu.

— Boże Narodzenie... Gdzie jestem? W Westport?

— Tak się nazywało to miasto. A teraz nazywa się Kansas City. Rośniemy.

— A gdzie jest wuj Jim?

— Chcesz powiedzieć: pan Couch. Wyjechał w sześć dni po przyjeździe. Podobno na czele wielkiej karawany. Przeszło dwieście furgonów.

— A co mi... dolega? — ciągnął Clint już słabszym głosem.

— Sam zobacz, młodzieńcze.

Przy tych słowach ujęła go za rękę, podniosła ją i powiodła jego palcami po głowie, pomiędzy włosami, powyżej skroni. I uczuł pod palcami długą, głęboką szramę, wprawdzie już zagojoną, ale jeszcze bolesną przy dotknięciu.

— Kula?

— Nie. Szrama od strzały, która prawie że cię oskalpowała. Ranę od kuli, i to brzydką, miałeś w ramieniu. Ale także już się zagoiła. Jesteś na drodze do zdrowia.

— A gdzie się podział... mój pies... Jack?

— Pan Couch opowiadał mi o nim. Musiał to być pies nadzwyczajny. Gdy cię znaleziono — o ile sobie przypominam — Indianin wyciągał cię z pod furgonu, a pies z nim walczył. Indianin przebił go nożem, przeznaczonym widocznie do oskalpowania ciebie. W tej chwili zabito Indianina. Pan Couch powiada, że niewątpliwie tylko dzięki psu twój skalp ocalał.

— Mój pies... Jack — szepnął Clint sennie.

Nie czuł nic, prócz przejmującego grozą poznania faktów.

W lutym był już w stanie podnieść się z łóżka, krążyć po pokoju i od czasu do czasu dołożyć szczapę drzewa do pieca. Panował mróz. Pani Mellon ustawiła wygodny fotel przed piecem. Clint spędzał w tym fotelu całe godziny. Mógł tylko spać i czytać. Jadał w tym samym fotelu, mając, zamiast stołu, deskę, położoną w poprzek kolan. Długo zastanawiała go chudość rąk i jak dziecko podnosił je i przyglądał się im pod światło. Z każdym jednak dniem stawały się mniej przezroczyste. A wuj Jim mawiał, że Clint ma ręce jak szynki.

W marcu nastąpiło wyraźne polepszenie. Doktor twierdził, że organizm Clinta zwalczył już zupełnie zatrucie krwi, jakie się wywiązało wskutek rany od kuli w ramieniu. Apetyt poprawiał się najpierw stopniowo, a potem wielkimi skokami.

W kwietniu nastały dni słoneczne, zazieleniła się trawa, drzewa puściły liście i zakwitł bez na krzakach pod otwartym oknem. Rozlegał się śpiew ptactwa. Wiosna! Ale serce Clinta nie uderzało radośnie. Przestał już być chłopcem, a to, co warte było życia, leżało w przeszłości.

Gdy mógł już wychodzić, ulubionym jego miejscem stała się przystań na rzece. Przesiadywał tam godzinami, przyglądając się wirującym błotnistym wodom rzeki, parowcom o kołach na rufie, przepływającym po niej i wyrzucającym kłęby dymu lub robotnikom portowym, ładującym i wyładowującymi towary. Przechadzał się też pod drzewami nadrzecznymi, a w miarę nabierania sił, zapuszczał się poza granice miasta i, znalazłszy odludny jakiś zakątek, sadowił się tam i rozglądał dokoła.

Myśli jego jakby zastygły. Coś go ogłupiło. Niemniej odczuwał, że malcy Westport uważają go za bohatera. Unikał ich, o ile to było możliwe. Każdy znał jego dzieje. Buff Belmet! Gdyby był zabił tylu Indian i tyle razy unikał cudownym sposobem śmierci, jak to opowiadali o nim ci malcy, to chyba stokrotnie przewyższyłby Kita Carsona.

Zaczęło się lato. Clint powrócił do łowienia ryb na wędkę, ale już nie z dawną gorliwością. Niemniej sprawiało mu przyjemność to siedzenie nad rzeką, z plecami opartymi o drzewo i wpatrywanie się w pływak swej

wędki, który się prawie nigdy nie zanurzał. Ale bo też nie bardzo mu o to chodziło.

Pod koniec maja pierwsza karawana ruszyła na Zachód. W czerwcu ruszyło ich kilka, wszystkie bardzo duże, gdyż Indianie stali się dziksi i bardziej zawzięcie napadali, a wobec toczącej się wojny, nie można było dostać eskorty wojskowej. Trudno było Clintowi nie odczuwać wpływu strasznej walki Południa z Północą. Westport kipiało opowiadaniami o wojnie. Przez miasto przeciągali wciąż żołnierze. O ile mógł zmiarkować, więcej ludzi sprzyjało w Westport Południowi, niż Północy. Czasami udawało mu się podsłuchać z ukrycia ostrożnych rozmów robotników murzyńskich.

W lipcu jeszcze więcej karawan skierowało się w stepy. Clint nigdy nie pomijał chwili odjazdu takiej karawany. I nigdy nie mógł patrzeć na natężające się i ruszające z miejsca woły, na obracające się koła wielkich furgonów bez uczucia tęsknoty do ruszenia z niemi. Coś wzywało go tam, na Zachód. A pragnienie to wzrastało w nim coraz silniej. Widział myślą długą karawanę, wijącą się śród stepu na przestrzeni mil całych; widział obszar ogromny ze wszystkich stron otwarty, falujące trawy, morze kwiatów, ptaki, króliki, antylopy, jelenie, olbrzymie, ciągnące się do widnokręgu stada bizonów, długie, długie przestrzenie, jednostajne, odludne i wspaniałe. Oczyma duszy wciąż badał równiny nagie, grzbiety wzgórz i wyłaniających się nagle, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, dzikich, z piórami na głowach, nagich jeźdźców stepowych. I rozmyślał o pozostawionych tam mogiłach swych ukochanych i o mogile swych nadziei.

Już od szeregu dni oczekiwana była karawana firmy Aull and Company. Karety pocztowe z Council Grove i żołnierze z fortów stepowych, dążący na wschód, przywozili pogłoski o karawanach, które wcale nie dotarły do miejsca przeznaczenia. Może nie wyruszyły w czasie oznaczonym, a może powstrzymano je zupełnie.

Bo też ta wiosna 1863 roku była najbardziej niespokojna ze wszystkich, jakie kiedykolwiek przeżywał zawód przewoźniczy. Gdyby firma Aull and Company poniosła straty na oczekiwanych karawanach skór i futer, to musiałaby zbankrutować, a mniejsze towarzystwa handlowe znajdowały się również w ciężkim położeniu. W ogóle stan wszystkich interesów handlowych, niezwiązanych bezpośrednio z wojną, przedstawiał się źle.

Z rana dnia 16 lipca przypędził do Kansas City galopem wysłany przodem jeździec i zameldował firmie Aull and Company, że w ciągu dnia stanie nad rzeką karawana Nelsona — sto sześćdziesiąt dziewięć ciężko naładowanych furgonów zgoła nienaruszonych, z przewoźnikami i inwentarzem w dobrym stanie, tudzież z pewną liczbą rodzin emigrantów, ocalonych pod Punktem Skalnym.

Nie tylko firmę Aull and Company uradowała ta wiadomość. Powszechnie odczuto ulgę i odżyły nadzieje tych, którzy oczekiwali na inne karawany.

Clint był pewien, że to Couch pobije wszystkie karawany. Widocznie jednak Nelsonowi musiała sprzyjać wyjątkowo wczesna wiosna, a przy tym, niewątpliwie, sprzyjało mu także szczęście podczas tej jazdy.

Z pewnością pierwszą osobą w Kansas City, która dojrzała nadciągającą karawanę, był jastrzębiooki Clint Belmet. Zdawało się, że widok jej wyrwał go z martwoty dziwnej, tłumiącej w nim przez całe miesiące wszelkie wzruszenia. Trząsł się jak liść. Zdawało mu się, że przed oczyma jego rozwija się przeszłość. Przybycie do Independence — strumień — mała May Bell — kozioł „szkunera preriowego”, na którym z nim siadywała — Indianie — śmierć matki i ojca — słowem, wszystkie wstrząsające obrazy przeszłości.

Clint znalazł się w pierwszym szeregu tłumu, witającego karawanę. Furgony zapełniły cały plac przed składami Aull and Company. Clint wszedł pomiędzy wesołych, spoconych przewoźników, wymieniając zdania to z tym, to z owym. Mówił do nich językiem, który rozumieli. Karawana Nelsona była dwukrotnie napadnięta, ale strat nie poniosła. Pod Punktem Skalnym pięćdziesięciu przewoźników konno odpędziło bandę Pawnisów, atakującą resztę karawany emigrantów. Pawnisowie, Komancze i Apacze ruszyli ze swych zimowisk na ścieżkę wojenną tak dzicy i liczni, jak nigdy. Ponadto na stepach Zachodu wyłoniło się nowe niebezpieczeństwo. Trzeba było strzec się teraz nie tylko Indian, ale także rozmaitych zatraceńców, dezerterów z obu armii, bandytów i rabusiów meksykańskich. Mała karawana miała zaledwie jedną szansę na sto prześlizgnięcia się przez stepy. A jeżeli wrogowie karawan przeniosą swą działalność jeszcze dalej na wschód, do Council Grove, to nawet krążenie karet pocztowych będzie musiało ulec przerwie.

Tego samego jeszcze wieczora Clint spotkał w składzie Aull and Company, gdzie był znany, jasnowłosego olbrzyma, Nelsona, naczelnika pierwszej tej karawany z Zachodu.

— Jak się macie! — zawołał Nelson. — Więc to wy jesteście Buff Belmet? Słyszałem o was i rad jestem uścisnąć waszą dłoń.

— Czy słyszeliście — spytał Clint skwapliwie — o wuju moim, Jimie Couchu?

— Naturalnie. I teraz przypominam sobie, Buff, że właśnie Couch opowiadał mi, że byliście postrzeleni w czasie ciężkiego starcia, jakie Couch miał z Komanczami... No, i cóż, wylizaliście się już z tego?

— Tak, jestem już prawie zupełnie zdrów.

— To mnie cieszy. Poczekajcie! Toć to prawie rok upłynął. Czas leci! Założyłbym się, że już niedługo znów zasiądziecie mocno na koźle i rozglądać się będziecie po stepie.

— Nie wiem. Może być. Zależeć to będzie od wuja Jima. Czy możecie udzielić mi jakich wiadomości o nim?

— Z pewnością. Widziałem go w forcie Larned w październiku. Jechał do Santa Fé i Vegas, gdzie zamierzał przezimować.

— Czy nie powinien zawitać wkrótce do Kansas City?

— Powinien i z pewnością przyjedzie. Nie martwcie się, Buff, o tego starego *hombre*. Wprawdzie ryzykuje, ale zawsze dojeżdża. Bo też stoi na czele zespołu najwytrawniejszych pogromców Indian na Starym szlaku.

Chciałbym ich mieć. Faktem jest, że jeżeli przyjedzie, gdy będę ładował, to poczekam i przyłączę moją karawanę do jego... Ciężka to dziś praca — przewoźnictwo. Wyczerpuje ludzi. Mieć się przez cały dzień na baczności, spać przez całą noc z jednym okiem otwartym, to nie ustępuje prawdziwej bitwie. Ścina z nóg człowieka.

— A czy nie zajeżdżaliście czasem na... rancho Maxwella? — spytał Clint głosem niepewnym.

— Nie. Zimowałem w forcie Union. Ładna, jasna zima i wczesna wiosna. Słyszałem jednak o Maxwellu. Niedobrze mu się wiedzie. Ubiegłej jesieni stracił czterdzieści siedem furgonów. Spalono mu je nad Cow Creek. Pawnisowie. A słyszałem, że brak mu już zapasów i zależało mu bardzo na tym transporcie. Kiedy deszcz, to już ulewa... No, i krążą pogłoski, że Maxwell nie przetrzyma wojny. Wprawdzie posiada dużo ziemi i bydła, ale jeżeli nie będzie miał obrotu, to chyba musi się wyprzedać.

— Przypuśćmy. Ale przecież ten, kto od niego kupi dziś ziemię, znajdzie się w tym samem położeniu?

— I to prawda — zaśmiał się Nelson.

— A czy nie słyszeliście czego o Daggecie, który w maju roku ubiegłego przyprowadził karawanę na rancho Maxwella.

— Owszem. Zastrzelono go zimy ubiegłej w jakiejś szulerni w Vegas. Nie pamiętam już, kto mi o tym mówił. Dość, że karawana jego rozwiązała się, a przewoźnicy rozeszli się tu i owdzie. Couch dostał sporo z nich.

Clint mówił już z trudnością. Język mu stężał, a w gardle zaschło.

— Miałem... miałem — ciągnął — przyjaciół w karawanie Daggeta, Teksańczyków, Clementów. On miał na imię Hal, a...

— Nie, Buff, — przerwał mu Nelson, widząc, że Clint się ociąga — przykro mi, ale nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

— Był też w karawanie Daggeta pewien człowiek, także Teksańczyk. Ale nie należał do mych przyjaciół. Nazywał się Lee Murdock... Czyście czasem nie słyszeli o nim ubiegłej zimy?

— Murdock? Zdaje mi się, Buff, że słyszałem o nim — odparł Nelson, drapiąc się w głowę. — Poczekajcie... Mam go!... Tak, nazywał się Murdock, ale co do imienia, to nie jestem pewien. Szuler. Skory do rewolweru i źle o nim mówią. Rodem z Teksasu. O ile sobie przypominam, ostatniej zimy był w Larned.

— Dziękuję. Zdaje się, że to właśnie ten człowiek, o którym myślę.

— A no, to dobrze. Nie powiedziałbym wam tego o nim, gdybyście mnie nie uprzedzili, że Murdock nie jest waszym przyjacielem... Słuchajcie, Buff, zaraz po wyładowaniu towarów rozłożymy się obozem tuż za miastem, na pastwisku Jone'a. Zajdźcie tam do mnie. Zapraszam was na obiad. Mam jeszcze ćwiartkę mięsa bizoniego. Cha, cha! Widzę, jak się uśmiechacie. Założę się o dziesięć dolarów, że już wam ślinka do ust idzie.

— Nie zaprzeczam — potwierdził Clint.

— Bo też, gdy człowiek żywi się przez pewien czas bizonią pieczenią, to gardzi potem wołowiną. Ta pieczeń to jak ten Stary szlak, chwyta człowieka za serce.

Clint odszedł, zatopiony w myślach i uczuciach, które zdawały mu się niewyraźnie zapamiętanymi snami. Spodziewał się więcej nowin, niż te,

jakie otrzymał o wuju Jimie. Powróciwszy do swego pokoju, jeszcze mierzył go krokami wzdłuż i w poprzek, wreszcie rzucił się na łóżko. Ugięło się pod nim i zatrzeszczało, odzyskiwał więc już dawną wagę. Leżąc, rozpostarł przed sobą prawą rękę i wpatrzył się w nią bacznie. Nie była już suchym, długim, cienkim szkieletem ręki. Wprawdzie zachowała jeszcze bladość, ale dawna jej tężyzna powróciła. Mógłby choćby jutro powozić furgonem. Na kłykciach palców widniały dwie niewielkie blizny — ślad niezatarty zębów Lee Murdocka. Wspomnienie uderzenia, jakie wymierzył Teksańczykowi, wywołało w nim żywszy obieg krwi i lekkie uczucie rozpierającego ciało ciepła. Przeszłość, która wydawała mu się już niewyraźną i bladą, zaczynała nabierać barwy i życia.

## Rozdział XV

Jim Couch przybył z połową karawany do Kansas City późnym wieczorem dnia 2 sierpnia. Clint dowiedział się o tym dopiero nazajutrz z rana, otrzymawszy od swej gospodyni zawiadomienie, że Couch przysyłał po niego. Na tę wiadomość, nie zjadłszy nawet śniadania, pobiegł na podwórze wyładunkowe składów Aulla.

Nietęgo przedstawiała się karawana Coucha, ale Joe Anderson, powitawszy radośnie Clinta, zapewnił go, że choć kilku przewoźników odniosło rany, to jednak żaden nie był zabity i że ocalono wszystkie cenne towary.

Clint zastał Coucha w stanie, odpowiadającym stanowi dowodzonej przez niego karawany. Dziki, obrośnięty, brudny jak traper, z bandażem przesiąkłym krwią na głowie. Ujrzawszy Clinta, krzyknął.

— Na wszystkie świętości, toć to Buff! — wołał, ściskając Clinta stwardniałymi rękoma. — Boże drogi, jakże rad jestem!... Blady jeszcze jesteś, starszy, ale znów na nogach i jak się patrzy!

Clint zdławił wzruszenie, jakie wywołało w nim to gorące powitanie, i wyjąkał:

— Wuju, czy nie masz... listu do mnie.

— Nie. Przykro mi powiedzieć, że nie — odparł Couch i zamyślił się nagle.

— A są... jakie nowiny?

— Nowin mnóstwo, Buff. I czuję, o co głównie ci chodzi. Jesieni ubiegłej, gdym powrócił do Maxwella, twojej dziewczyny już tam nie było. Clementowie pojechali do Taos. Maxwell mówił mi, że May wyglądała dobrze, gdy ją widział po raz ostatni. Wzięła jednak okropnie do serca twą ucieczkę. Przybywszy do Santa Fé, napisałem do Clementa, zawiadamiając go, że jesteś postrzelony i że pozostawiłem cię tutaj w szpitalu. Na ten list nie otrzymałem wcale odpowiedzi. Przezimowaliśmy w Santa Fé i już nie jeździłem do Taos. Na wiosnę jednak, przed samym odjazdem z karawaną, dowiedziałem się, że Clementowie ruszyli do Kalifornii.

— Czy... to wszystko? — spytał Clint, odczuwszy dopiero w tej chwili runięcie żywionych nadziei.

— Wszystko co do twej dziewczyny. I powiem ci szczerze, że wiadomości to dobre. May Bell dotknął mocno twój odjazd. Jestem przekonany, że będzie tam gdzieś na ciebie czekała.

— Ale... ta Kalifornia!

— A ja ci powiem, że właśnie doskonały był pomysł Clementów zabrania jej na wybrzeże oceanu. Przynajmniej do czasu skończenia się wojny. Powinieneś się z tego cieszyć, Buff. Przecież Stary szlak stał się teraz drogą ognistą przez piekło!

— Nie zastanowiłem się nad tym... A czy ten Murdock pojechał także do Kalifornii?

— Nie, Buff. To szuler, jeżeli nie coś gorszego. Przez czas krótki bawił w Santa Fé. Związał się z Jimem Blackstonem i jego zgrają. O ile mi wiadomo, Blackstone miał mnóstwo pieniędzy na pijatykę i grę. A możesz się założyć, że tych pieniędzy nie odziedziczył po bogatym papie. Słyszałem o nim dużo. Murdock wpadł w złe towarzystwo.

— To mnie pociesza — rzekł Clint, siląc się na uśmiech. — Byłem strasznie o niego zazdrosny.

— A więc powiem ci, żeś był wielkim głuptasem. Ta dziewczyna jest, jak zapewniał mnie Maxwell, tak szalenie zakochana w tobie, że nie pozwoliła, aby cię kto choć słówkiem potępił.

— Czy naprawdę... Maxwell to powiedział? — spytał Clint, drżąc wewnętrznie.

— Tak jest. Spędziłem dwa dni na ranchu i kiedykolwiek spotkałem Maxwella, nie potrafił o niczym innym mówić, tylko o May i o tobie. Doprawdy, jakby zbzikował na tym punkcie... Ale skoro już mowa o Maxwellu, to muszę ci powiedzieć, że znajduje się w kłopotach finansowych i chciałby się wyprzedać. Teraz jednak wszyscy na kresach zaledwie że mogą związać koniec z końcem. I zdaje się, że będzie jeszcze gorzej, zanim nastaną lepsze czasy.

— Anderson powiadał mi, żeś miał, wuju, kilku ludzi ranionych.

— Tak, dziewięciu, nie licząc mnie. Trzykrotnie byliśmy napadani po drodze. Po raz ostatni pod Punktem Skalnym, gdzie głowa moja natknęła się na uncję ołowiu ze starej strzelby, nabijanej z przodu. Gdyby o cal niżej, to twój wujaszek Jim znajdowałby się już na szczęśliwych polach wiecznych łowów. I bylibyśmy tam pobici, gdyby nie nasza sześciofuntówka. Gdy ja upadłem, Ben Davis stanął przy dziale. Dwa wystrzały z niego wystarczyły, aby Komancze czmychnęli, jak wystraszone stado królików. Musieliśmy pozostawić część furgonów, ale to strata przewoźników, których były własnością.

— Punkt Skalny? — zauważył Clint, którego pamięć zaczęła się ożywiać. — To nieszczęśliwe dla nas obozowisko.

— Hm, może masz rację, Buff. Ilekroć ten punkt ukazuje mi się na widnokręgu, tylekroć przechodzą mnie ciarki, jakby co złego miało mi się tam przytrafić. I przytrafiło się teraz po raz drugi.

— Wystrzegaj się, wuju, trzeciego.

— Och, sam już o tym myślałem. Ale trudno, człowiek nie może uniknąć swego losu, tak samo jak tych dziwnych przeczuć... Buff, pieniądze twoje złożyłem tutaj w banku. Czy zawiadomiono cię o tym?

— A jakże i zapłaciłem z nich wszystkie moje długi. Pozostało mi jeszcze około dwu tysięcy dolarów.

— To dobrze. Pozostaw je w banku i dodawaj do nich każdego dolara, którego zarobisz.

— Niedużo wydaję. A kiedy zaczniesz, wuju, ładować?

— Natychmiast. Mam duży kontrakt. Naładuję wszystkie furgony, które tu przyprowadziłem, a ponadto jeszcze pięćdziesiąt kilka. Hm, będę musiał dobrać przewoźników niedoświadczonych. Ale jakoś szczęście mnie nie opuszcza. Szykuje się tu transport wojskowy do fortu Larned. Pojedziemy razem.

— Ciekaw jestem, czy mógłbyś, wuju, znaleźć miejsce dla starego przewoźnika stepowego? — wycedził Clint, spoglądając dziwnym wzrokiem na Zachód.

— Cha, cha, dlaczego nie? — zaśmiał się Couch.— A zatem, Buff, zabieraj swą broń i rupiecie i przyjdź do naszego obozu. Musisz się przecież nieco opalić, zanim dotrzemy do krainy Indian. Wzięto by cię tam jeszcze za albinosa!

* * *

Na czele karawany, złożonej ze stu sześćdziesięciu dziewięciu ludzi, nie licząc żołnierzy, towarzyszących transportowi wojskowemu, Jim Couch nie bardzo potrzebował obawiać się dzikich podczas tej swojej podróży na Zachód.

Siedem band Indian, niektóre z nich liczne, przyglądało się długiej karawanie, mijającej ich posterunki obserwacyjne, ale żadna nie odważyła się na zaczepkę. W każdym razie ta milcząca ich czujność była złowroga. Biada małej karawanie!

Clint Belmet tedy wkroczył znów na dawne tory, a miesiąc powożenia, dźwigania i rąbania drzewa opalił go i zahartował. Ale nawet Couch nie mógłby się domyśleć, jak w duszy Clinta wzrasta stan niepewności i nadziei. Tysiąckrotnie, gdy powoził, wlepiwszy oczy w pociągający go purpurowy widnokrąg, i nocami, gdy kojoty zawodziły żałośnie, Clint powracał myślami do tego, co Couch i Maxwell powiadali o May.

Zaczął się już listopad i padał śnieg, gdy karawana Coucha stanęła w Santa Fé i, wyładowawszy towary, rozłożyła się obozem na zimę.

Clint jednak musiał się wyrzec piastowanego przez całą długą podróż zamiaru udania się przy pierwszej sposobności na rancho Maxwella, okazało się bowiem, że pułkownik wyjechał na wschód. Na jego gruntach odkryto złoto i, jak krążyły pogłoski, pojechał sprzedać te grunta lub też znaleźć kapitały na eksploatację odkrytej kopalni.

Następnego zaraz dnia po przyjeździe Clint udał się konno do miasta w celu dowiedzenia się czegoś o Clementach. Cierpliwie i z uporem przeprowadził to dochodzenie. Wreszcie skierowano go do pewnego kupca z Taos, nazwiskiem Wright, który niedawno przybył do Santa Fé.

— Naturalnie, że znałem Hala Clementa — odpowiedział Wright natychmiast na pierwsze zaraz pytanie Clinta. — Dzielny Teksańczyk. Nie mogło być lepszego... I przykro mi powiedzieć wam, Belmet, że uczestniczyłem w jego pogrzebie.

— Co, umarł?! — zawołał Clint.

— Tak. Zastrzelony przez szulera, nazwiskiem Murdock.

— Murdock, Lee Murdock? — krzyknął Clint przerażony.

— Nigdy nie słyszałem jego imienia, ale wiem, że był także Teksańczykiem i znał się z Clementami. Zalecał się do ich adoptowanej córki... Nie mogę opowiedzieć wam dużo o tej sprawie, ale to, co słyszałem, tak się przedstawia: Hal Clement pojechał przeszłego roku do Kalifornii, pozostawiając żonę i córkę w Taos. Otóż podczas jego nieobecności Murdock tak miał doskwierać dziewczynie, że się rozchorowała. Wobec tego Clement, spotkawszy po powrocie Murdocka, obił go porządnie. Wkrótce potem spotkali się znów w piwiarni Turnera i Murdock zastrzelił Clementa. Ten Murdock ma być, jak opowiadają, szalenie wprawnym rewolwerowcem... Było to latem. W sierpniu pani Clement opuściła z córką Taos, a przybywszy tutaj, przyłączyła się do karawany, zdążającej do Kansas City.

— W sierpniu?... Do jakiej karawany? Kto nią przewodził?

— Bill Kelly. Tego jestem pewien, bo opuścił Taos w lipcu i zabrał nieco moich towarów, nie słyszałem zaś, aby jakakolwiek inna karawana ruszyła stąd w tym czasie.

— Oh! — zawołał Clint, zrozpaczony. — Minęliśmy się więc z tą karawaną w drodze. Skręciliśmy na Suchy szlak, tę krótszą drogę, którą wuj Jim zna tak dobrze, Kelly zaś pociągnął starą drogą.

Clint wypadł z hotelu, wskoczył na konia i szalonym pędem wracał do obozu. Istotnie była chwila, w której zaledwie kilka dni drogi dzieliło go od May. Wszak przypominał sobie, jak Couch mówił, gdy karawana jego dojechała do miejsca, w którem rozwidlają się szlaki, że ślady karawany Kelly’ego są jeszcze świeże. A przewoźnicy pamiętają takie rzeczy.

Wstrząs i rozczarowanie, jakich doznał, zdawały się Clintowi wprost nieznośne, dopóki nie przyszło mu na myśl, że przynajmniej May Bell uniknęła natręctwa Murdocka. To mu sprawiło pewną ulgę. Kelly miał dużą karawanę i mógł wytrzymać wszelkie napady, chyba że napadłoby go jednocześnie kilka szczepów indiańskich. Z pewnością zatem May Bell znajduje się już bezpieczna w Kansas City. I nagle zrodziło się w umyśle jego przypuszczenie, że dowiedziała się może o jego przygodzie i dlatego podążyła z panią Clement na wschód z pierwszą nadarzającą się karawaną. Gdyby tak było istotnie! Nabrzmiało mu serce. Dowodziłoby to bowiem, że go kocha pomimo wszystko. Nadzieja nie chciała go opuścić.

— Jeżeli tak jest, — Clint wmawiał w siebie — to pozostanie tam przez zimę i doczeka się mego powrotu w przyszłym lecie. Ale jakże długa będzie ta zima, jakże długie to czekanie!... A ta jazda na wiosnę!

Nagle przeleciała mu przez mózg błyskawicznie myśl o Murdocku, o policzkach, otrzymanych od niego, i o ciosie, jaki sam mu wymierzył, po czym przypomniało mu się szybko wszystko, co słyszał o Murdocku i wreszcie to, co Wright właśnie mówił o nim. Clint wyobrażał sobie, jak Murdock, nie mogąc pozyskać wzajemności May, zaczął ją prześladować. I z pewnością nie powstrzyma się przed niczym, aby dopiąć swego celu, czy to przez małżeństwo, czy też inaczej. Hal Clement obił Murdocka nie bez powodu.

— Zabiję tego człowieka! — mruknął i w tejże chwili odżyła w nim ta dziwna, zimna dzikość, jaką odczuł przed uderzeniem Murdocka.

Ta straszna decyzja dała mu pokarm do rozmyślań. Musi się przygotować do nieuniknionego spotkania z tym Teksańczykiem. W tym celu zaczął się wprawiać w strzelaniu ze swego rewolweru. Już teraz strzelał najlepiej ze wszystkich przewoźników Coucha. W strzelaniu z karabinu nie sięgał ponad przeciętność, ale miał oko bystre, czuły palec, chwyt, zapewniający celność. Dopóki tedy pogoda sprzyjała, zaczął chodzić na polowanie, ale nie tyle dla zdobycia zwierzyny, ile dla wprawiania się w strzelaniu z rewolweru. Potem brnął przez śnieg do gaju topolowego i tam strzelał do celu.

Zakupił całą amunicję rewolwerową, jaką znalazł na składzie w Santa Fé, co kosztowało go kilkaset dolarów. Przewoźnicy przestali w końcu drwić z tej jego manii. Couch spoglądał poważnie, kiwał kudłatą głową, ale nic nie mówił. Clint poczuł, że zaczyna dochodzić do wprawy, gdy trafiał już niechybnie, za każdym razem, do małej puszki od konserw, ustawionej o pięćdziesiąt kroków. Gdy zaś, rzuciwszy tę puszkę w powietrze, przeszywał ją trzema kulami na pięć, wówczas nabrał pewności siebie.

Z nauką wszakże celności w strzelaniu łączyła się także umiejętność szybkiego chwytu za rewolwer. Kit Carson, który zabił w swoim czasie więcej Indian i w ogóle ludzi, niż którykolwiek kresowiec, udzielił kiedyś Clintowi wskazówek, jak należy strzelać. Teraz więc mógł Clint korzystać bez końca z tych wskazówek. I tak spędził zimę na utrzymywaniu ognia w swej chacie, gotowaniu, rąbaniu drzewa, czytaniu, i wreszcie na doskonaleniu się w używaniu rewolweru w nadziei, że jeszcze przed nastaniem wiosny Murdock zawita do Santa Fé. Ale szuler obrabiał wtedy obozy wojskowe.

* * *

Zima przeciągnęła się w tym roku i wiosna nastała późno, co bynajmniej nie wpływało dodatnio na humor przewoźników. Zdarzały się wprawdzie lata, że mogli odbyć dwukrotnie podróż przez stepy tam i z powrotem, ale były to lata wyjątkowe.

Couch nie mógł wyruszyć przed początkiem czerwca, za to stanął na czele dwustu sześćdziesięciu trzech furgonów, a więc największej karawany, jaką dotychczas przewodził, co stanowiło pewną pociechę dla wszystkich i zmniejszyło ryzyko.

Podczas tej jazdy, która była już trzydziestą ósmą przeprawą Coucha przez stepy, karawanę jego czterokrotnie okrążały rozmaite bandy Indian, najpierw Kiowów, a w końcu Pawnisów, przy czym dwukrotnie używał swego działa, nie wyrządzając wprawdzie wielkich szkód napastnikom, lecz zmuszając ich w każdym razie do ucieczki.

— Cha, cha! — śmiał się w takich razach. — Uciekacie, czerwone diabły! — A raz dodał: — Bądź co bądź, rad jestem, że nie Komancze! Robactwo to dwa razy już mnie oblazło, zanim zdołałem użyć działa.

Clint stanął w Kansas City pod koniec sierpnia, pewny nareszcie, że odnajdzie May Bell. Do tego nawet stopnia pewny, że sprawił sobie nowy garnitur, buty, koszulę i krawat i wystroił się tak, jak nigdy jeszcze w życiu. A w przebraniu tym tak się zmienił, że gdy przechodził obok Coucha

i Andersona, obaj spojrzeli na niego, jak na obcego i nie odwrócili się nawet. Podobało mu się to ogromnie i natchnęło nadzieją, że stanowczo wywrze wrażenie na May. Jednocześnie wszakże powróciła dawna bojaźliwość i zwątpienie. Niemniej postanowił sobie, jeżeli odnajdzie May, a ona mu przebaczy, to do końca życia już jej nie obrazi.

Istotnie natrafił od razu na trop May Bell i pani Clement. Okazało się, że późną jesienią bawiły w hotelu Western, a następnie, powróciwszy z Teksasu, dokąd udały się parowcem, spędziły jeszcze kilka tygodni w Kansas City. Dowiedział się ponadto, że pani Clement posiada krewnych w tym mieście. Na próżno jednak ich poszukiwał. Za to poszukiwania te doprowadziły go do odkrycia, że May i pani Clement wyjechały karetą pocztową do Council Grove.

Wiadomość ta wykoleiła zupełnie Clinta. Rozbiły się jego nadzieje, a ich miejsce zajął niepokój i złe przeczucia.

Komunikacja z Council Grove, odległym o sto pięćdziesiąt mil od Kansas City, utrzymywana była nieregularnie. Clint wszakże zamówił sobie miejsce w pierwszej zaraz karecie, mającej wyruszyć na Zachód, czego Jim Couch nie pochwalał. Nastąpiły długie dnie oczekiwania. Tymczasem nadjechała kareta z przewoźnikiem, który spędził kilka dni w Council Grove, ponieważ zepsuł mu się furgon. Przewoźnik ten, człowiek inteligentny i chętny, zapewnił Clinta, że rozmawiał ze wszystkimi osobami, mieszkającymi w Council Grove i że z pewnością pani Clement i May Bell tam nie przyjechały. Wobec tego Clint zaniechał swego planu. I tak wkrótce wyruszy w tamte strony z karawaną Coucha, sam więc będzie mógł zasięgnąć języka.

Ale na razie nie zaniechał dalszych dochodzeń w Kansas City. Doprowadziło go to do natrafienia na poczcie na urzędnika, który pamiętał May Bell.

— Tak, przypominam sobie — mówił gadatliwy młodzieniec. — Przyszła tu po raz pierwszy po listy przed rokiem, a następnie była jeszcze kilkakrotnie. Znać było, że bardzo wyczekuje listu. Miała wielkie, piękne oczy jak ciemny aksamit, a twarz bladą, o ustach smutnych. Pomimo to wargi jej czerwieniły się jak wiśnie. Wyglądała na lat osiemnaście lub dziewiętnaście. Za każdym razem, gdy przyszła, udawałem, że przeglądam wszystkie listy, choć wiedziałem z góry, że dla niej listu nie ma.

Clint podziękował i opuścił biuro pocztowe. A zatem May Bell oczekiwała na list od niego i odjechała. To już było pewne. Ale dokąd? Zdawało się nie do pomyślenia, aby zechciała zawrócić i powtórnie odbyć długą podróż przez stepy. A jednak Clint obawiał się, że właśnie to zrobi. Jedna karawana opuściła Kansas City w lipcu, druga na początku sierpnia. Obie były bardzo liczne i dobrze uzbrojone. Zasięgnąwszy informacji w firmie Aull and Company, dowiedział się jeszcze tylko tyle, że w drugiej z tych karawan, wiozącej prowianty wojskowe, znajdowało się sześć rodzin, jadących na Zachód pod jej opieką.

Następna podróż Clinta przez stepy ciągnęła się dłużej, niż którakolwiek z poprzednich. Pod jej koniec rad byłby nawet starciu z

Indianami. Po raz też pierwszy Punkt Skalny nie wywołał w nim złych przeczuć, a przez wąwóz Apaczów jechał z miną wprost wyzywającą.

Po drodze z fortu Union, tuż poniżej skrętu, wiodącego na Suchy szlak, spostrzegł niewielką karawanę, długości bodajże pół mili, posuwającą się w kierunku wschodnim. Widok taki nie był niezwykły, ale w owych ostatnich miesiącach wojny karawany krótkie nie zdarzały się prawie nigdy.

Wieczorem, gdy rozłożono się obozem, Clint podszedł do Coucha.

— Czy widziałeś, wuju, — spytał — dziś, około południa, tę krótką karawanę, dążącą na Wschód Suchym szlakiem?

— Naturalnie! — odparł Couch z ogniem w oczach. — I bez względu, kto nią przewodzi, kląłem tego przewodnika, jak się patrzy. Trzydzieści osiem furgonów! Policzyłem je. Po prostu ci ludzie chyba poszaleli.

Gdy Couch stanął w Santa Fé, niemal cała ludność, począwszy od ajenta Aulla, a skończywszy na pasterzach meksykańskich, wyległa na spotkanie jego karawany, o której donoszono, że jest niemal całkowicie wymordowana. Pogłoski takie wędrowały tajemniczymi drogami z szybkością pożaru stepowego i rzadko kiedy, jak w danym razie, nie było powodu do braku wiary w napad Indian. A przy tym przewoźnicy na szlaku, jako też mieszkańcy posterunków wzdłuż niego, skłonni byli do wierzenia w złe wiadomości, gdy tymczasem na dobre zapatrywali się sceptycznie.

— A gdzież to, u diabła, miałem być oskalpowany? — zawołał Couch, pełen oburzenia.

— U Punktu Skalnego — odparł ajent Aulla, Buell. — Plotkarz, który to opowiadał, nie mówił dobrze po angielsku, zrozumiałem jednak nazwę.

— Punkt Skalny?

— Niech mnie diabli! Cóż to za plotkarz przyniósł tę wiadomość?

— Przyjechał tu przed dwoma z górą tygodniami.

— Sam jeden?

— Nie. W towarzystwie jego znajdowali się inni jeszcze Meksykanie i kilku białych. Jechali konno z jucznymi mułami.

— Aha! A skądże przywieźli tę wiadomość?

— Z fortu Union.

— W każdym razie nieco przesadzono, — zauważył Couch drwiąco — skoro nie straciliśmy ani jednego skalpu, ani też nawet worka fasoli... Przyznam ci się jednak, Buell, że nie lubię takich wiadomości, bo choć często powtarzane są w dobrej wierze, to jednak czasami może się zdarzyć inaczej.

— Jim, — rzekł Buell ze znaczącą powagą — chodź z Belmetem do biura.

Gdy zaś znaleźli się tam sami, we trzech, ciągnął:

— I ja tak podejrzewałem, teraz jednak, gdy przybyliście tu szczęśliwie, jestem już zupełnie pewny, że ta pogłoska pachnie podstępem.

— Na jakiej zasadzie? — spytał Couch.

— Na tej, że gdy ją rozpuszczono, pani Clement i jej córka przybyły tutaj...

— I są tu jeszcze? — przerwał Clint, wstrząśnięty do głębi.
— Nie, odjechały.
— Odjechały!
— Tak.
— Z tą małą karawaną, którą widzieliśmy na Suchym szlaku? W takim razie musiały stąd wyjechać przed jedenastu albo dwunastu dniami.
— Tak jest. Przed jedenastu. Odjechały dwudziestego trzeciego października.
— Na Boga! Więc odważyły się na tak daleką podróż na Wschód o tak późnej porze roku?
— Nie. Tylko do fortu Larned, gdzie miały się znajdować resztki waszej karawany.
— No, to coś dziwnego!
— I mnie wydaje się to teraz dziwne — odparł Buell, zaniepokojony, a we wzroku jego widniała troska. — Usiłowałem wyperswadować pani Clement tę jazdę. I już zdecydowała się nie jechać, ale córka jej, strasznie podniecona, oświadczyła, że w takim razie sama pojedzie!
I ofiarowała tysiąc dolarów temu, kto ją doprowadzi do fortu Larned. A była tu pewna liczba przewoźników, oczekujących na sposobność wyjazdu, zamiast zimowania tutaj. Znajdował się śród nich Jim Blackstone ze swymi ludźmi. Coś dziesięć, czy też dwanaście furgonów. Blackstone przyjął wspomnianą ofertę i oświadczył, że sam stanie na czele karawany. Pani Clement nie chciała puścić córki samej. Choć więc dopiero co tu przybyły z karawaną Simpsona, która ruszyła dalej do Taos i Vegas, jeszcze tego samego dnia zapakowały się i odjechały.
— Jim Blackstone! Zdaje się, że coś o nim słyszałem.
— W każdym razie nie jest przewoźnikiem z powołania.
— Więc czymże jest?
— Był po trochu wszystkim. Obecnie kupuje futra i sprzedaje wódkę Jutom. Powiadają też, że ma stosunki z Kiowami.
— Ilu, powiadasz, przewoźników?
— Musiało ich być ze trzydziestu, a wśród nich bardzo dzielni... Davis, Hennesy, Black i Tode Williams — wszystko zawodowi przewoźnicy.
— Hm, znam Tode'a i powiem, że sprosta Blackstone'owi.
— Buell, — wykrzyknął Clint, odzyskawszy nagle mowę — czy był tu przeszłego lata Lee Murdock?
— Tak, bywał. Ale nie przyjechał tu więcej po postrzeleniu gracza, nazwiskiem Weedon. Murdock kręci się w forcie Larned.
— A będzie tam teraz?
— Najprawdopodobniej. Larned to miejsce bardzo ożywione zimą. Wszyscy gracze tam dążą, zwłaszcza wczesną wiosną, gdy traperzy i myśliwi schodzą z gór.
Clint zwrócił się do Coucha.
— Wuju Jimie, jadę do fortu Larned.
— Co! Buff, nie ma o tym mowy. Żaden przewoźnik i w ogóle nikt nie wybierze się tam tak późną porą.
— Pojadę sam jeden.
— Ależ, Buff, posłuchaj...

— Pojadę. Wprawdzie byłeś, wuju, moim opiekunem, ale teraz jestem już pełnoletni. Muszę jechać... Jechać będę nocami, a kryć się za dnia.

— Ha, — odparł Couch zrezygnowany — jeżeli śniegu nie będzie, to może i dojedziesz.

— Dojadę czy po śniegu, czy bez śniegu.

— Buff, podczas śnieżycy możesz zjechać ze szlaku. Nawet ja nie ręczę, czybym nie zbłądził w takim razie.

— Pojadę nie obładowany i szybko. Pokonam śnieg — odparł Clint, a głos jego brzmiał twardo jak stal.

Zachód słońca ujrzał go wyjeżdżającego z Santa Fé na wielkim, sucherlawym koniu, z kocami i niewielką paczką, uwiązanymi z tyłu siodła. Za pożywienie miało mu służyć mięso suszone, prażona kukurydza i suche owoce. Zabrał też z sobą dwie manierki, karabin Colta i dwa rewolwery.

Kierowało nim jedno, jedyne niewzruszone postanowienie — znaleźć May Bell. Nareszcie miał pewność, gdzie jest, pewność jej miłości, wierności i niepokoju. To też musi ją znaleźć, albo zginie w tym usiłowaniu.

Wnet spowiła go noc zimna, gwiaździsta i cicha. Bystre jego oczy rozróżniały szeroki szlak tak wyraźnie, jakby świeciło słońce. Mało było prawdopodobieństwa, aby spotkał Indian po zapadnięciu nocy. Po gruncie miękkim, sproszkowanym przez niezliczone koła i kopyta, koń jego biegł cicho. A że rozluźniły się pęta cierpień, które zwiększył jeszcze bardziej dowód wierności May Bell, że wszystkie zmysły Clinta podniecała czujność, godziny jazdy były dla niego niczym.

Znał wszystkie źródła na szlaku, zatrzymał się więc przy jednym z nich nad ranem, napoił konia, a o świcie stanął w kępie cedrów, rozsiodłał konia i, uwiązawszy na długim arkanie, puścił go na paszę w miejscu, gdzie widniała gęsta trawa. Dokonawszy zaś tego, posilił się, nie rozpalając ognia, skromną swą strawą i, zaszywszy się w gąszcz, ułożył do snu.

Słońce przechyliło się już na zachód, gdy się obudził. Pożywił się znów i zaspokoił pragnienie, po czym wypełzł z gąszczu. Koń miał się dobrze. Clint podpełzł do odpowiedniego punktu, skąd mógł się rozejrzeć wzdłuż szlaku. Badawczy jego wzrok dojrzał bizony, antylopy, jelenie, króliki, wilki, dzikie konie, ale nie Indian. Wobec tego musiał zwalczyć kuszącą ochotę wyjechania spośród cedrów i zaryzykowania jazdy w ciągu jeszcze tej ostatniej godziny światła dziennego, ale oparł się tej pokusie. Musi się trzymać planu, który już sobie ułożył. Im dalej posuwa się tym szlakiem, tym więcej musi się mieć na ostrożności. Suchy szlak, tak rzadko uczęszczany późnym latem, ze względu na brak na nim wody, będzie mniej ryzykowny.

Dopiero więc, gdy zapadł zmierzch, cichy i zimny, Clint ruszył dalej.

## Rozdział XVI

Czwartego wieczora, skręcając na Suchy Szlak, Clint wjechał na ślady kół i kopyt, zacierające prawie zupełnie ślady, pozostawione przez karawanę Blackstone'a.

Dowiedział się jednak o tym dopiero o brzasku dnia, gdy dostrzegł je wyraźnie. Ślady te, którym przyjrzał się bacznie, zastanowiły go bardzo, lecz nie chciał ryzykować dalszej jazdy szlakiem, gdy zupełnie się rozwidniło. Przesiedział więc cały poranek, usiłując rozwiązać zagadkę tego niespodziewanego i stanowczo pomyślnego zdarzenia. Inna karawana, przy tym dość znaczna, co wskazywały ślady, skręciła na Suchy Szlak i to w niewiele godzin po karawanie Blackstone'a.

W nocy, która po tym dniu nastała, złoty sierp księżyca zajaśniał nad czarnym grzbietem górskim. Clint jechał szybko. Nieznużony jego koń prawie że bez podniety biegł wciąż kłusem. Około północy, w miejscu ciemnym, zasłoniętym z jednej strony przez niewielkie urwisko, zwierzę żachnęło się gwałtownie i trwożnie zaparskało. Clint zatrzymał je i w tejże chwili poczuł woń padliny. Znał ją dobrze. Zeskoczywszy więc z konia i wytężając wzrok, posunął się ostrożnie naprzód.

Uderzyła go następnie woń spalonej skóry i dreszcz przebiegł mu wzdłuż pleców. Indianie musieli napaść na karawanę Blackstone'a lub na tę, która za nim podążała, i pozostawili po sobie śmierć i płomienie. Wkrótce natknął się na zwęglone szkielety furgonów i dymiące stosy skór. Dwadzieścia dwa furgony, ustawione półkolem! Świadectwo wymowne. Ale z której karawany? Pot zimny wystąpił na twarz i piersi Clinta.

Wiedziony powonieniem Clint opuścił szlak i nagle stanął przed okropnym, strasznym szeregiem zwłok Indian, tak już poszarpanych przez sępy i kojoty, że z trudem rozpoznał w nich Kiowów. Nie byli ani oskalpowani, ani też obnażeni. Naliczył dwadzieścia dziewięć ciał, najwidoczniej ściągniętych ze szlaku. Przewoźnicy nie pochowali ich, co świadczyło, że musieli się śpieszyć. Leżały tu także zabite konie.

Clint na próżno szukał zwłok białych ludzi lub śladów jakiejś mogiły. Sprawiło mu to pewną ulgę, boć wiedział, oczywiście, że gdyby im czas pozwolił, przewoźnicy pochowaliby swych zabitych.

Dosiadłszy wreszcie konia, odjechał, podniecając go tym razem na przemian to do kłusa, to do galopu, i o brzasku dnia obliczył, że jadąc w ten sposób, oddalił się o jakieś trzydzieści mil od miejsca swego postoju.

O szarym świcie skręcił daleko od szlaku i znalazł tam dobrą kryjówkę z dość obfitą trawą, ale bez wody w pobliżu. Gdy ułożył się do

odpoczynku, zdawało mu się, że jakiś ciężar uciska mu piersi, a myśli mętne dokuczały i we śnie. Po południu, rozejrzawszy się po okolicy otwartej, dzikiej, odludnej i szarej, rozpalił małe ognisko i upiekł przy nim paski bizoniego mięsa, które osolone zaspokoiło razem z sucharami jego głód.

Zmierzch już zapadł, gdy odważył się powrócić na szlak. Pomimo jednak zmroku, widział doskonale. Z długoletniego przyzwyczajenia, oczy jego przesunęły się po otwartej krainie, najpierw z przodu, a następnie dokoła. Wreszcie zwróciły się na szlak. Uderzony widokiem śladów, które tam ujrzał, padł na kolana i począł skrupulatnie ślady te badać. Posuwał się na czworakach naprzód, w poprzek, w tył i w końcu powstał, drżący na całym ciele, stwierdziwszy, że ta druga karawana, dążąca śladami karawany Blackstone'a, skręciła z drogi.

W ciągu ubiegłej nocy musiał minąć gdzieś w ciemności rozwidlenie szlaków, na które skręcali emigranci, dążący do Teksasu. Ta druga karawana musiała stanowczo tam skręcić. Fakt ten zwiększył jego zaniepokojenie i obawy. Wprawdzie Clint nie był doświadczonym poszukiwaczem śladów, ale lata, spędzone na przypatrywaniu się szlakom, nauczyły go dużo. Do fortu Larned podążyło tylko dziesięć do dwunastu furgonów, zaprzężonych w konie, a towarzyszyła im pewna liczba ludzi konno.

Zdobył teraz dowód niezaprzeczalny, że spalone furgony należały do karawany Blackstone'a. Może być, że druga karawana wcale nie dopędziła pierwszej. Strach szarpał, jak wilk, nerwami Clinta. Nie śmiał zawrócić, nawet gdyby się to na co zdało. Mógł się tylko domyślać przebiegu zdarzeń. Ponieważ znane mu były tak dobrze podróże stepowymi szlakami i napady Indian, wywnioskował więc, że ludziom Blackstone'a udało się zwalczyć i odpędzić Kiowów z mniejszymi lub większymi stratami, po czym porzucili większą część swych furgonów, które uległy spaleniu przez Kiowów.

Gdyby zwłoki białych ludzi były porzucone na szlaku, to Indianie z pewnością oskalpowaliby je, obnażyli i pokiereszowali.

Odtąd noce stały się dla naszego jeźdźca męczarnią i zdawały się bez końca. Zaskoczył go przy tym śnieg. Śnieżyca po śnieżycy. Ale wyprzedził zimę, podjeżdżając do fortu Larned.

Podczas ostatniego dnia jazdy zajaśniało słońce, gdy się znajdował już o niespełna dziesięć mil od fortu. Wjechał tam głodny, zmęczony, wynędzniały, zacięty i ponury, ale nieskończenie wdzięczny wielkiemu swemu koniowi, który przetrzymał wszystko i dowiózł go do celu podróży.

Clint zajechał do korralu Aulla i, wsunąwszy dolara w rękę meksykańskiemu chłopcu, polecił mu swego konia, po czym pośpieszył do składu, gdzie znano go dobrze. Beckett, ajent Aulla, wyrzucił w górę ręce.

— Boże drogi! — zawołał. — Toć to Buff Belmet!... Jim Couch doczekał się nareszcie końca!

— Nie — odparł Clint. — Przyjechałem z Santa Fé sam jeden.

— Sam jeden!

Subiekci i klienci zbiegli się na ten okrzyk Becketta.

— Tak jest — ciągnął Clint pośpiesznie. — Jechałem nocami, spałem za dnia.

— Nie byłeś w karawanie Blackstone’a? W każdym razie nie wspominał wcale o tobie.

— Bo też nie byłem. Opuściłem Santa Fé w dziesięć, czy też więcej dni po nim. Jechałem jego śladami. Na Suchym Szlaku odkryłem, że druga karawana podążyła także tamtędy. Jadąc dalej, natknąłem się na spalone furgony i skóry, tudzież na zwłoki Indian — Kiowów. Dwudziestu dziewięciu!... I znów nocą minąłem miejsce, w którem druga karawana skręciła na teksaski szlak.

— Sądzę, że Blackstone nawet nie podejrzewał, iż inna karawana podąża tak blisko za nim. Przynajmniej wcale o tym nie doniósł... Ale co, u licha, skusiło cię do podążenia jego śladami?

Pytanie to zdławiło głos w gardle Clintowi. Gdyby wszystko było w porządku, gdyby pani Clement i May Bell przybyły szczęśliwie do fortu, to jego przyjazd nie zdziwiłby tak Becketta.

— Ruszyłem... śladami Blackstone’a, — wybuchnął głosem ochrypłym — bo... moja narzeczona, May Bell... i jej... i pani Clement znajdowały się w tej karawanie.

— Boże drogi! Człowieku, chyba się mylisz! — zawołał Beckett.

— Nie! — krzyknął Clint namiętnie.

— One jednak tu nie przyjechały. Nie ma ich w forcie... A Blackstone nie pisnął ani słowa, że miał kobiety w swej karawanie. Diabelnie to dziwne, Buff. Chodź ze mną do pułkownika.

— Nie jeszcze. Czy ten Jim Blackstone jest tutaj, w Larned?

— Naturalnie, że jest. Ma tu przezimować ze swymi kompanami.

— A Murdock... Lee Murdock?

— Tak samo. Był tu przed pół godziną.

— Gdzie ja ich zastanę?

— Założyłbym się o dziesięć przeciwko jednemu, że w szulerni Hornera. A może kręcą się w hotelu, czekając na obiad. Ale słuchaj, Buff...

Lecz Clint nie słuchał. Wybiegł, pozostawiając swój karabin u drzwi, gdzie go postawił, wchodząc do składu. Całe zmęczenie długą jazdą, niepokój, obawy, nadzieja i szereg wstrząsów, jakich doznał — wszystko to spłonęło w ogniu potężnej namiętności, która go ogarnęła. Pod względem wszakże umysłowym odzyskał nastrój, w jakim się znajdował zimy ubiegłej, w obozie pod Santa Fé, gdy się wprawiał do mającego właśnie nastąpić spotkania z Murdockiem.

Z przeciwnej strony placu, gdzie wznosiły się składy Aulla, znajdowała się piwiarnia Hornera w czerwonym, walącym się, starym budynku z cegieł niepalonych, z obnażonymi belkami dachu. Głoski białego niegdyś szyldu były do połowy już nieczytelne.

Clint pchnął podwójne drzwi i wielkimi krokami wszedł do piwiarni. Zwykli próżniacy przy ladzie, niewzruszeni Indianie, stojący jak posągi, gracze przy stołach, wszystko to objął jednym, błyskawicznym rzutem oka.

Wygląd jego musiał być uderzający, bo cisza zapanowała u szczytu lady i roztoczyła się jakby falą, po całej długiej izbie. Nagle rozległo się

uderzenie o podłogę ciężkich butów przewoźnika, siedzącego z nogami opartymi o piecyk.

— Buff Belmet! — krzyknął przewoźnik.

I zwykle postać Clinta zwracała na siebie uwagę. W tej chwili jednak biały od kurzu, nieumyty i nieuczesany, o twarzy poczerniałej i strasznej mógł zwrócić na siebie uwagę w najdzikszym nawet szynku kresowym.

— Szukam Jima Blackstone'a i Lee Murdocka! — zawołał głośno.

Wyzywający głos jego zapełnił całą piwiarnię. Gdzieniegdzie tylko odezwał się szept, szelest nóg lub nerwowe kaszlnięcie. Jeden mógł tylko istnieć powód zjawienia się tu Clinta i ostrego wezwania, jakie rzucił.

To też liczne twarze zwróciły się do stołu niedaleko pieca. Przy stole tym siedziało czterech, stało zaś trzech ludzi. Siedzący przerwali grę w karty. Wolnym krokiem Clint podszedł do tego stołu, kierowany wzrokiem twarzy, zwróconych ku niemu. I wówczas dopiero poznał Murdocka, tasującego karty niespokojnymi rękoma.

Jego przystojna twarz, gładko wygolona, spoważniała i pobladła, a oczy połyskiwały. Szepnął coś widocznie do człowieka siedzącego obok, brodatego olbrzyma w koszuli ze skóry jeleniej. Olbrzym ten poruszył tylko oczyma. Poza tym stołem, na jednej linii z Clintem, przesunęli się ukradkiem na obie strony wszyscy nicponie i członkowie bandy szulerskiej. Powód tego był tak samo oczywisty, jak wyprostowanie się Murdocka i Blackstone'a w swych krzesłach.

— Jestem Blackstone. Czego sobie życzycie? — odezwał się olbrzym powoli i zimno.

— Gdzie są te dwie kobiety, które was wynajęły, abyście przywieźli je do Larned? — spytał Clint, podchodząc do stołu, tak że miał całą siódemkę wprost przed sobą.

— Przypuszczam, że zabili je lub uprowadzili Kiowowie.

Clint wyczytał od razu fałsz w twardym, ponurym wzroku olbrzyma. Potwierdzało to straszne jego podejrzenia. Niewielu ludzi potrafi kłamać z twarzą niewzruszoną w obliczu śmierci.

— Kręcicie, Blackstone. Dlaczego nie zameldowaliście w forcie straty pani Clement i... panny May Bell, która zapłaciła wam tysiąc dolarów za przejazd do Larned?

— Ha, Belmet, gdy kto brzydko wpadnie, to nierad przyznaje się do tego — odparł Blackstone miękkim głosem.

Ale opalenizna zaczęła mu blednąć pod zarostem, a oczy drgnęły czujnością ludzi przywykłych do awantur kresowych.

— Aha! A dlaczego nie donieśliście komendzie fortu, że inna karawana, dążąca do Teksasu, dopędziła was na Suchym Szlaku? — zapytał Clint głosem przeszywającym.

Był to z jego strony strzał na chybił trafił, pomimo to jednak trafił do celu.

— Kim jesteście, do diabła, żeby mi tu grozić! — wykrzyknął Blackstone, nagle zapaławszy gniewem.

— Naczelniku, — szepnął prędko jeden z ludzi, stojących przy stole — to przewoźnik Jima Coucha, człowiek gwałtowny.

— Ta dziewczyna — syknął Clint — jest moją narzeczoną i zapowiadam, że pozostaje ci piekielnie mało czasu na wyznanie, gdzie ona się znajduje!

— Tak mi Boże dopomóż, jeżeli mogę ci to powiedzieć — odparł Blackstone głosem ochrypłym i kto wie, czy nie było w tym nieco prawdy. — Zaskoczyli nas Kiowowie. Musieliśmy walczyć z nimi i musieliśmy uciekać, pozostawiając większość furgonów i ludzi.

— Blackstone, wiadomo, że utrzymujecie stosunki z Kiowami, a wy, Lee Murdock, tropiliście, jak pies, May Bell z miejsca na miejsce.

W owych czasach daleko mniejsza obelga, niż to oskarżenie, uważana była na kresach za rękawicę, rzuconą w twarz przeciwnikowi. To też Blackstone sięgnął po rewolwer, zanim jednak zdołał go dobyć, Clint już trzymał swój rewolwer w ręce. Ale trzeci z rzędu z trójcy, stojącej przy stole, musiał przedtem już swój wydobyć ukradkiem, bo strzelił pierwszy, powalając Clinta na podłogę.

Clint wszakże uniósł się na lewej ręce i strzelił, trafiając w człowieka, służącego za tarczę temu, który pierwszy dał ognia. A gdy trafiony zachwiał się i przewrócił na stół, druga kula Clinta wyrwała okrzyk agonii z ust tego nędznika, który użył swego towarzysza za zasłonę dla siebie.

Wówczas dopiero huknął strzał Blackstone'a, a Murdock, zerwawszy się z krzesła, wypróżniał szybko nabój za nabojem. Clint czuł ołów, rozdzierający mu ciało. Niemniej prędkie jego strzały nie chybiały celu. Murdock wyrzucił w górę swój rewolwer i padł na wznak. Blackstone przechylił się na krześle i strzelał przez stół. Ale ciało miał wielkie. Drugi strzał, dany przez Clinta do niego pod stołem, trafił do celu. Blackstone osunął się na podłogę.

W tejże chwili w zamierających uszach Clinta przycichła wrzawa i krzyki podnieconych ludzi, w zachodzących mgłą oczach rozpłynęli się powaleni przez niego przeciwnicy, długa izba piwiarni zmąciła się i poczerniała.

* * *

Zanim Clint otworzył oczy, uszu jego doleciał trzask płonącego drzewa i uczuł woń alkoholu, czy też jakiegoś mocno pachnącego lekarstwa. A jednocześnie przypomniała mu się walka i zaczął odczuwać ból. Z wysiłkiem otworzył ciężkie powieki.

Na otwartym kominku wesoło trzaskał ogień. Clint leżał w jedynej izbie chatki z niepalonej cegły. Izba posiadała jedno okno i dwoje drzwi. Mniejsze wiodły do kuchni, w której kręcił się, pogwizdując, jakiś człowiek. Ściany izby pokryte były wiszącymi w pękach futrami, a na podłodze leżały rozpostarte skóry bizonie, futrem do góry. Widocznie chatka należała do trapera.

Nawet lekkie poruszenie ręką zabolało Clinta. Jedna z rąk była sztywna i bezwładna, drugą jednak mógł władać.

Pogwizdujący człowiek wszedł do izby. A był nim nie kto inny, jeno Dick Curtis, ów strzelec długowłosy, w ubraniu ze skór jelenich, który swego czasu zabrał Clinta po raz pierwszy na bizony.

— Jak się macie, Dick! — rzekł słabym głosem Clint.

— Ah, ty smyku jeden! — wykrzyknął Curtis radośnie. — Ależ majaczyłeś, Buff, jak Chińczyk oskalpowany!

— Czyżby? O czym?

— Do diabła! O dziewczynie, którą porwali ci czerwonoskórzy. Buff, mnie porwano z tuzin dziewczyn. Wprawdzie były to skwaw. Powiadam ci, że nie ma co wariować z powodu dziewczyny. No, cóż, przychodzisz do siebie?

— Tak mi się zdaje, Dick... Jaki jest mój stan?

— Niezgorszy, jak na człowieka podziurawionego ołowiem. Buff, stary doktor Culbertson powiada, że widocznie los zachowuje cię na strawę dla strzał Indian, bo kule nie mogą cię jakoś zabić.

— Więc dużo ich ugrzęzło we mnie?

— Większość przeszła na wylot, co możesz uważać za szczęście. Jedna wszakże, która odbiła się o twą czaszkę, ogłupiła cię zupełnie. Rzecz dziwna, że ta kula uderzyła właśnie w starą bliznę na twej głowie.

— A wyliżę się z tego?

— Nikt, oprócz mnie i doktora, nie chciał w to wierzyć. Bo też było z tobą krucho. Przed trzema tygodniami opuściła cię gorączka i rany zaczęły się goić. Tylko to majaczenie! Siarczyście rad jestem, że przeszło. Ciarki człowieka przechodziły, gdy cię słuchał nocami. Nigdy w swym życiu nie widziałem człowieka, tak szalejącego za dziewczyną... Buff, nikt by nie przypuszczał, że to siedzi w tobie.

— Może być, że ja sam tego nie wiem. Dick, gdzie ja jestem?

— W mojej chacie, miłej i przytulnej zimą. Mamy grudzień, coś blisko Bożego Narodzenia, czy też Nowego Roku. Zapomniałem. Ja i moi towarzysze zeszliśmy z gór. Nie było mnie, Buff, ze dwa lata. Ale uratowaliśmy naszą zdobycz myśliwską. Czy nie jesteś głodny, Buff?

— Sam nie wiem.

— Karmiłem cię, jak mogłem najlepiej. Ale doprawdy podziwu jest godne, jak człowiek byle czym się pożywi, gdy tego potrzeba. No, sądzę, że chciałbyś się chyba dowiedzieć, jakeś urządził Blackstone’a i jego zgraję.

— Nie bardzo jestem tego ciekaw — odparł Clint.

— A jednak, do pioruna, muszę ci to opowiedzieć. Powiadam ci, Buff, że pewnego wieczora, omawiając tę walkę, zastanawialiśmy się wszyscy, jakim cudem, u licha, nauczyłeś się tak władać rewolwerem. A był tam jeden z przewoźników, który spędził ubiegłą zimę z Couchem pod Santa Fé. I on to nam wyjaśnił. Opowiadał, żeś wykupił całą amunicję w mieście, mówił, że potrafisz wyrzucić w powietrze puszkę blaszaną i podziurawić ją kulami. Zapewniał, że sam to widział.

— Tak, wprawiałem się nieco.

— Cha, cha, dobrześ zrobił!... Jakże żałuję, że nie byłem świadkiem tej bitki. Ale mój towarzysz, Sandy McClellan, widział ją i opowiedział mi o niej. Bywały jednak, Buff, jeszcze krwawsze. Widziałem taką w forcie Bent. Dwu przeciwko dziewięciu. Do pioruna, to była bitka! Kule brzęczały jak pszczoły!

Curtis, sondując i podniecając w ten sposób pamięć swego pacjenta, wywołał w nim żywą ciekawość, choć Clint wzdragał się ujawnić ją głosem.

— Sandy — ciągnął traper, okraczywszy ławę i zasiadłszy na niej — widział tedy twą walkę i powiada, że było na co patrzeć. Gdyś wytknął Blackstone'owi, że zwąchał się z Kiowami, a Murdochowi, że, jak pies, tropi twą dziewczynę, to każdy już wiedział, że wyzywasz ich do sięgnięcia po broń. Ale McGill wcześniej wydobył swój rewolwer poza plecami Reda Hawkinsa i położył cię kulą na podłodze. Przypuszczamy, że to ta kula, która trafiła cię w ramię. Dość, że z podłogi kropnąłeś w Reda, a gdy upadł, w McGilla, trafiając go, jeżeli chcesz wiedzieć, w to samo miejsce, co Reda, tuż powyżej górnej kieszeni kamizelki, z lewej strony. Tymczasem Murdock zerwał się z krzesła, z rewolwerem, wymierzonym w ciebie, a Blackstone strzelał, oparłszy rękę o stół. Strzał twój do Murdocka był, Buff, tak celny jak inne. Kula wytrąciła mu rewolwer z ręki i odskoczywszy w górę, zorała mu kość policzkową, pozostawiając bruzdę, głęboką, jak Stary Szlak. Obezwładniło to Murdocka, a i ten gałgan Blackstone dał nurka pod stół. Ale dwa twoje strzały nie bardzo mu zaszkodziły, gdyż najpierw przeszły przez nogi tego stołu. Już następnego dnia chodził.

— A cóż... z Murdockiem? — spytał Clint, uczuwszy drgający ból pod wpływem dziwnego wstrząsu.

— Niewiele brakowało, a byłoby po nim. Kula utrąciła mu szczyt kości policzkowej. Wprawdzie w tydzień potem był już na nogach, ale pozostanie oszpecony na całe życie. Z pewnością rozpoznasz go już po tym, gdy się jeszcze raz spotkacie.

— Czy opuścili Larned?

— Czy opuścili? Cha, cha! Powiedziano im grzecznie, aby się stąd wynieśli, no, i poszli. Blackstone, piętnastu z jego bandy i Murdock. Tak zgryzionych ludzi, jak ta zgraja, jeszcze nie widziałem. Blackstone, wezwany do pułkownika, musiał wysłuchać kilku drażliwych pytań, na które nie znalazł odpowiedzi. Zapakowali się tedy i ruszyli na południe. Było to ze trzy tygodnie temu. Naturalnie, dużo gadaliśmy o tym, usiłując sprawę tę wyjaśnić. Wprawdzie Blackstone nie cieszył się dobrą sławą, ale dopókiś go nie oskarżył, że zwąchuje się z Kiowami, nikt nic o nim nie wiedział. Murdock uchodził, ot, za wiercipiętę-szulera, łasego na kobiety białe czy czerwone i za zbyt pochopnego do rewolweru. Być jednak może, iż Blackstone jest jednym z tych rabusiów karawan, których namnożyło się podczas wojny. Bądź co bądź, traper Billy Weed przysięga, że mijając w tygodniu ubiegłym wioskę Kiowów, w wąwozie Purgatory, widział tam Blackstone'a, a także innych białych. Billy wyszpiegował ich z grzbietu wzgórza, nie myśląc się narażać. A Billy był wywiadowcą i stepowcem. Można mu wierzyć. Dość, że nie wchodząc już w to, co Blackstone i jego banda zbroili przedtem na kresach, teraz, po tej sprawie z karawaną z Santa Fé, stali się wywołańcami.

— A czy dowiedziano się czego o tej karawanie teksaskiej? — spytał Clint.

— Ani słówka. Należy się jednak spodziewać wiadomości. W każdym razie nie od czerwonoskórych.

— A... a co myślicie, Dick, o pani Clement i May Bell? — ciągnął Clint, usiłując zachować spokój. — Opuściły Santa Fé z karawaną Blackstone'a. Buell i inni mówili mi, że widzieli je odjeżdżające.

— Hm, trudno nie wierzyć w danym razie Blackstone'owi — odparł Curtis zamyślony. — Wprawdzie jest łgarzem i nie wiadomo, jak daleko sięga to jego łgarstwo, ale przecież sam widziałeś spalone furgony i zabitych Kiowów. Wiemy przy tym. że Blackstone przybył tutaj z okaleczonymi ludźmi.

— Nie trafiliście, Dick, w sedno... Ktoś odpędził Kiowów. Inaczej nie pozostawiliby na miejscu swych zabitych. I z pewnością nie Blackstone ich odpędził. Blackstone uciekał... Otóż, ja sądzę, że ta druga karawana, jadąca śladami Blackstone'a, nadążyła w sam czas, aby odpędzić Kiowów, gdy palili furgony, albo nawet wówczas, gdy dwudziestu dwu przewoźników z Santa Fé jeszcze walczyło... Jeżeli Blackstone wąchał się z Kiowami, to mógłbym się założyć, że wprowadził karawanę w zasadzkę i że z Kiowami walczył nie on, lecz walczyła ta druga karawana.

— Buff, zdaje się, że dużo jest racji w tym, co mówisz. Nikt przed tobą na to nie wpadł... I gdzież podziało się tych dwudziestu dwu przewoźników, którzy nie przybyli tu z Blackstonem?

— Albo zginęli i są pogrzebani, albo też przyłączyli się do karawany, która ich ocaliła. Bo, Dick, biali to odciągnęli zabitych Indian ze szlaku. Wuj Jim zawsze tak robił. Nieraz zatrzymywał karawanę, aby usunąć trupy z drogi, a nawet pochować, jeżeli czas mu pozwalał.

— Ho, ho! Nieźle, Buff, rozumujesz... Więc przypuszczasz, że pani Clement i twoja narzeczona ocalały z tą karawaną teksaską?

— Nie... nie przypuszczam... mam tylko nadzieję.

— Diabelnie to słaba nadzieja, Buff. Znasz przecież kresy. Lepiej więc wyrzeknij się jej zaraz. Inaczej bowiem cierpieć będziesz, żyć ciągle z tą nadzieją i wreszcie umrzesz z rozpaczy, gdy dowiesz się prawdy. Niewątpliwie z nastaniem lata znajdą się wiadomości o losach tej drugiej karawany.

* * *

W swoim czasie Clint przyszedł do siebie i spędzał długie godziny dnia bądź to w hotelu miejscowym, bądź w składzie Aulla, bądź też w chacie Curtisa. Zimą nudzili się w Larned wszyscy, oprócz bractwa graczy. Czasami brała Clinta pokusa szukania zapomnienia trapiących go myśli w wódce i grze, ale się jej opierał. Grywał w warcaby, siadywał godzinami przy piecu lub kominku, czytał i odczytywał wszystko, co znalazł do czytania, jeżeli zaś pogoda pozwalała, wychodził na step. Pod koniec zimy odzyskał zupełnie siły, a nawet rozrósł się tak, jak nigdy przedtem.

Na początku kwietnia zaczęli ściągać do Larned Indianie i traperzy z futrami na wymianę lub sprzedaż. Clint otrzymał kredyt na podstawie sumy w banku w Kansas City i zakupił cały ładunek furgonowy wyborowych futer, na których, w razie dowiezienia ich do miasta, mógł zarobić cztery razy tyle, ile za nie zapłacił.

Z nadejściem maja powietrze stało się przyjemne, nadchodziła wiosna i zaczęto wyglądać pierwszej karawany od zachodu. Clint wiedział, czyja to będzie karawana.

Istotnie, Jim Couch przybył pierwszy, ale dopiero w czerwcu. I tak się zdarzyło, że gadatliwy Dick Curtis, uważający wciąż Clinta za swego protegowanego, zobaczył się z Jimem Couchem przed Clintem.

Pomimo to jednak Clint musiał raz jeszcze opowiedzieć staremu kierownikowi karawan o swej samotnej jeździe przez stepy i o walce w piwiarni Hornera. Couch przyjął to, jak rzecz zupełnie naturalną, a choć przy spotkaniu uścisnął Clinta z siłą szarego niedźwiedzia, to jednak nie tracił słów na pochwały, jak wówczas, gdy Clint był jeszcze niedorostkiem.

— W każdym razie — zauważył — trudno uwierzyć, aby biały człowiek mógł wprowadzić swych bliźnich w morderczą zasadzkę czerwonoskórych. Choć więc Blackstone to ziółko, udzielmy mu jeszcze dobrodziejstwa powątpiewania. Prawda wyjdzie wkrótce na jaw.

Couch zatrzymał się dwa dni w Larned, powiększając o pięćdziesiąt kilka furgonów futer swą karawanę, i bez tego już liczną. Lekarz wojskowy fortu, dr Culbertson, radził Couchowi, aby namówił Clinta do kilkumiesięcznego jeszcze odpoczynku, gdyż jedna z kul zadrasnęła mu płuco, a choć rana już się zgoiła, to jednak byłoby wskazane unikać nadal przez czas pewien wszelkiego wysiłku. Clint przyjął tę radę bez oporu. Było mu na rękę pozostawanie w forcie Larned do powrotu tam Coucha w październiku, chciał bowiem w ciągu lata zasięgnąć wiadomości od przewoźników, żołnierzy, a nawet Indian, przybywających do fortu z południa i zachodu.

I oto zdarzyło się po raz pierwszy, że Clint widział odjazd Coucha bez żalu i bez tęsknoty do towarzyszenia mu w podróży. Po tym zaś odjeździe witał każdy wschód słońca nadzieją, że dzień ten przyniesie mu jakieś wiadomości o May Bell.

Pod koniec czerwca, gdy był już czas wielki, aby do Larned nadciągnęła pierwsza karawana ze wschodu, do fortu przybyła kompania żołnierzy z nad rzeki Pecos. W odległości około stu mil na południe od Suchego szlaku żołnierze znaleźli ślady rzezi średniej wielkości karawany. Pozostały tam tylko żelazne obręcze kół oraz czarne stosy popiołów, obok zaś widniały rozrzucone straszne szkielety trzydziestu ludzi, niewątpliwie białych, których kości porozrywały częściowo szakale stepowe. Nic nie wskazywało na czas tej rzezi, lecz towarzyszący kapitanowi Kingowi stary stepowiec twierdził, że musiało to się stać niespełna przed rokiem, gdyż przedtem już znajdował się w tym miejscu z żołnierzami z fortu Union, a śladów tych rzezi wówczas jeszcze nie widział.

Ostatnia, uporczywa nadzieja Clinta zamarła, pewny był bowiem, że wyrznięta karawana jest tą właśnie, której losy tak bardzo go obchodziły. Co za gorzkie rozczarowanie, a jednak i ulga! Kresy ściągnęły tylko swe myto pod postacią jeszcze dwu kobiet. Clint mógłby wyliczyć setki takich ofiar i to nie na podstawie pogłosek. Pierwszą, znaną z własnego doświadczenia, była jego matka. Jakże to już dawno! Ostatnią stała się May Bell. Matka i kochanka! Ale przecież May i pani Clement nie były

lepsze od tylu innych dzielnych pionierek, których samotne mogiły sterczą śród stepów. Jeżeli istniała jaka różnica, to tylko dla Clinta.

Wkrótce po odjeździe żołnierzy, którzy przynieśli wiadomość o rzezi karawany, do fortu dowlekła się pierwsza karawana ze wschodu. Doświadczonemu oku Clinta starczyło jedno spojrzenie, aby poznać, co ją spotkało w drodze. Widok pierzastej brzechwy strzały, sterczącej w ścianie pierwszego zaraz furgonu, wywołał w nim dreszcz gorący wzdłuż grzbietu. Clint nie patrzał więcej i zawrócił do składu, aby tam poczekać na dzienniki, przywiezione ze wschodu przez karawanę.

Wkrótce potem przybył do składu Dick Curtis, niosąc egzemplarze dzienników: „Daily Times” z Kansas City i „Globe Democrat” z St. Louis.

— Chodź do domu, — wołał wesoło — bo inaczej popijemy się tu pronto z radości! Dzienniki pełne są nowin wojennych. Buntownicy dostali łupnia i mógłbyś się założyć, że będzie kiepsko z niektórymi z tutejszych *hombres*!

Clintowi nie trzeba było powtarzać tego zaproszenia. Porwawszy jeden z dzienników, przeglądał go już po drodze. Curtis, który z trudnością sylabizował, ale chciał się popisać swym wykształceniem, czytał głośno. Stanąwszy zaś w chacie, obaj zagłębili się w nowinach z przed dwu miesięcy.

— Mój Boże, — zawołał Curtis może już po raz dziesiąty — więc wojna skończona!

— Powinniście powiedzieć — odparł Clint — dzięki Bogu. I zamknijcie gębę, bo sam potrafię czytać.

Upłynęło kilka godzin, zanim przewertowali oba dzienniki. Clint, głęboko wstrząśnięty wiadomościami o końcu wojny, która zrujnowała Południe, a złamała Północ, milczał, co się mu zwykle zdarzało, gdy był bardzo wzruszony. Curtis natomiast musiał się wygadać, a widząc, że nie dogada się z Clintem, powstał i wyszedł z chaty.

Clint usłyszał obcy głos, pytający się Curtisa:

— Powiedzcie, czy tu mieszka Clint Belmet?

— Ma się rozumieć. Ale nikt nie zna go tutaj pod tym imieniem. Nazywa się Buff. Jest w chacie.

Gość podszedł do chaty i zapukał w otwarte drzwi. Clint powstał i ostrożnie pokazał się przybyszowi. Nie można było dowierzać obcym.

Przed chatą stał krępy przewoźnik o czerwonej twarzy i rudej brodzie, który szybko spojrzał na Clinta szczerymi, niebieskimi oczyma.

— Jak się macie. Jestem Clint Belmet. Na co wam jestem potrzebny?

— Rad jestem, Belmet, że was znalazłem — odparł przewoźnik. — Mam list do was. Dał mi go urzędnik na poczcie i powiedział, abym w razie niespotkania was po drodze, zostawił list u Buella w Santa Fé. Diabelnie jestem szczęśliwy, że mogę się go pozbyć. Mieliśmy dwie utarczki z Indianami i okropnie gryzłem się, co będzie z tym listem, jeżeli mnie zabiją.

— Dziękuję wam bardzo! — rzekł Clint stłumionym głosem, wyciągając wielką rękę, która drżała.

List do niego!

— Nazywam się Paul Davis. Jeździłem dla Jima Watersa... A oto wasz list.

Przy tych słowach rozwinął brudny, poszarpany papier i z wyrazem zadowolenia na twarzy podał list Clintowi. Potem mówił jeszcze coś wesoło, ale Clint już go nie słyszał, a nawet nie widział, kiedy odszedł.

W dłoni trzymał grubą, brudną kopertę. List. Ale od kogo? Pismo równe i wyraźne spoglądało na niego z zabrudzonego, wyblakłego papieru. Znaczek pocztowy był ostemplowany. Otarłszy nóż, Clint rozciął kopertę. Wewnątrz znajdowała się druga, ściśle przylegająca do pierwszej, czysta i biała. Bijąca od niej słaba, przyjemna woń tak wstrząsnęła Clintem, że przez chwilę stał bezwładny. Ale opanował wzruszenie i szybko otworzył tę drugą kopertę. Znajdowała się w niej cała wiązka cienkich karteczek, zapisanych drobnym pismem. Nerwowo przerzucił wszystkie i oto w połowie ostatniej ujrzał wypisane nierówno, widocznie zmęczoną już ręką, wyrazy: „Wierna Ci na zawsze — May”.

— Dopomóż mi Boże! — jęknął Clint, chwiejnym krokiem wchodząc do chaty, a padłszy tam na niezgrabnie sklecony fotel, zapatrzył się, oszołomiony, w zimne szare popioły na kominku. Ogarnął go przejmujący strach. Ten list pisany był dawno... przed miesiącami, przed latami. Clint przeczuwał, że znaczy dla niego prawie tyle, co śmierć. Z nieprzepartym przerażeniem przyglądał się zewnętrznej kopercie, świadczącej wymownie, choć bez słów, że wędrowała przez Wielkie stepy wielokrotnie. Może być, że nawet zminęła się z jego karawaną! Wreszcie zrozpaczony zmusił się do czytania.

Rancho Maxwella.

Najdroższy Clincie!

Oh, dlaczego uciekłeś, nie dając mi sposobności, abym się wytłumaczyła? Gdy tylko zdołałam się podnieść, pobiegłam za tobą w ciemności i tam mnie znaleziono.

Dziś z rana, jeszcze przed wschodem słońca, odjechałeś. Odjechałeś z karawaną! Czy mogłam przypuścić, że odjedziesz bez widzenia się ze mną? Miałam cię za dzikiego, zazdrosnego chłopca. Sądziłam, że wrócisz i prosić mnie będziesz o przebaczenie. Nie zrobiłeś tego, nie zrobiłeś! I serce mi pęka. Jedziemy do Santa Fé i może miesiące upłyną, zanim cię zobaczę. Ale wyślę ten list, choć z pewnością dopiero za jakiś miesiąc podąży za tobą. Modlę się, abyś pozostał w Kansas City, dopóki list ten nie dojdzie do twoich rąk.

Clint, teraz to już minęło, a jednak muszę ci powiedzieć, żeś mnie obraził w składzie Maxwella. Jak mogłeś być tak brutalny, tak przykry, nawet gdybyś był zazdrosny. Wywołałeś we mnie prawdziwego diabła... diabła, o którym nawet nie wiedziałam, że we mnie siedzi. Postanowiłam dać ci nauczkę, choćbym nawet miała zmusić się do tego.

Obmyśliłam tak, abyś mnie ujrzał w towarzystwie Lee Murdocka. Szalenie tego chciałam, bom nie znała twego charakteru. Chciałam cię

zgnębić najzupełniej, a dopiero widząc, że jesteś dostatecznie ukarany, podejść do ciebie... nawet jeszcze bardziej kochająca, niż ubiegłego wieczora na koźle furgonu. Oh, Clint!... Ale już w chwili, gdyś zbliżał się do mnie, spostrzegłam swą omyłkę. Nie miałam cię za mężczyznę. A gdyś powiedział, że przychodzisz się pożegnać, biedne me serce zamarło. Gdy wreszcie spytałeś Lee Murdocka, czy ma rewolwer, prawie że zemdlałam. Wówczas stanęła przede mną rzeczywistość. Ale co miałam robić? Byłam sparaliżowana. Byłeś tak surowy, tak blady i straszny. Gdybym mogła ruszyć się z miejsca, padłabym ci do nóg... A tyś go uderzył! I Murdock legł na trawie okrwawiony, bez ruchu. Nie dbałam o to. Nie zabolało mnie to wcale. Sądzę nawet, że uczułam dziwną, gorącą radość, że ogarnęło mnie jakieś nowe i dzikie uczucie... zadowolenia.

Nie wiem, co robiłam i mówiłam, a tyś mnie schwycił w ramiona, jak jaki dziki człowiek... Oh, ukochany, straszne te chwile będą mi drogie przez całe życie. Kocham cię... kocham!

Drogi mój, nie wymawiam ci teraz tego, aleś mylił się co do mnie. Słuchałeś naszego zacnego przyjaciela, pana Maxwella, któremu się zdaje, że zna kobiety. Nie poczekałeś, aby dowiedzieć się prawdy. Porucznik Clayborn był ładny i zabawny. Lubiłam go, choć zanadto był pewny, że mnie podbije. Ale serce moje, Clint, należało do ciebie. I jest twoim dotychczas. Co się tyczy Murdocka, to znienawidziłam tego człowieka i gardzę nim. Nigdy nie pozwoliłam sobie być z nim sama, jeżeli nie znajdował się ktoś w pobliżu. Nie rozumiałeś jednak postępków młodej dziewczyny. Tego samego jeszcze dnia rozmawiałam z panem Clementem i prosiłam go, aby czuwał nade mną, dopóki Murdock jest z nami. Czytając ten list, dowiesz się tego, co bym powiedziała ci wczoraj wieczorem, objąwszy cię za szyję — gdybyś nie był takim dzikim łowcą bizonów! Ale obelga Murdocka odkryła przede mną, że jestem dumna z mojego dzikiego łowcy bizonów. Kocham ten wspaniały Zachód, choć tak mnie przeraża. Pozostanę mu wierna, jak tobie. Nie przestraszy mnie praca, odludność, niebezpieczeństwo. Ale muszę być z tobą. Inaczej nie wytrzymam.

Pan Maxwell mówił mi, że jesteś urodzonym stepowcem, jak Kit Carson. Gdyby nie tacy ludzie, nie byłoby wcale osad na Zachodzie. Jest to powołanie szlachetne i bohaterskie. Nie mogłabym żądać od ciebie, abyś go się wyrzekł dla mnie. Zastosuję się jednak do tego, co postanowisz, stepowcze.

Wracaj do mnie. Przypomnij sobie każdą milę tej długiej, długiej drogi wśród falującego, szarego stepu, na który spoglądaliśmy kiedyś razem. Pamiętaj, że kocham cię całym sercem samotnej dziewczyny.

Wierna ci na zawsze
May.

## Rozdział XVII

Nadzieje przewoźników stepowych, że z końcem wojny polepszą się warunki ich bytu i zmniejszą okropne niebezpieczeństwa, na jakie się narażali, okazały się najzupełniej zawodne. Około 1866 r. cała hołota z obu armii rozsypała się na kresach, zamieniając się w najgorszego gatunku rozbójników, nie mniej strasznych od najdzikszych Indian.

Charley Bent stanął na czele jednej z najbrutalniejszych i najkrwawszych takich band, jakie kiedykolwiek dopuszczały się rabunków na Starym szlaku.

Clint Belmet niejednokrotnie słyszał o Bencie. Nazwisko tego rabusia było na ustach wszystkich w obozowiskach kresowych, a gdy rząd wyznaczył znaczną sumę za ujęcie go lub zgładzenie, stał się też znany życiorys Benta.

Charley Bent był synem żyjącego na kresach pioniera, który poślubił na sposób indiański skwaw z plemienia Czejenów. Syna swego, Metysa, stary Bent wysłał do St. Louis na wychowanie, a potem posyłał do szkół i dał mu wykształcenie białego człowieka. Licząc lat dwadzieścia jeden, Charley wrócił do ojca. Tymczasem matka jego umarła. Bent powierzył synowi posiadany skład towarów, gdyż stary pionier czuł się już zmęczony i pragnął wycofać się z handlu. Pewnego jednak dnia wiosennego, po pomyślnym sezonie sprzedażnym, Charley zabrał ojcu pieniądze i uciekł.

Bent nie ujrzał go więcej. Charley mówił płynnie językami Indian. Wreszcie, po dłuższej włóczędze, przyjechał z Teksasu pod nazwiskiem Lee Murdocka i dopiero po walce jego z Clintem Belmetem w piwiarni Hornera, w forcie Larned, wyszło na jaw, kim jest rzeczywiście. Zwróciło to na niego czujne oko władz kresowych i stał się wywołańcem.

Charley odgrywał podwójną rolę. Zimą uprawiał szulerkę wśród białych, latem zaś dowodził bandą, liczącą od sześćdziesięciu do stu Indian i białych. Krążyły pogłoski, że Blackstone i jego towarzysze stoją w związku z bandą Charleya, ale namacalnych dowodów tego związku nie można było zdobyć aż do 1868 roku.

Ta śmiała, mieszana banda złoczyńców napadała tylko na karety pocztowe i małe karawany. Mordowała wszystkich podróżnych, oprócz młodych kobiet, jeżeli, na swoje nieszczęście, znalazły się wśród napadniętych, i uprowadzała je w góry, gdzie przepadały już na zawsze bez śladu. Inwentarz żywy i zrabowane prowianty banda wymieniała u Indian na futra.

Późnym latem 1865 r. otrzymano w forcie Larned wiadomość, że na karawanę, która odparła napaść Kiowów na inną karawanę na Suchym Szlaku, zasadziła się dalej na południe banda Charleya Benta i wymordowała wszystkich jej członków, oprócz dwu kobiet, które uprowadziła do niewoli.

Jeden z przyjaznych białym Jutów opowiedział o tym pewnemu traperowi, ten zaś przyniósł wiadomość zasłyszaną do fortu Larned. A ponieważ Jutowie i Kiowowie żyli z sobą w dobrych stosunkach, wiadomość znalazła wiarę w forcie, a w sercu Clinta Belmeta rozpaliła do białości niewygasły ogień nienawiści.

W 1866 r., gdy rozeszła się wiadomość o odkryciu złota na ranchu Maxwella, pewien syndykat, utworzony na Wschodzie, zakupił za bajeczną sumę całą majętność pułkownika. Maxwell wyjechał na Wschód i Clint nigdy go już nie ujrzał.

Bez wątpienia przeznaczenie rzuca swe cienie naprzód. Punkt Skalny, owo miejsce fatalne, gdzie karawana Jima Coucha uległa już dwukrotnie napadowi Komanczów i którego stary kierownik karawan obawiał się z tego powodu coraz więcej, stał się widownią trzeciego ich napadu. Był to atak tak niespodziany, że zanim zdołano użyć słynnego działa, Couch padł zabity. Runął na swe działo właśnie w chwili, gdy miał przyłożyć lont do zapału. Clint Belmet porwał lont ze ściskającej go ręki i dał ognia z działa, co rozstrzygnęło o losie bitwy. Coucha, Sandersona i Hoyle'a pochowano w cieniu skał tej miejscowości, obok innych dzielnych przewoźników tego samego pokroju.

Buff Belmet objął kierownictwo karawany Coucha. Najlepsi ze starych kresowców i przewoźników garnęli się pod jego rozkazy. Nakazem bowiem tej chwili był przewódca nieustraszony i siła potężna.

Jesienną 1867 r. karawana Belmeta, dążąca od wschodu do fortu Larned, spotkała się z oddziałem generała Custera i już w jego towarzystwie dotarła do fortu.

Oddział Custera sprawił na Clincie wrażenie nadzwyczajne, składał się bowiem z całych pięciuset furgonów wojskowych i czterech tysięcy żołnierzy. Obraz ten utkwił Clintowi raz na zawsze w pamięci.

Po przybyciu do fortu, Clint dowiedział się, dlaczego wysłano tam tak silny oddział wojska. Oto generał Custer przygotowywał się do kampanii zimowej przeciwko zjednoczonym plemionom indiańskim na obszarze, położonym pomiędzy fortami Larned a Riley i w dół rzeki Wichita do Terytorium Indiańskiego.

Nie było już obszaru na Wielkich stepach, który by nie podlegał napadom Indian, to też zaniepokojenie ogarnęło wszystkie posterunki wojska rządowego i dotarło wreszcie do Waszyngtonu. Komendanci posterunków wiedzieli przez swych wywiadowców o działalności Indian, ale byli bezsilni. Bez żołnierzy i prowiantów nie mogli nawet opuszczać swych fortów. Gdyby nie wielkie karawany przewoźników stepowych, których Indianie nie byli w stanie zastraszyć, sytuacja przedstawiałaby się jeszcze gorzej. Wyprawa więc generała Custera stanowiła pierwszy krok rządu przeciwko wojowniczym plemionom indiańskim.

W forcie generał Custer powołał do siebie Clinta Belmeta. Generał, człowiek jasnowłosy, niebieskooki, mocno zbudowany i nadzwyczaj ujmujący, znajdował się naówczas w kwiecie wieku.

— Polecono mi was, Belmet — rzekł Custer. — Potrzebować będę w tej kampanii wywiadowców. Czybyście nie chcieli przejść pod moje rozkazy?

— Dziękuję, generale, — odparł Clint — ale nie widzę możności. Miesiąc, a może więcej, zabierze mi doprowadzenie mojej karawany do Santa Fé. Nastanie już zima, nie będę więc mógł opuścić Santa Fé przed wiosną.

— A będziecie tu z powrotem w maju?

— Sądzę, że tak, jeżeli będzie pogoda. W każdym razie w czerwcu.

— Proszę was tedy o zastanowienie się nad moją propozycją. Na wiosnę nie będzie za późno.

— Pomyślę. Kto wie, czy jej nie przyjmę, jeżeli mi się uda znaleźć przewódcę dla moich ludzi.

— Byłbym wam bardzo obowiązany — odparł generał serdecznie. — Potrzeba mi ludzi, znających tę krainę, Indian i tych buntowniczych renegatów, którzy podniecają dzikich do morderstw i rabunków. Posiadam wprawdzie raporty komendantów fortów, ale mało informacji bezpośrednich od takich, jak wy, wywiadowców, ludzi, znajdujących się w ciągłym zetknięciu z tutejszymi warunkami. Może będziecie tak łaskawi i wyrazicie mi swe zapatrywania na sprawę, w której obecnie działam?

— W tej chwili — rzekł Clint zamyślony — nie ma nic groźnego. Dotychczas nie zauważyliśmy jeszcze znaczniejszego jednoczenia się plemion. Radziłbym złamać ich siły, dopóki to zjednoczenie nie nastąpi. Tacy hersztowie renegaci, jak Murdock — nazywa się właściwie Charley Bent — podobni są do pochodni wśród suchej trawy stepowej.

— Bent? Mam o nim raport. Nie wiecie, gdzie się teraz obraca?

— Gdzieś w górze Cimmaron.

— A czy nie przypuszczacie, Belmet, że można by tych wodzów indiańskich skłonić do pojednania się z białymi, namówić do podpisania traktatów.

— Dawniej można to było zrobić. Teraz jednak stali się rozgoryczeni i podejrzliwi. I mają rację. Nie jestem za Indianami. Matka moja, ojciec, przyjaciele moi, wuj — wszyscy zginęli z rąk Indian. A jednak nie potępiam tych dzikich. Cierpkie to wyznanie... Ale pozwól mi, generale, przytoczyć ci przykład tego, co rozgorycza Indian. Ubiegłej wiosny niewielka karawana, złożona z dwudziestu dwu furgonów, podążała szlakiem w te strony, dotarła do Sand Creek i spodziewała się stanąć za trzy dni u brodu na rzece Cimmaron. Do obozowiska tej karawany przybyła gromadka Kiowów, ogółem szesnastu. Byli głodni, ale emigranci, nie zawodowi przewoźnicy, odmówili im strawy. Kiowowie tedy zawrócili do odjazdu. Wówczas jeden z woźniców strzelił do nich i zabił najbliższego Indianina, trafiwszy go w plecy. Kiowowie przystanęli, zabrali zabitego i odjechali ze zwłokami bez słowa protestu. Tej samej nocy znaczny oddział Kiowów napadł na obozowisko karawany, pozabijał woźniców, spalił furgony i uprowadził konie i woły... W sześć dni potem kilku traperów, zeszedłszy z gór na równinę, znalazło łańcuch, łączący furgony, żelazne

obręcze kół i wreszcie dwadzieścia dwa oskalpowane i pokiereszowane trupy. Traperzy pośpieszyli do fortu Larned i donieśli tam o tej rzezi. Pułkownik wysłał żołnierzy, ale Kiowowie przepadli.

— Hm, Belmet, to jest druga strona medalu, i to czarna — zauważył Custer smutnym głosem.

— Mojem zdaniem, generale, — ciągnął Clint — a zdanie opieram na tym, co słyszałem od wuja Jima Coucha i od Kita Carsona — największe niebezpieczeństwo groziłoby w razie połączenia się na Wielkich Stepach północnych plemion indiańskich z południowymi. Siuksowie są potężni. A o tym połączeniu krążą pogłoski. Być może tylko indiańskie pogłoski, ale tym bardziej trzeba się z nimi liczyć.

* * *

Clint pociągnął dalej ze swą karawaną, spędził zimę w Santa Fé, a z wiosną puścił się znów w drogę powrotną. Nie zastał jednak w forcie Larned generała Custera, który wciąż jeszcze był w polu, nie osiągnąwszy dotąd, jak mówiono w forcie, zbyt pomyślnych wyników.

Przybywszy wreszcie do Kansas City, dowiedział się tam jeszcze czegoś, co przypomniało mu żywo rozmowę z generałem. Rząd zawarł z Indianami Nez Percés, osiadłymi na północno-zachodzie, umowę, zapewniającą im po wieczne czasy wyłączne posiadanie doliny Walla Walla. Zgodnie z umową, Indianie przenieśli się do tej doliny. Tymczasem i biali zaczęli się w niej osiedlać, a rząd nie przeciwdziałał temu najściu. Wobec tego Nez Percés wystąpili zbrojnie przeciwko białym, zabijając wielu kolonistów i niszcząc ich dobytek. W końcu jednak biali pod ochroną wojska zajęli całą dolinę.

I tej samej również zimy, choć Clint dowiedział się o tym dopiero na wiosnę, rząd wyznaczył czterysta tysięcy dolarów na zawarcie umów z trzema plemionami indiańskimi: Czejenami, Arapahami i Kiowami. Ale kongres nie zastosował się do tych umów i nikt na kresach nie dowiedział się już nigdy, co się stało z pieniędzmi, wyasygnowanymi przez rząd. A co z tego wynikło? Wspomniane trzy plemiona, po całych miesiącach oczekiwania i po próżnych odwoływaniach się do posterunków wojskowych, tudzież do agentów, wyznaczonych do załatwiania spraw Indian, wkroczyły na wojenną ścieżkę, szerząc śmierć i zniszczenie w promieniu pięciuset mil.

* * *

Clint Belmet stał się świadkiem najcięższych chwil na Starym Szlaku w 1868 i 1869 roku. W ciągu tych lat rząd wzmocnił wszystkie forty na terytorium Nowego Meksyku i dokoła tego terytorium. Przemysł więc przewoźniczy zwiększył się czterokrotnie. Belmet stał się jednym z najsłynniejszych kierowników karawan, a przezwisko jego „Buff” znał każdy wzdłuż szlaku. Doszedł przy tym do znacznej zamożności, gdyż tak własne fundusze, jak i to, co odziedziczył po Jimie Couchu, ulokował w

handlu futrami, wobec czego zawód przewoźniczy opłacał mu się podwójnie.

Działo Coucha bluzgało siekańcami jeszcze wielokrotnie po śmierci swego właściciela. Karawana Belmeta zawdzięczała powszechne uznanie temu, że tworzyła wspaniałą jednostkę bojową, niemniej jednak działo Coucha wzmacniało ją bardzo i nieraz, bez wątpienia, wybawiło z ciężkiego kłopotu. Żadne plemię indiańskie, oprócz Komanczów, nie wytrzymało strzału działowego. Już sam grzmot wystrzału zdawał się osłabiać odwagę Indian nie mniej od siekańców. Belmet pozyskał sobie za kanoniera drobnego, rudego Irlandczyka, nazwiskiem Denny Ireland, który służył w artylerii. Irlandczyk ten nie znał strachu i kochał się w walce. Jedyną jego wadą była niecierpliwość, wskutek czego zdarzało się, że gdy przewoźnicy leżeli cicho, wyczekując nagłego ataku Indian, on podśpiewywał sobie: „A chodźcie no tu, czerwone diabły, już ja was rozniosę na strzępy!”

Na jesieni tego roku karawana Belmeta, dążąca na zachód, zetknęła się z karawaną Johna Hatchera, liczącą czterdzieści furgonów i około pięćdziesięciu ludzi. Hatcher wychował się śród plemion indiańskich Szaunii, w stanie Kansas i był, zdaniem przewoźników, może najlepszym pogromcą Indian na stepach. Karawana Jima Barlowa, który przyłączył się do Belmeta w Kansas City, składała się z sześćdziesięciu ośmiu furgonów i siedemdziesięciu dwu ludzi. Karawany te razem z karawaną Belmeta, obejmującą siedemdziesiąt cztery furgony, osiemdziesięciu jeden ludzi i słynne działo Coucha, tworzyły bardzo poważną siłę.

Zbliżając się do fortu Larned, karawany spodziewały się ataku lada chwila. Powinien był nastąpić. O świcie trzeciego dnia, gdy nie ruszono jeszcze z noclegu, przewoźnicy dostrzegli gromadkę białych jeźdźców, wiodących luzem nie objuczone konie. Sokole oczy Belmeta i Hatchera utkwiły w tych jeźdźcach.

— Widzę wśród nich — odezwał się Hatcher — dwu chorych, czy też ranionych. Co o tym sądzisz, Buff?

— Rabusie szlakowi — oświadczył Belmet. — Sądzę, że należy zatrzymać tę bandę.

— Nie radzę — odparł stary kresowiec. — Nie możemy narażać się na nieprzyjemności. Prawda, wyglądają podejrzanie, ta zaś szóstka koni, którą prowadzą, przypomina konie pocztowe. Ale nie mamy żadnego prawa zatrzymywać tych ludzi. A jeżeli to nie rabusie? Choć więc gotów byłbym założyć się, że są nimi, to jednak lepiej nie ryzykować.

Z rana dnia następnego karawana Hatchera, podążająca przodem, zatrzymała się, aby poczekać na opóźniającą się nieco karawanę Belmeta.

I oto ujrzano stojącą obok szlaku karetę pocztową, obok zaś niej leżące zwłoki ośmiu ludzi. Wieziona w karecie skrzynka z pieniędzmi była rozbita, a zawartość jej, jak również worki z listami, znikły. Ciała zabitych podziurawione były kulami. Na ciele woźnicy widniało dziewięć ran.

— Jak widzę, Buff, — rzekł Hatcher — źle zrobiłem, żem ci nie pozwolił wczoraj zatrzymać tych rabusiów. Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak tylko pogrzebać tych biedaków i zameldować w forcie o morderstwie.

Tak też Belmet uczynił, a władze wojskowe wysłały natychmiast oddział żołnierzy w pogoń za rabusiami. Oddział ten powrócił na trzeci

dzień, gdy Belmet znajdował się jeszcze w forcie, przyprowadzając trzech jeńców. W kryjówce rabusiów żołnierze zabili ich dziesięciu i odzyskali czterdzieści pięć ukradzionych koni, oraz osiemnaście tysięcy siedemset czterdzieści dolarów w złocie, srebrze i papierach.

Clint otrzymał pozwolenie rozmówienia się z uwięzionymi rabusiami i omal że się nie spóźnił, gdy bowiem stanął przed nimi, mieli już założone pętle na szyjach. Trudno byłoby znaleźć trzech bardziej zatwardziałych zbrodniarzy. Pierwszy odpowiedział na pytanie Clinta śmiechem, a drugi rzucił mu przekleństwo. Dopiero trzeci, młody człowiek, liczący może zaledwie lat dwadzieścia kilka, zdobył się na odpowiedź:

— Tak, znam Lee Murdocka, ale to nie jest prawdziwe jego nazwisko. Uwolnij mnie od tego krawata na szyi, a powiem ci, gdzie się znajduje obecnie.

Kapitan Duncan, stary weteran, kierujący egzekucją, rzekł na to krótko:

— Przykro mi, Belmet, ale to niemożliwe... Do góry ich, chłopcy!

Trzech rabusiów szarpnięto w górę, prawie że zanim jeszcze Clint zdążył się odwrócić. Z pochyloną głową, zgryziony, wrócił do obozowiska. A jednak musi nadejść chwila, w której spotka się z Murdockiem, bo poprzysiągł sobie, że nie porzuci przewoźnictwa, dopóki nie załatwi porachunków z Murdockiem i Blackstonem lub dopóki nie dowie się na pewno, że doczekali się tego, na co sobie zasłużyli.

* * *

Na drodze do Santa Fé karawanę zatrzymały roztopy, potworzone przez gwałtowne letnie ulewy. Wreszcie Belmet i Hatcher zdecydowali się ruszyć szlakiem do rancha Maxwella, aby uniknąć uciążliwej podróży. Wprawdzie nakładali sobie przez to wiele mil drogi, doszli wszakże do wniosku, że przybędą do Santa Fé nie później, niż rozmytym szlakiem głównym.

Widocznie droga do rancha Maxwella była już od lat zaniedbana, zarosła bowiem zielskiem i trawą. To też przez cały czas jazdy okolicą, którą znał tak dobrze, Clint nie mógł się oprzeć smutnym myślom.

Wreszcie karawana dotarła do rancha i rozłożyła się obozem w pięknym gaju topolowym. Liście zaczynały już przybierać złotą barwę.

Rancho Maxwella powróciło do stanu dzikości. Zamiast pasących się koni i bydła, widniały tu i owdzie bizony, antylopy i jelenie na rozległych szarych pastwiskach. Clint wspiął się na wzgórze, przypomniawszy sobie, co mu mówiono o robotach, przedsięwziętych tu przez towarzystwo z St. Louis, które kupiło rancho od Maxwella. Towarzystwo to nabyło też cały inwentarz żywy, głównym jednak celem kupna była eksploatacja pokładów złotodajnych. Wydano na to pół miliona dolarów. Na przestrzeni czterdziestu mil przeprowadzono kanał dla sprowadzenia do kopalni strumienia wody dwu stóp głębokości. Złota jednak nie znaleziono i towarzystwo zbankrutowało.

Clint udał się do dworu. Upłynęło zaledwie lat kilka, a co za zmiana! Płoty leżały rozwalone, zamiast okien widniały próżne otwory, drzwi

poznikały, kruszyły się ściany. Nigdzie żywej duszy! Pokoje stały ogołocone ze wszystkiego, zimne, ponure. Na ścianach bielonych Indianie powycinali różne znaki. Wielka jadalnia, będąca niegdyś celem pielgrzymek wszystkich kresowców, myśliwych, traperów, żołnierzy, podróżników i Indian, stała się teraz jaskinią wilków. Wszędzie kości i stosy wilczego łajna!

Po wieczerzy ruszył skrajem gaju topolowego do miejsca, gdzie swego czasu znajdowało się obozowisko Coucha. Mógłby tam dojść z oczyma zawiązanymi. Miejsce to było stosunkowo odludne, gdyż przewoźnicy nie dotarli do niego. Poza kępą wierzb stała wciąż ta sama rozłożysta topola, pod którą zatrzymał się był furgon Coucha. Złocista poświata — refleks zachodzącego światła, zalewała polanę.

Clintowi zwilgotniało czoło i kleiły się dłonie. Rzucił się na trawę i legł, oparty plecami o topolę. Tu stał ten furgon. Przypomniał sobie, że kozioł, na którym siedział z May Bell, znajdował się właśnie pod tym sterczącym mu nad głową konarem. Tu trzymał May w objęciach, całował i był całowany. A tam, niedaleko, sterczał ów dyszel, na którym siedziała dnia następnego, spoglądając wyzywająco ciemnymi oczyma. Ale on nie zrozumiał tego spojrzenia. Był wówczas jeszcze tylko szarpanym przez zazdrość młodzieniaszkiem. Tam zaś stał Murdock, drwiący i zimny, tam wreszcie, tuż pod ręką Clinta, legł z zakrwawionymi ustami, bez przytomności.

I zdawało się Clintowi, że to wszystko zdarzyło się ubiegłego wieczora, choć minęły lata, choć stał się surowym, zahartowanym kresowcem, który przeżył innych dzięki przezorności, zimnej krwi i wytrwałości żelaznej. Niemniej w tym miejscu serce jego zmiękło i ciche palące łzy spłynęły mu z oczu. Żal, wyrzuty, modlitwa były daremne. Żelazo stepów przeniknęło głęboko duszę Clinta. Ale miłość żyła w niej jeszcze, ukryta, nieugaszona, jak żar słońca.

Clint znał zbyt dobrze okropności życia kresowego, aby złorzeczyć swemu losowi, aby lamentować nad nim, jakby był gorszy, niż tylu innych kresowców. Przypuszczenie takie byłoby błędne i nierozumne. Clint wierzył, że miłością taką, jaką obdarzyła go May Bell, nie mógłby poszczycić się żaden człowiek na świecie, że nie było dziewczęcia słodszego, piękniejszego i powolniejszego, jak ona. I że jeszcze żaden szczęśliwy młodzieniec nie okazał się tak głupim, tak niezgrabnym, tak zazdrosnym, tak opanowanym przez żądzę zniszczenia siebie i dziewczęcia, które go uwielbiało, jak on właśnie. Brutalnych zaś ciosów, wymierzonych sobie przez kresy, nie uważał bynajmniej za gorsze od wymierzanych tysiącom innych daleko bardziej zasłużonych, niż on, ludzi. Czy nie rozbrzmiewał każdy pręt Starego szlaku ciężkim trudem przewoźników? A ileż to mogił samotnych kryło się pośród falujących traw stepowych?

Piętnaście już lat Buff Belmet kierował cuglami przez stepy. Niewielu stepowców przetrwało tak długo. Piastowane niegdyś przez niego marzenie porzucenia mozołów podróży przez stepy i osiedlenia się w jakiejś niewielkiej, bezpiecznej dolinie, w pobliżu fortu lub miasteczka,

stało się już dawno drwiącą chimerą, która powracała tylko w snach niespokojnych, stało się już dawno tylko żółcią i piołunem.

## Rozdział XVIII

Piętnaście zim, jakie Clint Belmet przeżył już na kresach, upłynęło mu na nauce, czytaniu, polowaniach, wprawianiu się w strzelanie, pracy ręcznej, wyprawianiu skór, tudzież innych, mniej lub więcej ważnych zajęciach.

Tę zimę jednak spędził przed otwartym kominkiem, wpatrzony w płomienie, opalowy żar i czerwone popioły, na smutnych rozmyślaniach. Czuł, że po odwiedzeniu rancha Maxwella nie będzie już nigdy taki, jak przedtem.

Ale choć smutek dni przedłużał, to jednak nie mógł powstrzymać ich biegu. Skończyła się zima. Nadeszła wiosna, a z nią ożywione przygotowania i groźba niebezpieczeństwa. Wywiadowcy i traperzy przepowiadali lato najkrwawsze z przeżytych do owego czasu na kresach.

Karawana Barlowa ruszyła pierwsza, dążąc do fortu Lyon. Belmet i Hatcher znów połączyli swoje, liczące razem sto czterdzieści trzy furgony. Karawany te pociągnęły ciężko obładowane, ale ze szczupłym zapasem amunicji, co przepełniało obawą ich kierowników. Na szlaku widniało pełno śladów koni Indian, innych jednak oznak obecności czerwonoskórych nie zauważono.

— Sądzę, że później zapłacimy za to — zauważył Hatcher ponuro.

— I mnie się to wydaje zanadto pomyślne — odparł Belmet.

Karawany wtoczyły się do fortu Larned bez jakichkolwiek niepożądanych zdarzeń, poza wycieńczeniem wołów. Tu konieczny był, przed puszczeniem się w dalszą długą podróż przez stepy, odpoczynek, jak również trzeba było wyładować część towarów.

Fort Larned wydawał się tym razem niezwykle przepełniony wiosennymi sprzedawcami i kupcami futer oraz ich towarzyszami, co razem ze stałymi mieszkańcami fortu, żołnierzami, Meksykanami i Indianami, nadawało posterunkowi wygląd pełen życia i barwy.

Pierwsza karawana ze wschodu przywlekła się, chromając, a przewoźnicy jej, pytani o swe przejścia na Starym Szlaku, wymachiwali tylko rękoma.

Clint zauważył bladego chłopca, liczącego około szesnastu lat, który przybył do fortu z tą karawaną. Chłopiec dźwigał pudełko pod pachą i nie zdawał się zbyt przejęty ożywieniem, panującym w forcie. Przewoźnicy myli się przed obiadem, ale blady chłopiec usiadł na beczułce od wody, otworzył swe pudełko, wyjął z niego harmonijkę i zaczął grać. Grał dobrze

i zdawał się być zatopiony w swej muzyce. Wreszcie Clint przemówił do niego:

— Ładne wydobywasz tony z tego instrumentu. Czyś wygrywał tak i po drodze?

— Ciągle grałem, — odparł muzyk — aby nie słyszeć wycia czerwonoskórych.

— Jestem Buff Belmet — przedstawił się Clint, zaciekawiony. — A ty jak się nazywasz?

— Jerzy — brzmiała cicha odpowiedź.

Co za dziwny chłopak, aby tak podróżować na Zachód pośród dzikich plemion i zahartowanych ludzi!

— Skąd pochodzisz?

— Z La Crosse, Wisconsin.

— I sam wędrujesz na Zachód?

— Teraz sam jeden.

— Hm, a gdzież twoi rodzice?

— Tam, na szlaku, pochowani — odpowiedział chłopiec z dziwnym spokojem.

Odpowiedź ta wstrząsnęła Clintem. Usiadł na beczułce, obok chłopca, wzruszony głęboko. Jakże odległy już wydawał mu się czas, w którym on był taki! Zastanowił się jednak zaraz, że przecież, licząc lat dwanaście, powoził już furgonem, a w wieku tego chłopca już dojrzał zupełnie w walce z Indianami.

— Żal mi ciebie, Jerzy. Kresy to niedobre miejsce. Bardzo ci współczuję. Opowiedz mi o sobie.

— Mieliśmy kilku sąsiadów, — zaczął chłopiec — którzy chcieli przenieść się do Kansas. Moja rodzina nie bardzo tego pragnęła. Powodziło się nam wcale nieźle na naszej farmie. Ale ojciec dał się namówić i namówił matkę. Naładowaliśmy wozy i ruszyliśmy w drogę. Było jednak zimno i matka moja zachorowała. Rzeka Missisipi stała jeszcze zamarznięta. Musieliśmy przeprawić się przez nią po lodzie.

Przeszedłem na drugi brzeg, siadłem na klocu drzewa i zacząłem grać „Yankee Doodle”. Wozy, w liczbie sześciu, ruszyły przez rzekę. Nasz był ostatni i najcięższy. Nagle pod jednym z kół lód się załamał. Przerażone tym nasze konie zaczęły się wspinać i także poszły pod lód, pociągając moich rodziców. Ludzie jednak pośpieszyli im z pomocą i wydobyli oboje z wody. Zanim wszakże rodzice doszli do brzegu, na którym ja stałem, odzież na nich zamarzła. Rozpaliliśmy ognisko i rozłożyliśmy się tam obozem. Straciliśmy wszystko. Mnie pozostała ta harmonijka. Matka umarła tej samej nocy. Pochowano ją tam, na wysokim brzegu. Ojciec zgryzł się tym okropnie, słyszałem, jak jęczał, leżąc na jednym z wozów. I na trzeci dzień także umarł. Sąsiedzi, którzy namówili nas do tej podróży, opuścili mnie w Kansas City. Byłem bez centa. Grałem na harmonijce, aby zarobić na kawałek chleba. A przewoźnicy zabrali mnie z sobą.

— No, no! To historia! — zawołał Clint, zmieszany i przejęty. — Chodź, Jerzy, ze mną na obiad.

Następnie Clint wyrobił chłopcu posadę w składzie Aulla, usiłując przy tym dać mu wskazówki takie, jakie sam otrzymał swego czasu od Kita Carsona. Ale Jerzy zdawał się nie rozumieć znaczenia kresów.

Wieczorem Clint grzał się przed niewielkim ogniskiem obozowym. Większość przewoźników znajdowała się w forcie, grając tam, pijąc lub gawędząc. Noc wczesnego lata była zupełnie zimna na tej wysokości. Z dala, w ciemności, szczekały kojoty. Wiatr podniecał żar ogniska. Clint rozpostarł wielkie swe ręce, aby je rozgrzać. Nazajutrz, o wschodzie słońca, poprowadzi karawany w drogę. Dlaczego jednak ogarniają go jakieś złe przeczucia?

Stąpanie nóg, obutych w mokasyny, przerwało mu marzenia. Indianin, otulony derką, wyłonił się z ciemności i przykucnął u ogniska. Clint powitał go i poczęstował fajką, a przechyliwszy się w jego stronę, poznał w nim Indianina z plemienia Kiowów, zwanego Jim Whitefish, a wzgardzonego przez swe plemię ze względu na przyjaźń, okazywaną białym. On to, istotnie, uratował w 1854 r. życie znanemu wywiadowcy i traperowi, Jimowi Bakerowi, zranionemu w utarczce z Kiowami. Sam Baker opowiadał o tym Clintowi. Jim Whitefish mieszkał w szałasie na krańcu osady, a Clint nigdy nie pomijał go, przejeżdżając przez fort Larned. Tym razem jednak, stroskany, zapomniał o tym, widocznie zatem Jim Whitefish przybył, aby przypomnieć mu o sobie. W końcu Clint poszedł do swego furgonu, a przyniósłszy stamtąd cukru, tytuniu i kawał mięsa bizoniego — niełatwego jeszcze do zdobycia o tej porze roku — złożył to wszystko obok Indianina.

— Zabierz to, Jim — rzekł wesoło.

Kiowa gestem wymowniejszym, niż wyrazy, dał do zrozumienia swemu białemu przyjacielowi, że nie przybył żebrać, po czym wypaliwszy fajkę, obejrzał się ukradkiem dokoła czarnymi oczyma, których tajemnicze, przeszywające spojrzenie miało połysk noża w księżycowym świetle.

Chuda, żylasta ręka Indianina ujęła Clinta za ramię.

— Biały przyjacielu, — przemówił Jim Whitefish po angielsku, głosem, cichym, gardłowym, ale zrozumiałym, wskazując drugą chudą ręką szlak w kierunku wschodnim — Blackstone nadchodzi, — tu ręka jego zakreśliła miejsce, które miał na myśli — Charley Bent nadchodzi — giętkie jego palce zakreśliły teraz linię w innym kierunku — gromada Kiowów. A miejsce ich zebrania tam, gdzie sterczą skały.

Po tych słowach Indianin powstał i odszedł krokiem poważnym, znikając w ciemnościach.

— Jim! — krzyknął Clint, z zapartym oddechem. — Do pioruna!

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Jim Whitefish ostrzegał przed rzezią karawany Belmeta i Hatchera.

Po chwilowym, szybkim ogarnięciu myślą tego nadzwyczajnego zdarzenia Clint zerwał się na równe nogi, przy czym uderzył butem o woreczki cukru i kawy, których Indianin nie raczył przyjąć. Gdyby potrzeba było w tej chwili czegoś, co by sprawiło na Clincie jeszcze większe wrażenie, to miał tę rzecz przed sobą. Pośpieszył więc do fortu, aby odnaleźć tam Hatchera. Wreszcie dowiedział się od jednego z przewoźników, że drugi przewódca karawany gra w karty w piwiarni

Hornera. Clint udał się tedy do piwiarni i zastał tam istotnie swego wspólnika.

— Jim, chodźcie stąd! — zawołał głosem takim, że Hatcher zerwał się z krzesła, a trzej inni gracze zesztywnieli.

— Co się stało, u diabła? — spytał.

— Chodźcie stąd, powiadam — odparł Belmet.

Gdy znaleźli się na dworze, wśród ciemności, Clint pochwycił za muskularne ramię swego towarzysza i szepnął:

— Hatcher, ma być urządzona na nas zasadzka u Punktu Skalnego. Jim Blackstone ma nas zajść z jednej strony, a Charley Bent z Kiowami — z drugiej.

— Ah, niech mnie diabli! Dziwiłem się właśnie, co się stało, że w forcie tak pełno jest Kiowów. Czyście to zauważyli?

— Tak, ale ci Kiowowie przybyli tu dla handlu. Sam zakupiłem wszystko od jednego z tych Indian. Zastanawia mnie to jednak w tej chwili, że jest ich istotnie tak dużo!

— Buff, wygląda mi to na fortel białych. Kto was ostrzegł?

— Mniejsza o to. Dość, że jesteśmy ostrzeżeni. Co robić?

— Jechać! Nie możemy tu pozostać, choćby nam groziło całe piekło czerwonoskórych i renegatów.

— Nie zamierzałem tu pozostać. Możemy jednak coś obmyśleć.

— Poprośmy pułkownika o eskortę. Będzie się rzucał, ale spróbujmy.

— Dobrze, ale ja będę z nim mówił.

Niebawem uzyskali posłuchanie u komendanta fortu, pułkownika Baileya, mało jeszcze znającego, kresy Dalekiego Zachodu.

Pułkownik, obcinając koniec cygara, słuchał zimno Clinta, wreszcie wybuchnął śmiechem:

— Co też wam, starym wywiadowcom, przychodzi do głowy? Raczej wy moglibyście eskortować niektórych z moich żołnierzy.

— Hm, pułkowniku, może i warto o tym pomyśleć. Może byłoby to i dobre — wycedził drwiąco Hatcher na wychodnym; gdy zaś znaleźli się na dworze, zaklął siarczyście.

Clint milczał, bo istotnie niektórzy oficerowie bywali w karawanie piątym kołem u wozu.

— No, i cóż zrobimy? — spytał po chwili Hatcher. — Nie będziemy zważali na twe ostrzeżenie?

— To nie ostrzeżenie, Jim. To jest stawka, o którą można by grać na pewno. Zastanówmy się, co zamierzają. Znów ten Punkt Skalny! Najgorsza dziura na całym szlaku. Indianie mogą nas wyśledzić ze wzgórz, gdy będziemy jeszcze o cały dzień drogi od tego punktu, i sygnalizować ogniem lub dymem o naszym zbliżaniu się swojej czeredzie w dole.

— W każdym razie być z góry ostrzeżonym, to być z góry uzbrojonym. Mamy zespół przewoźników, doświadczony i wierny. Pozostańmy tu jeszcze dzień jeden, zabierzmy więcej ludzi, broń i amunicję.

— Nie, to może nas zdradzić. Nie powiemy nic naszym ludziom do pierwszego postoju, po czym ruszymy dalej, jak zwykle, aż do Topolowej równiny, ostatniego poidła po tej stronie Punktu Skalnego. Ale tam się nie

zatrzymamy, jeno pojedziemy dalej nocą i staniemy u Punktu Skalnego jeszcze przed świtem, zamiast po południu.

— Fiuu! Zamierzacie więc sprawić niespodziankę tej hołocie i jej czerwonoskórym?

— Tak. Wprawdzie będziemy musieli przejechać jednym ciągiem trzydzieści mil, ale to da się zrobić.

— Ciężka to, Buff, próba dla inwentarza! Niemniej jednak zgadzam się na wasz projekt. Niech na tym stanie! Chodźmy spać.

* * *

Pomimo jednak pomysłu Clinta, sen nie przyniósł ulgi. Żadne wszakże ryzyko nie ma przy świetle dziennym wyglądu tak ponurego, jak ten, który mu nadaje czarność i tajemniczość nocy.

O wschodzie słońca karawana wytoczyła się z fortu Larned zupełnie tak samo, jak zwykle. Przejechano dnia tego osiemnaście mil, co było niemało, a Clint stawał często podczas jazdy na koźle swego furgonu, aby przez szkła polowe Jima Coucha, które zawsze nosił przy sobie, zbadać okolicę, zwłaszcza z tyłu karawany. Widział jednak tylko bizony, Indian zaś ani śladu.

Po wieczerzy zebrał dokoła siebie wszystkich swych ludzi i, nie podając źródła otrzymanych informacji, zawiadomił zebranych o niezwykłym niebezpieczeństwie, zagrażającym karawanie podczas tej podróży.

— Wszyscy wiecie — kończył — o ładunku karabinów i amunicji, jaki zabrałem na jesieni z Kansas City na sprzedaż traperom i myśliwym. Otóż to, co pozostało z tego ładunku, mianowicie, około siedemdziesięciu pięciu karabinów i pięciu tysięcy ładunków, znajduje się tam, w tym białym furgonie poza moim. Niech tedy każdy zabierze po karabinie zapasowym z amunicją i trzyma go pod ręką dniem i nocą.

— Buff, może istotnie czeka nas rozprawa piekielna, ale pobić się nie damy — odezwał się na to Henry Wells, najstarszy kresowiec wśród tego grona, kilku zaś przewoźników, mających za sobą doświadczenie długoletnie, zapewniało Clinta, że również pokłada zaufanie w liczności uzbrojonej karawany. Wreszcie kanonier Ireland zaklinał się, iż jego działo podoła stu ludziom.

— Obmyśliłem już — dodał Clint — plan działania pod Punktem Skalnym. Tymczasem zaś jedźmy wolno. Oszczędzajmy zaprzęgów. A każdy z was niech będzie i strażnikiem, i wywiadowcą.

Po pewnym czasie Hatcher podszedł do Clinta i wyraził zadowolenie z zachowania się przewoźników wobec groźnej nowiny, po czym dodał:

— Jak wiecie, Buff, wieziemy ładunek futer, najcenniejszy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek wywieziono z fortu Larned. Czy nie przypuszczacie, że Blackstone i Charley Bent musieli to zwąchać?

— Moglibyście się o to założyć.

— Ale, jak oni to wyśledzili?

— Przez jakiegoś przebiegłego Indianina, a jeszcze prędzej przez białego, których tylu kręciło się dokoła fortu. Widziałem tam ze dwudziestu zupełnie mi nieznanych awanturników o podłych twarzach, którzy nie

mogą spojrzeć prosto w oczy człowiekowi. A muszę wam jeszcze powiedzieć, że wiozę ważną pocztę i sześćdziesiąt tysięcy dolarów dla firmy Aull and Company.

— Fiuu! — gwizdnął Hatcher. — Wyobrażam sobie, co za łaźnię sprawiłaby nam ta banda rabusiów, gdyby nas zaskoczyła w bieliźnie, jak zamierzała. Przyznam się, że będziemy mieli dużo do zawdzięczenia waszemu informatorowi, zanim jeszcze podróż ta się skończy. Ale, wiecie, Buff, zaczynamy tu stąpać po zbyt już gorących węglach. Nie tyle mi chodzi o samych czerwonoskórych. Gdy jednak są oni podżegani przez ludzi naszej rasy i do tego podniecani wódką, to przepraszam! Jeżeli wyjdziemy cało z tej przeprawy, będzie to moja ostatnia karawana.

— Co też gadacie, Jim! — zawołał Clint, zdziwiony.

— Tak. Załatwianie się z tymi zbójeckimi bandami to sprawa wojska, nie nas, przewoźników. Tymczasem generał Custer ma ręce pełne tych tam plemion południowych. A jeżeli zaczepi jeszcze Siuksów, gotowi sprawić mu cięgi. Któż więc zajmie się takimi zatraceńcami, jak Blackstone, Bent, Broom Field, Clanger i, Bóg raczy wiedzieć, ilu jeszcze innych, którzy wzrastają w siłę. Ten szlakowy bandytyzm to nowość, a przy tym zyskowna.

— Macie rację, Jim — rzekł Clint, zamyślony. — Mówił mi Buell, że Blackstone ma stosy złota. Skądże by je wziął?

— Powiadano mi, Buff, że niektórzy kierownicy karawan przyjmują też kradzione futra na przewóz do Kansas City. Znam jednego, któremu bym nie dowierzał. A przecież i Blackstone był przewoźnikiem. Jeździł ze mną w pięćdziesiątym szóstym roku, a w kilka lat później sam już stał na czele karawany.

— Znam go. Wuj Jim Couch nigdy nie chciał go użyć.

— Ja także. I założyłbym się, że nie ma człowieka w naszej karawanie, który by się nie radował na widok stryczka na szyi Blackstone'a. Faktem jest, że ci nasi przewoźnicy przyjęli twą wiadomość, Buff, diabelnie poważnie. Sami Indianie są już źli. Gdyby się miała nam zdarzyć jedna i druga bitewka przed dotarciem do Punktu Skalnego, to zespół nasz rozzłości się, jak grzechotnik.

Następnego dnia przejechano dwadzieścia pięć mil po szlaku, przeważnie spadzistym, i dotarto do strumienia, nad którym karawany nie zatrzymywały się prawie nigdy ze względu na złą wodę. Poza tym jednak miejsce to okazało się dogodne dla rozłożenia się obozem.

O wschodzie słońca Henry Wells doniósł Clintowi:

— Szefie, sygnały dymne na południu!

Clint spoglądał długo przez szkła we wskazanym kierunku, po czym posłał po Hatchera.

— Tak, istotnie — wycedził Hatcher spokojnie. — Zjedzmy śniadanie i powleczmy się dalej.

Około południa jeden z wywiadowców, który wysunął się konno o milę, a może i więcej, naprzód, powrócił galopem.

— Indianie nadjeżdżają! — zawołał.

— Skąd?

— Wprost szlakiem.

— Ilu?
— Cała gromada — może z pięciuset.
— Komancze?
— Nie mógłbym powiedzieć tego na pewno.
Clint obrócił się i krzyknął głosem stentorowym do przewoźników, jadących tuż za nim.
— Indianie! Walka ruchoma! Nie przestańcie jechać! Przekażcie to dalej!
Po rzuceniu tego rozkazu zwrócił się do wywiadowcy:
— Jedźcie w tył, do Bena Irelanda. Powiedzcie mu, aby on i Copsy mieli działo, gotowe do strzału. Niech najpierw strzelą szybko kilkakrotnie na chybił trafił, a następnie upatrzą sporą gromadę i wypalą do niej.
Gdy wywiadowca odjechał, Clint położył rewolwer obok siebie na koźle, ustawił swoje dwa karabiny na tym samym poziomie i krzyknął na konie:
— Jazda!
I tak jechał, utkwiwszy sokoli wzrok w linii widnokręgu, przeciętej żółtą wstęgą szlaku. Jadący za nim przewoźnik, Hennesy, śpiewał na całe gardło. Clint rzucił na chwilę okiem poza siebie. Przerwy pomiędzy furgonami malały i konie przystosowywały swe kroki do wolniejszego chodu wołów. Cała karawana posuwała się jednak żywo naprzód.
Długa, ruchoma, pofałdowana linia wyłoniła się z przodu na stepie. Clint nie widział jeszcze nigdy czegoś podobnego, toteż wstrząsnął nim ponury dreszcz. Nagle równy szereg jeźdźców ukazał się nad trawami i runął naprzód, jak wicher. Clint nie pamiętał, aby kiedykolwiek Indianie szarżowali w takiej liczbie, doznał jednak uczucia ulgi, poznawszy, że nie są to Komancze. O ile mógł zmiarkować, była to banda Arapahów i Czejenów. Napastnicy pędzili pięknym, połyskującym szeregiem, w odległości zaś jakich trzystu jardów od karawany szereg pękł i jeźdźcy ruszyli po obu stronach szlaku, po czym zawrócili, aby znaleźć się frontem do karawany, tuż poza linią celności strzałów, sami jednak zaczęli strzelać.
Po chwili Clint musiał się już obejrzeć, aby śledzić ich ruchy. W walce ruchomej Indianie trzymali się zawsze równolegle do karawany i tylko śmielsi wyrywali się tu i owdzie naprzód z szeregu, gdy zaś powiodło się im zatrzymać jeden z furgonów, w przerwę taką rzucali się zwykle gromadą. Clint stał się świadkiem właśnie takiej chwili. Przewoźnicy zaczęli strzelać, co wskazywało, że Indianie znajdowali się już gdzieś na odległości strzału. Istotnie, grupa dzikich posunęła się naprzód, gdyż dwa furgony stanęły. Jeden z woźniców spadł z kozła, drugi zwinął się na nim. Furgon, jadący za zatrzymanymi, skręcił, ominął je i reszta karawany dążyła za nim w porządku Nie było żadnego zamieszania. Przewoźnicy jechali prędko, a wzdłuż całej karawany rozbrzmiewała dorywcza strzelanina na obie strony.
Buum! Sześciofuntówka! Clint lubił ten huk, jak zresztą wszyscy przewoźnicy. Działo umieszczono na furgonie. Dowodził nim Ireland, a Copsy mu pomagał, dwu zaś woźniców powoziło czwórką koni. Clint nie dostrzegł, aby pierwszy ten strzał był celny, w każdym jednak razie zachwiał nieco odwagą dzikich napastników. Dokładnie w dwie minuty

potem Ireland nabił działo ponownie i znów, jak Clint obliczył co do sekundy, rozległ się huk wystrzału.

Strzelanina sięgnęła teraz, wzdłuż karawany, końca, którym dowodził Hatcher. Białe wytryski dymu ukazywały się kolejno, po jednym z każdego furgonu. Ten sposób walki, nakazany przesz starego kresowca, był bezpieczniejszy dla przewoźników, dopóki napastnicy nie odważyliby się na gromadny atak.

Karawana posunęła się naprzód o milę, zanim Indianie, dobiegłszy do jej końca, zawrócili, aby atakować ją powtórnie, już bliżej, uporczywiej i jeszcze szybciej, strzelając częściej, przy czym coraz liczniejsi śmiałkowie podsuwali się do furgonów. Jednocześnie wszakże wzrastała liczba Indian, spadających z koni. Przewoźnicy nie marnowali nabojów. Siedząc na cuglach, dawali ognia, zaprzęgi zaś ich kroczyły naprzód bez przerwy. Nagle jedno z jarzm wołów runęło na ziemię. Woźnica tego furgonu zeskoczył z kozła, dał ognia i pobiegł do następnego furgonu, który ominął zatrzymany furgon i wjechał znów na szlak prawie bez straty czasu.

— Buum! — zagrzmiało działo Benny Irelanda.

Gromadka Indian, pędząca do zatrzymanego furgonu, zachwiała się, jak pod uderzeniem silnego wiatru, po czym rozproszyła. Mustangi bez jeźdźców rzuciły się w step, dziko, z rozwianymi grzywami.

Skrzekliwy, straszny wrzask Indian, zagłuszający wszystko, prócz grzmotu działa, zbliżał się znów do szczytu karawany. Clint kierował swym furgonem, oglądając się od czasu do czasu. Nagle wsunął związane w węzeł cugle pod siebie i porwał jeden z karabinów. Ósmy furgon poza jego furgonem przewrócił się, a jarzmo wołów i woźnica gdzieś znikli. Po chwili dziewiąty furgon, usiłujący ominąć przewrócony, również stanął, konie bowiem jego padły zabite. Woźnice uciekali. Natychmiast Indianie skupili się w tym miejscu, zawracając mustangi i przebiegając tam i z powrotem.

Clint szarpnął cuglami, zatrzymując swój zaprzęg, po czym zaczął strzelać, to na prawo, to na lewo. Czyn jego powstrzymał całe czoło karawany. Siedmiu woźniców, pomiędzy nim a dwoma zatrzymanymi furgonami, poszło za jego przykładem, rażąc Indian śmiertelnym ogniem. Wkrótce jeszcze z tuzin, a może więcej przewoźników, jadących dalej, także strzelało już salwami do skupiających się jeźdźców. Tymczasem Indianie, już z obu stron karawany, nabierali coraz większej śmiałości, stawali się coraz dziksi, szaleni żądzą krwi, bez względu na własne straty. Niech zatrzyma się jeszcze kilka furgonów, a karawana będzie rozbita.

Za każdym strzałem swego siedmiostrzałowego karabinu Clint albo strącał z konia Indianina, albo też powalał na ziemię konia, po czym nabijał znów karabin, zachowując drugi, nabity, na przypadek bliskiego starcia. Gdy nabiwszy powtórnie karabin, znów spojrzał przed siebie, Indianie skupili się już z obu stron szlaku w przerwie, utworzonej przez przewrócone furgony. Furgon z działem, zjechawszy ze szlaku, pędził galopem z wyciągniętą czwórką koni. Jeden z jego woźniców powoził, drugi zaś strzelał. Strzelał również Copsy, a Benny Ireland trzymał się działa. Indianie, podnieceni nadarzającą się im sposobnością, coraz liczniej pędzili do przerwy, aby się w niej połączyć i osaczyć Clinta i siedem stojących za nim furgonów.

O pięćdziesiąt jardów od większej gromady Indian po prawej stronie szlaku, furgon Irelanda przystanął. W tejże chwili Clint ujrzał wytryskujący z działa płomień i unoszący się w powietrzu kłąb dymu.

— Buum! — zagrzmiało działo i, jak zboże pod kosą żniwiarza, Indianie i ich konie padli na ziemię. Ci zaś, którzy ocaleli po prawej stronie szlaku, pierzchli jak przed pożarem stepu. Cofnęła się też gromada, zebrana po lewej stronie, nie rozpierzchła się jednak, lecz pędziła wzdłuż karawany, strzelając bez przerwy. Ale minęła już sposobność, na którą czyhali napastnicy. Bo i dalsze furgony zbliżały się teraz szybko, jadąc parami i oczekując rozkazu utworzenia koła. Ale Clint nie wydawał takiego rozkazu, w chwili bowiem, gdy nadjeżdżał Hatcher, już Indianie, pędzący z lewej strony karawany, okrążyli jej czoło i, połączywszy się z pierzchającymi, zatrzymali się razem z nimi dopiero daleko na stepie, tworząc ciemną masę, dziką i okrutną, widocznie, aby się naradzić. Nie wznowili wszakże ataku.

Szybkie, energiczne ręce poodcinały padłe zaprzęgi, a furgony ich przesunęły i uwiązały do tyłu innych. Zabitych przewoźników umieszczono na jednym z furgonów i przykryto derkami. Sześciu zabitych i czterech ranionych. Benny Ireland miał przebite kulą przedramię. Pomimo to jednak wołał uradowany:

— Hej, szefie, czy ten ostatni strzał to nie prawdziwe cacko!

Pięćdziesięciu trzech Indian i prawie tyleż koni padło od tego straszliwego naboju siekańców.

— Jesteś Ajryszu, istną pieprzniczką! — odezwał się na to jeden z przewoźników, z zakrwawionym ramieniem, biorąc cugle do ręki.

I niejeden jeszcze taki okrzyk padł w stronę Irlandczyka.

— W drogę! — krzyknął Belmet.

I znów przewoźnicy karawany ruszyli z miejsca, a jadące za nimi furgony rozciągnęły się ruchomym szeregiem na żółtym szlaku.

Toczyły się koła, trzeszczały uprzęże, pochylały się woły, prężyły konie i przewoźnicy dążyli ponownie ku pustemu, purpurowemu, pociągającemu ich widnokręgowi.

## Rozdział XIX

Ciąg bizonów powstrzymał karawanę. Oddzielne sznury olbrzymiego stada, ciągnącego na północ, poprzecinane na kilka części przez zagradzającą im drogę karawanę, otoczyły ją i w końcu zmusiły do przystanięcia.

Przewoźnicy nie omieszkali skorzystać ze sposobności. Pieczeń z bizona, ulubiona ich potrawa, miała być tego dnia głównym daniem wieczerzy, jeżeli zdołają rozłożyć się obozem przed nocą. Nad wieczorem stado zrzedło.

Clint Belmet był niezmęczony w przypatrywaniu się bizonom. Pierwsze jego spotkanie z bizonem, dreszcz zimny, który go przejął do szpiku kości, gdy Dick Curtis szepnął mu, aby strzelił do potwora, potężny odskok strzelby, który go przewrócił, wreszcie wstrząs na widok powalonego, czarnego, wełnistego olbrzyma — wszystkie te wrażenia młodzieńcze nie zamarły w nim i powracały zawsze na widok bizonów. Ten grzmiący tupot racic! Ten całun kurzu, jak step szeroki! A jednak Clint przewidywał, że bizony, tak liczne jak źdźbła traw stepowych, staną się dnia pewnego tylko wspomnieniem.

Oprócz napadów Indian, podróż przez Wielkie Stepy obfitowała jeszcze w zagadnienia, wprawdzie mniej groźne, w każdym jednak razie dość ważne. Nie można było, na przykład, stanowczo obciążać karawany zapasem wody dla ludzi, koni i wołów. A przecież po długiej wędrówce w słońcu i wśród kurzu należało przede wszystkim napoić konie i woły. Gdy więc zdarzały się przeszkody takie, jak ciąg bizonów, sytuacja stawała się poważna.

Tego dnia karawana straciła osiem godzin, toteż musiano znów zatrzymać się wieczorem u jednego z nieuczęszczanych poideł. W danym jednak razie opóźnienie to okazało się szczęśliwe, następnego bowiem poranka, gdy karawana ujechała już znaczny szmat drogi, natknięto się na Pawnisów, którzy wszakże uciekli po jednym wystrzale działa Irelanda, w miejscu zaś, gdzie zwykle stawano na nocleg, o kilka mil dalej, wywiadowcy znaleźli wyraźne ślady zasadzki, urządzonej przez Pawnisów na karawanę.

Gdy powiedziano o tym Hatcherowi, wyrzucił ręce w górę i zaklął.

— Powiedziałby kto, — zawołał gniewnie — że wszystkie bandy czerwonoskórych na tych stepach sprzysięgły się na naszą karawanę!

I Clint był takiego zdania. Przewoźnicy milczeli. Wzmagał się wśród nich nastrój ponury i groźny w miarę mnożenia się niebezpieczeństw i

przeszkód. Całymi latami opowiadali sobie, co może się zdarzyć pewnego dnia na Starym Szlaku. I, co do nich przynajmniej, świt takiego dnia był rzeczywiście niedaleki.

Następnego dnia karawana posunęła się znacznie wśród wyniosłości i pagórków ostatniego pasma falistego gruntu przed właściwą równiną krainy stepowej. Strumienie przecinały tę okolicę, a z zadrzewionych jarów wzbijały się na tle jasnej zieleni cieniutkie strugi niebieskiego dymu. Indian nie spotkano, lecz Hatcher podzielał zdanie Clinta, że niejedna para czarnych, dzikich oczu śledziła karawanę z grzbietu pagórków.

Ta część Wielkich stepów zawsze szczególnie pociągała Clinta Belmeta. Była to najpiękniejsza i najdziksza okolica pomiędzy górami Skalistymi a rzeką Missouri. Clint zbliżał się do samotnych mogił swego ojca, matki, wuja Jima Coucha i Toma Sidela, jedynego swego druha w młodzieńczych dniach przewoźnictwa — chłopca, który ocalił mu życie.

Po południu dnia następnego, który zaznaczył się tym, że nie zauważono Indian, choć wiedziano, że się znajdują w sąsiedztwie, daleko sięgający wzrok Clinta dojrzał purpurowo-szarą wyniosłość Punktu Skalnego. Niezwykłe jej kształty stanowiły znak rozpoznawczy dla wędrujących przez tę krainę.

Na południe od toczącej się karawany grunt tworzyły biegnące w dal strome zbocza, niektóre poszarpane, ciemne od zarośli, inne znów opadające szarymi, falistymi skrętami ku niebieskawej równinie stepowej. Co mila lub dwie otwierał się jar w tym ogromnym zboczu, a zielone wstęgi wierzb i topoli wiły się w dół, znikając na równinie. Na północ ostatni występ górski biegł ukośnie w nieskończoność, jego zaś szarzyzna i purpura zlewały się w dali, podobnej do pustyni lub morza.

Od miejsca, w którem znajdowała się karawana, było półtora dnia łatwej podróży do Punktu Skalnego. Bystre oczy Indian musiały już dostrzec karawanę i wywnioskować, że zatrzyma się na nocleg nad strumieniem Alder.

Szkła polowe Belmeta wyśledziły nareszcie to, czego dawno już szukał. Z wysokiego grzbietu wzgórza, spośród zarośli, wzbijały się ku niebu z niezwykłą regularnością, ciemne okrągłe kłęby dymu. Belmet zaciął zęby, wiedział bowiem, że przebiegły Indianin stoi nad ogniskiem, przykrywa je kocem i w równych odstępach koc ten usuwa, puszczając w powietrze kłąb dymu, a gdzieś tam, w odległości mil całych, oczy innego Indianina, o wzroku tak bystrym, jak u stepowego sępa, widzą te sygnały i dowiadują się z nich, że karawana znajduje się na danym punkcie szlaku.

— Jim Whitefish — szepnął Clint z uczuciem wdzięczności dla tego Indianina, wydziedziczonego przez swoich za przyjaźń, okazywaną białym — powiedział prawdę. Tamci przypuszczają, że staniemy u Punktu Skalnego jutro wieczorem, a o świcie... A no, my urządzimy zasadzeczkę na własną rękę!

Natychmiast potem posłał jednego z wywiadowców w tył, wzdłuż całej karawany, aby powiedział każdemu z przewoźników o spostrzeżonych sygnałach i o rozkazie jechania wolnym krokiem aż do nastania ciemności, następnie zaś szybko aż do Punktu Skalnego.

Z drugiej znów strony Hatcher posłał Belmetowi zawiadomienie, że dostrzegł indiańskiego jeźdźca, który, przejechawszy w poprzek wierzchołka wzgórza, stanął i z konia śledził karawanę. Raport swój Hatcher kończył słowami: „Z pewnością będzie piekło i musimy stanąć przede dniem u Punktu Skalnego”.

Przed zachodem słońca cudownie czyste światło rozpostarło się nad stepem. Było to zjawisko piękne, przezroczyste i bezbarwne, dziwnie powiększające przedmioty i stopniowo nasiąkające złotem. Brakowało jeszcze godziny do zachodu słońca. Krępe konie parły naprzód, kiwając łbami, woły przechylały swe jarzma z boku na bok, koła toczyły się i toczyły...

Na wschodzie, ponad łagodnie falującym stepem, tam, gdzie trawy kołysały się połyskującymi bruzdami, wyrastała niska wypukłość Punktu Skalnego. Clint widział długi swój cień, posuwający się przed sobą, śmieszny i smutny. Daleko, na południe, zbocza zbiegały niewyraźnie w dół, ku złocistemu mrokowi.

Żadnego znaku życia. Ptaki i zwierzęta stepowe poznikały. Nad stepem unosiła się samotność i melancholia, panował spokój, będący jednak tylko złudzeniem. Słońce zaszło z tyłu karawany, a na wschodzie niebiosa zlały się z widnokręgiem, złociste i różowe, następnie pobladłe i szarzejące, w końcu ciemne wzdłuż równiny niezmiernej.

Ale śmierć tam czyhała, podobna do tej próżnej jałowej przestrzeni, tak blado-szarej obecnie, z pasmami zmroku, wypełzającymi z zagłębień. Wielkie stepy! Nigdy jeszcze nie wydawały się Clintowi tak rozległe, wymowne, tak nie do uwierzenia stare. Etap za etapem w górę po tej wypukłości ku krańcom, szarym i zimnym jak glina, z ich jednostajnością wieczną, nieuniknioną, straszliwą.

Przez lat piętnaście Clint Belmet śledził to zjawisko zmieniania się stepu ze złotego w szary, z szarego w kamienisty i wreszcie w noc tajemniczą nad morzem traw. Tym razem jednak, znane zjawisko wydało mu się bardziej, niż potężnym świadectwem celowości przyrody i bezsilności człowieka.

* * *

O godzinie trzeciej po północy Belmet i Hatcher wprowadzili swe karawany pod ciemne zarysy Punktu Skalnego, uskuteczniając w ten sposób najdłuższy ze swoich przejazdów. Woły wytrzymały tę długą pracę, ale konie były wyczerpane. Podwójne kolisko furgonów, w którem pozostawiono tylko dwa wąskie otwory przeciwległe, obejmowało zaledwie kilka akrów pastwiska, toteż konie nakarmiono ziarnem, zawsze przechowywanym na przypadek nagłej potrzeby. Woły rozjarzmiono i puszczono na paszę wewnątrz koliska furgonów.

Wywiadowcy rozjechali się na wszystkie strony, a Clint Belmet i Henry Wells poszli rozejrzeć się po nizinach. Wszystko było czarne na porosłym drzewami gruncie, gdzie zlewały się dwa strumienie. Ciemność panowała również w widłach tych strumieni. Ale Belmet i Wells niedowierzali tej ciemności. Przystanęli, nastawiając uszu w kierunku niziny, czy nie usłyszą

nadlatującego stamtąd rżenia koni lub szczekania indiańskiego psa. Słychać jednak było tylko wycie samotnego wilka i przejmujące hukanie puszczyka. Wiatr szemrał wśród liści topoli i rozlegał się cichy plusk płynącej wody.

Nastał świt. Jelenie i antylopy ściągały ze stepu, aby ukryć się w gęstwinie. Bizony brodziły przez płytkie strumienie dla wydostania się na równinę.

Wells zwrócił się do Belmeta, który przysiadł obok niego.

— Gdyby w gęstwinie ukrywali się Indianie, to zwierzyna nie dążyłaby do niej. I bizony zachowywałyby się inaczej. Co do koni indyjskich, to słyszelibyśmy je o milę. Wreszcie o tej godzinie Indianie byliby już na nogach.

— Udało się nam jednak — zauważył Clint — wyprowadzić ich w pole.

— Z pewnością nie spodziewali się tego — odparł Wells. — Chodźmy coś zjeść.

Nie rozpalano ognisk. Przewoźnicy posilali się zimnym bizonim mięsem, sucharami i kawą, ugotowaną na poprzednim postoju. Hatcher zeszedł z wyżyny Punktu Skalnego.

— Pozostawiłem tam — rzekł — Moore'a ze szkłami. Możemy dojrzeć zbliżających się wzdłuż obu strumieni, gdy będą jeszcze o kilka mil od nas. Ale dotychczas nic nie widać.

Ostatni z wywiadowców powrócił późno. Zapuścił się był o dziesięć mil na północ.

— Widziałem — zameldował — coś poruszającego się w stepie, ale nie mogłem rozróżnić, czy to Indianie, czy też bizony.

— Hm, — zauważył Hatcher — gdyby konie i woły nie były tak zmęczone, to moglibyśmy się stąd wynieść.

— Nie zabrnęlibyśmy daleko, szefie — zaprotestował Wells.

— Do diabła, — zawołał Benny Ireland — chyba nie będziemy unikali walki!

— Buff, idę spytać się naszych ludzi, co myślą o dalszej podróży — rzekł Hatcher.

— Nie ma sensu, Jim — oświadczył Belmet poważnie. — Wszystkie konie są do niczego. Muszą odpocząć. Jeżeli ruszymy teraz, padać będą po jednemu, albo po dwa jednocześnie. Indianie dopędziliby nas szybko. Wówczas możemy znaleźć się w gorszym położeniu, niż tutaj.

— Hatcher, posłuchajcie rady Belmeta — odezwał się Wells, a zdanie tego starego stepowca przeważyło.

— A jednak pójdę wybadać ludzi — upierał się Hatcher ponuro.

Henry Wells spojrzał na niego zdziwiony, ale nic nie odpowiedział. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się słyszeć z ust Hatchera takiej propozycji. Clint Belmet również nie ujawnił swych myśli, gdyż zaciążyło w nich przeczucie katastrofy. Jego zdaniem, nie można było absolutnie ruszyć z miejsca przed upływem doby.

— Kto jednak wie, — odezwał się Henry Wells — czy oni nas napadną tutaj?

— Chciałbym, żeby się to nie zdarzyło, obawiam się jednak, że napadną.

— Ale my jesteśmy na to przygotowani, co daje nam taką przewagę, że odeprzemy ich przy pierwszym zaraz ataku.

— Henry, jeżeli Blackstone i Murdock prowadzą Kiowów do ataku na nas, to musimy sprawić im niespodziankę, albo zginąć.

— Blackstone i Murdock, a raczej Charley Bent, powiadacie? Któż, u diabła, mówił wam, że oni stoją na czele tej wyprawy i to jeszcze z Kiowami? Czy macie jakieś dane?

— Tak. Jim Whitefish uprzedził mnie o tym. Znacie tego Indianina. Ale trzymajcie język za zębami. Powiedzcie tylko ludziom, kogo mają się spodziewać.

— Boże Wszechmogący! Nie zdarzyło się jeszcze, aby rabusie ci nie pokonali karawany, którą napadli. Dlatego też nie można zdobyć przeciwko nim dowodów. Uprowadzają furgony, a wszystkich białych zabijają i grzebią w stepie, daleko od szlaku.

— Tak, Henry. Karawany wprost znikają. Przy napadzie Indian furgony ulegają spaleniu, biali zaś pozostawiani są na placu obnażeni, oskalpowani i pocięci... Gdybyśmy natomiast mieli być pokonani przez Blackstone'a i Benta, nikt się nigdy nie dowie, co się stało z nami i z najcenniejszymi z przewożonych przez nas ładunków.

— Na Boga, spodziewam się, że Blackstone i Bent nigdy nas nie pokonają!

— Tak i ja przypuszczam. Idźcież między ludzi i powiedzcie, kogo się spodziewamy.

Niebawem całe obozowisko zahuczało, jak ul rozgniewanych pszczół.

Clint wspiął się wkrótce na szczyt skalistej wyniosłości, zastępując przewoźnika, który stał tam na czatach.

— Pełno zwierzyny, bizonów, kojot, ale ani śladu czerwonoskórych — zameldował przewoźnik, oddając szkła Clintowi.

— Bo też mają przed sobą cały dzień, jeżeli w ogóle zamierzają tu przybyć — rzekł Clint, raczej sam do siebie, a usiadłszy na skale, począł badać grunt pomiędzy obu zlewającymi się tu strumieniami, i kręte, płytkie doliny, wijące się w kierunku południowym i wschodnim.

Z pomocą szkieł opanował wzrokiem całe pięć mil szlaku, wiodącego tu z południa, i ze trzy mile — dążącego na wschód. Logiczne wydawało mu się przypuszczenie, że Indianie, zamierzający napaść na Punkt Skalny, zbliżą się do niego jednym albo obu tymi szlakami; gdyby bowiem posuwali się inną drogą, to mogliby łatwo być odkryci, a przy tym na północ nie było wody, przy której mogliby się zatrzymać. Wreszcie na południu grunt był pochyły, poprzecinany licznymi jarami.

— Tak, — mruknął — jeżeli pierwsi ich dostrzeżemy, to po nich, głuptasach.

Bo też istotnie miałby pełno czasu do obmyślenia planu działania, gdyby Indianie ukazali się w jednej lub w obu tych krętych dolinach. Nie ulegało wątpliwości, że obozowali u źródeł strumieni, a teraz znajdują się w drodze. Możliwość nienadejścia ich była bardzo daleka od myśli Clinta. Postawiłby wszystko za prawdomównością i ścisłością informacji Jima Whitefisha. Ten Kiowa wiedział, co mówi. Jakiś krewny z własnego plemienia, albo jakiś Pawnis, który pił wodę ognistą z podstępnym białym

wyrzutkiem, musiał ujawnić mu tajemnicę dawno przygotowywanej napaści, której plan zrodził się w głowach renegatów. Poza tym obecność Indian wzdłuż całego szlaku, czas i miejsce zdawały się potwierdzać z góry nieszczęście. Blackstone i Murdock musieli prędzej czy później dotrzeć do końca swego krwawego wyścigu. Żaden bandyta ich miary nie mógł trwać długo na kresach w owym czasie. Podczas wojny przygotowywała się w Wielkich stepach widownia pod dramat potworny, rozgrywający się obecnie.

Clint przypomniał sobie, że w przeciągu ostatnich dwu lat uległo zniszczeniu więcej karawan, niż w ciągu poprzednich lat dziesięciu. Zaczął więc liczyć w myśli karawany, które rozbito, zniszczono, lub które przepadły bez śladu. Gdy wszakże doliczył się trzydziestu trzech, zaniechał, przerażony dalszym liczeniem. Czyżby ta karawana miała być ostatnią z tych, które Buff Belmet prowadził przez stepy? Odwaga, pogarda niebezpieczeństwa i rozumowanie przemawiały łącznie przeciwko temu, jednak przeciwstawiało się im dziwne, nieokreślone przeczucie, że Punkt Skalny będzie końcem jego przewoźnictwa stepowego. I na próżno usiłował otrząsnąć się z tej myśli. Powracała wciąż uporczywie. Podobnie do Hatchera, odgadywał zdarzenia, rzucające przed siebie cień ponury. Co chwila podnosił szkła do oczu i przebiegał wzrokiem całą widzialną przestrzeń, na południe — od rozwidlenia się strumieni, a następnie — na wschodzie. Już ze sto razy zbadał uważnie doliny, ale za setnym pierwszym razem drgnął od stóp do głów pod wpływem nagłego uderzenia krwi: zbita, czarna gromada konnych wojowników ukazała się w szarej dolinie na prawo. Wielkimi skokami zbiegł po skałach do obozowiska czekających przewoźników.

— Ludzie, już nadchodzą... siła znaczna! — rzekł tonem ostrym. — W dół prawego strumienia, o jakie pięć mil od nas... Hatcher, weźcie siedemdziesięciu pięciu ludzi i działo. Przejdźcie w bród strumień. Działo ustawcie z tej strony tuż pod topolami, ludzi zaś ukryjcie dokoła działa, pomiędzy wierzbami. Oni się tam zatrzymają, aby poczekać do nocy. Ale wy nie czekajcie! Jak tylko zgromadzą się w gaju — ognia! Nie opuszczając waszych kryjówek, strzelajcie... Wy, Ireland i Copsy, przybrawszy sobie do pomocy jeszcze jednego człowieka, trwajcie przy dziale. Wybierzcie dobrą chwilę na pierwszy strzał. Niech go poczują dotkliwie. A potem nabijajcie co sil i nie przestajcie strzelać.

— To mi się podoba, Buff — odparł Hatcher, a oczy błysnęły mu ogniem. — A wy, co zamierzacie?

— Ja zabiorę dwudziestu pięciu ludzi i ruszę w górę lewego strumienia. Bo jeżeli Blackstone ma się tutaj spotkać z Bentem i jego Kiowami, to przybędzie z pewnością wzdłuż tego strumienia. Gdyby jednak się spóźnił, na odgłos waszych strzałów, przybiegniemy do was.

— Dobrze! Ale kryjcie się, o ile można, pod urwistym brzegiem strumienia i podchodźcie do nas od tyłu... W obozie zatem pozostanie około czterdziestu ludzi na straży furgonów, a przypuśćmy, że inna jeszcze banda Indian podkradnie się z tamtej strony?

— Może nadejść, naturalnie. Ale się nie podkradnie. Widać ją będzie z daleka. Zresztą, mam nadzieję, że nasza walka z tamtej strony strumienia będzie krótka i pomyślna.

Hatcher wnet ruszył ze swymi ludźmi, a ze dwudziestu z ich liczby tak łatwo wlekło brązowe działo, jakby to była zabawka.

— Wells, — ciągnął Clint — wy obejmiecie dowództwo nad ludźmi, pozostawionymi w obozie. Jeden z wywiadowców niechaj czuwa u szczytu, niech jednak dobrze się ukryje i będzie ostrożny.

Hatcher, z dwoma rewolwerami u pasa, pełnego ładunków, i z karabinem Colta w każdej ręce, podszedł do Clinta na ostatnie słówko.

— Buff, — rzekł spokojnie — gdyby się co zdarzyło, pieniądze, które mam przy sobie, są wasze.

— A moje należą do was, gdybyście wy wyszli z tego cało, a ja nie — odparł Clint.

— Niechaj tak będzie, krewnych nie posiadamy. A wiecie, często zastanawiałem się, na co właściwie oszczędzam? Opuścić stepy i odpocząć? Niestety, zda je mi się, że czekałem zbyt długo!

Co za straszna tragedia odzwierciedliła się w tych prostych słowach Hatchera! A Clint odczuwał, że i jego stan umysłowy podobny był do stanu tego starego przewoźnika. Ci stepowcy wczesnej doby lekko brali pracę, walkę, rozlew krwi i śmierć. Podjęli się obowiązku prawie niemożliwego, mianowicie, przewozu przez Wielkie Stepy prowiantów do fortów i posterunków handlowych i powracania stamtąd z cennymi ładunkami skór i futer. Gdy rozpoczęto ten przewóz, Indianie okazywali się raczej skłonniejsi do handlu, niż do walki. Ale niesprawiedliwość, oszustwa, niedotrzymywanie umów, mordowanie bez powodu, wybijanie bizonów i wreszcie wysyłanie przeciwko nim wojska uczyniły z Indian wrogów zaciętych i brutalnych. Oczywiście, biały człowiek, dzięki swej liczbie, broni ulepszonej i duchowi, tak charakteryzującemu pionierów, musiał w końcu zwyciężyć. Zanim to jednak nastąpiło, ileż to karawan spłonęło, iluż to dzielnych ludzi padło na stepach!

Ale Clint Belmet czuł raczej nienawiść śmiertelną do takich renegatów, bandytów, jak Blackstone i Charley Bent. Indianie byli ograniczeni, zapalczywi i dający się łatwo podjudzić. Bez względu na zbrodnie, jakich dopuszczali się na nich pionierzy — a zbrodnie to były wielkie — to, czego dopuszczali się renegaci, było wprost okropne i nie do wybaczenia. Bent niejednokrotnie wiódł swych czerwonoskórych szatanów na zniszczenie karawan bez żadnego ryzyka dla siebie. Clint jednak przypuszczał, że tym razem Bent — albo Lee Murdock, gdyż tak go zawsze w myśli nazywał — przerachował się i jeżeli podążał teraz do Punktu Skalnego, to jechał na stracenie. Siedemdziesięciu przewoźników pod wodzą starego stepowca, każdy uzbrojony w dwa siedmiostrzałowe karabiny i w dwa sześciostrzałowe rewolwery, a ponadto w prażące siekańcami działo, kryjąc się w gęstwinie, zdoła zniszczyć najsilniejszy choćby oddział Indian.

Ludzie Hatchera znikli w gąszczu wikliny, okrywającej prawe rozwidlenie strumieni. Ludzie Clinta oczekiwali na niego gotowi, na wybrzeżu lewego strumienia. Clint nie chciał ociągać się zbyt długo, czekał jednak do ostatniej chwili, czy wywiadowca, umieszczony na szczycie

skały, nie da znać o zbliżaniu się Indian lub bandy Blackstone'a od wschodu. To też ściągnął pas, gdy spostrzegł, że wywiadowca Stevens opuszcza się szybko po zboczu. Z pod nóg toczyły mu się kamienie. Trzymając w jednej, podniesionej ręce szkła polowe Clinta, drugą czepiał się krzaków, aby nie stoczyć się ze zbocza. Gdy wreszcie stanął z łoskotem na ziemi i spojrzał błyszczącymi oczyma na Clinta, prawie że zbyteczne były już słowa.

— Biali ludzie... Jadą w dół lewego strumienia — wysapał, dysząc ciężko. — Jest ich osiemnastu, jadą parami!

— Jak daleko?

— Niespełna o dwie mile.

— Dobrześ się spisał, Stevens. Wracaj na skałę i ukryj się natychmiast. A nie zapominaj rozglądać się dokoła.

Trzymając karabiny w obu rękach, Clint pośpieszył do swoich ludzi.

— Biali nadciągają — rzekł — w dół tego lewego strumienia. Jest ich osiemnastu, jadą parami. Musi to być zgraja Blackstone'a. Chodźcie!

Dwudziestu pięciu przewoźników pobrudziło za Clintem przez płytki strumień, po czym ruszyło za swym przewodnikiem z ćwierć mili wzdłuż piaszczystej mielizny pod przykryciem urwistego wybrzeża. Clint wspiął się wreszcie na urwisko i poprowadził swój oddział przez gąszcz wiklinowy, gęsty i pogmatwany. Przy wysokim stanie wody grunt ten piaszczysty, dochodzący do szczytu kąta, w którym zlewały się oba strumienie, bywał zalany. W przeciwnym jednak kierunku podnosił się, tworząc przestrzeń bardziej otwartą, na której rozpoczynał się gaj topolowy. Dotarłszy do dobrze wydeptanego szlaku, Clint przystanął, czekając na swych ludzi.

— Dojdziemy — rzekł, gdy się zgromadzili dokoła niego — do pierwszej polanki i tam ukryjemy się wzdłuż szlaku. Jeżeli się nie mylę, ta biała banda stanie tu przed Indianami. Chodzi o to, by ją ująć bez strzału. Powiążemy ją i pośpieszymy z powrotem na pomoc Hatcherowi.

— Szefie, — wtrącił jeden z przewoźników — Jim Blackstone niełatwo da się zatrzymać. Schwytać go to znaczy — od razu arkan na szyję!

— Liczę na to, że podejdziemy ich znienacka. A najgorszy z tych bandytów jeszcze się zawaha, czując lufę karabinu na swym brzuchu. Nie damy im czasu do namysłu.

Ruszano dalej i w niewielkiej odległości uwagę Clinta zwróciła owalna polanka, przez której środek biegł szlak. Było to miejsce, jakby upatrzone na zasadzkę, dokoła bowiem polanki rosły krzaki wysokie i gęste.

— Tu! — rozkazał Clint, przystając. — Po dwunastu ludzi niech się rozejdzie na obie strony i ukryje mniej więcej na długość konia jeden od drugiego. Nie ruszać się, dopóki nie zawołam. Dopiero wówczas wyskoczyć, każdy z jednym tylko karabinem... Strzelać, jeżeli którykolwiek z nich się ruszy. Poza tym, słuchać, co rozkażę.

Cichaczem przewoźnicy znikli wśród zielonych zarośli, tworzących zasłonę nieprzeniknioną. Clint ruszył z miejsca ostatni i przepadł wśród wierzb u szczytu polanki. Z ukrycia swego obejmował wzrokiem cały szlak, ciągnący się prosto, aż do miejsca, w którem wyłaniał się na polankę. Zaciąwszy zęby, czekał. W ten, czy inny sposób musi Jima Blackstone'a spotkać tutaj to, na co zasługuje. Inaczej jednak przedstawiałaby się

sprawa, gdyby Lee Murdock towarzyszył Blackstone'owi. Clint czuł, że Murdock za nic się nie podda. Liczył teraz lat około trzydziestu. A od lat sześciu, czy siedmiu stał się najdzikszym bandytą kresowym, o nerwach wprost żelaznych. Gdyby więc Murdock towarzyszył Blackstone'owi, o czym zresztą Clint powątpiewał, to przede wszystkim należałoby go zastrzelić, a potem dopiero krzyknąć. Niekoniecznie na widok człowieka spadającego z konia towarzysze jego pochwyciliby natychmiast za broń. Clint liczył na ich przerażenie.

Przyklęknąwszy na jedno kolano, rozejrzał się dokładnie, czy jest dobrze ukryty, po czym, oparłszy jeden ze swych karabinów o rozwidlenie wikliny, drugi ujął rękoma i trzymał w ten sposób, że wystarczyło jedno poruszenie, aby podnieść go do oka. Oddychał ciężko i pot występował mu na rozgorączkowane ciało. Bo w chwili tej chodziło o coś więcej, niż tylko o samoobronę przewoźnika. Nieraz w chwilach ponurych pragnął tylko doczekać się spotkania oko w oko z Murdockiem.

Nagle uszu jego doleciał odgłos stąpania kopyt po miękkim piasku. Zadrżał lekko, po czym zesztywniał jak lód. Daleko na szlaku, jeszcze poza obrębem polanki, ukazały się czarne kapelusze i niewyraźne twarze białych ludzi, a następnie barczyste ramiona i sterczące uszy końskie. Konie postępowały parami w dół szlaku, tak skupione, że jeden drugiego niemal dotykał, co było bardzo pomyślne. Jadącego z prawej strony herszta bandy, człowieka potężnego, o gęstej brodzie, Clint poznał, zanim człowiek ten znalazł się na polanie. Niepewność znikła i nawet w tej chwili ponurego nastroju Clint przypomniał sobie z uczuciem gorącej wdzięczności Jima Whitefisha.

Zbliżali się, jadąc stępa, bez pośpiechu. Rozmawiali przy tym głośno, a jeden z nich roześmiał się szorstko. W ubraniach z jeleniej skóry, uzbrojeni byli po uszy. Nigdy jeszcze Clint nie widział bandy, o wyglądzie tak brutalnym, odrażającym i strasznym. Był to wyciąg dzikiego życia kresowego owych czasów. Głosy ich stawały się coraz wyraźniejsze, wreszcie zupełnie wyraźne.

— Przybyliśmy za wcześnie — odezwał się jeden z rabusiów.

— A tak. Charley obiecywał być tu przed Komanczami.

Słowa te, wymówione przez Blackstone'a głosem basowym, donośnym, uderzyły Clinta jeszcze bardziej, niż sama obecność herszta.

— Ale skądże i Komancze dowiedzieli się, do diabła, o tej bogatej karawanie?

— Ba, ajenci Aulla zgromadzili dziesięć tysięcy skórek wizonów, wydr i lisów, aby wysłać je karawaną Buffa Belmeta.

— Cha, cha!

— Będziesz mógł śmiać się odwrotną stroną gęby, jeżeli Komancze tu nie nadjadą.

— Co znaczy dwieście mil dla tych wszawych jeźdźców?

Gdy pierwsza para koni podjechała na odległość dwudziestu stóp, Clint podniósł się szybko, mierząc z karabinu.

— Ręce do góry!

Cała kawalkada zdrętwiała, jak jeden człowiek. I konie jej, zatupotawszy nerwowo, stanęły bez ruchu. Brodata twarz Blackstone'a poszarzała.

— Ręce do góry, ręce do góry! — zagrzmiało wzdłuż polanki, gdy przewoźnicy, jak straszne widma, wyłonili się z zieleni.

Jedna chwila paraliżującego stwierdzenia rzeczywistości i ręce wszystkich rabusiów wyskoczyły instynktownie ponad ich głowy. Zupełna niespodzianka zagłuszyła rozsądek. Sugestia podziałała piorunująco.

Clint wyzyskał tę chwilę z szybkością genialną.

— Andy, — krzyknął — zabieraj broń po swojej stronie, a ty, Sandy, z drugiej strony.

Wymienieni przewoźnicy skoczyli do roboty, rzucając karabiny i rewolwery rabusiów na ziemię. Sztywno wyciągnięte w górę ręce zaczęły drgać i podrygiwać. Ręce Blackstone'a opadły do połowy.

Clint zrobił szybko dwa kroki.

— Do góry, bo zastrzelę!

W ciągu sekundy życie Blackstone'a wisiało na włosku. Na pobladłej jego twarzy zarysował się wyraz wściekłości. Karabin i rewolwery herszta leżały już na ziemi. Zdecydował się za późno, toteż oczy jego gorzały piekielnym ogniem.

— Do góry ręce, do góry!... Nie ruszać się!... Sztywno, przeklęła hołoto!... Jeżeli drgniesz, wypatroszę! — wołali i klęli przewoźnicy, a niejeden z nich dotykał prawie swym karabinem rabusia.

— Z konia! — ryknął Clint, podbiegając do Blackstone'a i uderzając go w brzuch lufą karabinu.

Istnym cudem karabin z odwiedzionym kurkiem nie wypalił pod wpływem tego uderzenia. Herszt bandy zsunął się szybko z siodła.

Z resztą bandy przewoźnicy postąpili tak samo, tych zaś z rabusiów, którzy się ociągali, wprost zrzucano z siodeł. Jeden z nich, uderzony kolbą w głowę, upadł.

— Pchnąć ich do szeregu! — rozkazywał Clint i znów uderzył lufą Blackstone'a. — Do szeregu!... Obrócić się tyłem, łotry!... A teraz sznury!... Niech dwu je odcina!... Brać z siodeł! Szybko!

Dwudziestu strasznych przewoźników, z karabinami, gotowymi do strzału, ustawiło pchnięciami i uderzeniami rabusiów szeregiem, a dokonawszy tego, stanęło za nimi na straży, gdy tymczasem pięciu innych, rozgorączkowanych dziko, wiązało ustawionymi ręce i nogi i przewracało ich na ziemię.

— Hej, Belmet, co zamierzasz? — spytał Blackstone chrapliwym głosem.

— Zdaje się, że pojedziesz, Blackstone, do fortu Larned.

Pomruk przekleństw rozlegał się w szeregu powalonych rabusiów. Teraz dopiero przychodzili do siebie po tak oszałamiającym napadzie.

— Fort Larned piekielny! — wybuchnął jeden z przewoźników, spocony.

— Buum!

Ciężki huk strzału działowego przedarł się przez topole, potoczył dalej i zabrzmiał powtórnie echem.

— Zaczyna! — wrzasnął jakiś przewoźnik o tęgich płucach. Chodźmy, chłopcy!...

Grzmiący trzask wystrzałów karabinowych zagłuszył jego słowa. Zadudniło w lesie, po czym doleciały dzikie, ochrypłe głosy walczących ludzi. Znów trzask! Przeniknęła go nuta dziwna i ostra. Zmieszały się wołania i krzyki.

Trzask!

Clint porwał za karabin i poprowadził swych ludzi pędem szalonym, w dół szlaku, do wikliny.

Trzask! Wrzawa stała się okropną, gdy zbliżył się do widowni walki. Zawołał na biegnących za nim, aby trzymali się na prawo, jeżeli chcą stanąć za ludźmi Hatchera. Trzask! — Zrozumieli, choć bodaj, czy głos jego doleciał do nich. Po chwili Clint dotarł do ścieżki, wydeptanej wśród wikliny przez ludzi Hatchera, i pośpieszył nią dalej. Trzask wystrzałów karabinowych rozlegał się teraz bez przerwy, ale nawet ponad ten trzask wzbijał się tętent licznych kopyt, łoskot mnóstwa koni, przedzierających się przez krzaki, gardłowe krzyki przewoźników przenikliwe wrzaski Indian.

Kula gwizdnęła Clintowi nad uchem, rzucił się więc na ziemię i poczołgał. Ludzie jego poszli za przykładem wodza.

— Buum!

Clint i jego ludzie powitali ten grzmot okrzykiem. Była to muzyka dla ich uszów. Grad siekańców przeleciał po gaju topolowym. Gęsty obłok dymu uniósł się w powietrze. Z dala od Clinta strzelanina zmniejszyła się znacznie, tuż jednak na prawo wzmogła się jeszcze bardziej. Oddział Clinta przedzierał się zanadto na prawo, co go narażało na dostanie się pod ogień ludzi Hatchera. Tętent i rżenie przerażonych i poranionych koni napełniały dolinę hałasem niewypowiedzianym. Konie znajdowały się już blisko, Clint więc skręcił nagle na prawo, czołgając się szybko z karabinami w obu rękach. Praca to była ciężka dla przewoźników, nie przywykłych do biegu lub czołgania się podczas walki tak gorącej.

— Buum!

Benny Ireland trzymał się swego tempa: strzał co dwie minuty. Huk rozległ się grzmiąco i donośnie. Podmuch żelaza przeleciał wśród drzew i krzewów.

W tejże chwili Clint znalazł się wśród ludzi Hatchera, klęczących pod przykryciem drzew, strzelających, krzyczących i posuwających się naprzód. Pot tak zalewał i zaćmiewał mu oczy, że nie mógł dojrzeć Indian. Przypadł więc plackiem do ziemi, wypuścił z rąk karabiny i przetarł oczy, po czym przyklęknął na jedno kolano. Ludzie jego gromadzili się dokoła. Wrzawa znacznie przycichła. W pobliżu ustała już strzelanina, w górę zaś wyniosłości gruntu rozlegały się jeszcze odosobnione strzały, ale i one wnet ustały. Ochrypłe wołania zajęły miejsce przeciągłych okrzyków. Przewoźnicy zaczęli powstawać z klęczek. Włosy mieli najeżone, ruchy wyzywające, nerwowe, niecierpliwe, jak ogary, wyczekujące chwili ruszenia za tropem.

— Stać! — zabrzmiał skądciś głos Hatchera. — Czekać, dopóki dym nie zrzednie!

Unoszące się w powietrzu kłęby dymu spłynęły szybko. Wszędzie wśród zarośli leżały konie. Niektóre z nich jeszcze wierzgały. Grunt pod topolami przypominał pole bitwy. Zaściełały go ciała Indian rzędami, stosami, gromadkami i pojedynczo, a wśród nich znajdowali się i żywi.

— Czy Buff Belmet jest tutaj? — zawołał, zbliżając się, Hatcher.

— Jesteśmy tu, — odparł Clint — ale spóźniliśmy się z pomocą.

— Do diabła, nie potrzebowaliśmy pomocy! Zapewne ruszyliście w górę drugiego strumienia i, słysząc nasze strzały, zawróciliście do nas.

— Tak, ale przedtem zagarnęliśmy bandę Blackstone'a.

— A niech was licho! — krzyknął Hatcher. — Nie słyszeliśmy jednak waszych strzałów.

— Bo też, Jim, nie wystrzeliliśmy ani razu. Stevens dojrzał ze skały zgraję Blackstone'a. Pośpieszyliśmy w tamtą stronę i urządziliśmy zasadzkę. Schwytaliśmy Blackstone'a i siedemnastu jego ludzi. Wszyscy leżą skrępowani jak świnie!

— A to cudownie! — zawołał Hatcher. — Poślijcie jednak, Buff, kilku ludzi, aby dopilnowali tych rabusiów, bo nigdy nie wiadomo, co może się stać.

— Andy, — rozkazał Clint — zabieracie kilku ludzi i biegnijcie do miejsca, gdzieśmy pozostawili Blackstone'a.

Andy krzyknął i bodaj czy nie wszyscy ci przewoźnicy, którzy uczestniczyli w zasadzce pod rozkazami Clinta, ruszyli poprzez gęstwinę.

— Pilnować tej zgrai, dopóki ja nie przyjdę! — zawołał Clint za biegnącymi.

Jeżeli jednak Andy nawet usłyszał ten rozkaz, to w każdym razie nie dał tego znać po sobie.

— Buff, zdziwicie się i zaniepokoicie. Ci Indianie to Komancze!

— Komancze! — powtórzył Clint jak echo.

— Tak jest. Sami zobaczcie... Ale powiadam wam, Buff, żeście jeszcze nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Było ich chyba ze trzystu. Jak przewidzieliście, wjechali do tego otwartego gaju i tu zbili się w kupę. Wówczas Benny dał ognia. Boże!... Założyłbym się, że zwalił od razu ze stu czerwonoskórców i koni. Nie czekając, i my trzasnęliśmy do nich. Sprawiali wrażenie rozrzuconego przez wiatr siana. Wszyscy byliśmy ukryci, nie wiedzieli więc, w którą obrócić się stronę. Każdy z nas wystrzelił po siedem ładunków, zanim Ben nabił działo ponownie. Znów ryknęło! Rozstrzygnęło to sprawę. Rozpętało się prawdziwe piekło, przewyższające tysiąckrotnie wszystko, co dotychczas widziałem. Ci, którzy ocaleli, nie myśleli o niczym innym, tylko o ucieczce. I wpadali jeden na drugiego, usiłując wydostać się na szlak. A myśmy nie przestawali walić w nich ołowiem. I uwięzła cała ich gromada pomiędzy drzewami, pogmatwana i wierzgająca. I znów Ireland palnął z działa!... Buff, założyłbym się, żeśmy powalili więcej, niż połowę.

— Komancze! — powtórzył jeszcze raz Belmet. — A spodziewaliśmy się Kiowów.

— Tym właśnie jestem zgryziony. Kto wie, czy i oni nie nadejdą.

— Słuchajcie! — zawołał Clint nagle. — Gdy podjeżdżał Blackstone, usłyszałem, jak jeden z jego zgrai zawołał: „Przybyliśmy za wcześnie!" —

na co Blackstone odparł: „A tak, Charley obiecywał być tu przed Komanczami”.

— Boże, w takim razie może lepiej nie cieszyć się przed czasem... Hej, ludzie, posłać zaraz tych poranionych Indian na pola szczęśliwych łowów, a część z was niech przeciągnie działo z powrotem za strumień.

Z tuzin przewoźników rzuciło się, hukając i podnosząc za lufy ciężkie swe karabiny, aby zadawać ciosy. Ireland i jego pomocnicy pochwycili za sznury działa.

— Chodźmy, Buff, — odezwał się Hatcher — może znajdziemy wśród nich Kiowów. Jeżeli nie, to musimy spodziewać się Charleya Benta.

Słowa te wywołały w Clincie pragnienie dowiedzenia się prawdy, silniejsze od wstrętu, jaki odczuwał, był bowiem świadkiem rozdzierającego widoku, wobec którego wszystkie sceny podobne, w jakich sam uczestniczył, zdawały się drobiazgiem. Cała polanka zasłana była Komanczami. Co trzeci lub czwarty dawał jeszcze znaki życia.

— Wszystkim łby potrzaskać! — wrzeszczał jeden z przewoźników, podnosząc karabin do uderzenia.

— Cha, cha! Masz!

— Udajesz oposa? Niedoczekanie twoje!

Głuche uderzenia kolb i trzask czaszek rozlegały się po gaju. Każdy zaś z przewoźników zdawał się dziko uradowany z tej okropnej roboty. Ale bo też wszyscy nienawidzili i obawiali się Komanczów bardziej, niż jakiegokolwiek innego plemienia czerwonoskórych na Wielkich stepach.

— A uważać na Kiowów — krzyknął Hatcher — i na białego człowieka, pomalowanego na Indianina!

— Zakończyć męczarnie tych koni! — rozkazał Clint.

— I policzyć je przy sposobności — dodał Hatcher.

Poranione konie musiały być dobite. Zawsze się na tym kończyło, zajęcie to jednak nie podobało się przewoźnikom. Toteż niektórzy z nich unikali go, inni natomiast śmiali się, dobijając Indian, a natychmiast potem kładąc kres męczarniom mustangów.

Komancze, będący najlepszymi jeźdźcami stepowymi, posiadali też najlepsze konie, toteż Hatcher rozkazał, aby łowiono wszystkie zdrowe. Mało jednak mustangów nieranionych znajdowało się w gaju, ale i tych nielicznych nie można było ująć.

Clint przyjrzał się tylu ciemnobrązowym twarzom, nie znajdując wśród nich ani jednego Kiowy, że w końcu zaniechał tego przeglądu. Lee Murdock nie poprowadził jeszcze swej bandy do ataku na karawanę, a więc należało się go spodziewać. Ale nie od południa lub od wschodu, gdyż uciekający w te strony Komancze zdradzą przybycie karawany przed czasem do Punktu Skalnego i przejście inicjatywy w jej ręce. Możliwością jedyną, choć jeszcze daleką, wydawało się nadejście Kiowów wzdłuż szlaku, od północy lub od zachodu.

Na przestrzeni kilku akrów przewoźnicy naliczyli z górą stu zabitych Komanczów. Rzeź ta była skutkiem pierwszego wystrzału z działa Irelanda i ognia karabinowego, który nastąpił natychmiast po tym strzale. Bodaj czy nawet bardzo liczna banda mogłaby się zebrać ponownie, po zadaniu jej zaraz z początku takiego ciosu. Może być, że daleko więcej koni

odniosło tutaj rany, były jednak w stanie odbiec dalej. Niemniej kilka tuzinów ścierw końskich leżało w tym miejscu. Sześć funtów siekańców żelaznych dorównywało niemal garncowi kul, a duży ładunek prochu rozrzucił je z siłą straszną. Drzewa i krzaki były pokiereszowane, dzicy zaś, którzy padli przed morderczym działem, przedstawiali okropny widok. Poszarpane ciała i krew zaczerwieniły większą część tej przestrzeni.

Hatcher podszedł tutaj do Clinta.

— Ależ — zauważył — była tu mordownia! Lepiej wracajmy do furgonów.

— Dobrze. Ale mamy tam jeszcze zgraję Blackstone'a.

— Co do tego, — odparł Hatcher — to, o ile znam przewoźników, Blackstone i jego zgraja nie będą nam już więcej doskwierali.

Clint nic nie odpowiedział na te słowa, tylko pośpieszył na przełaj przez równinę. Idąc, słyszał Hatchera, nawołującego swych ludzi, by szli za nim. Doszedłszy do drugiego strumienia, spostrzegł, że przewoźnicy pozostawili działo na wybrzeżu, sami zaś znikli. Wobec tego pobiegł kłusem i okrążywszy wystający kąt zieleni, dotarł do owalnej polany. Tu przerażający widok uderzył jego oczy. Na wszystkich niżej sterczących konarach wisieli bandyci pojedynczo lub parami.

Niektórzy już bezwładni jak worki, inni, widocznie dopiero co powieszeni, jeszcze poruszali się konwulsyjnie. Clint ogarnął to wszystko jednym spojrzeniem, a w tejże chwili uszu jego doleciały groźne słowa przewoźników.

— Andy, a rozetnij mu pęta na nogach, abyśmy widzieli, jak będzie nimi wierzgał za przykładem zacnych swych kompanów! — wołał ochrypłym głosem, z bezlitosną radością, jeden z przewoźników.

Wówczas dopiero Clint ujrzał Blackstone'a, stojącego ze sznurem dokoła szyi pod rozłożystą topolą. Sznur przerzucony był przez gałąź, a zwieszający się jego koniec pochwyciły dłonie tuzina chyba przewoźników, o twarzach dzikich, zatwardziałych. Zachowali sobie Blackstone'a na ostatek.

Clint wołając przyskoczył ku nim.

— Poczekajcie! Szef jest tutaj! — krzyknął Andy.

Wyprężony już sznur obwisł i wszystkie twarze zwróciły się w stronę Clinta i Hatchera, który również nadchodził z gromadką przewoźników.

— Hej, ludzie, — wołał Clint, nadbiegając — kto wam kazał ich powiesić?

— Do wszystkich diabłów, komu to potrzebne! — odparł Andy, poczerwieniawszy nagle z gniewu, a w głosie tym brzmiała samowola, cała bezwzględność, całe prawo, jakie istniało wówczas na kresach.

To też Clint zrozumiał w jednej chwili, jak zbyteczne było jego zapytanie i podszedł sztywnymi krokami do Blackstone'a.

Brodaty olbrzym, pobladły pod swym zarostem, okryty potem, spoglądał ponuro, zgadzając się z losem. Długie lata obojętnej świadomości tego, co czekało i jego, i jemu podobnych, zahartowały mu nerwy na stal.

— Poznajecie mnie, Blackstone? — spytał Clint.

— Naturalnie. Miałem już przyjemność spotkania się z wami dawniej. Wybaczcie, że nie mogę podać wam ręki, Buff!

Mówił to głosem stłumionym, ale mocnym i nie bez odcienia humoru.

— Dzisiaj mieliście spotkać się tutaj z Murdockiem, a raczej z Charleyem Bentem?

— Tak słyszałem od waszego zespołu stryczkowego.

— Sami, do diabła, wiecie o tym dobrze!

— Dlaczego więc, do diabła, pytacie o to, Belmet?

— Blackstone, — ciągnął Clint szybko — nie jestem pewien, czy uda mi się uratować wam życie, ale spróbuję, jeżeli... powiecie mi prawdę o pewnej sprawie.

Ale herszt bandytów znał kresy nie gorzej od Clinta. Wiedział, że nic nie zdoła uratować mu życia. Komendant każdego fortu kazałby go natychmiast powiesić. Pomimo jednak, że był takim zbrodniarzem, postawa jego czyniła wrażenie, iż nie zdradziłby żadnego ze swych towarzyszy, choćby nawet Clint posiadał moc ocalenia mu życia.

— Nie, nic nie odpowiem na żadne pytanie! — zawołał z ponurą gwałtownością, a oczy jego błyskały szyderczą domyślnością. — Ale opowiem wam coś na własną rękę... Przed laty kilku ja i Lee Murdock uprowadziliśmy tę małą Bell w góry, gdzie mieliśmy kryjówkę. Trzymaliśmy ją tam przez całą zimę i musiała nam służyć, a gdy...

Clint poskoczył, aby rozwalić mu czaszkę. Jednocześnie jeden z przewoźników wrzasnął przeszywająco:

— Do góry z nim!

Ze dwadzieścia rąk mocnych pociągnęło za arkan. Otyłe ciało Blackstone'a podskoczyło ku gałęzi tuż przed twarzą Clinta, tak nawet blisko, że gdyby się w porę nie cofnął, byłby uderzony gwałtownie ciężkim butem bandyty.

— Hej, ludzie! — krzyknął w tej chwili Hatcher, stojący na szlaku, głosem podnieconym. — Porzućcie to! Stevens wywija ręką ze szczytu skały! Jak Bóg w niebie, Kiowowie nadchodzą!

Po tych słowach Hatcher pobiegł w dół szlaku, a za nim ruszyli, dudniąc, przewoźnicy, przyglądający się egzekucji, podnieceni nagle do czynu. Wykonawcy egzekucji przywiązali koniec arkana do młodego drzewka, skoczyli po swą broń, po czym, mrucząc i klnąc, opuścili polankę.

Clint dotknął drżącą ręką arkana. Przekonał się, że jest mocno uwiązany do drzewka i że nie pęknie. Stwierdziwszy to, pośpieszył szlakiem, ale jeszcze się obejrzał. Drgające konwulsyjnie ciało Blackstone'a straciło już energię, a poza nim widniało siedemnaście innych, ciemnych, bezwładnych postaci, obwisłych, o szyjach wyciągniętych, wymownych swą okropnością.

Skręciwszy, Clint podążył za swymi ludźmi, gdy zaś znalazł się w miejscu otwartym, dostrzegł Stevensa, gwałtownie wymachującego rękoma ze szczytu skały. Wywiadowca wskazywał na północ, a gesty jego zdradzały przerażenie.

— Murdock... ze swymi... Kiowami! — wykrztusił Clint, dysząc ciężko i popędził przez piaszczystą równinę.

Już z pół setki przewoźników znajdowało się na drugiej stronie strumienia, nawołując i krzycząc. Ze dwudziestu ciągnęło działo, pluskając się w wodzie, przeklinając, padając na kolana i znów prąc naprzód. Inni nieśli karabiny zaprzęgniętych do działa. Po cztery karabiny na każdego stanowiło ciężar nie lada. Niosący amunicję zataczali się wprawdzie pod jej ciężarem, szli jednak raźno.

Clint przebrnął wielkimi krokami przez płytki strumień. Ale przystanął nagle po jednym z tych skoków. Hatcher z gołą głową, z rozwianym długim, siwym włosem, stał na brzegu strumienia i, przyłożywszy ręce do ust, wołał:

— Śpieszcie się, chłopcy, śpieszcie! A nie puszczajcie działa!

## Rozdział XX

Hatcher zatrzymał wszystkich, dopóki przewoźnicy z działem i amunicją nie dobrnęli do brzegu.

— Nabierzcie tchu! — rozkazał.

— Co się dzieje? — spytał Clint.

— A no, Bent i jego Kiowowie... Buff, obmyśliliście jaki plan?

— To zależy. Jakże układać plan, skoro nic jeszcze nie wiem i nie było czasu... Czy kto już strzelał?

— Nie słyszałem. Sądzę, że kroki nieprzyjacielskie nie są jeszcze rozpoczęte.

— Ireland, czy działo nabite? — spytał Clint.

— Naturalnie!

— Przyłóżcie rąk, ludzie. Po trzydziestu do każdego sznura. Reszta niech trzyma się blisko!

Wydawszy ten rozkaz, Clint ruszył przodem, za nim zaś dążyli przewoźnicy, ciągnący dudniące działo. Gdy przerznięto się przez zarośla olszyny, droga była już łatwiejsza. Clint skręcił na lewo od wzgórza, drogą krótszą i mniej skalistą. Zdawało mu się, że słyszy okrzyki.

Po chwili okrążył występ wzgórza i ujrzał przed sobą karawanę i przewoźników tak nagle, jakby wyskoczyli z ukrycia. W odległości zaś trzystu jardów znaczna liczba Kiowów paradowała tam i z powrotem. Nadzy i pomalowani muskularni młodzi wojownicy, na świetnych koniach, doskonale uzbrojeni. Jastrzębi wzrok Clinta przesunął się po nich i zatrzymał na grupie jeźdźców, otaczających postać, odcinającą się rażąco od nich, nawet z tej odległości. Słońce nie odbijało się w nagim jego ciele, nie czerwonym, lecz ciemnym. A przy tym nie miał głowy ogolonej jak inni.

— A no, dobrnęliśmy tu pierwsi — zauważył Hatcher. — A groźnie, przyznam, wygląda ta gromada. I postępuje nie po indiańsku. Białe mózgi muszą kierować tymi Kiowami.

— Charley Bent, a raczej Lee Murdock, gdyż poznałem go pod tym nazwiskiem.

— Aha, tak przypuszczałem. Ale jestem pewien, tak jak tego złego dnia, który nam nastał, że będzie to już ostatni dzień tego mieszańca! — zawołał Hatcher, uniesiony straszliwym gniewem.

Około czterdziestu przewoźników, pozostawionych na straży karawany, powitało gromko nadchodzących.

— Buff, obejmijcie dowództwo — rzekł Hatcher ponuro. Jakże posępny i dziwny był dziś ten stary kresowiec! — A nie zapominajcie o naszej umowie.

— Jim, umieśćcie pięćdziesięciu ludzi wśród skał, ponad furgonami. Poczekajcie! Może to za dużo. Powiedzmy, trzydziestu. Znajdą tam dostateczne przykrycie.

Przewoźnicy nie czekali, aby Hatcher ich wybierał. Ze dwudziestu, albo i więcej, niosąc po dwa karabiny, pobiegło w stronę krzaczastego zbocza skalnego. Nieciągnący działa pośpieszyli do przerwy pomiędzy furgonami, a wnet i tych sześćdziesięciu, którzy ciągnęli działo, podreptało za nimi.

Podwójny szereg furgonów zataczał półkole od pierwszej wyniosłości skalistego pagórka na zachodzie do spadzistego urwiska nieco na północny-wschód, tworząc, jakby się zdawało, twierdzę nie do zdobycia przy zwykłej taktyce stepowych Indian. Belmet postawił działo w miejscu najbardziej górującym w obozowisku, tuż poza wejściem do niego. Oczywiście, działo mogło być przesuwane z miejsca na miejsce. Przewoźnicy rozbiegli się wzdłuż szeregu furgonów, jak stado przepiórek, i wkrótce nie było już widać żadnego.

Ireland i Copsy stali obok działa, lekceważący i niecierpliwi. Stevens wspiął się na koło najbliższego furgonu i skierował szkła polowe na Kiowów. Hatcher, Henry Wells, Andy Morgan i Murzyn Jackson otaczali Clinta. Połowa wnętrza obozowiska odgrodzona była sznurami, tworząc zagrodę dla zwierząt, skupionych, niespokojnych i głodnych.

— Przewyższają nas — zawołał Stevens, odpowiadając na pytanie Clinta — dwukrotnie liczbą.

— Wytrzymamy to — zauważył Wells.

— A ja wam powiem, Buff, — odezwał się Hatcher — że mi się nie podoba wygląd tej zgrai Benta.

— Zejdźcie, Stevens, niech ja na nich spojrzę — rzekł Clint.

— Dowiemy się, ludzie, tym razem osobiście, — wtrącił Andy Morgan, kiwając głową jasnowłosą — jak Charley Bent obrabia karawany.

— Ha, dowiemy się z pewnością, ale czy zdołamy komu o tym opowiedzieć? — mruknął Jim Hatcher posępnie.

Były to ostatnie słowa, jakie słyszano z ust jego.

Tymczasem Clint patrzał przez szkła. Nie mógł dokładnie ocenić liczby Kiowów, będących w ciągłym ruchu, bądź co bądź jednak liczba ich musiała znacznie przewyższać dwustu. Usiłował też dojrzeć przewódcę Kiowów, ale nie mógł tego dopiąć, gdyż wódz otoczony był przez swych czerwonoskórych adiutantów, zakrywających go niemal zupełnie.

Za to szkła umożliwiły Clintowi dokonanie odkrycia, którego Stevens nie dokonał: ci Kiowowie znajdowali się pod wpływem wódki! A Kiowowie już i w stanie normalnym byli niebezpieczni! Podnieceni zaś i doprowadzeni do szału przez wódkę... Clinta przejął mróz do szpiku kości.

— Ludzie, ci Kiowowie są na poły pijani — oznajmił tragicznym głosem.

Cisza głęboka, jaką przyjęto te słowa, świadczyła wymownie o ich wstrząsającej doniosłości. Czerwonoskórzy ci szatani musieliby najpierw otrzeźwieć, aby można było ich pobić.

Nagle uderzył Clinta widok Kiowów, rozjeżdżających się coraz dalej na prawo i na lewo. Jadący na przodzie nie kołowali i nie harcowali. Cała banda rozciągnęła się w długą linię, co nie przypominało zgoła zwykłego galopowania Indian stepowych dokoła karawany. Stało się to dla Clinta niepokojącą zagadką. Jeźdźcy tak się już rozjechali, że wschodni koniec linii zniknął z przed oczu patrzącego. Jadący na lewo łączyli się w dwójki i trójki, tuż przy sobie, aż wreszcie dosięgli okrężnie strumienia w punkcie, położonym prawie na równi z pagórkiem.

— A no, Buff, powiedzcież cokolwiek! — wybuchnął Henry Wells, wiedzący dobrze, iż to milczenie nie wróży nic dobrego.

— Na Boga — szepnął Clint, zgrzytnąwszy zębami. — Taka to jest twoja gra, Lee Murdock!

I zeskoczył na ziemię.

— Jackson, — rozkazał — biegnijcie wzdłuż furgonów i powiedzcie ludziom, że Kiowowie są podnieceni wódką i że gra Benta polega na runięciu na nas.

— Wszawy pokurcz! — zaklął Andy Morgan.

Murzyn rzucił się pomiędzy furgony i słychać było wkrótce z poza nich jego basowy głos.

— Bent nas podszedł — rzekł Clint. — W walce z bliska nie możemy użyć działa. Ale nic nie wie o tym, że każdy z nas ma po dwa karabiny i że posiadamy cały furgon amunicji.

— Mojem zdaniem, — radził Wells — należałoby się trzymać blisko tego furgonu.

— I działa, — dodał Morgan — gdyż trzeba je będzie przesuwać z miejsca na miejsce.

— Słuchajcie! — szepnął nagle Clint, schylając się nisko.

— Nadchodzą!

— Na Boga!

— To ta połowa krwi białego człowieka w Charleyu Bencie daje się nam we znaki!

Głuchą, tętniącą wrzawę mnóstwa kopyt, ogarniającą obóz, pomnożyły krzyki przewoźników, usadowionych na skalnym pagórku. Nagle jednak i te krzyki zagłuszył rozdzierający uszy biegnący wzdłuż linii furgonów, jak po ogniwach łańcucha, okrzyk wojenny, przeszywający i ostry, a jednak przeciągły i wzrastający do rozmiarów okropnych.

Banda pomalowanych dzikich, na niemniej od niej dzikich mustangach, runęła na karawanę. Rozległ się grzmot działa i zaszczękały karabiny. Ale nagła wyrwa w potoku konnych szatanów zamknęła się, jak pod uderzeniem różdżki czarodziejskiej, i pędzący potok lunął do wejścia. Clint i kilku jego towarzyszów przyjęli szturmujących zabójczym ogniem, ale musieli schronić się pod furgony, aby uniknąć najechania przez konie.

Clint strzelał bez przerwy z poza ciężkiego koła furgonowego, bacząc ponuro, aby żaden ze strzałów nie chybił. Bystre jego oczy szukały wśród migających, wysmukłych pomalowanych ciał tego, które było nie czerwone, lecz ciemne. I w końcu mignęła mu przed oczyma postać Charleya Benta, otoczona węzłem szalenie szybkich i dzikich jeźdźców. Strzał Clinta zdawał się być nadludzkim wybuchem błyskawicznego

gniewu, jaki go ogarnął w tej chwili, po czym szatańska gromada, przywarta do karków swych mustangów, przebiegła wśród dymu obok strzelającego, skupiając się u wejścia do obozowiska. Wrzawa bitwy, rozciągnęła się dokoła karawany, co wskazywało, że Kiowowie nie tylko wtargnęli przez przerwę pomiędzy furgonami, ale także wdzierają się do wnętrza, wskakując na furgony i pełzając pod nimi.

* * *

Clinta Belmeta pochłonęło istne piekło dymów bez końca. Walka ręczna zdawała się trwać cały krwawy wiek. W rzeczywistości jednak były to może tylko chwile. Kotłowanie się przerażonych koni i wołów, które, wyrwawszy się z zagrody i nie mogąc w znaczniejszej liczbie wydostać się na zewnątrz obozowiska, biegały wciąż w kółko, zwiększało chaos bitwy, ale także przyczyniło się zapewne do uratowania przewoźników przed zupełną zagładą. Zeskoczywszy z koni, zwinni, nieustraszeni dzicy rzucali się to tu, to owdzie — wszędzie. A gdy jakiś przewoźnik powalał jednego z nich na ziemię uderzeniem kolby, sam padał pod ciosem tomahawka innego z Kiowów. Strzały karabinowe odzywały się rzadko i w znacznych odstępach. A może nie było ich słychać w ogłuszającej wrzawie walki. Po pierwszym strzale działo zaraz zamilkło. Płonęły furgony. W odległym końcu owalu obozowiska dzicy rozsunęli kilka furgonów, otwierając w ten sposób przejście ryczącemu bydłu i rżącym przeraźliwie koniom, które też rzuciły się w otwór ciemnym potokiem.

Clint, wywijając złamanym karabinem, rzucił się przez dymy, usiłując w tej strasznej gmatwaninie odnaleźć towarzyszy, aby stanąć u ich boku. Z furgonów buchały coraz gęstsze obłoki dymu. Przewoźników otoczyło ogniste koło. Tu i owdzie, wśród gęstej zasłony niebieskawej, grupy przewoźników zmagały się, strzelając, uderzając, chwytając się za bary z Kiowami, jak bestie, oszalałe porywem żądzy krwi. Clint poskoczył i strzaskał czaszkę jednemu z Kiowów, skalpującemu pokonanego białego, po czym powalił na ziemię dwu innych wrzeszczących szatanów, którzy podpalali furgon z amunicją.

* * *

Ze dwudziestu, a może i więcej przewoźników okrwawionych, lecz niezwyciężonych, zgromadziło się, z Belmetem na czele na środku obozowiska, aby stawić opór do ostatka. Szanse straszliwej bitwy przechyliły się na ich stronę. Stali plecami do siebie, wystrzeliwując ostatnie naboje. Dymy czarne i żółte unosiły się nad huczącymi płomieniami. Woń płonących futer zapełniała powietrze. Nie było już słychać strzałów ze skalnego pagórka. Posłany tam oddział przewoźników albo uciekł, albo też wyginął.

W pobliżu wejścia do obozowiska płonął tylko jeden furgon, ten właśnie, który zawierał beczułki prochu działowego i amunicję karabinową. Reszta Kiowów zebrała się przy nim, pociągnięta żądzą podpalenia licznych jeszcze furgonów, nietkniętych przez ogień. Wielu z nich zapalało

pochodnie o trzaskające płomienie, pożerające furgon. Tańczyli szalonym kołem, potrząsając pochodniami, w świetle płonącego furgonu.

Straszliwy wybuch płomieni czerwonych! Trzask piorunujący! Furgon wyleciał w powietrze i czarny baldachim roztoczył się nad obozowiskiem.

* * *

Gdy uniósł się w powietrze całun dymów, wywołany tym wybuchem, pozostali przy życiu Kiowowie uciekali przez step do swych koni.

Przy Belmecie zgromadziło się dwudziestu dwu ludzi — wszyscy poranieni, ale żaden z nich nie uważał ran swych za poważne.

— Trzymajmy się razem i obejdźmy dokoła ogrodzenie — rzekł ochrypłym głosem Belmet.

Copsy leżał bez życia pod działem, a Ireland — na zapale działa, trzymając jeszcze lont w zaciśniętej ręce. Henry Wells i dwaj inni przewoźnicy leżeli martwi w kole zabitych Indian. Jim Hatcher znajdował się do połowy ciała pod furgonem, sztywny i zimny. Padł jeden z pierwszych. Clint zamknął mu powieki oczu szeroko otwartych, po czym spełnił obietnicę, daną staremu kierownikowi karawan. Trzos, o którego zabranie Hatcher prosił Clinta, był ciężki i dobrze nabity. Całe lata oszczędności — i na co?

Zabici i ranieni zaściełali gęsto ziemię dokoła. I rzecz charakterystyczna, rannymi byli zawsze tylko Indianie. Ale też, gdy spostrzegano, że jeszcze żyją, chwile ich ostatnie były bardzo krótkie.

Andy Morgan i Stevens, wyprzedziwszy nieco innych, wyciągnęli z pod furgonu Indianina, wołającego chrapliwym głosem.

— Na mnie kolej, Steve — rzekł ironicznie Andy, zamachując się powoli, z rozmysłem, okrwawioną kolbą.

Ciało Indianina było ciemne, nie czerwone. Czerwona była tylko struga krwi, spływająca z otworu od kuli na piersi. Miał straszne oczy, o wzroku przenikliwym, ale nie czarne. Na twarzy widniała okropna blizna.

— Stój, Andy! — krzyknął Clint, przyskakując w sam czas, aby powstrzymać gotowy do uderzenia karabin.

— Belmet! — zawołał raniony słabym głosem.

— Tak, ja jestem Belmet — odparł Clint, przyklękając na jedno kolano.

— Poznajecie mnie?

— Tak jest — Lee Murdock.

— To nie jest... prawdziwe moje nazwisko — brzmiała popędliwa odpowiedź, tragiczna w ustach człowieka, ranionego śmiertelnie. — Jestem Charley Bent.

Andy przykląkł i uniósł głowę ranionego.

— Chcecie się napić? — spytał, podając czarną flaszkę.

Lekkim ruchem renegat odsunął ją od siebie. Nie potrzebował już pokrzepienia.

— Belmet, uczyńcie mi łaskę..., a ja wam... coś powiem.

— Dobrze, jeżeli to tylko możliwe — odparł Clint i straszne napięcie ostatnich godzin zdawało się załamywać pod wpływem uczucia litości.

— Stary mój ojciec... jeszcze żyje, — szepnął umierający. — Henry Bent... W Kansas City... Słyszałem o nim przed rokiem. Sądził, żem już zaniechał... tego życia. Nie chciałbym, aby kiedykolwiek się dowiedział, że tak... nie było... Powiedzcie mu... albo zawiadomcie...

— Ależ to będzie ohydne kłamstwo! — zawołał Clint.

— Jest już bardzo stary — błagał renegat. — Nie pożyje długo... On mnie kochał!

— Dobrze, uczynię to — odparł Clint.

Podniecenie opuściło ranionego. Ręka, którą ściskał ranę na piersiach, opadła bezwładnie i krew buchnęła z rany.

— May Bell... znajduje się... w Las Cruces... dobrze jej... taka sama... sądzi, że... nie żyjecie.

* * *

Zapadał wieczór ciemnopurpurowy i cichy. Kojoty zaczęły swe gonitwy. Powoli przygasał ogień wśród dymiących zgliszcz.

Przewoźnicy opatrywali swe rany. Kilku z nich, przeszukując skały, znalazło trzech rannych towarzyszów, z których jeden wkrótce umarł. Pewna liczba furgonów pod pagórkiem uniknęła podpalenia. Zabrawszy posiłek i koce, resztka przewoźników pociągnęła ku dolinie strumieni, aby się tam posilić i odpocząć.

Clint, Andy Morgan i jeszcze dwu przewoźników ruszyli na poszukiwanie koni. Do północy zebrali ich trzydzieści. Były to przeważnie osiodłane konie, należące do bandy Blackstone’a. Na niektórych znajdowały się koce. Inne obładowane były żywnością.

Clint powiódł milczącą pozostałość po wielkiej karawanie na Zachód, szlakiem do fortu Larned. Nie powiodło się jemu i Hatcherowi doprowadzić do celu najcenniejszej z karawan, wysłanych kiedykolwiek na Wschód. Jechano do świtu, za dnia ukryto się w jarze jednego ze strumieni, a gdy nastała noc, ruszono dalej.

Niewzruszeni i niepokonani, ludzie ci ucieleśniali ducha kresów i, straciwszy jeszcze dwu towarzyszów po drodze, z dwoma innymi, bliskimi śmierci, dowlekli się wreszcie do fortu Larned.

## Rozdział XXI

Następnego dnia Clint Belmet przyłączył się, ale już tylko jako gość, do karawany wojskowej, podążającej do Santa Fé. Miał rany od kuli, noża, tomahawka i maczugi. Ale rany te były dla niego niczym. Wobec uczuć, jakich teraz doznawał, mógłby niemal dokonać cudu.

Gdy przekraczano rzekę Pecos, ogarnęła go radość niewysłowiona. Tam, gdzieś w dół drogi, w Nowym Meksyku, na zachód od Pecos, leżało miasteczko Las Cruces.

W Santa Fé dowiedział się, że stary jego doradca i przyjaciel, Kit Carson, leży umierający w Taos. Chociaż więc w ciągu swego życia na kresach Clint tak się już otrzaskał z myślą, że śmierć to rzecz prosta i nieunikniona, niemniej jednak wiadomość ta wstrząsnęła nim głęboko.

Pojechał tedy konno do Taos i dowiedział się tam, że Carsona przewieziono do najbliższego posterunku wojskowego. Podążył więc dalej z taką szybkością, na jaką tylko pozwalał mu stan jego zdrowia. Wiele już lat upłynęło od czasu, gdy odwiedził fort Lyon po raz ostatni, pamiętał jednak dobrze okolicę, posterunek, a nawet lekarza wojskowego, który miał teraz pieczę nad Carsonem.

— Poznałem — oświadczył mu Clint — Kita Carsona, gdy byłem jeszcze chłopcem. Upodobał mnie sobie i radził, jak mam się zachowywać na kresach. Gdyby nie jego dobroczynny wpływ, nie żyłbym już dzisiaj. Proszę mu powiedzieć, że pragnąłbym go widzieć.

— Dobrze, Belmet — odparł lekarz. — Z pewnością Kit rad będzie was ujrzeć. Każdy, kto przybywa tu Starym Szlakiem, śpieszy, aby zobaczyć jeszcze Kita. Dowodzi to, jak jest kochany przez cały Zachód. I Kit powiada, że to już jest dla niego nagrodą, wystarczającą za usługi, które oddał. Ja wszakże jestem innego zdania. Chodźcie!

I zaprowadził Clinta do domu, w którym Carson leżał na łóżku, zasłanym futrami bizonów. Co za ogromna zmiana zaszła w tym człowieku, niegdyś tak pełnym męskości i siły! Szczupły był, skurczony, a zniszczenie, wyrządzone przez zbliżającą się śmierć, widniało na wynędzniałej twarzy. Ale nie w jego orlich oczach!

Carson przestał mówić. Siadł na łóżku. Oczy jego błysnęły. Stojący przy łóżku wódz indyjski przeniósł wzrok ponury z chorego na Clinta. Obecni w pokoju oficerowie obrócili się, by spojrzeć, kto wchodzi.

— Kit, — odezwał się doktor — przybył do was stary przyjaciel. Czy go poznajecie?

— Buff Belmet! — zawołał Carson. — A niechże podejdzie.

Nie było więcej potrzeba, aby dowieść, jak bystrą pamięć posiadał Carson i jaką reputację wyrobił sobie Clint na kresach.

Może być, że to powitanie ciepłe razem z odczuciem tragedii, rozgrywającej się w tym pokoju, wzruszyły Clinta tak bardzo. Dość, że rzadko kiedy, a może nawet nigdy jeszcze nie był tak wymowny, jak teraz, odpowiadając na pytania Carsona. Opowiadał mu tedy szeroko o ostatnich swych doświadczeniach, a zwłaszcza o straszliwej bitwie pod Punktem Skalnym, tudzież o losie Jima Blackstone'a.

— Jak widzę, — rzekł na to Carson — przeszedłeś dużo na Starym Szlaku albo „Szlaku Straconych Furgonów". A teraz dokąd dążysz?

Wówczas Clint opowiedział o wyznaniu, uczynionym mu przed śmiercią przez Charleya Benta. Wiadomość ta uczyniła głębokie wrażenie na Kicie Carsonie. Zdawało się, że opada na siłach i Clint przypomniał sobie nagle, jak bardzo Carson kochał swą żonę, Meksykankę.

— A więc twa ukochana żyje? — odezwał się w końcu chory, a wzrok jego zajaśniał pięknem światłem. Pamiętam ją... Bell, mała May Bell. Byłem na ranchu Maxwella, gdyś omal nie zabił Charleya Benta... Wszystko jest dobre, Buff, co się kończy dobrze. Nie trać czasu po drodze do małej May.

Późną godziną Clint powrócił do Taos pełen myśli o wielkim kresowcu, którego dni były już niewątpliwie policzone. I doszedł do wniosku, że tylko może jeden Zachód owych czasów mógł w pełni ocenić zasługi Kita Carsona. Boć każdy stary stepowiec, każdy kresowiec wiedział doskonale, że Kit Carson był odkrywcą nowych dróg.

W Taos Clint przyłączył się do karawany, ciągnącej do Las Vegas, a przybywszy tam, czuł się już prawie, jak dawniej. W Las Vegas nabył i zaopatrzył konie wierzchowe oraz juczne i wreszcie rozpoczął w towarzystwie Teksańczyków i Meksykan, jadących na południe, ostatni etap tej pamiętnej swojej podróży.

Znajdowali się na zachód od gór Skalistych, daleko poza strefą, w której rabusie czyhali na karawany, gdzie krążyli konno dzicy, walcząc i paląc.

Przez cały dzień Clint nie zsiadał z konia, przyglądając się tej krainie, to zielonej i kwiecistej, to znów surowej i pustej, stosownie do obecności lub braku wody.

Podczas tej jazdy odnosił wrażenie, że młodnieje, to znów, że się starzeje. Pod koniec młodość wzięła górę już ostatecznie. I przeżył pamięcią dawno minione, tak drogie mu godziny, spędzone u boku May Bell. Jakże mało ich było w ciągu tych lat piętnastu, jakie upłynęły od chwili, gdy spotkał ją u strumienia!

* * *

Lato nadeszło do doliny Las Cruces, położonej daleko na południe, w pobliżu El Paso, miasteczka, rozwijającego się szybko w owym czasie. Białe i czerwone domki z gliny niepalonej odbijały się jaskrawo na tle zieleni. Farmy, leżące na dobrze nawodnionych równinach, ciągnęły się hen, aż do wzgórz ciemnych. Daleko od indiańskich szlaków!

U Meksykanina, posiadającego sklep i gospodę, Clint zmył z siebie ślady podróży i zgolił brodę, czyniącą go tak posępnym i dzikim. Czy May go pozna? Oby tylko mógł się pozbyć tego surowego, zawziętego wyrazu twarzy!

Pierwszą uzyskaną wieścią było to, że May Bell mieszka istotnie z panią Clement na ranchu, który posiadają tuż pod Las Cruces. Były bogate, jak zapewniał właściciel gospody, i niech im błogosławią wszyscy święci, gdyż wspomagają biednych i zatrudniają Meksykan.

Clint wyszedł i była to najposępniejsza, a zarazem najszczęśliwsza jego przechadzka w życiu.

Jeżeli May jeszcze go kocha, jeżeli, pomimo wszystko, dotychczas czekała na niego, to przyszłość może wyrówna mu całą przeszłość.

Biały domek z cegły niepalonej stał z dala od drogi, wśród topolowego gaju. Wszędzie znać było wpływy Południa. Niewątpliwie pani Clement nie zapomniała Teksasu.

Z sercem, podchodzącym mu do gardła, Clint zapukał w otwarte drzwi. Ukazała się kobieta szpakowata, o twarzy miłej, lecz oczach smutnych, i westchnęła mocno.

— Pani Clement, — spytał Clint — czy pani mnie poznaje?

— Przecież, przecież! — krzyknęła. — Clint Belmet!

— Tak, Clint... Czy ona jest tutaj?

— Dzięki Bogu, jest. Zdrowa i wciąż wam wierna, ale sądzi, żeście umarli. Ja jednak wciąż myślałam, że jeszcze odżyjecie. Tyle już przecież rzeczy dziwnych widziało się na kresach!

— Gdzie ona jest? — spytał Clint, dziwnie spokojny.

— Tam, w ogrodzie. Lubi tam kopać i sadzić.

— I powiada pani, że jest zdrowa?

— Teraz zupełnie zdrowa. Ale po tej straszliwej przygodzie z naszą karawaną chorowała długo. W rzeczywistości chorowała przez cały ten rok, w ciągu którego mieszkałyśmy u osadnika Benneta.

— Opuściłyście Santa Fé z karawaną pod kierownictwem Jima Blackstone'a.

— Oh, ten potwór! Zaledwie wjechaliśmy na Suchy Szlak, gdy ukazali się Indianie i napadli na przewoźników, którzy przyłączyli się do nas, a banda Blackstone'a stanęła po stronie Indian. Byłybyśmy zgubione, gdyby nie karawana emigrantów, jadących do Teksasu. Karawana ta odparła Indian. Blackstone uciekł, pozostawiając furgony. Emigranci zabrali nas z sobą.

Karawaną ich dowodził Baxter, stary wywiadowca. Baxter wiedział dobrze, że dąży za nami pogoń. Toteż pewnej nocy zawiódł nas do doliny, w której żył osadnik, nazwiskiem Bennet, zaprzyjaźniony z Indianami. Otóż, Bennet przyjął nas i ukrywał przez cały rok. Rzadko kiedy wychodziłyśmy, chyba wieczorami. Wreszcie, gdy przejeżdżała tamtędy wielka karawana, wydostałyśmy się z doliny i pociągnęłyśmy do Kansas City, a potem nazad do Santa Fé. I znów zginęliśmy się z wami w drodze. Biedna May omal nie przypłaciła tego życiem. Następnie po raz drugi doniesiono o waszej śmierci. Dowiedziałyśmy się o tym z dzienników w Kansas City. Pojechałyśmy tedy do Teksasu. Miałam tam posiadłość.

Sprzedałam ją i przeniosłyśmy się do El Paso, a w końcu tutaj. May kocha ten Zachód, ale nie stepy.

— A więc raz jeszcze rozminęła się ze mną na Starym Szlaku! — westchnął Clint. — Życie bywa okrutne... I powiada pani, że May jest w ogrodzie?

— Proszę — rzekła pani Clement cicho.

I poprowadziła go dokoła białego domu na tyły, gdzie topole rozrzucały lotne nasiona, podobne do bawełny, połyskiwała trawa zielona, bulgotała gdzieś niewidoczna woda i kosy śpiewały wśród gałęzi.

— Oto ona. Ale czy nie będzie lepiej, jeżeli ja pójdę przodem i przygotuję ją? — spytała pani Clement niespokojnie.

Clint ujrzał coś niebieskiego daleko w ogrodzie. To coś poruszało się i Clint rozpoznał pochyloną postać kobiecą o drobnych kształtach. Po chwili wyprostowała się. Kapturek od słońca zwieszał się jej na ramiona. Clint dostrzegł ładną ciemną główkę i w jednej chwili cierpienie lat całych znikło tak, jakby nigdy nie istniało.

— Pani mówiła, — rzekł wahająco — że ona... nie zapomniała o mnie?

— Sądzi, że nie żyjecie. Ale żaden z ludzi żyjących nie jest tak kochany.

— Ah!... A zatem... to jej nie urazi... Ja bym tak pragnął widzieć jej twarz... gdy ona mnie ujrzy!

Pani Clement uścisnęła milcząco rękę Clinta i zawróciła do domu.

Clint wyszedł z pod cienia topoli na krańce ogrodu. Tam przystanął, nie z własnej wszakże chęci, lecz dlatego, że May właśnie zwróciła się ku niemu. I podchodziła, idąc pomiędzy grządkami, spoglądając w ziemię i trzymając w ręce szufelkę do rozkopywania grządek.

Podeszła jeszcze bliżej, nucąc jakąś melodię. Gdy wreszcie podniosła głowę, dzieliło ich niespełna dwadzieścia krótkich kroków. Zatrzęsła się i stanęła, jak wryta. Widok jej ciemnych, szeroko otwartych, osłupiałych oczu przejął Clinta do głębi. Usiłował na nią zawołać.

Upuściła szufelkę. Podniosła szybko ręce do piersi i chwiała się z lekka, to zamykając mocno oczy, to otwierając je szeroko. Ale radość przemogła strach. Wydała okrzyk dziki, gwałtowny i rzuciła się ku Clintowi, wyciągnąwszy ręce. Biegła, chwiejąc się jeszcze, a oczy jej jaśniały radością poznania.

— Clint, Clint, Clint!

Zachód słońca. Siedzieli pod topolą, dziwnie przypominającą owego rozłożystego olbrzyma w dolinie, poniżej ranchu Maxwella, zapatrzeni w niebiosa zachodnie. Głowa jej spoczywała na jego ramieniu, a ręce — w jego rękach.

— Bóg jest dobry — rzekła. — Prawie, że straciłam wiarę w Niego i w życie.

— Kiedy staniesz się żoną moją? — pytał już może po raz dziesiąty.

— Ale nie pojedziesz już przez stepy? — prosiła. — Ja bym tego nie zniosła.

— Nigdy już do nich nie wrócę, ukochana.

Ucałowała go z wdzięcznością.

— Oh, ja wiem, jak ty to odczuwasz! Nigdy nie zapomnę tej krainy stepowej. Szarzyzna bez końca, tak rozległa, bezludna, jednostajna — a jednak tak strasznie piękna. Oh, jakże ja ją kochałam i nienawidziłam!

— Mam jej dosyć, May... Udział mój w niej jest spłacony... Czy wyjdziesz za mnie?

— *Si, senor* — odparła nieśmiało.

— Kiedy?

— Nie wiem jeszcze. Stało się to tak nagle!

— A ja tęskniłem do ciebie, zdaje się, przez wieki.

— Oh, Clint, tak samo ja do ciebie. Obiecaj mi, że mnie nie opuścisz, choćby nawet na minutkę, dopóki żyjemy.

— Obiecuję ci, mała May.

— Będziesz się trzymał z daleka od posterunków handlowych, fortów, szlaków, Indian i rabusiów?

— Oczywiście, — zaśmiał się — że będę.

— Oh, więc nie zapomniałeś jeszcze o śmiechu!... Clint, ja chyba umrę ze szczęścia... Uściśnij mnie... ucałuj... ty wielki, spokojny, zimny kresowcze!... I, oh, przebacz mi raz jeszcze tę godną potępienia chwilę w mym życiu, gdym doprowadziła cię do ucieczki z rancha Maxwella.

— Przebaczę ci... gdy wyjdziesz za mnie.

Milczała przez czas dłuższy przed kapitulacją.

— Jest tu — odezwała się wreszcie — w Las Cruces *padre*... czy to wystarczy?

— Czy to pytanie... czy też zgoda?

— I jedno, i drugie... A zatem, Buff, jeżeli *padre* ci wystarcza... mogę być twoja...

— Kiedy? — przerwał wzruszony.

— Choćby jutro... co najpóźniej — zakończyła wesoło.

Clint porwał ją w ramiona, tak, jakby nie chciał już więcej jej puścić.

Wyrwała mu się jednak i odetchnęła mocno.

— Boże drogi! — zawołała. — I ja nazwałam cię, Clint, wielkim, spokojnym, zimnym kresowcem!... Powinnam to była powiedzieć wcześniej... Ale słuchaj, mój drogi. Niech będę choć przez chwilę poważna. Pobierzemy się jutro i wszystko będzie w porządku. Dziwne i smutne były nasze dzieje. Oboje jednak jesteśmy jeszcze młodzi. Kochamy Zachód. Jesteśmy pionierami i trzymajmy się tego. Osiądźmy tu, w tej pięknej dolinie i zamieszkajmy razem z panią Clement. Ona była mi matką.

— Niech będzie tak, jak powiadasz, mała May — odparł Clint z cichą radością w głosie. — Mam dość pieniędzy, aby kupić rancho i zaopatrzyć je w inwentarz. Moje własne, wuja Jima i biednego starego Hatchera. Jestem, May, doprawdy, bogaty i mogę zapewnić ci wszelkie wygody.

— Ah, ty, cudowny człowieku! — krzyknęła wesoło. — Gotowam przymówić się którego dnia, abyś mnie zabrał do San Antonio.

— Nie potrzeba przymówki. Wystarczy jeden pocałunek.

— Oto! — odparła, całując go szybko. — Zapłaciłam!

I cicho przygarnęła się do niego. Zmrok zapadał. Pszczoły przestały brzęczeć. Zadźwięczał melodyjnie dzwonek pasącej się krowy. Na wzgórzu zaszczekał dziko kojot. I złota poświata na zachodzie zbladła.

KONIEC